

Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadomienia ludzkości
/.../

Dzieło sztuki – mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



a

3

(109) 2007

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



AKCENT nr 3 (109) 2007

Lukasz Marcińczak: Wergiliusz pod Samosierrą. Niezwykły świat
lubelskich nekropolij • Proza Z. Beszczyńskiej i T. Zułkińskiego •
M. Bernacki o „Kamieniołomie” Karola Wojtyły • Łukaszewicz
i Jarzębski o „Nowoczesności” Święcha • Felietony L. Mądziaka
i J. Życińskiego • E. Leszczyńska-Pieniak o artystach w Zamościu
• E. Wicha-Wauben – wiersze o holenderskich mistrzach pędzla

Cena 10 zł (VAT 0%)
NR INDEKSU 352071
PL ISSN 0208-6220



9 770208 622007

Wydawca: MONIKA ADAMCZYK-GARBOŹKA
Zarząd wydawniczy: JANINA HURK
LECHOSŁAW JAMBORSKI
WALDEMAR MICHAŁSKI (zastępca redaktora)
ANNA RUMAN
TADUZŃ SZYMCZAK

aakcent

aakcent

literatura i sztuka

Wydawane na zlecenie Biblioteki Książki i Dziadziństwa Narodowego
Czasopiśmie patronackim Biblioteki Narodowej

W roku 2007 „Akcent” kontynuacja jest wspaniałej
Kampanii Szkoła i Kultura w Polsce
(projekt Europejski Instytut Kultury i Dziedzictwa)

Numer 23/07 - wydawany przy pomocy finansowej
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Wydawca: Akcent, kontynuacja jest wspaniałej
Kampanii Szkoła i Kultura w Polsce
(projekt Europejski Instytut Kultury i Dziedzictwa)

Wydawca: Akcent, kontynuacja jest wspaniałej
Kampanii Szkoła i Kultura w Polsce
(projekt Europejski Instytut Kultury i Dziedzictwa)

PI ISSN 0004-0320

NK INDERSU 32071

kwartalnik © Copyright 2007 by „Akcent”

Zespół redakcyjny
MONIKA ADAMCZYK-GARBOWSKA
JANINA HUNEK
LECHOSŁAW LAMEŃSKI
WALDEMAR MICHALSKI (sekretarz redakcji)
ANNA RUMAN
TADEUSZ SZKOŁUT
JAROSŁAW WACH
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (redaktor naczelny)
ANETA WYSOCKA

Redakcja
MAC Arkadiusz Makowski

Konsultacja lektorska
Jaruzel Sobczak

Stale współpracują:

*Bogusław Biela (Francja), Marek Danielkiewicz, Ewa Dunaj,
Józef Fert, Ludwik Gawronski, Michał Głowiński, Łukasz Janicki,
Magdalena Jankowska, Alina Kochańczyk, István Kovács (Węgry),
Marek Kusiba (Kanada), Jerzy Kutnik, Eliza Leszczyńska-Pieniak,
Jacek Łukasiewicz, Łukasz Marcińczak, Anna Mizurek,
Wojciech Młynarski, Danuta Mostwin (USA), Dawid Opolski,
Wacław Oszejca, Mykoła Riabczuk (Ukraina), Małgorzata Szlachetka,
Jerzy Święch, Brian Zadura*

Czasopismo patronackie Biblioteki Narodowej
wydawane na zlecenie Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

W roku 2007 „Akcent” korzysta ze wsparcia
Kancelarii Senatu Rzeczypospolitej Polskiej
(projekt *Polskie rodowody, polskie znaki zapytania*)

Numer 3/2007 zrealizowano przy pomocy finansowej
Województwa Lubelskiego

Wszystkie numery z roku 2007
zrealizowano przy pomocy finansowej Miasta Lublin

Partnerem medialnym „Akcentu” jest Radin Lublin S.A.

PL ISSN 0208-6220

NR INDEKSU 352071

© Copyright 2007 by „Akcent”

a

rok **XXVIII**

nr 3 (109)

2007

akcent

literatura i sztuka

kwartalnik

Na pierwszej stronie okładki:
Jakub Julian Ziółkowski: olej na płótnie, 70 x 60 cm, 2006

Na czwartej stronie okładki:
Jakub Julian Ziółkowski: olej na desce, 33 x 28,2 cm, 2006

Adres redakcji:
20-112 Lublin, ul. Grodzka 3, III piętro
tel. (081) 532-74-69
e-mail: akcent_pismo@gazeta.pl
www.akcent.gli.pl

Materiałów nie zamówionych redukcja nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają
urzędy pocztowe, Ruch SA, Kolporter SA i Ars Polona.

Cena prenumeraty krajowej na okres jednego roku wynosi 38 zł.

Pieniądze można wpłacać także bezpośrednio na konto wydawcy:
Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent” Bank PEKAO SA, V O w Lublinie
nr rachunku: 50 1240 1503 1111 0000 1752 8667
lub przekazem pocztowym pod adresem redakcji,
podając wyraźnie adres prenumeratora
i zaznaczając na odwrocie przekazu „prenumerata Akcentu”.

W USA „Akcent” rozprowadzany jest przez następujące księgarnie:

Polish American Bookstore, „Nowy Dziennik” – Polish American Daily News;
21 West 38th Street; New York, NY 10018

Mira Puszcz; „Polonia” Bookstore; 2886 Milwaukee Ave.; Chicago, IL 60618

We Francji sprzedaż prowadzi:

Librairie Polonaise (Księgarnia Polska), 123 Bd St. Germain, 75006 Paryż

Wydawcy:

Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent”, 20-112 Lublin, ul. Grodzka 3
Biblioteka Narodowa, Dział Wydawniczy Czasopism Patronackich
02-086 Warszawa, al. Niepodległości 213
tel. 22 608-23-74, tel./fax 22 608-24-88
e-mail: czaspatron@bn.org.pl

Nakład 1000 egz. Druk ukończono 6 sierpnia 2007 r.
Druk: Multidruk S.A., Lublin, ul. Unicka 4

Cena zł 10,-

Spis treści

- Elżbieta Wicha-Wauben: *wiersze* / 7
Lukasz Marciniak: *Wergiliusz pod Samosierrą. Niezwykły świat
lubelskich nekropolii* / 19
Dariusz Adamowski: *wiersze* / 39
Tadeusz Zubiński: *Inferno* / 41
Inga Kotecka: *wiersze* / 64
Marek Bernacki: *Praca jako las spełniony. O „Kamieniolomie”
Karola Wojtyły* / 68
Stefan Rusin: *wiersze* / 76
Zofia Beszczyńska: *opowiadania* / 78
Bożena Brzozowska: *wiersze* / 89

PLASTYKA

- Eliza Leszczyńska-Pieniak: *Portret artysty przed trzydziestką.
O malarstwie Jakuba J. Ziółkowskiego* / 91

DWUGŁOSY

- Jacek Łukasiewicz i Jerzy Jarzębski: *O „Nowoczesności”
Jerzego Świącha* / 98

PRZEKROJE

Pueci, poeci...

Anna Mazurek: *Pięro z ognia* [Janusz Szuber: „Czerzeż”]; Jarosław Cymerman: *Poeta „pionowych widzeń”* [Waldemar Michalski: „Tryptyk z gwiazdą. Wybór wierszy i przekładów”]; Michał Bukowski: *Poezja pytań* [Urszula Gierszon: „Ziarno ruty rzucam w ogień”]; Olga Nadskakula: *Niekończące się zdziwienie* [Krystyna Siolecka: „Deus Kosmateus”]; Wojciech Ligęza: *Na granicy snu* [Piotr Szewc: „Całkiem prywatnie”] / 108

Nie tylko analitycznie

Aleksander Madyda: *Religia jako afirmacja życia* [Wojciech Zalewski: „Religia w służbie Życia. Eseje humanistyczne”]; Lukasz Janicki: *Od Platona do komercji* [Bogdan Czaykowski, Adam Czermiawski: „O poezji, nostalgii, krytykach i kryteriach”]; Waclaw Sadkowski: *Zamiast epitafium* [„Podróż z Ryszardem Kapuścińskim. Opowieści trzynastu tłumaczy”]; Dariusz Pachocki: *Redaktor potrzebny od zaraz!* [Marek Badtke: „Stachura alias Sted”]; Paweł Nowak: *Świat komunikacji medialnej* [„Słownik terminologii medialnej”]; Jarosław Cymerman: *Iwaniuk zawsze był „na walizkach”* [„Podróż w głąb pamięci. O Waclawie Iwaniu. Szkice-wspomnienia-wiersze”] / 124

TEATR

Eliza Leszczyńska-Pieniak: *Szekspir w zamojskich plenerach / 138*

PRZENIKANIA

Abp Józef Życiński: *Ludzkie drogi Kościoła / 145*

BEZ TYTUŁU

Leszek Mądzik: *Kapuściński / 148*

MEDIA

Maciej Białas: *Sto lat niech żyje nam. Drugie urodziny TVP Kultura / 150*

SZTUKA SŁUCHANIA

Magdalena Jankowska: *Świat prze(d)stawiony / 159*

BARADOWIE

Marek Andrzejewski: *piosenki / 163*

PODRÓŻE

Stefania i Waldemar Michalscy: *Polesia czar, czyli kajakiem po Prypeci i Stochodzie / 169*

NOTY

Bożena Rejakowa: *Ondrzej znany jako Andy / 176*

Noty o autorach / 179

ELŻBIETA WICHA-WAUBEN

Rembrandt: „Trzej pieśniarze: zmysł słuchu”, ok. 1625, kolekcja prywatna, widziany w Hadze w Mauritshuis w 1995

gdyby przedostatni syn
Harmena i Neeltgen z Lejdy
padł ofiarą zarazy
w 1625 roku
obraz otrzymałby od historyków sztuki
pogardliwe znamię
„malarz nieznany”

w niczyjej pamięci
nie przechowałoby go
przelotne spojrzenie

teraz
wszystko
co wydarzyło się
potem
zmusza do uwagi

dwaj mężczyźni
swą przykiadnością
mocno osadzeni
w miejscu i czasie
ledwie dopuszczają do głosu
młodzieńca
z drugiego planu
który niepewny
nowych kształtów
swojego ciała
nie czuje jeszcze gruntu pod stopami

jego twarz
ależ tak
jest nieporadną
pierwszą wersją
arzydziel
położoną niedoświadczoną ręką
początkującego artysty

to nie technika
lecz zuchwalość zamysłu
zdradziła
geniusza

oto odkrywam nieznany autoportret Rembrandta

Rembrandt: „Studium głowy Chrystusa”, ok. 1645-1655,
Gemäldegalerie, Berlin

Rembrandt: „Chrystus”, ok. 1645-1655, Museum Bredius,
Haga

musiała być
kimś więcej
niż tylko dziewczyną do posług
skoro zabrano ją
na tak daleką wyprawę
i troskliwie pielęgnowano
podczas paroty godniowego rejsu
z Gdańska do Amsterdamu
gdy była przekonana
że umiera

o własnych siłach zeszła na ląd
w wielobarwny tłum
będę żyć
pomyślała
wymarłymi słowami z połowy XVII wieku
zdarzył się cud
ukazał mi się Chrystus

lecz to ulicą
w stronę dzielnicy żydowskiej
przeszedł
młodzieniec
którego wkrótce wypatrzy
wprawne oko Rembrandta

Meindert Hobbema: „Droga do Middelbarnis”, 1689
National Gallery, Londyn

daleko od Middelbarnis
pod Antwerpią
zobaczyła podobnie ścięte topole
o których myślała
że istnieją tylko
w jej wspomnieniu

ten moment
gdy zatrzymał się na rozstaju
jakby ponownie chciał wkroczyć
na drogę jej życia

lecz wybór już nastąpił
na zawsze
choć nie tam i nie wtedy

zeszła mu z drogi
w swoje życie
z jednego brzegu na drugi
on pewnie podążył przed siebie
strzepując piasek z butów
gdy noga mu wpadła w koleiny
świat nie dal po sobie poznać
że był świadkiem dramatu

Johannes Vermeer: „Uliczka”, 1658
Rijksmuseum, Amsterdam

to nie ludzie nieważni i niefortunni
mieszkają w tej kamieniczce
którą na planie miasta



Peter de Johannes Vermeer, Uliczka. 1658. Rijksmuseum, Amsterdam

przedstawia jej dokładna miniaturka
to protegowani kalwińskiego Boga
szczycą się takim dostatkami

to nie życie przeciętne i niepozorne
toczy się na tej uliczce
której kalwiński Bóg strzeże
przed doznaniem nudy
to życie dostojne i dumne
opływa takim dostatkami

to tylko przybłęda znikąd
ohcy
artysta
zlekceważy symetrię
przechyli szalę
dojrzy prawdę
jaka nigdy nie istniała

*Przed obrazami Jana van Goyena (1596-1656)
Wystawa „Jan van Goyen”, Stedelijk Museum de Lakenhal,
Lejda, 12.12.1996-13.1.1997*

przeraziłaby się
gdyby zobaczyła siebie z tej perspektywy:
nicwyrażna sylwetka
ginąca
w ograniczoności barw

pod ogromnym niebem
w kolorze rozpalonych drewn
przyslanęła na szczycie wydmy
przysłuchując się pogawędce męża z podróżnymi

skulona usadowiła się
na ostamiej ławce łodzi
płynącej po wodzie
koloru płomienia

nawet łódź ma kolor żarzącego się popiołu

wróci do chaty
gdzie wszystko trzeba robić
własnymi rękoma
jej wymęczone ciało
na pewno
nie chce
żyć wiecznie

śmierć
jest tylko przeprawą
z jednego brzegu na drugi
a niebo
dalekim
nigdy niewidzianym światem
którego wysłannikami byli
trzej wędrowcy
spotkani na wydmach

*Pieter de Hooch: „Domek na wsi”, 1663-1665,
Rijksmuseum Amsterdam*

nawet długi opisowy tytuł
ją pomija:



Pieter de Hooch. *Domek na wsi*, 1663-1665, Rijksmuseum, Amsterdam

„Młoda para siedząca przy stole w ogrodzie i stojąca obok kobieta”
ponieważ
nie bierze udziału w transakcji
jaka ma miejsce za jej plecami

jej
która wyszła ze scen z pijanymi żołnierzami
nikt nie obiecuje bogatszej scenarii

pozostanie niezauważalna
tam gdzie jest

lecz nagle uświadamia sobie
że nikogo nigdy nie rozczulą
cztery białe falbanki
u dołu jej skromno-niebieskiej sukni
że nikt nigdy nie będzie chciał wiedzieć
jak wygląda bez białego czepeczka
nagle uświadamia sobie
że nikt nigdy nie będzie ciekaw
co myśli
gdy rozkłada na blachu białe płótna
gdy szoruje miedziany kocioł

tak zatrzyma ten moment jej pamięć:
świat
pozbawiony niepotrzebnych szczegółów
wystawiający na pokaz tylko to
co godne zazdrości
zastyga w miedzianym świetle

i jest to jak śmierć

*Jan Steen: „Para w sypialni”, ok. 1671,
Museum Brechtus, Haga*

ta dziewczyna
która na innym obrazie
– ku ucieście ogółu –
umarła z prawdziwej miłości
nic nie zrozumie z tej sceny
wyjętej z drugiego planu:
kobieta i mężczyzna
w łóżu
przesiąkniętym jeszcze
wilgocią i zapachem nocy
w jednej sekundzie
porozumiewawczego uśmiechu
postanawiają wrócić do cielesnych rozkoszy

nie zrozumie
że mężczyzna kupuje coś więcej
niż jedną noc
że kobieta otrzymuje więcej
niż parę pończoch

dopiero po latach
gdy przestanie znać różnicę
między doświadczoną i rozczarowaną
zrozumie
że wschodnie kobierce, futra, atłasy i jedwabie
odgrywały kluczową rolę

dopiero wtedy zrozumie
dlaczego na innym obrazie
umarła z nieszczęśliwej miłości

*Jan Miense Molenaer: „Właścniacy przed gospodą. Alegoria
zmysłów”, ok. 1633-1634, Muzeum Fransa Halsa, Haarlem*

na ścianach mieszczańskiego domu
powiesili go sobie ci
których ten obraz miał śmieszyć –
– jakby cielesność ich nie dotyczyła

jakby ich początek nie leżał
w bezwstydnym spojrzeniu
jakby żądza
wzmrożona nieczystym zapachem



*Jan Miense Molenaer: „Właścniacy przed gospodą. Alegoria zmysłów”, ok. 1633-1634,
Muzeum Fransa Halsa, Haarlem*

nie doprowadzila
do zakazanego dotyku
z którego się poczęli
jakby westchnienie
po spełnieniu grzesznego aktu
nie było westchnieniem ulgi
jak po opróżnieniu
jakby nie wszystko
czego zasmakowali
zamieniało się w smród i gnój

jakby ich ciała
nie były zdane na skażenie
na zgnicie
lecz przeznaczone
do chwały wieczno-niebieskiej*

jakby myśleli:
nie, to nas nie dotyczy
ten krótki moment zbytecznej cielesności

*Jacobus Victors: „Kot i kogut”
Muzeum Książąt Czartoryskich, Kraków*

kot szarobury i kogut
gotowi do ataku
w momencie
gdy ktoś spoza obrazu
czyni gest
i wypowiada słowa
które wtedy i tam
znaczyły:
„uciekaj!”

kot dał się wziąć na kolana
i głaskałam ciepłą sierść
a w mojej głowie
pojęcia „zawsze” i „oczywiście”
zlewały się w jedno

czasami
kiedy mój kot szarobury
siedzi na poduszce
zrobionej z zapaski mojej prababki
kiedy go głaszczę
a w mojej głowie
pojęcie „głaskać kota”

*1 Według ankiety „Kot i kogut” mezzosgo malarza (ok. 1630-1680) w kościele Augustynów w Krakowie: „Czasami Bole i stonczony / W ciele zlanym na / skażenie / Czemu wtedy dhaż / o zbranie / W chwale wieczno / niebieskiej?”

definiuje się jako:
„uchylać się od obowiązków bez wyrzutów sumienia”
czasami
wraca do mnie tamten czas

czas
gdy wszyscy jeszcze żyli
i gdy pojęcie „zmiana”
nie zawierało w sobie „utrąty”

*Gerard ter Borch: „Gesina pisząca list”, ok. 1655.
Mauritsbuis, Haga*

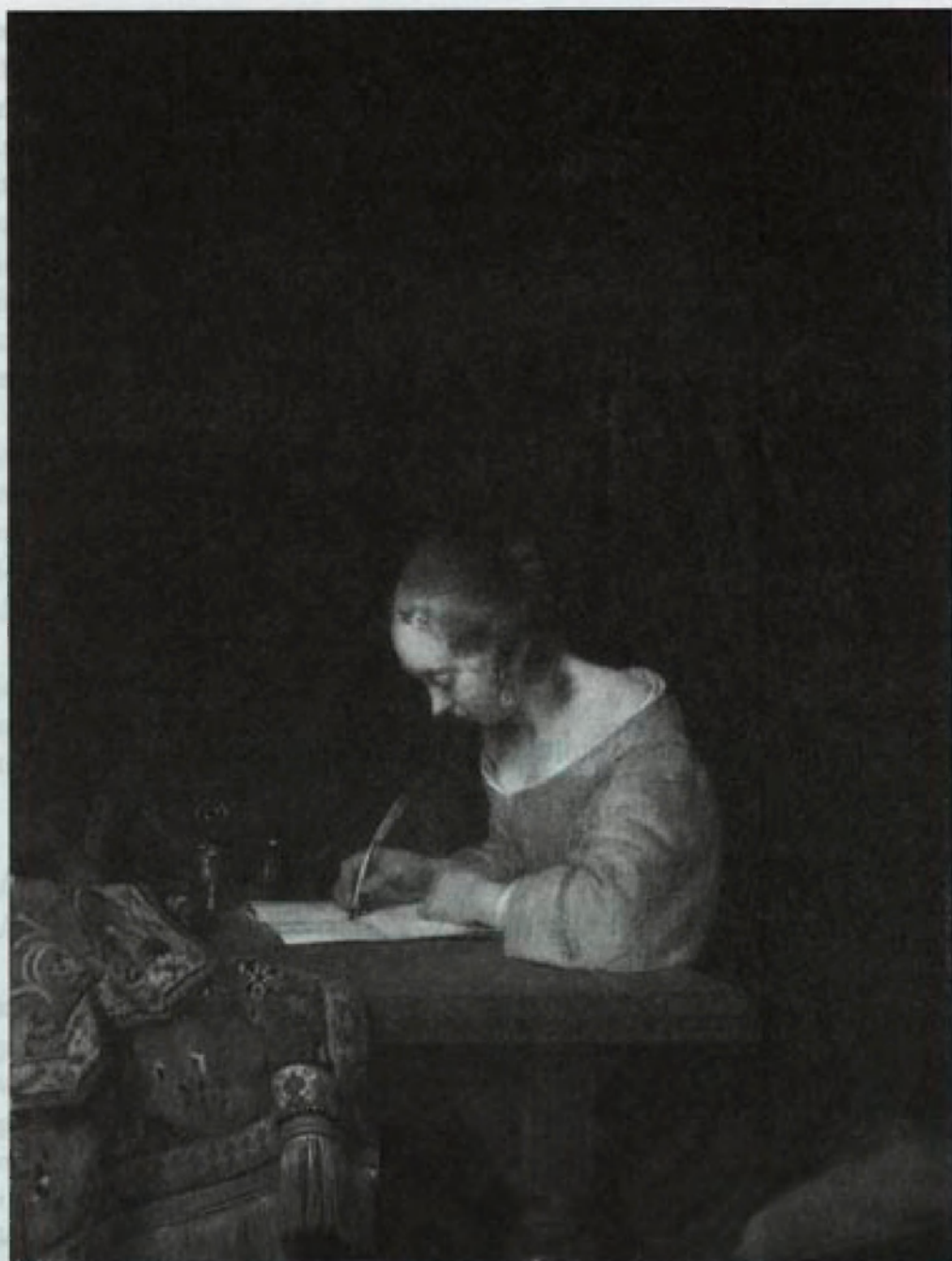
rozszczepim się na listy

zamaszystym ruchem
przesuwa na drugi koniec stołu
wschodni kobierzec
na dębowym blacie
kładzie przybory do pisania
papier
siada
poprawia loki
gładzi perłowy kołczyk
a wszystko to na pokaz
acz na niewielką skalę

jest ze światem w relacji
o wiele głębszej
niż świat z nią

jej głowa pęka
od wymyślonych scen
od „ciągów dalszych”
rozmów bez znaczenia
od dośzukiwania się znaczeń
w nie nieznaczającym spojrzeniu
od nigdy nieuczynionych gestów –
wyciągnięcia ręki i dotknięcia jego włosów
gdy schylony sznuruje jej pantofelek –
– pragnienie to ją unicestwia –
odwraca wzrok
nikt niczego nie zauważył
nikt nie podejrzewa
że w jej głowie
grasuje śmierć

rozszczepia się na wiersze



Gerard ter Borch, *Gesina pisząca list*, ok. 1655, Mauritshuis, Haga.
Gesina ter Borch. Akwarele i rysunki w zbiorach Gabinetu Sztuków,
Rijksmuseum, Amsterdam

Pieter de Hooch: „Dama z dwoma mężczyznami przy stole i służcą”¹⁾, ok. 1658, National Gallery, Londyn

jeśli spuszcza oczy i na niego nie patrzy
jeśli go nie widzi
nie posiada żadnego dowodu na jego istnienie
oprócz tej szalonej konstrukcji
w swej głowie
z której wysnuwa przekonanie:
że czasami zapatrzony w dal
wyobraża ją sobie
jak staje w drzwiach

¹⁾ Postać służącej jest miejscem parzeczysta, jakby świadkiem.

jak powoli ze spuszczonej oczyma
zbliża się do niego

jej tęsknota
i wynysłona przez nią jego tęsknota
zatkną się tylko na tej płaszczyźnie

Wergiliusz pod Somosierra

Aert van der Neer: „Widok rzeki w świetle księżyca”
Muzeum Morskie, Amsterdam

przez cały dzień
świat ni ziębił go ni grzał
równie dobrze mógłby nie istnieć
nie drgnęło mu serce
na żaden widok, odgłos, zapach ani dotyk
ani razu strach i upokorzenie
nie przywróciły go życiu na śmierć
równie dobrze mógłby nie istnieć

dopiero wieczorem możliwy stał się cud
gdy ciemność chroniła go jak naiwność
świat skurczył się do wielkości
holowanej przez konia barki
zwierzę zarżało tylko dla niego
gdy wchodził na łódź

pusta skorupa świata
znowu wypełniła się hulem
wszystko wróciło na swoje miejsce
posłuszny koń czynił swą powinność
wielcy panowie w kapeluszach troszczyli się o interesy
głosy na łodzi i zapachy wilgoci
splotły się w jedno kojące wspomnienie
a nierzeczywiste światło księżyca
zadręgało w wodzie
jakby zobaczone przez lzy

Aert van der Neer: „Krajobraz w świetle księżyca”,
ok. 1645-1650, Mauritshuis, Haga (nr inv. 682)

nigdy nie patrzyła razem z nim
na księżyc
nigdy nawet z nim
o księżycu nie rozmawiała
zawsze jednak
gdy widzi księżyc w pełni
myśli o nim

tylę że ostatnio
o czymkolwiek by pomyślała
kończy się to zawsze
myślą o nim

Elżbieta Wicha-Wauben

Serdecznie dziękujemy Rijksmuseum w Amsterdamie i Muzeum Fransa Halsa w Haarlemie za zgodę na wyjątkowe nieodpłatne wykorzystanie reprodukcji.

Książki nadesłane

Poezja

Tatry i poeci. *Antologia wierszy*. Wybrał i opracował Michał Jagiełło. Biblioteka Narodowa, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2007, ss. 540.

Vratislav Effenberger: *Polowanie na czarnego rękina. Wiersze i pseudoscenariusze 1940-1986*. Postłowie Leszek Engelking. Oficyna Wydawnicza ATUT, Wrocław 2007, ss. 255.

Elżbieta Wicha-Wauben: *Schijnbare werkelijkheid. Polderminiaturen*. De Trekschuit, Almere 2006, ss. 61.

Kazimierz Brakoniecki: *Warmiński Budda. Ernüdtändischer Buddha*. Tłumaczenie z języka polskiego Winfried Lipscher. Wydawnictwo BORUSSIA, Olsztyn 2007, ss. 203.

Kazimierz Brakoniecki: *Europa minor*. Wydawnictwo Książkowe IBIS, Warszawa 2007, ss. 95.

Kazimierz Hoffman: *A-dir*. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2007, ss. 56.

Ryszard Będkowski: *Gurkie jezioro*. Wydawca „Tygiel Kultury”, Łódź 2006, ss. 66.

Stanisław Fornal: *Spod pół-wiecznego pióra 1956-2006*. Wydawnictwo Radia Kielce, Lublin 2006, ss. 127.

Gabriela Jaworska: *Czas budowania*. Wstęp Krzysztof Guzowski. Wydawnictwo Bestprint, Lublin 2006, ss. 48.

Aneta Kielan: *Wariant na życie*. Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 2007, ss. 63.

Michał Kowalówka: *Elementarz*. Postłowie Anna Kajtochowa. Towarzystwo Słowaków w Polsce, Kraków 2006, ss. 57.

Agnieszka Kotoja: *tworki pisze się z malej litery*. Śródmiejski Ośrodek Kultury, Kraków 2007, ss. 110.

Adam Lizakowski: *Dzieci Gór Sawich*. Wybór i słowo wstępne Beata Hełoda-Sołogub. Wydawnictwo Studio Edytor, MOK, Dzierżniów 2007, ss. 208.

Sławomir Mateusz: *Cycek baży*. Wydawnictwo „Opcjon”, Gliwice 2006, ss. 47.

Piotr Mitzner: *Podmiot domyślny*. Dom Wydawniczy TCHEU, Warszawa 2007, ss. 95.

Jacek Napiórkowski: *Głupota krajabratu*. „Nowa Okolica Poetów”, Rzeszów 2006, ss. 63.

Ewa Bordzań: *Poszukiwanie zmierechu*. Bilgorajskie Towarzystwo Literackie, Bilgoraj 2006, ss. 39.

ŁUKASZ MARCIŃCZAK

Wergiliusz pod Somosierrą

Niezwykły świat lubelskich nekropolii

Wchodzę w mrok zapleśniaby starych ulic, archeolog przeddziejowych czasów. Noc rozkłada ramiona jakby cnciata utulić zwiędle litkie martwego szabasu. Dłoni wyciągam, długo szukam: – gdzie kirku? (Józef Łobodowski, *Ballada lubelska*). Kilka lat temu, spacerując po Lublinie, dolałem w sielankowe okolice dworku Wincentego Poja. Bez wyraźnego powodu zagłębiłem się w brukowaną kocimi łbami, wąską uliczkę. Po lewej ręce miałem chałtucznie nmrzucone parterowe domki z opłotkami, po prawej zaś krzepki, spłowiwały mur przypominający obronny bastion, wzdłuż którego uliczka zakręcała i wila się jakby do niego przyrośnięta. Czułem narastające zaciekawienie, bo mur nie był podobny do żadnego innego. Wysoki na dobre cztery metry, skonstruowany dziwacznie, częściowo z nieociosanych kamieni, częściowo z cegieł różniących się wymiarnie od siebie, bo jedne były grube, nudawe jak stare cegły gotyckie, inne zrówniejsze i czerwonawe.

Uliczka była senna, a mur zdawał się nie mieć końca. Zniecierpliwiony i palony ciekawością zdecydowałem się na jedną z tych śmiałych przygód, będących przywilejem bardzo wczesnej młodości, które prawie zawsze zaczynają się od forsowania murów broniących miejsc zakazanych i kuszących. Znalazłem się w niewiarygodnie splątanej gęstwinie i posuwając się krok za krokiem czymś co ledwie przypominało wąską ścieżynę, wyszedłem naraz na rodzaj polany. Stała tam trwożliwie zbity w ciasne stadko grupa ludzi w dziwacznych strojach, a przed nią brodaty olbrzym monotonnym głosem, zdawało się, wyrażał jakiś ogromny żal komś niewidzialnemu.

Od owego dnia wiedziałem, że wysoki mur zasiania przed oczami ciekawskich żydowski cmentarz, jeden z najstarszych na ziemiach polskich, ismiejący tu już w wieku XV. Nie bez zdumienia dowiadywałem się z czasem, że tutejsza gmina żydowska w najpłodniejszych dla Lublina stuleciach XVI i XVII dominowała intelektualnie w całej Rzeczypospolitej, godnych siebie rywali znajdując tylko w stołecznym Krakowie i we Lwowie. To zażdrośnie przed światem strzeżone miejsce, teraz porośnięte gęsto drzewami i chyba zapomniane nawet przez Boga, okazało się panteonem przykrytym nietrwałą kopułą nieba. Pomiędzy drzewami nietrudno było jednak odnaleźć grobowce, w których pogrzebano najwybitniejszych żydowskich uczonych renesansowego Lublina. Sława ich bez wątpienia równa była tej, jaką cieszyli się najgłośniejsi mentorzy w przeżywających naówczas rozkwit uniwersytetach europejskich, ale zdaje się, że była znacznie większa.

Jeśli Lublin zaczął być żydowskim Atenami (choć oczywiście częściej nazywano go Jerozolimą Królestwa Polskiego), to stało się to za sprawą Szaloma Szachny, syna lubelskiego bogacza Joska. Studia rabiniczne odbył Szachna w podkrakowskim Kazimierzu, u stóp sławnego rabina Jakuba Polaka z Pragi, ucznia Jakuba Marguliesa z Ratyzbony. A po powrocie do rodzinnego grodu w pierwszej ćwierci wieku XVI założył szkołę, dzięki której po latach przyłgnie też do Lublina miano „Żydowskiego Oxfordu”. Wymowność i uczoność Szachny szybko przekroczyła granice ówczesnej Rzeczypospolitej, a do Lublina z całej Europy zjeżdżać zaczęli – mijając być może nu popasach udającego się wtedy w przeciwnym kierunku, do

Padwy, Jana Kochanowskiego – żądni prawdziwej mądrości żydowski młodzieńcy. Jego najwybitniejszym uczniem (w Krakowie utrzymują, że przeniósł mistrza) był Mojżesz Isserles, późniejszy rabin Krakowa, piastujący godność rektora tamiejszej jesziwy, przede wszystkim jednak kontynuator egzegezy rozwijanej w Lublinie. Mówiąc nawiasem, Isserles nazywany jest w źródłach żydowskich „najwybitniejszym talmudystą”, choć Szachna określany jest tam jako „ojciec nauki rabinicznej”. W każdym bądź razie powaga Lublina jako ośrodka żydowskich studiów na kolejne stulecia ugruntowana została jego autorytetem, a kamień na jego grobie dla żydowskich pielgrzymów nadal jest relikwiarzem, na którym kładą dłonie z zachwytem i dziwną czułością.

Nie ma właściwie żadnych ikonograficznych źródeł, gdzie moglibyśmy zobaczyć uczonego polskiego Żyda, który byłby współczesny Szachnie. Bardzo znany i piękny portret rabina ukazuje XIX-wieczny obraz Izydora Kaufmana. Czy tak właśnie oczom swoich uczniów przedstawiał się pierwszy znany w świecie rabin Lublina? Na pewno tak samo jak rabin przedstawiony na obrazie, jak przystało na mędrca, nosił brodę. Czy nosił też czapę z lisią opuszką lub obszty futrem kapelusz, czy może raczej rodzaj sztywnego szerokiego beretu? Z całą pewnością pod spodem, na czubek głowy, kładł wyszywaną jartmulkę. Nie może też być wątpliwości, że tak jak rabin na obrazie Kaufmana narzucał na ramiona biały szal z czarnymi pasami zwany taletsem, bez którego od najdawniejszych czasów żaden pobożny Żyd nie mógł się obyć podczas modlitwy. Prawie pewne jest też, że obyczajem wszystkich Żydów paradował w trzewiakach i czarnych pończochach, ale już zagadką pozostaje, czy – jak to pokazuje drzeworyt z początku wieku XVII – zwykł spowijać szyję w odbijającą od ciemnego stroju zębatą kryzę. Trudno również powiedzieć, czy na ulicach Lublina widywany był w giernaku – długim kaftanie z włochatym kołnierzem zapinanym na guzy lub srebrne haftki? A może miał na sobie sajan – faldzisty kaftan bez rękawów, z dużym kwadratowym dekoltem i wstawianymi ramionami, noszony w Polsce w XVI stuleciu za modą włoską? Spędziwszy parę lat niedaleko od centrum renesansowego Krakowa, ten z pewnością zamożny rabin mógł równie dobrze – dlaczego nie? – nosić się z polską i przynajmniej niekiedy wkładać niezwykle wtedy popularną, zwłaszcza wśród szlachty, delię z aksamitu albo jedwabiu z opadającym aż na plecy kołnierzem z futra. Jak wyglądał pierwszy z długiego szeregu żydowski uczonego Lublina? Nigdy się tego nie dowiemy – przecież i Lublin, na który patrzył, nie istnieje. Dwie, może trzy budowle w całym mieście zachowały kształt, jaki miały wtedy, kiedy Szalom Szachna nauczał gdzieś w okolicach lubelskiego zamku. Jak osadzić go w czasie, czy na obrzeżach renesansowego Lublina, czy w jego centrum?

W listach z królewskiej kancelarii Szachna nazywany jest niezmiennie „Doctor Judaeorum Lublinensis”, a Jagiellonowie nie skąpią mu przywilejów na dowód jego uczoneści. Dziesięć pierwszych lat rządów Zygmunta Augusta to jednocześnie ostatnie dziesięć lat życia Szachny. Nie było chyba wtedy na ziemiach koronnych żydowskiego uczonego tego formatu, a ostatni monarcha z krwi Jagiellońskiej odebrał na Wawelu wykształcenie podług najlepszych wzorców epoki, kiedy to nauka żydowska była interesująca dla elit chrześcijańskich, a znajomość hebrajskiego stanowiła kanon renesansowego wykształcenia nawet w Akademii Krakowskiej. Tuż po śmierci Szachny młody król nadaje żydowskim drukarzom cenny przywilej legalizujący działalność pierwszych drukarni w Lublinie. Niewykluczone też, że pamięć o wielkim lubelskim rabbim skłoniła ostatniego Jagiellona do wydania oficjalnego dekretu zezwalającego na utworzenie tutaj w r. 1567 pierwszej na ziemiach polskich jesziwy, czyli akademii talmudycznej, którą z powodzeniem można nazwać żydowskim uniwersyteciem. Byłyby to oznaki królewskiej łaskawości dla uczonego miasta czy szacunku

dla jego mędrca? Kto wie, czy nie było jakiejś płynącej z zainteresowania nieci sympatii między królem-erudytą, ceniącym ludzi wykształconych, a przy tym posiadaczem najobfitszego księgozbioru w Rzeczypospolitej, a najuczestszym Żydem Lublina. To oczywiście spekulacje, ale miła dla ucha jest supozycja, że ci dwaj ludzie, miłośnicy mądrości, mogli z daleka darzyć się szacunkiem. Gesy takie bardzo pasowałyby do Zygmunta Augusta, a i Szachna nie był typem rabina ograniczającego się do Tory i komentarzy. Grunt to jednak niepewny, lepiej posłuchać, co mówią kamienie na tym cmentarzu.

Szalom Szachna umiera w Lublinie w r. 1558, a w zachowanej inskrypcji na jego grobie znajdziemy zagadkowe zdanie – *Wszyscy mieszkańcy ziemi z ust jego żyją i wodę jego piją*¹. Napisano tam także – *Powiedzcie: w grobie tym miejsce mądrości pogrzebanej, u świat popadł w ślepotę. Z całą pewnością nie było dotąd w Lublinie człowieka, którego znajomość Tory byłaby większa, a sława sięgała równie daleko. Czy jednak nie ma tu właściwej w ogóle sztuce sepulkranej przesady, czy kamieniarze, którym ten tekst podyktowano, rozumieli jego sens zupełnie inaczej niż my, odczytujący go po przetoczeniu się czterystu z górą lat? Ta XVI-wieczna stela z inskrypcją w języku hebrajskim to wszystko co pozostało po wielkim talmudycie i dotyka się jej z niedowierzaniem, jak księgę, którą na wieki zatrzasknięto. Na okładce tej książki wyryto napis: *Oświecający i nauczyciel, przewodniczący sądu Izraela, mędrzec nad mędrcami, nasz nauczyciel i mistrz, pan rabin Szalom zwany Szachną (...) został przyłączony do swoich przodków w piątek, nów miesiąca kislew, 319 szóstego tysiąca od stworzenia świata. Niech będzie dusza jego związana w woreczku żywych z duszami sprawiedliwych, które są w Ogrodzie Rajskim: amen.**

Dziewięć lat później w Lublinie pojawia się Salomon Luria, sprowadzony tu z Ostroga, gdzie był rabinem, by objąć stanowisko rektora utrzymywanej przez gminę jesziwy, której nie byłoby w Lublinie, gdyby Szachna nie uczynił tego miejsca znanym w całej Europie. Jego grób stoi niedaleko od grobu Szachny, blisko, ale jednak w pewnym oddaleniu. Nigdy nie znaleźli się razem w tym samym miejscu, a rozmowa między tymi największymi żydowskimi uczonymi Lublina zawsze odbywała się przez pośredników. Tajemnicę Tory Szachna poszukiwał metodą opartą na skomplikowanej dialektyce zwaną pilpulem, pokrewną średniowiecznej scholastyce, gdzie nie wahało się nawet – jak w średniowiecznej filozofii chrześcijańskiej – odwoływać do autorytetu mędrców pogańskich. Nie może być wątpliwości, że wielce uczony przybysz z Ostroga takich dociekań nie akceptował. Znany żydowski historyk Majer Bałaban przytacza list, gdzie Luria atakuje Isserlesa, najznakomitszego wychowanka Szachny i kontynuatora jego metody egzegetycznej, kierując żądło swej krytyki również w aktualnego rabina Lublina, syna Szachny Izraela, a pośrednio przecież także w ojca lubelskiej odmiany talmudyzmu. Pisze Luria: *Tora okrywa się żalobą, bowiem odeszli od niej jej synowie i córki... Zwróciłeś się do mądrości Arystotelesa, nieobrzezanego! Biada mi, że moje oczy to widziały a moje uszy słyszały... Zobaczyłem też w modlitewnikach Twych uczniów modlitwy Arystotelesa! Jest to hańba dla ich księcia, to znaczy Ciebie, który widzisz to i milczysz! Takie były spory w żydowskim mieście w Lublinie w XVI stuleciu – tym samym, kiedy w mieście chrześcijańskim o znaczenie religijnych dogmatów spierali się arianie z jezuitami w słowach mniej zazwyczaj oględnych.*

Stela na grobie Lurii jest bardzo zniszczona, ale napis odtworzono korzystając ze starych odpisów – przeczytajmy: *Tu spoczywa mocarz nad mocarzami, król nad wszystkim mędrkami wzniosły, Synaj i wyrrywający góry, światłość wielka, która oświeciła Izraela na wszystkie pokolenia swoją*

¹ Transkrypcje inskrypcji hebrajskich za: Andrzej Trzeciński, Jan Paweł Winiarczyk, Marek Włodarczyk, *Zwój w Lublinie*, t. II, Wydawnictwo UMCS, Lublin 1998, ss. 41–413.

księgą „Morze Salomona” i innymi objaśnieniami. Imię jego znane jest na końcu świata we wszystkich bramach. Krzewił Torę i mnożył uczniów (...) dnia 12 kisiew roku [1573] spadła korona głów naszych i zgasła lampa... Podobno Luria zapoczątkował w Lublinie odwrót od żydowskiej scholastyki i więcej tu Arystotelesa nie przywoływano. Tak przemija chwała świata, wielkie teorie upadają jak królestwa, mędrca zastępuje mędrzec a księga księgę. Niewykluczone, iż na tym cmentarzu jest także miejsce, gdzie uroczyście pogrzebano niejedną świętą tekst. W r. 1623 wydrukowano w Lublinie (poza Lublinem pełne wydanie ukazało się tylko w Manui) najważniejszy żydowski traktat mistyczny, zwany *Księgą białą* (hebr. *Zohar*). To dzieło ezoteryczne, chyba najbardziej ekskluzywne w całym żydowskim piśmiennictwie, ukazujące głębszy sens Tory a liczące sobie 2400 stron, z pewnością było dziełem dla wybranych. Ale skoro zostało tu wydane, to musiało mieć w Lublinie admiratorów. Egzemplarz tej książki był zapewne w posiadaniu człowieka, którego już za życia zwano „Widzącym”, a który zjawi się w Lublinie prawie dwa stulecia później i zostanie tu pochowany. Być może niedaleko od miejsca, gdzie spoczywa biblia żydowskiej kabalistyki, bo w kulturze żydowskiej w ziemi – tak jak ludzi – grzebano zniszczone stronicie świętych ksiąg.

Stare nagrobki na żydowskim cmentarzu najlepiej oglądać późną jesienią. Wcześniej miejsce to ginie w odmętach bujnej i zażartej roślinności, jakby poddane jakiejś nadnaturalnej zachłanności pnączy i ostrokrzewów. Jesienią, w złotym piasku liści, stare kamienie wygrzewają się w słońcu. Pionowe, bogato dekorowane płyty pokryte są maczkami hebrajskich znaków, zastrzeżonych dla tekstu rytego w kamieniu i zawierających słowo boże werselów. Metaforyka tych wyciętych w kamieniu epitafiów ujawnia zupełnie wyjątkowy szacunek, jakim ci ludzie – których przeznaczeniem od początku świata była wżgarda i nieskończona cierpliwość – otaczali najwieniejszych ze swoich synów. Poświadczą też, jak wielkie znaczenie przypisywali najznamienitszym. Na stelach słynnych lubelskich rabinów inskrypcje mówią: *źródło rozumu i głębia wiedzy, filar świata, lampa cała ze złota, lew boży*, etc.

Nie brak i szczególnej poczty – Efraim Zulman Szor (pogrzebany tu w r. 1633) *rektor jeshiwy świętej gminy Lublin (...), Aniołowie... wyciągnęli rękę swą na męża Bożego i zabrali (...), i smierć jego przeblaga za nas i obróci się w radość naszą żaloba, i pośle nam Efraim naszego Mesjasza sprawiedliwego. Amen.* Jeszcze inny rektor jeshiwy (Ezechiel) *wzniósł się i został uniesiony do jeshiwy niebieskiej w r. 1643.* Na innym nagrobku możemy przeczytać: *W roku [1616] ... Lew wkracza do gnułu bohaterów (...), Za życia swego był światłem dla prawych, trudził się nad Torą, zanurzony w wodach potężnych (...), Przystą drogą pasterz Izraela prowadził stadła jak trzodę.* Znajdujemy też tekst, w którym pobrznięwa echo głośnego procesu o tzw. mord rytualny, jaki wytorozono kilku mieszkańcom żydowskiego miasta. Macewa jednego z nich zachowała się do dziś – *I był dręczony, i wyrwano mu język, i został rozciągnięty na drabinie, i w próbie milczał, wiemy gminie: (...) Przesłuchiwany i wyszydzony, bity i męczony rozżarzoną żelazem i między złoczyńców został policzony (...) uczone Nachman, syn uczonego Jozuego Jakuba, męczennik w roku [1636].*

W wieku XVIII pojawiają się na tym cmentarzu stele bogato dekorowane motywami symbolicznymi – lwy, niedźwiedzie, jednorożce, szafy na rodaly i korony, dłonie z dzbanem, dłonie w geście błogosławieństwa, dłonie zapalające świece, dłonie wrzucające datek dla ubogich do świątynnej skarbonki... Symbolika pełnionych funkcji, metafora cnót doczesnych, emblematyka rodów. Ale nie ma twarzy, więc jakby nie było ludzi. W pracy Balabana można jeszcze znaleźć rysunek zupełnie niezwykłego na żydowskim cmentarzu grobowca, wyobrażającego Artemis z łukiem. Tak ozdobiło

miejsce spoczynku zmarłego w Lublinie w r. 1762 marszałka żydowskiego Sejmu Czterech Ziem Abrahama Heilperna, który był powinowatym wywodzącego się ze Lwowa lekarza Izaaka Fortisa, znawcy Nowego Testamentu i pism Ojców Kościoła. Dziwne, pełne tajemnic miejsce, gdzie tradycja żydowska ciągle potrąca o motywy, jakich nie zwykliśmy z nią kojarzyć. Zresztą bladeść rzeźbionego kamienia jest tu tak samo fałszywa, jak nieprawdziwa jest na Akropolu. Tak zwany marmur kielecki, z którego wykonano większość najstarszych macew na tym cmentarzu, był kiedyś bogato polichromowany, we wgłębieniach liter jeszcze pozostały resztki cynobru i czerwieni, czerni i srebra. Deszcze i słońce wytarły kolory tak samo jak na kamieniach Erechtejonu.

Zostają słowa, ale sens ich z latami zaciera się coraz bardziej i jak trudno przywołać świat opisany przez Homera, tak samo trudno wyobrazić sobie tych żydowskich uczonych i uhlina. Gdzie dziś szukać śladów tych wielkich talmudystów, wziętych lekarzy, zapobiegliwych finansistów, o jakich z dumą mówią tutejsze kamienie. Gdzie podziały się irwalsze przecież niż



Na lubelskim kirkucie

człowiek metale i pergaminy, których ludzie ci dotykali, gdzie szukać dowodu, że istniał naprawdę rabin Maharam (jego imię nosiła w Lublinie synagoga Maharamszul) – *rydwan Izraela i jego woźnica*, powiada kamień. Co stało się z bogactwem spoczywającego nicopodał nadwornego faktora króla Zygmunta III i Władysława IV Cwi Hirsza? Czy przechowała się gdzieś smuga atramentu, poświadczająca pracowite życie pogrzebanych tutaj królewskich medyków – doktora Ezechiela, zwolnionego przez Aleksandra Jagiellończyka od wszystkich podatków w uznaniu *kunsztu medycznego i wielkiej znajomości łaciny*, czy wywodzącego się z Portugalii potomka lekarskiego rodu Mojżesza Montalto *lekarza specjalisty, syna gaonra, naszego nauczyciela pana Eliasza Montalto, który był lekarzem i doradcą króla Francji, zwanego XIII Ludwik?*

Bo przecież zasięgiem swojego oddziaływania przyémil ich wszystkich syn rabinu rodem z okolic Bilgoraja, o którego wykształceniu niewiele wiemy. Był rok mniej więcej 1780, gdy Jakub Lechak Horowicz, zwany „Widzącym”, postawił swą stopę w Lublinie. Przybył namaszczonej przez najwybitniejszego z cadyków osiadłych w Polsce, Elimelecha z Leżajska; namaszczenie polegało na tym, że w Leżajsku przezwano go „Widzącym”, odkrywając jego dar widzenia przyszłości i odgadywania przeszłości. „Widzący” niebawem poszedł własną drogą, stając się charyzmatycznym przywódcą zwalczanego przez ortodoksyjne środowiska rabinackie ruchu chasydzkiego. Liczba jego wyznawców rosła niepowstrzymanie i rabin Lublina, przez zapiekły opór wobec chasydów przezwany potem „Żelazną Głową”, na próżno starał się zatrzasnąć przed nim bramy żydowskiego miasta. „Widzącego” otaczała aura jakiejś szczególnej świętości, ale zawsze najbardziej przyciągały jego niezwykle – przenikające przyszłość – oczy. Znowu był w Lublinie człowiek, do którego pielgrzymowano – tym razem nie z zachodu, ale ze wschodu i południa, gdzie chasydyzm miał rzeszę zwolenników. Wyrósł wysoko ponad innych, ale wszystko, co o nim wiemy, jest dalece niepewne, spowite mgłą tajemnicy, jakby istota tego człowieka uchwycona mogła być jedynie okrężną drogą.

Nie wiemy nawet, jak „Widzący” wyglądał – czy był postawny, czy drobnej budowy, krępy i śniady jak chłop czy przezroczysty jak mistyk? Żaden z jego bardzo licznych wyznawców nie zadbał o to, by zachować potomności jego rysy czy charakterystyczny szczegół wyglądu. Martin Buber, zebrawszy rozproszone przekazy w swej sławnej książce *Gog i Magog*, twierdzi co prawda, że był wysoki, że zwykł kurzyć fajkę z morskiej pianki, dodając ponadto, że „Widzący” z Lublina był krótkowidzem. Czyż to nie dowód, że wszystko, co wiemy o tej postaci, utkane zostało z legend, z przypowieści, z odwróconych znaczeń, z paradoksów... Bo czy właśnie nie tak być powinno – czy ktoś, kto patrzy dalej niż wszyscy, nie powinien być oddzielony od rzeczy będących blisko, w zasięgu ręki? Czyż Tejrzejasz, największy wróżbita Grecji, nie był ślepcem?

W nauczaniu „Widzącego” droga ku Bogu nie wiodła wąską ścieżką werwetów, ale gościńcem niesłabnącego entuzjazmu, ponieważ to nie mądrość, ale radość jest najmiłszą Bogu formą modlitwy. I była w Lublinie radość żywiołowa, podsycana śpiewem i mocną wódką, a uczniowie „Widzącego” – ku zgorszeniu ortodoksyjnych współbraci – tańczyli ekstatycznie jak derwisze, jakby koniec świata był blisko, jakby godzina przybycia Mesjasza nadeszła, jak gdyby czas skurczył się do tej chwili... Mówiono, że był kabalista, z całą pewnością wierzył w to, że istnieje język, w którym historia nabiera właściwego sensu. Zwykł częściej niż inni przywoływać prorocstwo Ezechiela, iż Mesjasz nie pojawi się wcześniej, niż *plomień czarnego ognia przewali się nad siedemdziesięcioma ludami*. Pożar świata będzie dziełem człowieka, którego rękę powstrzyma dopiero Mesjasz. A człowiekiem tym miał być *mąż zwany Gogiem z kraju Magoga*. I „Widzący” tego człowieka

wypatrywał, czujny jak sokół zawieszony nad ziemią. Wydawać się mogło, że czeka na niego od zawsze – i w końcu się doczekał.

Człowieka tego nazywano Napoleonem, a przecież imię Apolljon znaczy po hebrajsku Abbadon, czyli zatracenie. „Mąż zwany Gogiem” miał wyjść z wysp sydońskich, a wszak Napoleon urodził się na Korsyce, wyspie w czasach biblijnych należącej do Fenicji. Proroctwo mówiło jeszcze, że Gog wyprawi się do Egiptu, i Napoleon wyruszył na jego podbój. Buber twierdzi, że dopiero gdy Korsykanin złamał opór papieża. „Widzący” powiedział: *To właśnie ten*. Ale jeśli zawierzyć źródłom Bubera, to już w r. 1793 „Widzący” zapowiadał, że niebawem Gog się ujawni. Aż trudno w to uwierzyć, bo choć Napoleon wslawił się wówczas zdobyciem Tulonu i jako 24-latek awansował na generała, był dopiero na samym początku swej drogi.

Jednak krótkowzroczne oczy „Widzącego” stałe już zwrócone były na Korsykanina. Od tej chwili jednocześnie z historią widzialną dokonywała się historia mistyczna, dla której wydarzenia rzeczywiste były tylko powierzchniową rzeczą. W Lublinie, na ulicy Szerokiej, w dolinie między zamkiem a kościołem św. Michała, niczym w dolinie Ezdrelon, ważyły się od-tąd losy świata.

Opowiada Buber za istniejącym ponoć notatnikiem bezpośredniego ucznia „Widzącego”, niejakiego Beniamina, że w roku wyprawy Napoleona do Egiptu „Widzący” zgromadził swych uczniów, kazał im stworzyć krąg wokół jakiejś wielkiej księgi (czyż możemy wątpić, że był to *Zohar*?) i skupić się na dziele, które musi być dokonane. Następnie wywołał obrządy bitwy toczonyj w dolinie Megiddo, pod górą Tabor. Jednak w pewnym momencie siły cadyka opuściły i obraz się rozwiął. Po kilku miesiącach dotarła do Lublina wieść o tym, że Napoleon zwyciężył pod Tabor, ale Egiptu zdobyć nie zdołał. Kolejna związana z Napoleonem informacja w notatniku Beniamina jest późniejsza o parę lat, dowiadujemy się, że w przededniu kampanii austriackiej „Widzący” pisał do swoich zwolenników: *czuwać musimy nad tym, bynie rozluźniła się gęstwina zdarzeń, lecz by stawała się, przeciwnie, coraz gęstsza (...) pozwólcie, byśmy zawarli sojusz dla tego wspólnego działania*. Lubelski cadyk na czele wiernych sobie chasydów włączył się w wojnę, aby podsycać plonień obejmujący coraz to nowe lądy. Niedaleka już zdawała się chwila, gdy Mesjasz stanie w bramie świata. Przed kampanią moskiewską „Widzący” był jak w gorączce i licznych posłańców rozesiał na dwory wszystkich cadyków. Mieli w tej samej chwili skupić się na nadejście zbawienia w sposób, co do którego jego wysłannicy zanieśli dokładne wskazówki. Temu, który widział, prawie nigdzie nie odmówiono poparcia i jednego dnia, o tej samej minucie, zjednoczyli się z „Widzącym” cadycy od Czernobyla pod Kijowem, po węgierskie Nagykallo.

Wieść o klęsce i abdykacji Napoleona zachwiała „Widzącym”, jego wewnętrzne światło przygasło. Mesjasz będący w pół drogi jakby zniemochomiał... Cadyk poderwał się znowu, gdy przyniesiono nowinę o zejściu Korsykanina na Elbę. *Sydończyk ma pod stopami wyspę – powiedział – teraz droga znowu stoi otworem*. Kiedy zbliżał się Dzień Święta Radości, znowu prosił przez posłańców o pospólną „doskonałą radość”. Nie ulegało dla nikogo wątpliwości, że zdaniem „Widzącego” z Lublina finał jest blisko. Wieszczący cadyk wyznaczył go dokładnie na dzień 9 aw – pozostawał niecały rok. W Lublinie zachodził jednak niebawem osobliwy wypadek – w nocy po święcie Radości „Widzący” wypada ze swego okna. Ale nie umiera, pogruchotany, czuwa w swoim mieszkaniu. I czeka. Mniej więcej w połowie okresu, jaki pozostał, Napoleon nagle pojawił się w Paryżu i rozpoczął swą ostamią kampanię. Do Lublina wieści docierały z opóźnieniem. Ale czas wyznaczony przez cadyka zbliżał się ku końcowi. Co musiało się dzieć na Szerokiej, gdy wstawał dzień 9 aw w żydowskim kalendarzu, jak wyglądały ostatnie chwile?

Tego nie wiemy, pewne jest tylko, że 9 aw w południe – w obchodzonym zawsze uroczystośćmi dniu żałoby po zburzeniu Świątyni – miał nadejść Mesjasz. Ale nie zabrzmiał barani róg zwiastujący Mesjasza, smutek nie zamienił się w radość, nie powiodła się próba odwrócenia znaczeń. W południe 9 aw umarł „Widzący”. Zgasła w Lublinie lampa, wokół której jak ómy tańczyli chasydzi. O czym myślał Napoleon równo miesiąc wcześniej, w południe 15 lipca, wsiadając na angielski bryg i uniesiony na wyspę św. Heleny? Czyha nie wyzbył się jeszcze nadziei, czyż Wyspa Św. Heleny nie jawiła mu się – jak lubelskiemu cadykowi – podobna do Elby i Korsyki, jako chwilowe schronienie przed nową wojną? Może dopiero 9 aw, czyli 15 sierpnia w południe przeczuwał, a może już wiedział, że coś, co kilka razy było blisko, oddaliło się bezpowrotnie. Płomień przygasł, nie było już komu zadać w szofar. Czy to musiało skończyć się w ten sposób? Czy „Widzący” umierał wiedząc, że Sydończyk znowu „ma pod stopami wyspę”? I czy gdyby Bóg zachował przy życiu „Widzącego” dłużej, Napoleon raz jeszcze odzyskałby siły?

Nagrobek „Widzącego” w skrócie opowiada losy człowieka, pragnącego świat odmienić i dotykającego tajemnic, którym nie sprostał. Ale lepszego nie było – *Ta stała świadkiem świętości naszego mistrza (...) światła naszych oczu, rozkoszy naszych serc. I cały Dom Izraela niech płacze, bo zamknęło się światło [w dzień odejścia] męża świętego, bożego, chluby pokolenia, naszego nauczyciela, pana i mistrza (...) sławnego we wszystkich kątach ziemi (...) który wielu odwrócił od grzechu i wielu poszło ku jego światłu. I radość obróciła się w smutek, w dzień gorzki (...) ziemia się zatrzęsa. Niech dusza jego związana będzie w węzełku życia.*

Powaga, jaką cieszył się cadyk z Lublina, nie przebrzmiała, do dziś świadczy o tym obyczaj składania kwitów na jego grobie. Są to małe karteczki, rachunki, bilety, kartki naprędce wyrwane z notesów, na których chasydzi proszą zmarłego cadyka o wstawiennictwo u Boga i każdego roku w dniu śmierci cadyka przyciskają je kamieniami do jego grobowca. Wierzą bowiem, że raz do roku dusza zmarłego powraca do miejsca, gdzie pogrzebane jest ciało, odczytuje prośby i osobiście przedkłada je Bogu. A przecież Buber podaje, że aby pochować „chlubę pokolenia” musiano uciec się do podstępów. Żył jeszcze jego zapiekły wróg rabin „Żelazna Głowa”, a przewodnicząc gminie nie zezwoliłby na to, aby pochowano chasyda między największymi uczonymi Lublina. Jednakowoż umiano pozyskać sobie grabarzy i nocą wykopano dół w pobliżu grobowca sławnego Szaloma Szachny. A że tradycja surowo zakazywała odmówić zmarłemu grobu raz dlań oznaczonego, „Widzący” spoczął między najwybitniejszymi rabinami. Zapewne nie przez przypadek „Żelazna Głowa” kazał pogrzebać się potem między Szachną a „Widzącym”, by jeszcze po śmierci oddzielić to, co słuszne, od tego, co niezrozumiałe.

Dzisiaj, w roku 5766 ery żydowskiej, kultura Żydów europejskich przypomina kulturę Sumerów – równie mało pozostawiła śladów swojego istnienia. Lubelskie miasto żydowskie znikło z powierzchni ziemi, ostatni cypel to ten cmentarz usadowiony na wysokim wzgórzu, otoczony jak twierdza grubym murem, opatrzonym jak w zbroję w gęstwinę ostrych krzewów i drzew. Miejsce to przetrwało chyba tylko dlatego, że o nim zapomniano, wypadło ze strumienia czasu – jak zjawia, która należąca do innego świata jeszcze trwa, ale już nie istnieje. Ale zdarza się, że czas zatacza koło, trzeba wtedy tylko znaleźć się w jego środku – i patrzeć.

W starożytnym Egipcie – tej dziwnej krainie, gdzie balsamowano krokodyły, rajskie ptaki i dostojników faraona – żywiono uparte przeświadczenie,

iż wszelkim istotom dla ich egzystencji pośmiertnej nieodzowne są doczesne, by nie powiedzieć wprost – cielesne, atrybuty. W najgorszym razie uciekano się do malowideł. To stąd arcyrealistyczne wizerunki sług faraonowych – dla tym większego pomnożenia konkretności – opatrywane były imionami kaligrafowanymi im nad głową i wyposażane w utensylia, jakimi ludzie ci posługiwali się dla wygody faraona. I tak jedni trzymają w ręku egipskie cytry, a inni naczynia z wonnościami albo gigantyczne wachlarze.

Marian Brandys był w Egipcie i nieobce jest mu przekonanie, iż nie możemy wyobrazić sobie jakiegoś życia, jeśli nie znamy całego ekwipażu, jaki umarli zabierają z sobą na tamten świat. W podróży i imaginacyjnych w głąb czyjś żywota wszystko jest na równi ważne: postura, temperament, sposób wysławiania, kubraki, meloniki, lamowane srebrem fraki, chustki do nosa, pamiętniki, w których to życie odcisnięte jest bez osłonek, a nade wszystko listy, gdzie uwięzione są uczucia podobne teraz do egzotycznych, zasuszonych okazów botanicznych. Aby wyświetlić życie człowieka Stamtąd, pisarz, chcąc nie chcąc, wcielić się musi w detektywa. Gromadzić dowody, szukać poszlak, zasięgać rudy świadków, sprawdzać alibi swego bohatera, a jeśli to konieczne, przeprowadzić wizję lokalną w miejscu, gdzie rzeczy, o których chce opowiadać, naprawdę się wydarzyły. Powinien również przejawiać całe mnóstwo talentów – bo i przenikliwość, i iście kobiecą drobiazgowość, ale też wrodzoną lekkość, łatwość opowiadania i niewzruszoną cierpliwość. Nie też dziwnego, że biografie bywają tak wysoce nieprzekonywające, bo też i przymioty tak odmienne w jednym człowieku zdarzają się nieczęsto. Rzeczą nicodzowną jest bowiem jeszcze, aby rzeczony dokumentalista znał się na dobrych i złych pierwiastkach, posiadał wyostrzoną wrażliwość na pęknięcie natury ludzkiej, do której na równych prawach przecież przynależą i dystygowany śmiech dra Jekylla i grubiański rechot m. Hyde'a. W twarzy ludzkiej rysy anielskie przemieszane są z diabelskimi, choć tu wkraczamy na nader grząskie piaski metafizyki.

W każdym bądź razie zlepiać te dwie połowy swego bohatera tak, aby nie było widać szwów, pęknięć to robota prawie jubilerska. Powiedzmy od razu – rzecz taka jest niemożliwa do wykonania. Więc trzeba jeszcze szczypty fantazji, trochę literackiego talentu, odrobinę kontabulacji i wówczas dopiero otrzymujemy arcydzieło – człowieka, który na naszych oczach z martwych powstaje. I jeśli nawet nie przypomina do złudzenia samego siebie sprzed lat czy wieków i dla matki, żony czy kochanki drobne różnice byłby od razu widoczne, to dla publiczności, znajomych i dalszych krewnych byłby wierną kopią człowieka, jakiego znali. I o nic więcej nie chodzi. Niczego ponadto nie wymagajmy.

Historia, którą Brandys opowiedział był kiedyś, a którą my tutaj w wielkim skrócie przypominamy, jest opowieścią o bodaj najslawniejszym z napoleońskich szwoleżerów – Janie Koziętulskim. Do chwili, gdy Brandys pochylił się nad Koziętulskim wyposażony w wielką lupę, człowiek ten nie był niczym więcej jak tylko symbolem głośnej szarży sprzed dwustu lat lub podręcznikowym przykładem bmwury posuniętej z oddania dla cesarza poza granice szaleństwa. Za to teraz ta mityczna dotychczas postać, na poły Herakles i Donkiszot, staje się na naszych oczach człowiekiem z krwi i kości. To indywidualne istnienie dotąd kojarzone z jednym tylko czynem, trwającym – jak wyliczyli skrupulatni historycy – nie dłużej niż osiem minut, raptem rozrasta się tutaj do rozległych 43 lat i najdrobniejsze szczegóły tego życia pozwalają wyobrazić je sobie czasem aż do przesady wyraźnie. Wiemy więc, że na parę tygodni przed rzuceniem się w gardziel wawozu Somosiery Jaś Koziętulski otrzymał był od matki żółty szal, którym owijał się w chłodne noce pirenejskie, i naszą ulubioną esencję panczowej, jaką raczył się w rodzinnym majątku pod Grójcem. Moglibyśmy podać bez trudu, którego dnia odebrał z domu suszone konfitury, a którego posyłał z ko-

szar podparyskich grzebienie, lampę i pasową szubkę dla siostry. Znany intona wierzchowców, jakie permanentnie pod naszym bohaterem ustrzeliano i na kupno których permanentnie się zadłużał – a to u kapituły grójeckiej, a to u siostry, a to u bogatych towarzyszków z pułku. Nie umykają nam nawet niefortunne amory Jana Koziatulskiego do niejakiej panny P., i gdyby to tylko było możliwe, odkrylibyśmy przed zacnym majorem – wiadome nam także – knowania tej przebiegłej niewiasty i może uchronili to nieulekłe serce żołnierskie przed rozpaczą i starokawalerstwem. Znane są nam i inne zawile oficerskie historie, ale pominiemy je tutaj przekonani, że w pewnych sprawach dyskrecja jest obowiązkiem narratora. W ten oto sposób ów wauki strumień życia, którego strzępy przechowały się w kilkudziesięciu manuskryptach, pozostał ocalony.

Trudno zapomnieć wrażenie, jakie powstało we mnie przed laty, kiedy zamykałem *Koziatulskiego i innych*. A więc to tak – nie wystarczy uniesmiertelnić się czynem wiekopomnym, trzeba jeszcze zgromadzić wokół siebie masę detali, drobiazgów, bibelotów i wtedy dopiero, w otoczeniu ich wszystkich, sławny człowiek pozostaje człowiekiem, a nie zjawą, ideą, bladym wspomnieniem. Czyż wzruszałyby nas tak samo opowieści o Aleksandrze, Kaliguli, Filipie Pięknym czy Sulejmanie Wspaniałym bez ich psów, koni, żon, kochanek, nawyknień i upodobań? Tylko całym tym dobrodziejstwem inwentarza różnią się od postaci wynysłanych przez powieściopisarzy. Wcale nie trzeba zanadto napędzać myśli, aby przywiodła nas do odkryć jeszcze straszliwszych. Boć ule wszyscy mieli tyle szczęścia, by odciskać się w papierze albo marmurze i o większości śmiertelnych z przeszłości nie można nawet z pewnością powiedzieć, jakie abonowali gazety i czy przejawiali jakąś skłonność do mizantropii lub mizoginizmu, czy też przeciwnie, żywiołem ich była filantropia i poligamia. Tysiące, ba, dziesiątki milionów istnień nie zachowało się nawet pod postacią symbolów na papierze. Jak gdyby żyli na próżno, nieczym struga, która do żadnego morza nie wpadła. Wystarczy nieco tylko seledynowego mchu, który wypełni literę grobowca, aby jedyny ślad jakiegoś życia pozostał unicestwiony. A przecież każde życie po same brzegi przepelnione jest rzeczami godnymi zapamiętania. Ileż ciekawych historii mieli do opowiedzenia pomarli dorożkarze, ileż dramatów godnych Eurypidesa pogrzebano razem z prostymi kobieci-nami, ile chwaiły tego świata poszło w niepamięć tylko dlatego, że zdawały się banalne, tuzinkowe lub spisane ich odkładano na potem.

*

W śpiewie słowików, w jaśminów paradyżu, kąt na lubelskim cmentarzu się znajdzie, a dla was – wieczna przyjdzie emigracja! – pisał z Madrytu Józef Łobodowski do ówczesnych „władców” Polski Ludowej. Najstarszy (poza dawnymi murami miasta) cmentarz lubelski wziął nazwę od drzewa o strzępiastych i pokrytych drobną żyłką liściach, tego samego, które Jan z Czarnolasu uczynił symbolem poezji i pozbawionego trosk życia, a tutaj będącego symbolem przemijania i śmierci. Długo zwano go cmentarzem „pod lipkami”, ale od tamtych czasów drzewa zdążyły spoczętnieć, postarzeć się i teraz nikt go tak nie nazywa. Stał się po prostu cmentarzem przy ulicy Lipowej. Jednym z najbardziej niezwykłych w tej części świata. Ścisłe rzecz biorąc składał się z trzech oddzielonych od siebie niskimi murkami części: prawosławnej, protestanckiej i katolickiej. Z czasem pojawiło się zjawisko ciekawe – otóż małżeństwa mieszane przyjęło się grzebać na samej granicy podzielonych cmentarzy. Rozbierano w tym celu fragment muru, a puste miejsce zajmował pomnik, jedną swoją częścią położony po stronie katolickiej, a drugą po stronie protestanckiej lub prawosławnej. Cmentarz w Lublinie, gdzie splatały się nici całego świata, jest taki, jaki być powinien. Kto ciekawy, znajdzie tu coś więcej niż tylko typowy dla

pogranicza ekumenizm, bo łączą się tu nie tylko religie, ale kultury i cywilizacje. Dziwi, ale przecież nie do końca, posąg dida z lirą korbową, „słowiańskiego Homera” na grobie aptekarza. Jeśli przecież lirnicy do samego Lublina nie docierali, woń stepu i Dzikich Pól była tu już wyczuwalna. A posąg lubelskiego anioła? Nie znamy grobu, na którym pierwotnie był ustawiony. Sam kruszejący anioł pozostał na cmentarzu, wciąż piękniejszy, coraz bardziej podobny do starożytnej relikwii zdobiącej muzeum Luwru. Rzeźbiarz-wiatr wieje kędy chce i figurę anioła, jakich tu wicie, wystrugał na podobieństwo pogańskiej bogini utracając głowę, ręce i jedno skrzydło. Czy Nike z Samotraki i anioł wykluty na tym cmentarzu nie od tej samej matki pochodzą? Nike lubelska czyż nie wygląda w mieszaninie lubelskich symboli naturalnie. Siostra wszystkich lubelskich aniołów, tych z ruskiej kaplicy, tych z żydowskiej kabaty, tych z katedry...

Stare kultury i ludzie dawniejsi przeminęli, ale pozostały po nich atawizmy, tęsknoty żywe tak samo wówczas, jak dziś. Czyż nie dobre przecucie mieli starożytni Egipcjanie, pragnąc zachować rysy twarzy, status, jaki zmarły osiągnął za życia, jego talenty – jednym słowem całą jego historię, która nie powtórzy się nigdy. Nie pytajmy po co – próbujmy, na tyle, na ile to możliwe, odstąpić z przeszłości jak najwięcej, bo odstaniając kawałek świata zupełnie do naszego niepodobnego w detalach, dotykamy uczuć, które rozumiemy i które są przecież najważniejsze. Po coś się przecież

przechowały na tym cmentarzu sepiowe fotografie – galeria postaci o obliczach, które jak za życia ozdobione są faworytami, wygumowanymi wąsami, obleczone we fraki, tiule i zdobywane na ówczesnych polach bitew orderzy. W rzymskiej części cmentarza przy ul. Lipowej – po dziś dzień od północy przegrodzonej murem od prawosławnych – poruszać się możemy z większą swobodą. Tutejsze historie przechowały się lepiej, i rzecz najglówniejsza – naprawdę się wydarzyły. Z całą pewnością wiemy, że pierwsi pozwalali się tu chować lubelscy masoni. Zamiast krzyża kazali ozdabiać swe pomniki Okiem Opatrzności, kielnią, klepsydrą, urną z prochem lub figurą o kształcie obelisku. Naprędce i w milczeniu – pod samym murem – grzebano samobójców i niechrzczone dzieci. Dopiero w trzeciej fali zmarłych pojawili się zwyczajni lublinianie – okazale wprowadzano przemysłowców, patrycjat i ziemian, skromnie udzielano pochówku owocarzom, dorożkarzom i krawcom.



Limik

Pochowany w Lublinie Feliks Grotowski, w wieku lat 16 (całkiem jak Fabrycy del Dongo, wiek to jak widać w czasie wojny niebezpieczny) zaangażował się do wojska Kościuszki, walczył pod Raclawicami i Suchoczami, za co młodzikowi Naczelnik przyznał stopień chorążego. Po upadku powstania wcielony został do pruskiego wojska, gdzie awansował na porucznika. Następnie trafił do Legii Nadłunajskiej, chwalebnie biorąc udział w bitwach pod Philippsburg i Hohenlinden. Już jako 24-letni kapitan walczył na Elbie, w zwycięskiej nad wojskami angielskimi bitwie o Porto Ferrajo. Wkrótce znalazł się na kolejnej wyspie – San Domingo, gdzie pośród ciągłych bitew i szalejącej zarazy jako jeden z nielicznych ocalał z życia. Z pewnością urodził się pod szczęśliwą gwiazdą, a może wystarczyło mu szczęśliwe imię? Gdy w r. 1806 wojska Francji znalazły się w Polsce – cingle jako kapitan – zapisał piękną kartę walcząc w bitwach pod Tczewem, Gdańskiem, Friedlandem. Mianowany majorem wyruszył do Hiszpanii – bierze udział w bitwach pod Ponte di Conte, Ciudad-Real, Manzanaras. W r. 1809 z 60 ludźmi brawurowo broni Toledo; wszystko wskazywało na to, że zginie, ale Francuzi zwyciężyli pod Talavera i nadciągnęła odsiecz. Kolejne ciężkie bitwy – pod Almonacid, pod Causuepra... W następnym roku Grotowski uczestniczy w marszu na Granadę i zdobyciu Malagi. Zostaje gubernatorem miasta Almeria. W roku 1811 opuścił ze swoim pułkiem Hiszpanię ciągnąc pod Smoleńsk. Szczęście zaczęło go opuszczać, gdy gasła gwiazda Napoleona – jeszcze broni mostu na Berezynie podczas odwrotu wielkiej armii spod Moskwy, a potem bierze udział w bitwie pod Młodiecznem. Rok później w stopniu pułkownika walczy na terenie Niemiec, odznacza się w bitwie pod Düben, ale w „bitwie narodów” pod Lipskiem dostaje się do niewoli. Zakończył życie w Lublinie jako dowódca dywizji w armii Królestwa Kongresowego w r. 1817.

Tak bujna osobowość pod piórem Stendhala mogłaby ostać się przynajmniej w literaturze. Ale nie znalazł się żaden Stendhal, brakło nawet fotografa, który mógłby zachować dla nas przynajmniej tę żołnierską twarz. A przecież za niewiele lat były już fotografie. Trzydzieści kilka lat po śmierci Grotowskiego Francuz Nadar uwiecznił tysiące paryżan, a wśród nich Delacroix i Baudelaire'a, George Sand i Sarah Bernhardt, Aleksandra Dumasa i Balzaca. Dziwny przypadek rządził tym wynalazkiem – znamy oblicze Balzaca zmarłego



Anioł-Nike z Lipowej

w r. 1850, a ledwie kilkudziesięciu lat zabrakło, byśmy znali fizjonomię Napoleona. Interesujące, czy ta twarz, którą portreciści tylekroć przenosili na płótno – świadomi przecież, że to w końcu twarz Boga Wojny – na fotografii zostałaby uczłowieczona. Najznakomitszy chyba z grona napoleońskich portrecistów, David, nadawał obliczu cesarskiemu coś drapieżnego, zdaje się, że to ożywiony kamień, w którym czai się błyskawica. Nie wiemy, czy fotografia ukazująca każdy mięsień tej twarzy ukazałaby zwyczajnego śmiertelnika, więc może dla legendy lepiej tak, jak jest... Ale na pewno szkoda, że nie znamy twarzy wojów napoleońskich, bo ci, którzy dożyli tego niezwykłego wynalazku, byli już postarzali i napiętnowani goryczą. A fizys Grotowskiego – chyba pozostać nieodgadnioną, jak twarze Stendhalowskich bohaterów. Do dziś pozostał po pułkowniku jedynie ponurek fundowany od towarzyszy bitewnych. Na mosiężnej płaskorzeźbie wyobrażającej Bellonę i wojenne panoplia znajdziemy napis: *Nie stopniowi lecz cnotie i przyjaźni...*

Zatem tylko płaski życiorys, gdzie tak naprawdę nie ma najważniejszego. Szczęśliwie zachowały się jeszcze dwa dotyczące Grotowskiego zapiski paniętnikarskie. Prowadzący w Hiszpanii zapiski kapitan Józef Kozłowski napisze o nim: *ten wyższy oficer stan-polskiej cnoty, bezinteresowny i gościnnie... zjednał sobie miłość powszechną. Szanowali go swoi i Hiszpanie. General Michał Sokolnicki dziewięć lat wcześniej o Grotowskim donosił: odważny, przytomny, żywy i surawy dla żołnierza, lubi i zna wojskowość, lecz leniwy i opieszły w służbie. Dwie oceny niezupełnie do siebie przystające... W końcu jednak to zadziwiająco wiele, jak na człowieka, którego nie owionęła legenda. Bo cóż z tego, że wyrąbał sobie szacunek wojskowych i przebył Europę wszerz, będąc zawsze w centrum wydarzeń, cóż z tego, że mówił biegle trzema językami, jeśli w żadnym z nich nie ocalał speliży list albo kupiet napisany w koszarach... Nie mamy pojęcia, jak wyglądały ostatnie miesiące w Lublinie tego wiarusa napoleońskiego, który przeżył tutejszego cadyka tylko o dwa lata, złączony z nim za życia w dziwnym sojuszu. Upadek Boga Wojny, Goga z kraju Magoga był dla obu tych zupełnie różnych ludzi ułratą wszystkich nadziei. Czy także utratą złudzeń? Nie wiemy przecież nawet tego, czy – inaczej niż „Widzący” – przeżywszy klęskę Napoleona, pielęgnował Grotowski swój do niego młodzieńczy afekt, czy może w swym sercu chował do cesarza przed samym sobą skrywany żal... Gdybyśmy mogli wiedzieć to jedno, znalazłbyśmy Feliksa Grotowskiego o ileż lepiej. A może największa tajemnica tego człowieka, jedyna, którą chcielibyśmy znać, była w Lublinie tajemnicą poliszynela... Może plk Grotowski był w Lublinie przykładem dla wielu – przykładem człowieka otrząśniętego z uwiedzenia lub też wiernego czystej legendzie do końca?*

A w co i jak wierzył pochowany niedaleko kapitan strzelców? Mecz wymościł płaskie litery, jednym zdaniem zamykając całe życie. Możemy tylko przeczytać, że *Eugeniusz von Kienitz, kapitan strzelców, przeżywszy lat 40, zginął w bitwie pod Baniapudze d. 25 grudnia 1904. Nazwisko niemieckie, napis w języku polskim, śmierć w szeregach wojsk rosyjskich* – jeszcze jedna z wielu tajemnic pogrzebanych może na zawsze. Parę ementarnych przecznic dalej grobowiec lubelskiego biskupa, uznającego za właściwe pozostawić potomności swój wizerunek. Dobrze wiadomo, że twarz ludzka: owal, oczy, usta, nos albo uszy to podręcznik duchowości. Jeśli dodamy do tego skapę, ale pewne informacje ocalały w archiwach kościelnych i ówczesnej prasie, przetrwa chociaż cień człowieka, świadka i towarzysza w podróży w przeszłość. Przecież jeśli nie powinien nam być obojętny los żadnego żyjącego człowieka, czy nie tym bardziej powinno nas zajmować ocalenie go po śmierci? Żadna ludzka historia się nie powtarza, ale z wszystko ocalenie go po śmierci? Żadna ludzka historia się nie powtarza, ale z wszystko niszczącej przepaści śmierci wydostają się nieliczni. Ich pośmiertne życie nabiera wtedy nowego sensu, a czy rozmowy z umarłymi nie są najciekaw-

sze. Nawet jeśli tak rzadko odpowiadają na nasze pytania. Czy pamięć w ostatecznym bilansie nie stanowi o wszystkim?

Biskup Walenty Baranowski w drugiej poł. XIX wieku był postacią znaną. Kronikarze zanotowali, że w Lublinie cieszył się opinią znakomitego kaznodziei, świętego administratora, a przy tym był człowiekiem przystępnym i lubianym przez wiernych. Cech męża stanu chyba jednak nie posiadał; general-gubernator wymógł na nim zgodę na kasatę obrządku grekokatolickiego na Lubelszczyźnie, co kładzie się cieniem na biskupstwo Baranowskiego. Odmówił też udziału w manifestacji patriotycznej w rocznicę unii horodelskiej, tłumacząc się potem niezbyt zręcznie. Niewątpliwie stały za tymi zaniechaniami może nieblahe racje i gdyby zachowały się jego pamiętniki, decyzje te (i inne) może i nam wydałyby się przekonujące. Z pewnością był księdzem oryginalnym, długo pozostawał kimś w rodzaju guwernera w majątkach szlacheckich, poza tym był dorosłym biologiem, zbieraczem osobliwości botanicznych i twórcą wybitnego księgozbioru z tej dziedziny, podobno zresztą w *usposobieniu umysłu więcej był przyrodnikiem niż teologiem*.

Interesujące jest w tym człowieku, że zaliczał się do nielicznych kapłanów wachających prochu bitewnego – jako kleryk pijarów wziął udział w powstaniu listopadowym, służąc w litewsko-wolyńskim pułku kawalerii, walczył w bitwach, odniósł ranę. Podobny był w tym trochę do renesansowych papieży i kardynałów, znających rzemiosło wojenne i tak jak oni kochał też sztukę. Chciał i potrafił związać swój los z młodym, ale cenionym już w Europie malarzem z Lublina. Wiemy, że Władysława Czachórskiego zaprosił z niedalekiego Grabowczyka sam duchowny. Biskupowi sprzyjała Fortuna, bo Czachórski portretował głównie rodzinę, a gdy ugruntował swą sławę, malował już tylko damy z towarzystwa, jakby nie kończący się szereg Izabeli Łęckich... Ilu to już krytyków sztuki bolało nad tym, że ten genialny artysta, zapowiadający się na jednego z najwybitniejszych portrecistów, zmarnował swój talent na malowanie lalek – pięknych ułożonych kobiet w bujanych fotelach i na otomanach, z różami, chustkami albo listem w ręku. Na odtwarzanie draperii, brokatów przetykanych złotem, jedwabów sukni... Eligiusz Niewiadomski napisał o tym malarstwie, że *jest to po prostu doskonałość kolorowej fotografii równa, nuda i bezosobista (...) te właśnie „Oczekiwania”, „Zapytania” i „Listy miłosne” stały się mogiłą wielkiego talentu*. Ale pozostało kilkanaście portretów namalowanych w młodości, dzięki którym Czachórski pozostanie w historii malarstwa na zawsze. Być może najdoskonalszym z nich jest lubelski portret biskupa Walentego Baranowskiego. Co powodowało tym nietuzinkowym duchownym, zapraszającym do Lublina 27-letniego malarza w r. 1877 i zamawiającego konterfekt?

Przed malarzem znalazł się człowiek o twarzy pełnej wyrazu i siły, ale chyba też rezygnacji. Obłeczony w polyskliwy mucet z aksamitu, spod którego wywija się falda jedwabnej podszewki, w koronkowej kamelecie wyprężonej na kolanach siedzącego, na tle zielonkawej haftowanej kotary. Surowa twarz modela i jego tęgie mocne ciało spowite gazą koronki, granatem aksamitnej pelerynki (nie traćmy z oczu zagięte sutanny i frędzli adamaszku okrywającego biskupa fotel) – czyż mogła przydarzyć się lepsza okazja, by malarz połączył swój talent do pokazywania twarzy z miłością do odtwarzania faktury i niezwyklej kolorystyki? Trudno nie zadać sobie pytania, czy pozując malarzowi, ten oryginalny człowiek miał świadomość, że przechodzi do przestrzeni wiecznoirwałej? Może wydarzył się po prostu jeden z tych zbiegów okoliczności, niekiedy rodzących arcydzieła. Czyż prowincjonalny w końcu biskup, jeden z wielkiego tysiąca podobnych sobie, którego los był światu obojętny, najdziwniejszym zrzędzeniem Opatrzności nie stanął w szeregu istot nieśmiertelnych – czy spośród dożów weneckich nie prze-

trwał naprawdę tylko Leonardo Loredano z obrazu Belliniego, czy wśród pisarzy renesansu nie najprawdziwszy jest Balazar Castiglione pod pędzlem Rafaela, a z szeregu papieży czy nie Innocenty X Velasqueza odsunął od siebie ościel śmierci. Czyż w widzianych z bliska chaotycznych zawijasach tarby, gdy oddalamy się o kilka kroków, nie staje się cud?

Któregoś jesiennego dnia zapuściłem się na stary cmentarz prawosławny w Lublinie. Nic było przy mnie żadnego cicerone i nigdy nie wpadły mi w ręce jakiegokolwiek archiwalia, które by przynajmniej zatęczały o owo wzgórze cmentarne. Dla miłośnika staroświecczożny, jeśli poprzysiął sobie wystrzegać się w swoich spekulacjach sentymentalizmu, był to więc teren ze wszech miar nieprzyjazny. Świdrująca w uszach cisza panująca w tym miejscu, gdzie fale ludzkie obmywając je tylko zewsząd i posłuszne jakiemuś przekleństwu nie docierały, była ciszą pobożowiska. Kamienne krzyże św. Andrzeja przypominały maszty pogruchotanych okrętów wyrzuconych na ląd lub resztki dawno opuszczonej twierdzy, o każdej porze roku zawładniętej przez wronie stada, przecinanej szarymi błyskami płochliwych wróbli i plomykami wiewiórek. Poza tym nikt tu nie zagląda. Pomniki z piaskowca stoją w nieładzie, oplecione węzłami korzeni, cierpliwie miażdżącymi je w żelaznych uściskach, aż kamienie pękają jak szkło.

Przechodząc od jednego do drugiego starałem się odcyfrowywać słowa po większej części zatarte, zapisane cyrylicą pośmiertne curriculum vitae. Musiało upłynąć nieco czasu, zanim uświadomiłem sobie, że złożeni tu ludzie to nietuzinkowe osoby – kilku generalów-majorów, wojskowych lekarzy, gubernatorów i wicegubernatorów Lublina, a reszta to pułkownicy, panie pułkownikowe, pułkownikówny, żandarmi i wschodnie duchowieństwo. A więc śmietanka cesarskiego establishmentu, urzędnicy, którzy przysłani zostali tutaj, aby administrować państewkiem należącym do rosyjskiego imperium. Chyba nie przypuszczali, że mogły ich znajdą się kiedyś poza granicami Matki-Rosji, walące się, opuszczone i zupełnie zapomniane. Nie ma uczucia równie gorzkiego niż bezsilność człowieka, jeśli zabłąka się tutaj. Cóż może stać się jego zdobyczą w takim miejscu – parę sentencji, powleczone mchem płaskorzeźba, dagerotypiczna fizjonomia przypominająca oko lypiące z zaświatów i wiele, nieskończenie wiele pusto dźwięczących w uchu nazwisk, ongiś wypowiedzianych z bojaźnią, szacunkiem lub nabożeństwem. Dziś przypominają one słowa w dawno zapomnianym języku lub garść wycofanych z obiegu monet.

Wiedziony ciekawością dużymi klonowymi liśćmi poczęłem czyścić zupełnie zaśniedziałą, ale nie naruszoną przez czas tablicę z białego kamienia i po chwili, niby przenoszony na papier obraz utrwalony na kliszy fotograficznej, przebijać zaczęły nieśmiało poszczególne litery. Stawały się coraz wyraźniejsze, aż nagle kamień przemówił zupełnie czytelnym językiem. Być może po raz pierwszy przydała się szkolna znajomość alfabetu rosyjskiego. Złożono tu prochy żandarma z pietropawłowskiwego pułku, Filipa Nazinko, który przeżywszy lat 38 oddał Bogu ducha w roku 1894. Powstania styczniowego pewnie nie pamiętał a rewolucji już nie dożył. Był jednak namiestnikiem władzy carów i najpewniej święcie wierzył, że władza w tym kraju carom się należy. Ale w takich czasach się narodził, gdyby przyszedł na świat nieco wcześniej i pod innymi sztandarami, pacyfikowałby Haiti albo szlachetnie poległ w Wąwozie Somosierrskim. Ta postać w żandarmskim mundurze na krótką chwilę, przez przypadek, wychynęła na świat, by o sobie przypomnieć. Zapewne nigdy nie dane nam będzie dowiedzieć się czegoś o gustach tego człowieka ze Wschodu, którego historia wplątała w swoje tryby i którego twarz nie przechowała się na żadnej fotografii, tak samo jak nie ma listów pisanych jego ręką. Jedyny ślad to inskrypcja w kamieniu, wąty znak, po których może dusze rozpoznają się po śmierci.

Ale może wszystko skończy się inaczej. Kto wie, czy w nieodległej przyszłości jakiś dobrze wyekwipowany i biegły w cyrylicy Wergiliusz nie wyszpera zaginionych żandarmskich listów, zapewne ze starości żółtych już wtedy jak szafran, na których człowiek ten odcisnął się nie mniej wyraźnie niż ministrowie faraona lub napoleońscy gwardziści. Pozostawiamy tego człowieka w tym miejscu, polecając go Opatrzności.

Może się też zdarzyć, że taki najzwyczajszy, nie nie znaczący spacer połączony z leciusiętkim puszczeniem wodzy fantazji, to zapomniane od Boga i ludzi miejsce zmienia w rodzaj ulotnego teatru, pełnego nieznanych twarzy, zamasztych gestów, szat o cudacznym kroju, a nawet ścisłanych w ręku białych chustek z czytelnym monogramem. Człowiek nie największych zalet, ale kto wie czy nie najętszy pisarz – Fiodor Dostojewski, w mało znanym opowiadaniu pt. *Bobok* pofolgował swej oryginalnej fantazji. Jego bohater, przysiadłszy na grobie, przez przypadek podsłuchał rozmowy toczoną przez umarłych – mało budujące, bo rada dworu Lebieziatnikow także po śmierci okazał się wazelinierzem, generał Pierwojedow jak za życia był figurantem, a Awdotia Ignatiowna pozostała plotkarką. „Misterium śmierci” nikogo nie odarło z jego zalet i jego wad, nawet jego długów, bo zmarły sklepikarz pokłócił się z pewną dziedziczką o parę nie zwróconych rubli. A znowu stale chichocząca, zmarła w 15 roku życia Katia, bardzo przypadła do smaku pewnemu tajemnemu radcy, którego skłonność do dzievic nie opuściła nawet po tamtej stronie. Ogólnie jest jednak nudnawo, kwitną plotki i gra w preferansa i pewnie dlatego tak niecierpliwie oczekuje się gości. Awdotia dopytuje się nawet, czy wśród „nowych” są jacyś młodzi... Gdy pojawił się w tym towarzystwie (dopiero co pochowany) znany utracjusz hrabia Kliniewicz, wszystko nabrało właściwego wymiaru. Ten Kliniewicz, choć za życia fałszował weksle, był typem filozofa, który potrafił natchnąć ludzi nawet po śmierci. Chociaż już nie żył, to nadal czarował – *Tam, na górze, nie kłamać jest rzeczą niemożliwą, gdyż życie i kłamstwa stanowią synonimy, ale tutaj, dla zabawy, nie będziemy stosowali kłamstwa. Do diabła, przecież mogła coś wreszcie znaczyć. Głośno będziemy opowiadali o wszystkich naszych sprawkach bez żadnego skrępowania.* Wszyscy umarli ochoczo to podchwycili, pragnąc się nie krępować i opowiedzieć wreszcie prawdziwą historię swego życia, *namiętnie pragnę obnażyć się!* – *piszcząca Awdotia Ignatiowna.*

Czyż to nie uroczy cmentarny klejnot literacki – to zabawne rosyjskie szyderstwo rzucone śmierci mieści w sobie zarazem odwieczne pragnienie całej ludzkości – dotykania tego, co już niedotykalne, przenikania, co już nieprzeniknione. Historia Orfeusza, który brząkając w lirę i wierząc w swoją szczęśliwą gwiazdę podążył śmiało do świata cieni może być ostrzeżeniem. Ale równie dobrze od wieków praktykowanym ludzkim zwyczajem. Bo któż nie wyprawiał się do tych zaklętych krain, któż wolny jest od ciekawości, któż nie pielęgnuje marzenia starego jak świat.

A gdybyśmy także cofnęli się wstecz – o lat sto? Dokładnie wtedy umarli ów gienieml, którego nastroszone wąsiska i przenikliwe spojrzenie wojskowego ocalały na nagrobnej, sepiowej fotografii. Zapewne wszystko tu było wówczas jak trzeba – zaryzykujmy przypuszczenie, że miejsce pochówku carskich urzędników ichnęło dostojnością, dyskretnym urokiem bogactwa, przepychem władzy. Tak znaczny człowiek miał z pewnością wspaniałą pogrzeb. W pysznym kondukcje potężna trumna dostojnika niestona była na ramionach wygalowanych majorów lub co najmniej sztabskapitanów. Z tyłu kroczyli dworacy z pierwszymi rodzinami gubernialnego miasta, z przodu zaś hrodały i strojny niczym we wschodniej baśni pop śpiewał gromko pieśni żałobne. Dająca się wyobrazić scena kończyłaby się przy stojącej do dziś cmentarnej bramie, gdzie robrony żałobniczek, inkrustowane orderami mundury radców tytułowych i bizantyjskie sukienki popów

znikałyby szybko w wielkich jak galeony pudlach kolas pozaprzęganych w perszerony w czarnych kapach z frędzlami. Ten cmentarz pełen jest podobnych obrazów, jakich był świadkiem, cienie blakają się jeszcze, ale trzeba przychodzić tu wiele razy.

Podobnych generałów zasłużonych na polu Marsa, heroin, o które się strzelano i które zdawały się ucieleśnieniem kto wie jakich bóstw, jest na każdym cmentarzu bez liku. Zaludniają go świat byli zapewne dalecy od niepokojów pustki i należy powątpiewać, czy kiedykolwiek powstała w nich myśl, że za kilkadziesiąt lat nikt nie potrafi nawet przez przypadek o ich wdzięku, dostojności i tytuły. Życie ich miało być grubą kartą w annałach świata, teraz zaś nawet najdociekliwsi próżno szukaliby jakiegoś pozostawionego przez nich śladu. Nikt nie spisał ich historii, nikomu zapewne nie przyszło do głowy, że mogłoby to nie stać się samo przez się, nikt nie pamięta imion ich koni i psów, nie ma nawet mosiężnych guzików, którymi zapinali swe szamerowane kaftany. Nie ma wachlarzy, toalet, wspomnień, po trzykroć nic. Pozostał tylko zazdrośnie milczący kamień z nieczytelną inskrypcją.

Całkiem niedaleko zbiorowa mogiła powstańców 1863 roku. Jest coś dziwnego w tych nieodległych grobowcach – jedni, chowani w galowych mundurach z guzikami z dwugłowym orłem, pomarli tutaj z chorób i starości, we własnych łózkach, z których przeniesiono ich do schludnego grobu, drudzy, chowani tylko w śmiertelnych koszulach, umierali młodo, z piętnem politycznego awanturnictwa, pozostając bez grobu, pogrzebu i pocieszenia. I tylko oni byli bohaterami epopei pisanych w tonacji walterowskiej powieści przygodowej, z jakimś ofiarniczym entuzjazmem przeżywającymi burzliwe życie, w którym musiało wcześniej zmieścić się wszystko. Kazimierz Bogdanowicz, 26-letni ziemianin, stanął w styczniu na czele oddziału 400 pieszych i 100 konnych, których własnym sumptem zorganizował i wyposażył. Jeszcze w styczniu pojmany przez ułanów carskich i wkrótce odbity, na czele swoich ludzi walczył z Moskalami do połowy lutego, kiedy to oddział jego zostaje zdziesiątkowany, a on odstawiony do Lublina i w marcu rozstrzelany.

Nieco więcej czasu dano 20-letniemu Leonowi Frankowskiemu, pełniącemu w tak młodym wieku obowiązki komisarza powstania w województwie lubelskim. Frankowski na czele wojska złożonego ze studentów Instytutu Politechnicznego w Puławach zajmuje Kazimierz, a w Kurowie przechwytuje furgon pocztowy z 48 tysiącami rubli. Ten oddział rozbito w puch pod Słupczą, ciężko ranny Frankowski trafił do szpitala w Sandomierzu, tam został rozpoznany i przewieziony do Lublina, gdzie wyrok przez powieszenie wykonano w czerwcu. A przecież w zbiorowej mogile, dokąd przeniesiono ekshumowane prochy w 1916 r., pochowano tylko znaczniejsze postacie tych podobnych do siebie z grubsza historii, zaczynających się w zimowych dekoracjach, a kończących gdy lato osiągało swą pełnię. Seregowych powstańców nikt nie zliczy i nie odnajdzie – ich historie zaczęły się i skończyły w zagajnikach na całej Lubelszczyźnie, gdzie grzebano ich bezimiennie. Nie mając grobu nie mogą przemówić – poszli do powstania i przepadli bez wieści, jakby nie urodzili się nigdy.

Ale powróćmy znowu do tego generała-majora, przy którego pogrzebie byliśmy imaginacyjnie. Wyobraźmy sobie tę pełną wyrazu twarz zasrozoną lub rozrzuconą widokiem jakiejś kobiety. Wyobraźmy go sobie w eleganckiej kuszecie, jakimi na pewno generałowie podróżowali. Niech siedzi tam nad świeżym dziennikiem donoszącym o obronie Sewastopola albo paryskim zamachu na Jego Wysokość cesarza Rosji. Ta kobieta wchodzi, nasz generał odkłada gazetę na bok, tak zapewne bywało, ba, bywało znacznie ciekawiej, ale o tym umarli milczą. Bo wraz ze śmiercią człowieka pozostaje on tylko w żywej pamięci jednego pokolenia, które umierając, przy-

sypuje go swoim popiołem. Iluż fizjonomiom w ogóle nie dane było przechować się na fotografii, ileż wierszy przepisanych do sztambucha kończy w składzie makulatury, ile czynów pomniejszych, o których pamięć przechowuje jedna, dwie głowy, a potem ginie to nu zawsze, idzie jak kamień na dno pełnej mulu rzeki. Bo jakie konkretne ślady mógł ów rosyjski Ulisses pozostawić – mundur z pewnością padł pastwą moli w jakiejś przepastnej szafie, szabla może tuła się po jakimś muzeum, może jakaś rodzina w Rosji przechowuje list pisany jego ręką, może jakiś suchy raport został w archiwach, chyba nie więcej.

Teraz tylko kilkanaście kroków dzieli tego człowieka od wiarusów atamana Petlury – on umarł ku chwale Rosji carskiej „w przeddzień” jej upadku, oni umarli ku chwale Ukrainy „w przeddzień” jej powstania, by znaleźć się w grodzie jagiellońskim obok siebie, to może jeden z najwymowniejszych symboli Lublina.

Czyż nie wielką otwartą księgą jest ten i inne cmentarze lubelskie, podzielone, rozrzucone w przestrzeni i w czasie, ale swojskie i ze sobą spokrewnione – przecież losy tych ludzi tylko w takim miejscu jak Lublin stają się zrozumiałe, ich historie w taki sam sposób nie mogłyby wydarzyć się nigdzie indziej. W miejscach podobnych Lublinowi podobieństwa i różnice muszą współistnieć, mieszać się ze sobą, wiele kolorów się tu na siebie nakłada i tylko subtelnymi odcieniami można takie miejsce namalować. Może pośród wojowników Petlury dałoby się znaleźć te same nazwiska co w kwaterze żołnierzy carskich, może niektórzy stąd i stamtąd byli spokrewnieni? A przecież nazwiska „petlurówców”, w polskim uchu brzmiące z rosyjska, zapisane są alfabetem łacińskim. Zazdrośną mową Europy, językiem Rzeczypospolitej Obojga Narodów, która nie potrafiła przeniknąć przyszłości i zgubiła najsmielszą ideę w swojej historii (a może w historii świata?) w doraźnych imponderabiliach. Czyż mieliśmy do czynienia z pomysłem równie genialnym, jak ów spelzły na niczym triumwirat, czy Rzeczpospolita Trojga Narodów musiała być tylko „snem srebrnym Salomei”, jakimś konceptem filozoficznym, który pochwałal prawie każdy, ale w który nie wierzył prawie nikt? Patrząc na groby żołnierzy Semena Petlury, dziś jaśniej niż kiedykolwiek widzimy kolejną niewykorzystaną szansę na szczęśliwszą historię Europy Wschodniej i swoją własną. Między Polską a Rosją za wcześnie wyrosła Ukraina i żołnierze Petlury musieli wziąć udział w z góry przegranej wojnie. Snuje się po głowie pytanie, czy Piłsudski, dziedzic idei jagiellońskiej, prawdziwy Litwin, mógł nie wyprzeć się „petlurówców”, chyba nie mógł – chyba nie powinien, ale chyba musiał...



A za kolejnym murem żołnierze radzieccy, za następnym żołnierze wrzesnia, wśród nich Czechowicz, jeszcze dalej „żołnierze” idei proletariackiej, którzy jak ongiś wolnomularze nie chcieli leżeć w cieniu krzyża, a za nimi – vis a vis grobów działaczy komunistycznych – symboliczne mogiły żołnierzy Armii Krajowej, z gen. Kazimierzem Tumidajskim, komendantem okręgu AK Lublin, zamordowanym w Riazaniu przez NKWD. A jeszcze dalej „Austriacy” polegli w r. 1918 – bezimienne groby C. K. Armii, gdzie obok rodowitych wiedeńców nie brakło pewnie Madziarów, Słowaków i Polaków...

Jest na tym najdziwniejszym pod słońcem cmentarzu jeszcze jedno niezwykle miejsce. Między żołnierzami austriackimi od południa, komunistami od zachodu, w samym kącie, znajduje się miejsce pielgrzymek lublinian w noc stanu wojennego. Harcerze parokrotnie stawiali tu prosty brzoźowy krzyż, a na murze za krzyżem kreslili napis: *Katyń*. Rano napis był zachlapany farbą, a krzyż unieśli „nieznani sprawcy”. Gdy napis i krzyż pojawiły się znowu – w stanie wojennym – nigdzie nie było tylu świec. I przyplłynęły słowa z oddali, z Madrytu – *Ni jednego słowa nie rozróżnisz z ust zaszpanowanych kneblem trocin (...)* To najwyższym nad ziemią kurhanem płynie w niebo poderwany *Katyń*. Niebawem pojawił się tych słów autor – Józef Lobodowski, autor *Ballady lubelskiej*, drugi po Czechowiczu rangą poeta Lublina, wracał ten sam, a przecież całkiem inny. Dawny rewolucjonista, potem emigrant nie dający się omamić pustej idei, ani przez chwilę nie spijający gorzkiego soku zwycięstwa, wystawiał pokoleniu świadectwo, które sny przedwojenne zmieniały w koszmar jawy po wojnie – *Któryś się podsztył pod imię Proletariusza, wstrzymaj się, trwożny, w pamięci uważnie zatnij: – Wicher się budzi, ziemię do trzewi porusza, na bój wychodzą żywioty, a bój to będzie ostatni! Powracał przekorny jak za życia, ze słowami pieśni na melodię *Miedzynarodówki*, ale w strofach przypominających i Miłosza, i Czechowicza; nigdy równie niezwykły dialog poetycki nie „rozgrywał się” w Lublinie, nigdy historia całego pokolenia nie została rozpięta między lubelskimi ulicami, może nigdzie też holocaust, który część miasta wypalił żelazem, nie znalazł słów bardziej przejmujących – *W nikczemnym wieku, co puszcza na przetarg i krew i wolność, bezsilny poeta kogo powstrzyma wizją takich zgonów? Jakim przerażeniem, czy melodią? Tylko w popiele nam siadać i podjąć „El mole rachunim” nad grobem milionów (...)* Teraz wracam, proch grobowców stopami gniotę, stoję, oglądam się za cmentarzem, za *Jeszybothem*, biegnę Rynkiem, Podzamczem, Lubartowską, krew do ust i oczu się klei...*

Ballada lubelska – powstała w Madrycie, gdzie Lobodowski tęsknił za Lublinem – pieśń emigranta i poemat straconych złudzeń, utwór napisany prawie 30 lat przed śmiercią poety, zawiera też proroctwo – *Powrócę cieniem z mej dumnej diaspory (...)* w *śpiewie słowików, w jaśminów paradzie kąj na lubelskim cmentarzu się znajdzie...* W r. 1988 wreszcie wrócił na domowy cmentarz – ów dzień opisany został wiele lat wcześniej tak: *Dzień nadejdzie – sny natrępe odrzucę, na lubelski cmentarz powrócę, wrosnę w groby, w krzewy malin, w jaśmin. Niech wyręczą tedy usta uśmiechnięte i nieme skowrończechy nad czarnoziemem; Jużes tu, więc uspokój się, zaśnij! Ze snu w sen wpada poeta, a pozostaje – piolun w ustach po przebudzeniu, a może ambrozja, może zapomnienie?*

Kiedyś chodziłem tędy na skrót, przecinałem wiecznie zielone mięsło umarłych, szybko mijalem limika i bezgłową boginkę, jakże naiwnie i beztrupsko rzucałem się w otchłanie cmentarnych glogów, berberysów, wszechobecnym lipczaków i spieczastych tul, o których – jak dowiedziałem się dużo później – w swoim wierszu pisał Czechowicz. Ten znany utwór kończy się słowaniami: *Napisy z... cmentarza w pamięci zakurbuj, zatnij: „Oto teraz w proch zasnę – z prochu wstanę w dzień ostatni”*. Czy jednak na-

prawdę, a jeśli nawet, to czy zmartwychwstałą także ukochane przedmioty, księgi, spojrzenia, myśli, rzeki, które wyschły, i miasta, które splonęły?

Na starych pomnikach na tym cmentarzu co rusz natknąć się można na odkute zaraz pod nazwiskiem rangi kancelaryjne i drobne profesje: referent, rzeczywisty radca stanu, regent kancelarii ziemskiej, sekretarz towarzystwa dobroczynnego, starszy zgromadzenia kupców, opiekun sali sierot, nadleśniczy lasów rządowych, technik kolei nadwiślańskiej, rejent, były poborca kasy gubernialnej, sędzia pokoju, wdowa po byłym marszałku szlachty itd... itd. Inną kiedyś przykładano do tego miarę, urzędnik czy rzemieślnik to była persona, to był ktoś, przed kim czapki xsuwały się z głów. Tytułem do chwały bywały rzeczy drobne, bo jak płaszczy przyrastaly do człowieka. Czy nagość ludzka przed Bogiem nie byłaby zatem ograniczeniem i niesprawiedliwością? Może jednak żadna ludzka historia nie przepada na wieki, może wszystko to uladzi się kiedyś w wielkim archiwum.

Czemuż nie przyjąć, iż genialna intuicja zaprowadziła Danilę Kiša do odkrycia strzeżonej prawdy? Kiš, serbski pisarz pochodzenia żydowsko-węgierskiego po ojcu i czarnogórskiego po matce, z racji swego rodowodu jest może kimś, kto przeczuwa więcej. Być może rzeczywiście istnieje opisana przezeń *Encyklopedia umarłych*, będąca dziełem tajemniczego bractwa z siedzibą w Sztokholmie? Gdy interlokutorka Kiša dociera do tego niezwyklego rejestru dwa miesiące po śmierci ojca, jego losy są już tam drobiazgowo opowiedziane. Kiš twierdzi – i chce mu się wierzyć – że redaktorzy *Encyklopedii* wierzą w cud biblijnego zmartwychwstania i tę olbrzymią kartotekę przygotowują na ów moment. Każdy będzie mógł w niej odnaleźć nie tylko swoich bliskich, lecz przede wszystkim własną zapomnianą przeszłość. Redaktorzy *Encyklopedii umarłych* są skrupulatni, wszechdobylscy, dyskretni, dokładnie tacy, jakimi chcielibyśmy, aby byli.

Po dwóch miesiącach od śmierci tego człowieka już tam było jego zdjęcie, cały życiorys, ale i dokładny opis pogrzebu – *imię duchownego, który śpiewał nad trumną, spis tych, którzy odprowadzili ojca na miejsce wiecznego spoczynku, liczbę świec zapalonych za spokój jego duszy, wygląd wieńców i tekst nekrologu zamieszczonego w belgradzkiej „Polityce”*. Nic nie ginie z oczu redaktorów – opisany jest zatem również moment niedługo po jego narodzinach, widzimy jego ojca w czasie pogrzebu żony i znajdujemy bogate dane o nieboszczce – *przyczyna choroby i zgonu, rok urodzenia, przebieg choroby. Piszą, jak ubrano ją do trumny, kto ją obmył, kto położył monety na oczach, kto podwiązał jej brudę, wyciosał trumnę, gdzie ścigało drzewo*. Nic przeoczono także ich ślubu, a dzień zaślubin opisany jest od samego początku – *odnotowano porę wstawania, chwilę, gdy odezwała się kukułka z zegara ściennego i chłopiec, zaspany, zerwał się ze snu. Są nazwiska woźniców, nazwiska sąsiadów, którzy ich żegnali, portret pana nauczyciela i jego słowa skierowane do nowej mamy chłopca; rady duchownego, słowa tych, którzy zostawali we wsi i machali im na pożegnanie*.

Nie istnieje śmierć, jeśli istnieje *Encyklopedia*, gdzie odnotowano każdy rozdział życia, każde doznanie, każdą rybę schwytaną na wędkę.

Lukasz Marwidczak
Fotografie w tekście – autor

DARIUSZ ADAMOWSKI

Sonet

Te ściegna ścieżek zapisanych w biegu
tropami ludzi, zwierząt. Białe pole
zmienia teorię w praktykę i wolę
myśleć, że każdy nikły ślad na śniegu

prowadzi dokądś. Że zając, co skoczył
nagle za zaspę, zasłuży na więcej
niżli przecinek, maźnięty naprędce –
choćby na myślnik. Kiedy przymknę oczy,

tak o tym myślę, lecz na horyzoncie
dogasa światło. Tam staje maszyna
zwierzęcych mięśni. Zostajesz na łodzie,

na obcym lądzie, gdzie żadna przyczyna
nie rządzi skutkiem. Gdzieś w przejrzystym chłodzie,
gdzie nic się kończy – nic się znów zaczyna.

Notes

Przyjeżdżam na wieś na czas, żeby zdążyć
na pierwszą hajkę u królowej śniegu,
na drzewa, które ugięły się w biegu,
a może przez sen? I ten sen wciąż krąży

wśród brzoź i grabów zgarbionych jak łuki
w romańskich stropach. Za nimi wytrwale
prężą się świerki. Wymieniałbym dalcj,
lecz przecież jestem tu nie dla nauki,

a jako pielgrzym. Przeczuwam, że warto
uwierzyć w drogę i ślad to brodenie
w niepodzielonym, niepojętym bardo,

żeby się zapaść głębiej i głębiej – nie
w śniegi lecz w siebie. Stać się czystą kartką,
spisaną zanim nastąpi stworzenie.

To sen

Spójrz na obrazy, które tylko wiszą,
jak gdyby nigdy nic, a przecież trudno
o większy wyczyn. Myślisz, że to płótno,
drewno i ramy? Nielatwo żyć z ciszą

na jednej ścianie. A czasem, gdy nie ma
żywego ducha, nie ma światła – komu
przyszłoby na myśl, że żyją w tym domu
gdy nikt nie patrzy? Nie idą do nicba –

zostają w ramach. I tobie się zdaje,
że bez spojrzenia, bez czyjegoś wzroku,
wszystko jest na nic, że tylko udajesz

życie dla formy. Jednak wszędzie wokół
jest to co nigdy, nigdy nie przestaje
notować wiersza i spoglądać z mroku.

Wszystko się odmieni

Wiosna jest w ciele i topnieją śniegi.
Nim się obrócisz w wodę, dotknij rany,
niewierny chłopcze. I przymknij powieki,
żeby zobaczyć więcej. Świt jest tani.

Mrok sięga głębiej swym świeżo odkrytym
strachem: pod skórę, w którą już nie wierzę.
Znajdź w niej rozdarcie, bo chciałbym być przy tym,
gdy mnie nie spotkasz w środku. Lecz patrz szerzej:

ta rana nie jest z tego świata. Brodzisz
pomiędzy światłem a namiastką cieni.
Wpuść je do środka i świętuj spotkanie:

śniegi topnieją, gdy słońce przechodzi
przez pryzmat ciała. Wszystko się odmieni
po drugiej stronie. Wszystko pozostanie.

Dariusz Adamowski

TADEUSZ ZUBIŃSKI

Inferno*

Biorąc szczyptę piasku ze srebrnego dzbanuska do osuszenia kończącego właśnie pisma mistrz Akken polecił Kacprowi uważnie słuchać, niczego nie uronić i z namaszczeniem celebransa wywodził – Skup się i przywołaj cały zasób swych zdolności. Powziąłem dalekosiężne projekta wedle twojej osoby. Jesteś jak to źrebę, dotąd nie znające dobrodziejstwa wędzidla, jesteś zdrowy, mocny, ale chaotyczny i popędliwy, co zrozumiałe, bo jeszcze nie ujeżdżony. Prosty wniosek się nasuwa: szczególne wędzidła ci trzeba nałożyć i właściwy krok ustawić. Wędzidła wiedzy i stosowny krok do obyczajów. Będziesz się uczył języków, to najważniejsze, każdy nowy język to jak nowa para rąk. Łaciny, która matką naszej mowy ojczysiej, bo to obowiązek, niemieckiego – przyniesie ci pożytek, i francuskiego, gdyż osiągniesz przez to radość. Tymczasem grekę sobie danijemy, item hebrajski, odsuńmy je na lepszą przyszłość, poza tym znajomość hebrajszczyzny może przysporzyć ci kłopotów, zwłaszcza że twoje pochodzenie jest niepewne, a ludzi zlej woli nie brakuje. – Kiedy wypowiedział słowo „przyszłość” spochmurniał nieco, odchrząknąwszy, w brzoju pogmerał, nim podjął przewany wątek. – A co do innych dyscyplin to i do tego z czasem dojdziemy. Widzę po tych oczach, że gryzie cię robak ciekawości, zezwalam, pytaj, może cię zaspokoje.

– Jeśli taka wasza wola albo wam kaprys pozwala, proszę, wyjawcie mi mistrzu, ile wy sami znacie języków?

Mistrz Akken lekko zawahał się („kaprys” jakże mile słówko, a kąsa niegorzej niż łasiczka), ale to wahanie jawiło się przyjemnym, nie zrodziło się z niewiedzy, lecz z wrodzonego zamiłowania do utrzymywania tajemnicy wokół swojej osoby, którą nieczym niewidzialną zbroją zwykli się osłaniać i weszło mu to w krew, jak innym dłuhanie w nosie. Popatrzył na czubki swych wytwornych butów, jakby na tych czubkach Boża Opatrzność stosowną odpowiedź podpowiadała. Na złocistych cholewkach przewały się złote refleksy. – Zaiste, zaskoczyłeś mnie chłopcze – tu skłamał, bo zdając sobie sprawę z dociekliwości Kacpra spodziewał się takiego pytania, ale uznał, że na tę swoistą formę nagrody młodzian zasłużył. – Dociekać należy, czy tak w mowie i w piśmie, to trudno jednoznacznie orzec, ale do siedmiu można się doliczyć. Nic wliczam tych, w których ogólne osłuchanie posiadałem i z rozmowy treść wysnuć mogę. Na przyszłość wiedz, że nie każdemu i nie zawsze takie pytania stawiać można. Słyszałem o pewnym studencie w mieście, na północy, w szwedzkim kraju żyjącym, którego spalono, gdyż wyuczył się siedemnastu języków, w czym wysoka władza świętego Kościoła dojrzała robotę Szatana. Z tego trzeba wynieść naukę, że niebezpieczne jest popisywanie się podobnymi zdolnościami. Teraz przejdźmy

* Jest to przykładowy fragment powieści pod tym samym tytułem.

do naszych obrachunków. Postanowiłem, że będziesz miał domowe nauczanie, szkoły są tępe, ale szkolne podstawy musisz mieć, in limine i kwartę przerobisz w jeden rok, oczywiście będzie to wymagało od ciebie wiele trudu, ale podejmiemy tę orkę na ugorze. Nie ma innej rady, Ufam, że podolasz, bo spodziewam się, że w zdobywaniu wiedzy się rozsmakujesz – zmarszczki na czole mistrza nieco się wygładziły.

Poprzez zagony i ugory wiedzy przechodzili gładko, jako że uczeń był chętny do nauki pisania i czytania, a do rysunków i wszelkich kolorowych malowideł przejawiał tak talent, jak i umiłowanie. Mistrz Akken kredą kreslił (haczyk rysował, jak chciał to widzieć Kacper, który wizerunek przedkładał nad ideę) na dużej kwadratowej poczemialej desce znaki podobne do tych, jakie pozostawiają kury na mokrym piasku, to były litery, a jak się złoży wszystkie litery, to powstanie z nich alfabet. Każdy znaczek, czyli – właściwie nazywając – litera (– Nie waż się nigdy więcej powiedzieć „znaczek”, to jest wielmożna pani litera! – zagroził srogo mistrz Akken i jak trzeba walnął trzcinką po plecach) odzwierciedla jakąś głoskę. Litery tworzą wyrazy, zaś głoski łączą się w słowa. Te litery, już w żadnym razie znaczki, Kacper godzinami i dniami kopiował kredą na ciemnozielonej lupkowej tabliczce, tak mozolnie i tak wielokrotnie, aż mistrz Akken łaskawie pchnął twardo – jako że uważał, iż nagradzanie imych dobrym słowem to występek przeciw dobremu samopoczuciu – Bene. Następnie nauczyciel, z ochotą, gdyż już podniesiony zapalem ucznia, przystąpił do wykładania podstaw siedmiu sztuk wyzwolonych: gramatyki, retoryki, dialektyki, arytmetyki, geometrii, astronomii i muzyki – wyliczając owe dziedzinę na palcach, ale w taki sposób, jakby łamał kolejne pieczęcie. Wszak zapewnienia o tak wyszukanej nauce mistrza Akkena miały uzasadnienie. Dysponował nie tylko przepastną wiedzą, ale i znaczącymi zasobami. Do łaciny uczonej z gramatyki pocziwego Aeliusa Donatusa przykładano wyjątkową staranność. – Na matce czterogodnej łacinie, jak na fundamencie dom, opiera się cała wiedza – z przekonaniem i naciskiem orzekł mistrz, a uczeń schylał głowę.

Znaczne skarby w księgach umiejscowione hołubił i celebrował ich obecność w swym posiadaniu mistrz Akken. Skarby myśli i odwagi – jak objaśnił. W nadzwyczajny sposób demonstrował tego świadomość. Raz po raz zdarzało się, że czy to na półki, czy to na skrzynię pokazując, mawiał z namaszczoną miną nie ukrywając dumy – Zauważ, iż tu mieści się to, co uczenie nazywa się solą ziemi, nie palace, majątki złoto czy zaszczyty, a wiedza. – Posiadał starodawne księgi, znacznej wartości, przez co okrutnie ciężkie oprawione w dwie deseczki, bodajże bukowe, a na tych deseczkach pergamin, skóra czy tkanina bogato zdobiona barwnymi rysunkami opowiadającymi historie rycerskie. – Uważaj, nie upuść, miej na względzie fatalny przypadek boskiego Petrarki, któremu nieszczęście się przydarzyło, dokładnie takie, przed jakim cię przestrzegam: upuścił taką księgę i cudem nie postradał kończyny.

Pewien foliał solidnie zapieczętowany na pięć srebrnych zamków, nieco przypleśniały pradawnością, oprawiony w szaroczną skórę, mistrz darzył szczególnym poważaniem i w tajemnicy utrzymywał. Z tego to starożytnego foliatu unosiła się ciepła woń obietnic i tajemnic. – Nigdy przenigdy Kacperze nie waż się tknąć tej księgi, jeśli to uczynisz, zmusisz mnie, żebym cię surowo ukarał – przestrzegł mistrz Akken i dla uwiarygodnienia tejże przestrogi porządnie dał Kacprowi w ucho. – Ach, jak boli, szczypie! – Należy cię boli, a to dobrze, powinno zaboleć, taki był mój zamiar. Przyjmij,

iż to jedynie skromna zaliczka, zapamiętaj sobie moją karzącą rękę, nie odważysz się sięgnąć po tę księgę, odpowiedz i patrz mi prosto w oczy.

– Nigdy się nie odważę w niczym wam uchybić, zaklinam się, przenigdy, niechby prędzej diabeł dostał moją duszę, niż ja w czymkolwiek będę wam przeciwny, wiercie mi, mój mistrzu – zapowiedział gorliwie Kacper, spuścił oczy – ale powiedzcie mi, mistrzu Akken, co to za księga, dlaczego tak wam jest droga, będę miał większe przekonanie do stałości – nieznacznie podniósł oczy.

Mistrz Akken zawahał się, ściągnął groźnie brwi, lecz przyimilny ton i poczciwa postawa młodzieńca przenigdy zapobiegliwość. – Mówisz diabeł, ciekawe, że tego ducha przywołujesz i ja o diable przed chwilę pomyślałem – zdziwiony skubnął policzek. – Dobrze, niech stanie się zadość twojej ciekawości. Ta cecha dobrze wróży na początku drogi, na której jesteś, ale wiedz, że ciekawość może także zgubić, zapamiętaj to sobie. Ta księga to nadzwyczajny traktat o skutecznym zwalczaniu nudy, i ani słowa więcej o tym, a teraz nadstawił drugie ucho, żebyś miał należytą pamiętkę! I wiedz jeszcze, że gdyby kiedykolwiek owa księga wpadała w niepowołane ręce, ty musisz uciekać na koniec świata, wielki strach będzie cię ścigał po krańce ziemi!

Niespożytkane gdzie indziej osobliwości i dziwy otaczały mistrza Akkena. I tak do dłuższej lektury się przysposabiając na nos nasadzał dziwne curiosum, dwa szkła owalne, połączone drucikiem miedzianym, i także same druciki – przytwierdzone do owych szkieł, uformowane w kabłąki – zaplatał za uszy, dzięki czemu konieczną stabilność uzyskiwał. Przeobrażone oczy mistrza Akkena z za tych szkieł rozpluwając się nabierały urokliwej acz niepokojącej mlecznej mglistości, tym samym zatracając zwykłą im surowość. – Nie obawiaj się, to jest wyjątkowy lek, znakomicie wspomagający słabe oczy, bardzo użyteczny przy lekturze – uspokoił Kacpra śmiejąc się mistrz Akken i dając własnym palcom swobodę w mierzwienu brody. – To wiedza dla ciebie, nie musisz o nich rozpowiadać, niektórzy nazwaliby je wynalazkiem diabła, co jest tym większym błędem, iż przypisuje się ten wynalazek pewnemu italskiemu dominikaninowi. Wiedz zatem, że te oto zostały wykonane w Paryżu przez tamtejszych słusznie sławy zażywających lunetiers: oni w Paryżu cały szacowny cech takich rzemieślników utworzyli, czyli w tamtych stronach to nie jest znów taka wielka nowość. Przyznaję, że ja te, o tutaj, cokolwiek ulepszyłem, bo pierwotnie zanadto przypominały toporne nożycy. Zauważ, że nawet najlepszy pomysł wymaga finezji, jako że w swej surowej postaci jest tylko uciążliwym dziwactwem. A poza tym, czy sam Stwórca nie poczynił przygotowań pod to urządzenie, wyposażając istotę ludzką w nos i parę uszu?

Dla mistrza Akkena cenny był każdy przedmiot, o ile był cudzoziemskiego wykonania, tudzież opatrzony w jakąś legendę albo przesąd lub w jakowyś sposób czy też z pochodzenia rzadki, unikalny bądź podziw wzbudzający. Zdaje się, najcenniejszym walorem takiego przedmiotu była zdolność zadziwiania nim innych. Na ten przykład posiadał i eksponował też łaskę znaczną, cacko wręcz, bo hebanową, obramowaną srebrem z dziwnymi znakami, na spaceru bardzo sposobną, a taką leciutką.

On pieści swą pychę jak lichwinarz gładzi swoje plugawe złoto – usłyszał Kacper pewnego południa pod drzwiami izby czeladnej (oko do szpary przystawił), w której to pani klucznica konferowała z młodą żoną młodszego radcy Semke. Ta młoda, płocha pani, pokaźna, jasnooka, ucętkowana rdzą

milych piegów na błyszczącej cerze, okazała, tak mleczna, że aż przywodząca na myśl próżną maciorę, taka płocha, bo zazwyczaj obnosząca się jak panna w jasnej sukni, szumęła trzewiczkiem z czerwoną cholewką (być może atlasową) wychodząc przed oczyma Kacpra. Pewne było, że na nim też ćwiczyła swoje kobiece powaby, a może chciała go zaczarować, zdrowego snu pozbawić.

Już wcześniej Kacper dowiedział się od mistrza, iż bywają takie niewiasty, które zaczarować umieją, więc zaczerwienił się, ona puściła mu oko, jak te dziwki z niley nad kanałem. A był powód, by zaczerwienić się i przed kim oczy spuszczać. Otóż szła fama, że owa radezyni Semke (tego popołudnia wystrojona w suknię modną, marszczoną z koronkowym karczkiem) jest osobką bardzo lekką w obyczaju i nudnemu rajcy przyprawia rogi. Z kimże to tak ocboczo? Ano szczególnie z postawnym sierżantem straży grodzkiej, którego oblicze zdobiły wąsy czerwone jak bukowe liście w październiku. Tak to już jest, jeśli złoto i piwo do mężczyzny silniej przemawiają niż gładkie liczko i biel dekoltu pani małżonki. Ale to nastąpiło potem, przedtem pani klucznica już całkiem po domowemu radziła młodej, niezbyt roztropnej małżonce, jak najdoskonalej przyrządzić wątróbkę ciętą, potrawę smaczną, a jakże pożywną, tudzież chwalebną, bo podnoszącą uśpione męskie walory. – Weźmie droga pani łaskawie funt młodziutkiej wątróbki, trzeba mieć baczenie, bo w kramach wielkie oszustwa teraz wyczyniają – wytarła sobie szybko palcami usta – pokroi pani w plasterki, albo pokroić każe zaufanej słudze, ale nie za cienkie, następnie do naczynia z taką wątróbką wleje odrobinę octu winnego, ale przestrzegam: z umiarem, następnie doda ile wola świeżego toju, posiekanej pietruszki – wymawiając „pietruszka” jak stara panna lekko skonfundowała się, wszak pietruszka to podstępne owo panaceum na męskość – szczyptę korzeni, tyle, ile smak nakazuje, i dwie godziny dusić na wolnym ogniu.

Oczka dorodnej radezyni latały przy tym chytrze na wszystkie strony. Rzekłbyś, iż gorącymi spojrzeniami obnacywała kąty i sprzęty. To się Kacprowi nie spodobało i zaraz przypomniał sobie przestrożę mistrza – Dlaczego niewiasty, jak są ładne i gładkie, to z urodzenia głupie i wścibskie, czyż w ten sposób Pan Bóg karal za względną urodę, ponadto bywa, że ezort lubuje się w skrywaniu swej niecnej postaci w faldach babskiej kiecki. Zalotna radezyni dodatkowo jeszcze się uśmiechała uśmiechem pełnym zdradliwej słodyczy, tak jakby ktoś laskotał ją w podbródek, może ezort sam? Przeciwnie pani klucznica znurowszała i cierpka, czasem jazgotliwa, skisła bez miłości i macierzyństwa, jak ta śliwka-siczoika w mysiej dziurze.

Gospodarskie obrządki, rytuały jakże wciągały Kacpra, choć go odpędzano. – Ty nie na parobka masz być kształconym, zmykaj do ksiąg, bo mistrz będzie burczał.

A przecież codzienność też posiadała swoje tajemnice i rytuały, na które od patrzenia rozgrzewało się oko. Rozżalony spoglądał na panią klucznicę dużymi, proszącymi oczyma, nie pomagało. Gdy sroga (bywało, że na wyrost) wdowa opuszczała powieki białe i jakieś martwe, przypominała śpiącą kurę. Cierpko wycedziła przez zęby – Odejdź, bo powiem panu, żeś niefrasobliwy i każe cię wychłostać, a przedtem wyzbyć z wszelkiego przyrodziwku, na co spodziewam się, że ma wielką ochotę – twarz starej przyżółkła, poryta pajęczyną zmarszczek.

Nagana słusznice mu się należała. Niesfomy, coż, zakradał się, nęcony widokiem czynności i obrządków. Wieczorem przychodziły zziębnięte nie-

wiasty, mocne, podobne do siebie, choć nie rudzina, sprawne rzeźniczo. Na miejscu i od ręki patroszyły ptaki, kury, kaczkę, gęsi, perlice oskubane i różowohiałe przypominające rozdęte świece albo pyzate bezgłowe kupidy. Zatapiały z sykiem nóż w brzuchu ptaka, miękko rozcinały, kum albo kaczkę na chwilę puchła, trach, chrzęściły kostki i kobiety oslinionymi palcami jak kijankę z bagna wyjmowały żołądek, coś pięknego, kształtny, polyskujący lazurem, trochę zimnym odcieniem, następnie żyłkowane kiszki, ciepłą wątrobę. Taka kobieta po zgrubnej robocie siąkała w szmatę, następnie wylewnie siadała jak kura na jajach, piła piwo i czekała, żeby w stosownej chwili wypatroszonego ptaka posolić, także innymi korzeniami doprawić. Od tego momentu od kuchni zaczynało pachniać duszoną w sosie cebulą, majerankiem, kminkiem. Picie piwa i nieprzyzwoite czekanie-gapienie się nie było zajmujące, poza tym kobiety bardzo nieprzyzwoicie folgowały swoim chuciom.

Kacper na palcach odchodził od drzwi. Ale na coś jeszcze czekał. W korytarzu udawał, że go zachwyca zmierzch. Przez okna wpadało szare światło, kojące i drażniące, szare, ale nieco różowe, plawiły się w nim zielone błyski jak zielone kijanki. Echo dusznego i płomienno drgało i ciemniało. Badylic dymów usychały, tknięte zarazą zmierzchu, kot łowił każdy szelest. Za jakiś czas kobieta opuszczała dom, a wtedy już czerniało i straż przemierzały wąwozy uliczek. Szczególna noc przypadała, ta, o której powiadali, że w tę noc grodzkie diabły obierają sobie radę i burmistrza piekielnego. Na cały przyszyły rok. – A ty co tu wyczyniasz? Pora ci chłopcze do łóżka zmierzać, ale najpierw zmów modlitwę, tylko sumiennie, tej nocy diabły rajują! Nie mówiono ci, że w tę noc diabeł galopuje na bydłociu, galopuje wściekle, co prawda, upodobał sobie jako rumaka wieprza, ale jak dopadnie niesfornego chłopka, też na jego grzbięcie galopuje, na złamanie karku – pani klucznica uchwyciła Kacpra za ucho, och jakież mocne palce! Wprost powiedzieć: cęgi kowalskie. Klucznica, pani wdowa udając, iż to smętność ją ogarnęła, poprowadziła tam, gdzie się należy. Kacper spuścił oczy. Po chwili stara już sama, udatnie nadąsana, ale z bojaźnią z sercu jąla obchodzić izby, sprawdzając czy rzetelnie wszystkie lustra odwrócono do ściany, pomrukuje: no, odwrócono, jest nadzieja, że noc przejdzie spokojnie.

Słusznice zostało powiedziane, że osobliwe było zachowanie mistrza i nadzwyczajne jego obyczaje. Zdarzało się, że Kacper przyłapywał mistrza Akkena, jak ten w samotności delektuje się widokiem nieba, czym przypominał sowę. Zwłaszcza wcześniej rano i drugi raz o tej porze, przy której istnieje wątpliwość, czy nazwać ją popołudniem, czy przypisać ją już do wieczoru. Rzadko wstawał mistrz Akken o brzasku, zasłony mocne i ciężkie jak wrota częściowo rozciągał i skupiony, wyciekający parzył na wschodnie skraje nieba. Niebieskie cienie nocy zaczynały blednąć, jakby wysychały, rzedyły, rozplywały się, a tam, gdzie budynek albo drzewo, cień mroczył. Samo niebo, jego kraniec temu przypisany powoli, ale intensywnie, zaczynało się nasycać złotawym bądź różowym blaskiem. Dachy sterczały przygaszone i martwe jak nieruchome skrzydła strzaskanego wiatraka. Błyskały pierwsze ognie, które są jak gwiazdy chadzające po ziemi, sucho trzaskały rozwierane okiennice, podnosiły się krzyki, już rżały konie, wytaczano wozy, bruki jęczały. Zaraz samo słońce wypływało kolejno w postaci kropelki, potem skrawkiem, aż ostatecznie wyrastalo pysznie czerwonym jabłkiem. Na ten widok w mistrzu Akkenie coś dręczącego ustępowało, z ulgą uśmiechał się, szeptal i dając czas i sposobność, żeby Kacper mógł się swobodnie

wycofać, odwracał się pogodny. A poza tym było jeszcze cicho. Wiedzy to doszło pomiędzy mistrzem a jego uczniem do tej szczególnej formy disputatio de quolibet, jaka powinna nastąpić, gdy umysł ucznia osiąga pewien stopień wiedzy. Oczywiście podług reguł dialektyki, czyli sztuki prowadzenia dysput. Mistrz Akken złożył palce obu dłoni, każdy palec lewej dłoni do zgodnie przynależnego mu palca prawej, tworząc koszyczek jakąś niewidzialną kruchość chroniący, wciągnął głęboko i z rozmysłem powietrze, zdając sobie sprawę z wagi swych słów, tak zaczął dywagować:

– Przejdźmy do rzeczy ostatecznych Kacprze, mój chłopcze, wierzę w ciebie, w twoje talenty, więc słuchaj, co ci rzeknę. Nie kieruj się błyskotkami, myślisz, że obraz albo podobne mu inne wyobrażenie oddane w rzeźbie bądź na desce, płótnie, murze czy w kamieniu wiecznym będzie? To naiwność. Nie ludź się, wiedz, że ledwo co rzeźbiarz dluto odłoży, jeszcze nie wyschnie pot na jego czole, a już drewno figury skrycie łoczy zuchwały kornik, każda farba zluszczy się, oleje ulegną przemianie w piasek, piasek przerodzi się w pył, pył rozdmuchają wiatry, rozniosą na stopach albo na podszwach, poślókną księgi zjedzone pleśnią, pozłota szermieje, kolory pysznej polichromii wybledną, szkło i witraże ulegną rozsypce, metale pokryje rdza, nagryzie je czas, olów popęka, nieuchronnie przyjdzie żalostny stan twardego popiołu, zniweczy kształty, glina tak podatna człowiekowi jest tylko postacią piasku; niczym trwałym to, co nas zachwyca wyczarowując przed naszymi oczyma rajskie ogrody, sceny biblijne i mitologiczne barwne płótna mizeria, nitki, z których kiedyś zręczne ręce tkaczy spleły chorągwie, kapy, kobierce, dywany, czapraki, obicia, gobeliny rozsuna się jak stare mięśnie, zwiotczeją, gnicią, gnicią. Tkanina najdoskonalsza, choćby to był adamaszek albo – bez różnicy – perkal, jednakże, rozpuści się, zostanie ledwie nikczemną szmatą, utwierdzam cię, choćby była przedtem jedwabiem albo złotogłównem. Siarka, kwasy, jako i krew, która też jest rodzajem kwasu, co nie zaprzecza temu, iż jest płynną tkanką i nie mającą szczególnie praktycznego znaczenia. Łuszcze wszelakie, ba, ludzki pot i ślina nie tylko uwłaczają, ale przecierają złoto, srebro, klejnoty, platynę, zaś porcelana jest łatwą do stłuczenia, jak gliniany dzbanek, choćby z Chin się wywodziła. Dodatkowo złoto, które głupcy tak cenią, przeciera się, każdy talar w obrocie chudnie, aż stanie się miedziakiem, który zda się rzucić na odczepne żebrakowi, srebro śniedzieje znakomicie i plami skórę. Zważ, że wszelki promień słońca, każda kropla, mgła, najmniejsza rosa, ledwie podmuch, mróz, i upały, nawet każdy nasz oddech trawi dzieło, niszczy jego piękno, wyzbywa użyteczności. Co nie zniszczy woda w wielu swych formach, zniszczy powietrze, przeciw dziełu człowieka sprzysięgły się potężne moce.

Zapewne w swojej myśli stawiasz mi pytania, a co przetrwa? Co jest ponad wichry i burze? Odpowiem ci. Przetrwa to, co kruche z pozoru i słabe, jedynie ona, potęga – myśl, obrazowana znakiem, a najlepszym znakiem jest napisana litera, zaś te zmyślnie litery, jak już zdążyłeś się dowiedzieć i doświadczyć, tworzą alfabet, pierwszy po kole z tworów ludzkiego umysłu, alfabet, który w piśmie może zawrzeć każdą mowę i przechować na wieki. Każdą myśl i każde wydarzenie, wszystko, co ledwie zaistnieje, a już przetrwa, słowo wypowiedziane, słowa pomyślane – zapisane literą przetrwają na wieki. Ale dosyć na dziś, czy jeszcze coś cię trapi? – pouczał i popatrywał na Kacpra spod przymrużonych powiek, jak kocur, który najadł się smakołyków.

– A kościoły, katedry, pałace, dwory, fortece, co z nimi się stanie?

Mistrz Akken roześmiał się szczerze rozbawiony. Wstał trzęsąc brzuchem od tego śmiechu, szybkim krokiem zamasyście począł przemierzać komnatę poruszony pytaniem. – Baa, to takie łatwe. Dociekasz o zamki i o pałace. Na wyrost dociekasz oczywistości. Och, pałace, zamki bogate, dwory, to są pierwsze z marnośći tego świata, w proch się obrócą, jak to napisane w Biblii, kamień na kamieniu z nich nie pozostanie. Czy jako chrześcijanin wątpisz w Słowo Boże? – prowokował chytrym uśmieszkiem, ale nie nalegał na odpowiedź. – Wspomogę się świętym Tomaszem z Akwinu, ten argument wart jest raczej śmiechu niż odpowiedzi. Zbawienie duszy! To także vanualis i jeszcze raz powiadam vanitalis – i jął zgola wnet wieszczyć. – Stanie się tak, że synowie tych, co je stawiali, wyburzą, porzucą, albo morowe powietrze ich wydusi i kąkol na ich miejscu rosnąć będzie. Jeden jest skarbiec nie do zdobycia, to głowa, którą nosisz na karku. W niej skarb wiedzy – thesaurus, może zamieszkać, za twoją wolą i staraniem. Jeśli będziesz robił użytek z wiedzy i wyzbędziesz się złudzeń, staniesz się równy bogom – popadł w napuszony ton bakalarza. Zawrócił od pulpitu, na którym stała cienka lojowa świeczka i sterczał pęk piór welkniętych w coś, co uchodzić mogło za mały posążek.

– Jest jeszcze ponoć nieśmiertelna dusza i dobre postęпки jej przypisane, jak poucza nas Pismo?

Mistrz Akken wzdrygnął się, grymas obrzydzenia wykrzywił mu usta, jakby mu pokazano zmię. – Czegoś takiego nie ma, ale zarządzaj tą wiedzą bardzo oszczędnie, jeśli nie chcesz trafić na stos, ja się wszystkiego wyprę. No, dosyć tego, bo ci głowę rozsądzi.

– Mistrzu, jest ponoć grzech i kara wieczysta za popelnianie grzechów, księża o grzechu co kazanie rozprowadają, czy to jedynie bicz na niesfornych i buntujących się? Powiedz mi, jak się mają sprawy z grzechem – zapytał i dwa kroki odstąpił, bo dziwnie mu się zdało, że on, taki niedorostek, takich słów używa i to głośno.

Mistrz Akken uśmiechnął się wyrozumiale, ale też nie krył rozczerowania. – Ach, jakie to nudne. Grzech jest tylko okrzykanym i okopconym kadzidłem, biczem na niewolnika, czy widzisz się w przyszłości jako niewolnik, czy wolisz być wolnym, decydować o sobie, nawet o tym, co kler nazywa zbawieniem duszy? Odwróciwszy się od ciała w pogardzie, powiedzmy, kimś równym mi?

Kacper zadrżał, ale przemógł strach – A co z urodą, z przymiotami ciała, zwłaszcza kobiecego, jaka jest wartość gładkości ciała, piękności twarzy, wdzięczności członków, tak wysławianych przez poetów?

Mistrz Akken jako człowiek wyższy ponad złudzenia już się nie uśmiechał, a przeciwnie, zasmucił się. Nieco drżącym tonem, w którym pobrzmięwało zniecierpliwienie, objaśniał – Zatem i ty zasmucasz mnie, domagając się pochwał lichy zewnętrzności. To, co ty nazywasz pięknem człowieczym, tkwi w skórze, jaki to powab, który tak łatwo zniszczyć byle paznokciem, zatnij się, zajrzyj w głąb rany i co zobaczysz? Jakie rozkosze ujrzą twoje oczy? Obmierzła tęgma i pospolita krew, której bliźni nam nie skąpią przy każdej okoliczności, tłuszcz w różnej formie, obrzydliwe włókna, kości, od których nawet pies się odwraca, cuchnąca żółć, wstrętny kal i śmierdząca uryna, lepka sperma, wszelaka wilgoć, ta sama, której z takim wstrętem pozbywasz się z dziurek nosa albo poprzez intymne wyposażenie ciała wydalasz. Czyż znane ci jest piękne ciało u sędziwej osoby, nie jest

tak ulotne jak to złudzenie, które ty nazywasz urodą kobiecego ciała, pamiętaj, że ulomności męskiego ciała łatwo da się objaśnić powagą urzędu, wojennymi kontuzjami, chwalebna czupurnością, a czymże jest ciało starej kobiety, niezym innym jak smrodliwym worem na gnaty i flaki, zaiste w tej dziedzinie dawni Grecy więcej wykazywali rozsądku – i zaśmiał się szydyczko, a diabelskie ogniki zapłonęły w zimnych oczach. Zatem jaką z tego wynosimy naukę? Mądry korzysta jak najczęściej i jak najobficiej bez zbędnych zahamowań z owych marności nad marnościami. – Powstał rozluźniony i lekko klepnął Kaepra w policzek, jakby go budził ze złudzeń.

Nie dokończyli, a przecież następne pytania cisnęły się na usta, gdyż zaraz ze wszystkich kościołów zaczęły dzwony zwolywać wiernych na niezsputy i mistrz uznał, że akurat dziś powinien pokazać się w domu bożym.

Mistrz Akken pomimo tak wzniosłych poglądów nie zniżał się do kontaktów z prostymi ludźmi. Od dawien dawna wiedziano, że w domu Pod Bazylikiem nie daje się jałmużny. Z zasady nie jest dane człowiekowi za darmo, każda okruszynka chleba naszego powszedniego musi być zapłaconą – jak deklarowała cierpko klucznica. Nawet ci, którym mistrz udzielił chwilowego wsparcia, gorzko potem narzekali na takie wybawienie. Tak, mistrz Akken miał nadzwyczaj ciężką rękę jako dobroczyńca, a pamięć niezawodną do utrzymywania regul dla niego korzystnych. Podobno żebracy przekleli go zapowiadając mu gwałtowną śmierć.

Najczęściej odpędzał jak namolną muchę, zbywał. – Sam musisz dojść do własnych prawd. Na grzbiecie ci inni je wygarbują, bądź czujny!

Świat burzył się, bo prędzej czy później spokój i pogoda możliwych tego świata mierzi, taka jest jego natura, że długotrwałego ładu nie znosi.

Wybuchła kolejna wojna, ile ich już było, nikt nie porachuje i nikt nie zliczy? Pani klucznica utrzymywała, że więcej ostatnimi czasy tych wojen i pożog niżli pełną kłodę. Pod koniec stycznia rozeszła się wieść donosząca o bitwie, jaka rozegrała się w Lotaryngii w pierwszych dniach tego miesiąca. Pielgrzymi, handlarze, włóczykije, Żydzi rozpowiadali po oberżach i w przedsiionkach kościołów, że książe Burgundii, pan całych Niderlandów, okrutny i zuchwały Karol poległ i to poległ haniebnie. Bo z nieznannej ręki poniósł śmierć, niegumną, jako że ponoć z ręki ciury, kiedy poddawał tyły. Z trudem odnaleziono ciało księcia, w krzakach, i to w marnym stanie: zmasakrowane, obnażone, obrabowane i napoczęte przez zdziczałe psy. Ponadto wcześniej lupieżca – szwajcarski żołdak – odciał zabitemu palec ten z Floreniynem, najwspanialszym diamentem owych czasów.

Później, w kilka niedziel, gdy ta straszna wieść poszła między lud, siejąc zaczyn trwogi, zaczęły wybuchać rebelie i bunty. Szczególnie gwałtowne rozsiały się gwałty w nadgranicznej Flandrii, podsycane przez króla francuskiego. Chytry galijski lis, lakomy na cudze dostatki, podszczypywał tłustą niderlandzką gęś. Król francuski przymierzał się manū militare cały kraj zniewolić i czym prędzej do swego królestwa przyłączyć. Wojna domowa jak żadna inna pożerała żelazo i chleptała krew. Pustoszone wioski, krwiożerczy fustvolk bez imienia i narodowości, bez sunienia także, powszechnie gwałcił i palił, oblegano krnąbrne miasta, Piki, sulice, halabardy, miecze, koncerze, szylety, młoty, topory, cepy, berdyce, korbucze miały setne używanie, dni krwawych żniw. Procarze, lucznicy, kusznicy z za pawęży miotali strzały i pociski. Smugi czarnego dymu unosiły się wokół obleganych miast. Smolarze uwijali się bez ustanku podurzując zawartość kotłów w stanie wrzenia. Szczęk żelaza, chróbot buciorów, świst balist, syk

miotanych żagwi, trzask dostawianych drabin, odgłos bębnow i rogów przecaczały się przez kraj. Polowe kuźnie rozbrzmiewały dźwiękiem młotów, wszak obu stronom konieczne były jak nigdy dotąd helmy, tarcze, groty, blachy i miecze. Skrzypiały i dudniły potężne katapulty miotające głazy o wadze do półtorej tony. Spoceni, jak ezelnicy diabła, rzemieślnicy budowali różnego rodzaju tarany i mangany, platformy sposobne do ostrzeliwania chmurami pocisków z kusz i rojami strzał wysyłanych z luków. Co raz to nabijano armaty będące maskarami ze snów szaleńca, tak porażające, buchające strzelistym ogniem i furją kartaczy. Baronowie i hrabiowie walczyli dla zbytku i chwały, zwykli ludzie, bo do wojaczki ich przymuszano.

Nareszcie głód przeważył hart, głód, ten ostateczny pan wojen, on zawsze zwycięzca zaciskał łapę na gardle obleganych, wywieszono z murów białą flagę. Gdy miasto poddawało się wycieńczone i otwierano bramy, wtedy strumień jezdnych w kolezuchach i hełmach wdzieral się wypchnąć oniemiale powietrze szczękiem bruni, dzikim rżeniem koni i szumem powiewających chorągwi i proporców. Wraz z rozkwitem wiosny niepokoje wystudziły się, choć szemranie nie ustąpiło i oblekło się jak drzazgę obleka ropa. Buntownicy, jak to zwykle, chytrze skryli pazury, stulili gęby, przyczaili się, ale pomruk niezadowolona szemrał. Tak czy inaczej lęk posiano w tych krajach niezym kłokolowe ziarno, a nienawiść rozpełzła się między ludźmi jak dżumowe szczury.

Zdawać się mogło, że miasto mistrza Akkena w dziwnych okolicznościach albo – jak wolą niektórzy – dzięki staraniom tego znakomitego obywatela grodu nie doświadczyło okrucieństw wojny. A być może sprawił to przypadek, może wola Boża. Tak czy inaczej przez pewien czas po owych zaburzeniach mistrz Akken chodził w glorii wybawcy. Gdyż to jego tajemnym zabiegiem przypisywano ocalenie. Więc zażywając chwały podnosił brodę i taskawie z okna pozdrowiał wiwatujących nie skąpiąc szydyczkich uszczypliwości: – Głupy, on oni są w stanie zrozumieć? – Naraz zamyslił się i zapytał: – A czy ty kochasz ten kraj, chłopcze?

Kaeper poskrobał się za uchem. – Tak, chyba Kocham te chude sosny, czerwone wrzosowiska, sitowic, wydmy i wszelką wodą. Kocham naszych wieśniaków i naszą szlachtę, gwałne miasta i wsie, mgłę i zachody naszego cierpkiego słońca, wrzeszczące sójki i dumne labędzie, chyże lodzie i żyźwiarzy zimą.

– Opowiadasz tak barwienie, jakbyś słowem malował, gdyby twoje zdolności były posledniejszego autoramentu, poslalby m cie na kleryka, ale tyś wart lepszego losu – stwierdził mistrz Akken i uszczypnął chłopca w policzek.

Ilecz pomimo szczęśliwych przypadków w całym mieście w każdym kramie i każdej świetlicy odczuwało się obrzydliwy przedsmak pożogi, jakie rozsiewa rozhułata tłuszcza. Skutkiem mizerii wszelkie daniny i akcyzy podniesiono, żeby odpowiednio opłacić rozszalałe żołdactwo. Jako że po kraju włóczyły się kupy maruderów i rabusiów strasznie okoliczną ludność doświadczać. Wojna wojną bywa, nie jest to rzecz wyjątkowa, natura naturą jest, jedno pewne, więc śnieg marnowy kruszył się lamliwy i łzawil, jak stare oczy matki płaczącej po stracie jedyne dziecko.

Przyszły głodne dni: przednówek, jeszcze mrozy i zima nie dogasła, a już umierały niemowlęta, bo matkom wysychało mleko w piersiach. Powszechnie wybijano psy, urządzano polowania na koty, głodni zajadali się szczurzym mięsem, suche jak brzoza miotła kozy wskakiwały za paszą na

trzciniowe dachy. Przed pierwszymi dzwonami ślepa szkapą grabarza Joerga wywoziła trupy zbierane z ulic. Joerg idący obok wozu, fukał i ślepe zwierzę przystawało. Zresztą sam Joerg, istna pokraka-szczudło obleczone w ludzką skórę, w postrzępionym płaszczu po kostki, jawił się jako anioł pokuty, żegnano się na jego widok. Matki dzieciom zakrywały oczy, a ci z wyższych okien na grabarski wóz wylewali zawartość nocnego naczynia. Franciszkanie litościwi wystawili kotły pod gołym niebem, w furmańskim zaułku warzyli darmową strawę, wydzielano chleb, odbywały się bijatyki wśród głodnych. – Duszna ich pobożność, bo ich receptor mściwy – gorzko orzekł mistrz Akken, patrząc na ową, jak oceniał, „jarmarcznią dobroć” tłustych braciszków o zamglonym wejrzeniu. Jeszcze tydzień, dwa i koty miauczały na dachach i plotach, wiatry wypędziły zimowe smrody, mury żółkły i pleśń wypęzła i rumienila się, już nóżki dziewcząt obute w ciżemki z furkotem spódniczek przebiegały ulicę. Ci, którzy z morza żyją, poczęli się wesoło pozdrawiać – Słyszeliście kumie nowiny, ponoć już śledzie podpływają pod prógi. – Pierwsi muzykanci pokazali się, aby pogrywać na fajkach, dobosze kroczyli wysoko podnosząc kotłana i dzielnie waląc w bębny, z takim przekonaniem, jakby od tego walenia zależało zbawienie duszy. Jak przydeptana gaska zakwilila zakochana lutnia w ogrodzie.

Nasiało niebo marewce, kapryśne dotąd stawało się na całe dni czysto niebieskie, nieśmiałość i obietnicę wyczuwało się w powietrzu. Zaś w Niedzielę Palmową pod lazurowym niebem bez chmurki, bez najmniejszego zadrapania, gładkim jak szkło, dzwony grodu odezwały się tryumfalnie i radośnie, jakby obwieszczały nastanie rajskich czasów. – Oho, pobożnych księży mamy w naszym grodzie, wymodlili piękna pogodę – cieszyli się mieszkańcy. Zbliża się prawdziwie kwieciowa Wielkanoc, z nią jedwabista zieleń łąk i żywsza lasów. Łąki pocętkowały bielą, żółcią, fioletem i szkarłatem tysiące kwiatów. Bagna puchły coraz mocniej, duszne i musujące oparami. Pierwszy motyl wleciał do izby i długo łomotał bezsilny skrzydełkami o szybę. Mistrz Akken z wyraźną przyjemnością oglądał te zmagania. Kacper przeciwnie, z żalem.

Po świętach Wielkiej Nocy bardzo okazałych i uroczystych, jako że całości celebry sprzyjała pogoda, nadszedł czas decydującego rozstrzygnięcia. W porze szarej godziny mistrz Akken z upodobaniem do wygody ułożył stopy w butach z mięciutkiej niemieckiej skóry, która tylko przed angielską ustępuje, z czerwonymi wylogami na podnózek obszuty niebieskim brokatem, na którym błoczyły się paradnie złote lwy, latające anioły, nadobne panny i groźne gryfy. Nasępił brwi, palce przyłożył do policzka, myślał, małowniczo głowę sobie łamał, zanim tak przemówił – W jakiej dziedzinie sztuki znajdujesz wyjątkowe upodobanie, skalkulujmy, cenisz konie, zatem ruch, pęd i grację najwyżej stawiasz. Sprawdźmy, jak u ciebie z wyczuciem koloru, powiedz mi, do czego porównałbyś barwę poły mojego kaftana, ale odpowiedz szybko pierwsze słowa, które cisną ci się na usta, bądź spontaniczny! – nos i oczy opatrzył w ów dominikański przyrząd i przyszpilał dociekliwym badaniem. Połę unosił, czym poddawał zwodniczej grze światła i półcieni, marszczył ją, ugniatał.

– Wydaje mi się, że jest tak znakomicie niebieska, jak niebieskie pozostały w mej pamięci oczy mojej matki, kiedy była młoda, tak mi opowiadali ludzie – cicho odpowiedział Kacper.

– Bene, to najprosiwsze, rzekłbym, prostackie, takie porównania ci, co płacą, lubią, ale spróbuj nieco inaczej, tak, aby inni, ci wykwińtniejsi mogli przed-

stawić sobie we własnej imaginacji tę barwę nie widząc jej bezpośrednio. Dobierz stosowne słowa, z czym byś skojarzył, jakbyś musiał komuś tę barwę przekazać ograniczając się do słów. Niebo, za łatwe, pierwsze skojarzenie, musisz dyscyplinować osobisty smak, zważ że samo niebo przedstawia wiele kolorów, półcieni, istotnie nie zawsze jest ono niebieskie, a po prawdzie rzadko jest niebieskie całkiem... Jednak wszystko na tym padole nuży, a najbardziej ze wszystkiego nuży wypoczynek – Akken ziewnął i skropił perfumą suche skronie (ach te myśli i projekty, jakie udręczenie) z flakonu uroczo upodobnionego do dziewczęcej nóżki. Krążył po komnacie, coś go od środka, jakieś ważne myśli poruszały. – Tak, ciekawe są w ostateczności demony – i tu nastąpiła pauza, tak dosadna, że Kacper ruzdział wil gębę – wieloryb, o tak, taki wieloryb na pewno jest warty zachodu. Czy wiesz, że Theohald, wielobny opat klasztoru na Monte Cassino podniósł wieloryba do rządzaj demonów, w czym znalazł popiecznika w osobie Anglika nazwiskiem Chaucer, o którym to Angliku wzmiankowałem ci już wielekroć jako o znakomitym poecie.

Przemierzał, dywagował, zapalił się, żeby przyznać rację tym, którzy w wielorybach widzą demony, aż wreszcie nieco sflaczały ciężko zasiadł w ulubionym fotelu, a Kacper zrzęcznie i usłużnie podstawił podnóżek. Na tę zapobiegliwość mistrz Akken dobrotliwie raczył uśmiechnąć się. I obie, ma dłońmi poglądał po policzkach długo i przeciągle zahaczając o krańce uszu. – Jakie to miłe odkrycie, że uszy masz kształtne jak dziewczyna i skórę na policzkach delikatną jak u daniela – ocenił i tym razem uśmiechnął się słodko. To wtedy po raz pierwszy Kacper zwrócił uwagę na dłonie mistrza. Nadzwyczaj drobne, nie widywane u mężczyzny kobiece cienkie przeguby, długie wiotkie palce, na jednym jeden jedyny pierścień z otokiem, w którym zawarty był złoty wąż pożerający własny ogon na zielonym kamieniu.

Chwilę później, bez pukania, ale wysoko niosąc głowę, weszła pani klucznica i poburkując zapowiedziała, że jutro na obiad każe przyrządzić kaczkę w jabłuszkach, bo dawno takowej nie jadano w domu Pod Bazyliśkiem. – Za ten to zamysł i godny najwyższych laurów moja pani, zawsze doceniałem waszą przemyślność i starania o moje wygody – pochwalił mistrz Akken. Mimo takiej pochwały pani klucznica nie uradowała się, przygryzła suchą wargę. Zimna jak ryba, już dawno ściśle pochowała popielate włosy pod zawieszany w węzeł czepiec z ciemnej tkaniny wzorem wdów i zakonnice.

Wszak przed udaniem się na nocny spoczynek mistrz Akken coś sobie istotnego przypomniał. Wziąwszy Kacpra za rękaw kabata dosyć porywczo, ale zaraz miarkując surowość pouczył z ową troską, która usztywnia kark i lepi dłonie. – Mój Kacprze, w twoim dzisiejszym zachowaniu, mam na myśli Twoją zrzęczność w usługaniu mi podnóżkiem, dostrzegłem przesadę. Pozbądź się tego wstrętne obciążenia, to tak, jakbyś zamierzał długą drogę przebyć w dwóch lewych butach, niepodobna, bo jako przyszły anty-sta nale wszystko musisz w sobie pielęgnować cnotę hardości, musisz być dumnym, nawet wyniosłym, bo inaczej w żaden sposób nie osiągniesz swych zamiarów. Ludzie oczekują od tych, którzy są wyposażeni w przymioty ciała, talenty, błogosławieństwo, jak to się mówi, nadzwyczajnych darów Bożych, pewnych cech zewnętrznych, które łatwo widzą i rozpoznają. Duma jest nieczym innym, taką samą przypadłością jak otyłość czy łysina, jedni ją mają, innym natura w naturalnym porządku poskapila.

– Pan Bóg, a nie natura – zaoponował nie tak mocno, jakby należało, Kacper. Przyjął, iż natura oznacza to, co niepojęte. A co niepojęte, jest niebez-

pieczne. Tym bardziej że zauważył, iż mistrz Akken określa naturę jako wszechpołączną moc bez określonego imienia, ale na tyle mocną, iż z nią sam Bóg, ten któremu malarze przydają długą brodę jako godło, musi się ukladać.

Na to mistrz Akken świsnął, być może żartował, identycznie jakby miał piszczałkę umieszczoną w nosie. – Phi, Bóg, a tak, Bóg być może też, ale natura przede wszystkim. Tylko nie chwal się tą wiedzą, jeśli chcesz jeszcze długo nosić głowę na tej wdzięcznej szyi.

Już zieloniutka trawa czupurnie sterczała pod jeszcze bezlistnymi gałęziami drzew, wody pociemniały. Powietrze dyszało, wreszcie zakwitły pierwsze bzy, motyle igrały. Ostatnie tygodnie wiosny były nudne, mistrz Akken zanurzył się w lekturze i skąpił Kacprowi uwagi, a panią klucznicę pobolewała głową. Kacper karmił gołębie i w fosie przy klasztorze sióstr Brygidck puszczał z kory i piór łódki.

Bura burza cięty, patroszyły, wręcz ranily niebo. Dwie krótkie powodzie jak ścigane doświadczyły okolice. Umorusany diabeł, ten z niższej hierarchii: polny, pokazał się w całej swej niecnej postaci dwóm pobożnym kobietom. Bezwstydną cap obnażył się, przyrodzeniem jak maczugą kręcił i jeszcze płaczkliwie napraszał się, żeby go one, wylęknione, obmacywały.

Znów duszna jesień broczyła kolorami. Październik, rozpuszcnie bujny, pijany dohrodziejstwem kolorów, lupieżca liści, laskawy dla zagubionych dusz tego roku Pańskiego i chwalebne, bo niepokoje ustąpiły, przyszła szparko zimna jesień, wiatry ze wschodu zadęły, liście opadły, jak barwna sucha ulewa rozlańczone, w przeciągu dwu dni. Na Świętego Gaudentego biskupa bystry losoś ze słonego morza pruł w górę rzeki, żeby złożyć ikrę. Gaje, lasy poszarzały nagie i posępne, bez liści, pastwiska wypłowiwały, pola na szaro szemiały, w sadach na potęgę gnily spody owoców późnych odmian, wokół cierpko pachniało zgnilizną, dymy przygasały. Niedługo potem łąki za miastem przymrozki powlekły szklivem, na kanałach zamarł ruch barek i łodzi, wrony smętnie pokrzykiwały. Zdarzało się, że nocami sypało ziemistą śniegową kaszką. Szła pora wielkiego uboju i odpustów. Mistrz Akken nakazał na ten czas trzymać ogień na kominku, jako że był dziwnie uczulony na chłody i poczęły nim wstrząsać dreszcze. Mimo staranności, bywało, okna od podwórza zarastały szronem. Tyle że groble posiwiały i również szron je pokrywał, ale mocniejszy, jednako baronów gościńce, kupieckie drogi, wieśniacze ścieżki, bez wyróżnienia.

Nastaly takie czasy, że przy stałej obecności płomieni na kominku i parskaniu szczap przytulnie wyglądała paradna izba z krzyżowym sklepieniem i mistrz Akken, codziennie syty, częściej się wypogadzał. Zwłaszcza gdy ogień pełgał po smolistych lubniach, jak pomazany świeżą krwią prężył kark, wtedy dywany przyjemnie ciepłem szurały i rozścielaly się igrające półcienie, półzjawy. – Spójrz chłopcze, ileż cudnych oczarnowań można spotkać na tym świecie i to na co dzień, jeśli ma się wolę, aby być zadziwionym – orzekł mistrz Akken i czubkiem buta wskazał na rudawy cien drgający postrzępionym konturem. – Ja zaś tu dostrzegam całą skończoną okrutną scenę, krwawy mi, oto mroczny Satum osiwiwały, zwiotczały, posępnie zazdrośny o swe przewodnictwo bogom, wręcz staruch-bestia zwany inaczej Kronosem połyka kolejne swoje dziecko stając się uosobieniem losu zadającego bezwzględnie śmierć każdej istocie. – Czy mógł wiedzieć, że właśnie wtedy Kacper we snach spotkał pięknych ludzi na zielonych łąkach w ciemnych borach, rumaki cwałujące, mile dziewczuszki trzepoczące powiekami i o lydkach spryskanych wonną rosą.

Nieodmiennie, jeśli czas, w którym znaczą dni tygodnia, zastał go w domu, mistrz Akken przywołał jak co sobotę balwierza, żeby go oporządził względem brody tudzież reszty widocznego owłosienia, hacząc, by ulubiony profil tejże brody nie został naruszony. Tym razem przybył nowy rzemieślnik i niepokojący, gdyż omotany indyjskim zapachem pomad i maści, nieduży, nader czarniawy, oczy ogniste, w stroju cudzoziemskim, nadzwyczaj ozdobnym, wyróżniający się gestami i minami zawilimi. W przesadnie jak na rękodzielnika strojnym granatowym kapeluszu z białą kitą, rozmiarem i ogromem w tych stronach nieznanym, co nie przeszkadzało wykazać się znakomitym kunsztem. Biegły, gadatliwy podczas całego zabiegu w południowej mowie, pobrzmiwającej korzeniami wschodnimi i gładkiej dla ucha jak lewantyjskie słodkości dla ust, mistrzowi jakieś zajmujące historie opowiadał.

Mistrz Akken kilkoma słowami w tejże mowie pytał, ale w jego ustach ta mowa nabierała szyderczej twardości, w pewnej chwili nawet Kacper pomyślał – czy aby mistrz Akken z balwierza się nie naigrywa, ale tak otwarcie to nie było do niego podobne, mistrz swoje szyderstwa trzymał przeczornie na boku, nawet jeśli by chodziło o balwierza. Owe żywe srebro, cudzoziemski balwierz mówił i gadał, nawet coś jakby podśpiewywał, ale przy tym naleźycie strzygi, nakrapiał, pryskał wonnościami, pomadował, masował kark, rozcierał policzki i brodę, z dziurek nosowych zręcznie wyluskiwał wioski oblepione kropelkami wydzieliny w kolorze wrzosowego miodu. Zakończył całe oporządzenie w kwadrans i począł kłamać się szeroko i nisko.

Opryskany wonnościami, lśniący niebieskim połyskiem na twarzy, z ostro podciętą kryzą brody wstał mistrz Akken zafrasowany. Z chmurą zadumy na czole. Wielce go ta rozmowa poruszyła, bo kitel odrzucił niedbale (czego nie miał w zwyczaju) na oparcie krzesła, wręczając zapłatę, zadumany oczami pokazał balwierzowi drzwi. Błyskający z cudzoziemska kocimi zębami balwierz prędko i nader sprawnie, niczego nie roniąc, gdyż wszak prawie wyganiany, wepchnął bez porządku do torby puszkę, grzebienie, brzytwy, nożyczki, flakony, flakoniki, cążki do pozbywania się włosów z nosa i ten cały pozostały drobiazg, którego nazwać nie sposób, bo pewnie nie miał jeszcze niderlandzkiej nazwy. Balwierz-czarodziej, bo zaczarowany się zdawał, ukłonił się dwa razy, już sztywniej. Ledwo mistrz Akken oczyma wskazał, gdzie ma szukać zapłaty, balwierz zgarnął co przynależne i szybkim skoczonym krokiem oddalił się.

Mistrz Akken stanął przy pulpicie (upozowany w godnej pozie, broda uniesiona, jako i brwi napięte), na którym dziś wyjątkowo nie spoczywała żadna księga albo chociaż list (który zazwyczaj domagał się pilnej odpowiedzi), kiedy umilkły drzwi i zwykle mruczenie domu popadło w przyjazny szmer, spleciony z pogwarek w kuchni, gadanie schodów, sapania murów, rzekł nieco ciszej, czym uwagę słuchającego znacznie przykuwał. – Dziwisz się mojemu poruszeniu Kacprze i słusznie czynisz, bo nadzwyczajna nastąpiła okoliczność. – Zaiste, nieco się mylił, gdyż Kacper już przywykł, aby się u mistrza Akkena mało czemu dziwić, ale przytaknął, żeby się przypodobać. – Wyjawię ci powody, na ile je mogę wyjawić. Ten człowiek, balwierz, zwyczajny balwierz powiesz, o nie, on nie tylko balwierz, on informator, cenny i rozumny, śmieci nic przynosi, to dumny Kastyljczyk z hiszpańskich krajów pochodzący, wiesz, jakie mi nowiny przyniósł? Otóż zaskakując, choć tak musiało się kiedyś stać. Pewien rudy Włoch z Cienui

zaplanował sobie popłynąć na zachód, aby tą drogą, która dla wielu wydaje się szaleństwem, do Indii dotrzeć. To oznacza, że byli, są, a będzie ich jeszcze więcej, tacy śmiałkowie, którzy twierdzą, że nasza ziemia ma kształt kuli, ewentualnie gruszki. Ja się przychyliam do poglądu, że jest niepojętych rozmiarów kulą, oni wysnuwając z tego przekonania wnioski, że konsekwentnie wędrując w jednym kierunku, nie zbacząc ani na jotę, dojdzie się do tego miejsca, z którego rozpoczęło się peregrynację, czyli wyruszając na zachód powrócimy ze wschodu. – Wykonał kilka szybkich kroków i położył swą dłoń na dłoni Kacpra, ten znacznie poczerwieniał, coś z niego uleciało. – Tak – syknął, wydał wargi i ze zgrzytem, jakby coś go uwieralo – Jeszcze nie czas ku temu – wyszeptał, grymas przeciął usta, wycofał dłoń. Ale coś jednak uczynił, a była to przestroga. – Zapamiętaj chłopcze, nigdy i od nikogo nie oczekuj wdzięczności i sprawiedliwości. Każdy dąży do jednego, chce żyć kosztem drugiego, odrzuć te historyczne mrzonki o miłości bliźniego.

Jeden z wielu gości mistrza Akkena (a przecież było tych dziwnych bez liku i jeden dziwniejszy od drugiego) pokazał się zaprawdę szczególnym. Zimne mrowie chodziło wokół niego, jakby jakieś duchy otaczały go całą gromadą. Wieczorem, w porze, w której ustają prace i myśli się o odpoczynku, Kacper ujrzał postać tak odmienną dotąd oglądanych, że głos zamarł mu w gardle. Postać w habitcie, lecz świeckim, takim jakich używają pielgrzymi, zakapturzona, kiedy jednak przybliżała się do świecznika z płonącymi świecami, dało dostrzec się cienie, bardzo cienie, zle usta, podobne do bliźniaczych żmii rzadko zażywających spoczynku, kąśliwą brodę, orli nos, biały nad podziw, jakby doklejony do smagłego gładkiego oblicza zjawy, oczy wąskie, szare, zgoła legowiska przyczajonych błyskawic, gniazda piorunów. Mistrz Akken widząc przybyłego zatrwożył się bardzo, ale i ucieszył nieco, jego oczy mówiły – stało się to, co musiało się stać; gwałtownym ruchem odpędził Kacpra, kazał podać wino, wodę i owoce i zapowiedział, że przez godzinę jest nieobecny dla świata. Zamknął się z przybyszem, który ciskał spojrzeniem wokół, rzekłbyś, wodę by podpałił.

Coś niecoś Kacper podsłuchał, choć niewiele dało się usłyszeć, zaś wywnioskować jeszcze mniej, jedyne strzępki: papież, kara boska, upadek i pomsta. W izdebce przy bibliotece mówiono bardzo cicho (jakby w przytomności kogoś konającego, kogoś, kogo się ludzi wyzdrowieniem) rozmowa toczyła się w dźwięcznej mowie kwiecistej przemieszanej z łaciną, nieco jakby ptasiej, śpiewnej i zadziornej. Domyślił się, że to śpiewna mowa Italczyków, tego prędkiego narodu malarzy, rzeźbiarzy, papieży i muzyków, o którym dużo dobrego słyszał już poprzednio od mistrza Akkena. Osluchal się nieco z tą mową, kiedy do miasta przybyli zaraz po Wielkiej Nocy wielki rwetos podnosząc Italscy linoskoczowie i brzuchomówcy, kobiety z brodą po pępek też eksponowali i atrakcję nie lada: zmyślnego capa, które to zwierze do dziesięciu liczyło potrasając lberm wiadomą ilość razy. Całe towarzystwo w petrokacyjnych strojach przypominało te barwne postacie przedstawione na talii kan, tarokiem nazwanych, które to karty mistrz Akken darzył wyjątkowym nabożeństwem połączonym z obawą, że w tych kartach jest więcej niż tylko zapowiedź przyszłości. Jeden spośród tych radosnych przybyszów, oliwkolicy, drobny, w czerwonym kapeluszu kroczył po napiętej jak smycz linie rozpiętej ponad ulicą i jeszcze zachwycał grą na flecie, wesołymi melodyjkami.

Tajemniczy przybysz z Italii długo pod dachem mistrza Akkena nie zabałwil, ale i tak to była burzliwa wizyta. Wychodząc chmurny zamasyście cisnął mroźące spojrzenie na Kacpra, jakby zapowiadał – Miej się na baczności, robaku! – Gospodarz osobiście wyprowadził go kuchennymi schodami na podwórze, tam gość wsiadł do powozu i szybko odjechał. A przez parę następnych dni mistrz był opryskliwy, bardzo zagłębił się w myślach. Kacper nie ważył się dociekać powodów. Dopiero po pewnym czasie, jakby nie wprost nawiązując do przybysza w kapturze powtórzył pouczenie króla Salomona. – Gdy niewolnik staje się królem, ziemia zdręży. Tak prawdą jest, co mówią niektórzy, iż z ust mistrza Akkena sypią się nie słowa, ale prawdziwe perły mądrości. Nie była to jedyna tak intrygująca wizyta. Częściej chyłkiem, skrycie, w ciemnej porze, w najgłębszej tajemnicy wkradł się do mistrza Akkena człowiek milczący i zakapturzony tak szczelnie, że jego twarzy zobaczyć nie było sposobu. Dostrzegalne były jedynie oczy tego człowieka-zjawy, czarne, przenikliwe, jak u zwierza szykującego się do ataku, zapadające w duszę rta całe życie. Kacper podsłuchał, jak w kuchni pani klucznicza, niewiasta rozsądna, poruszona tą wieczorną wizytą, blada i roztrzęsiona szeptała do zaufanej sługi nastawiając trwożnie uszu – Znowu ten nieszczęsny dom nawiedził demon! Jeden diabeł przyjmuje drugiego złego i obradują.

Słyszając te słowa sługa błędnie i bogobojnie się żegna. Klucznicza, stara wdowa, w której wdowieństwo ścięło krew tak doskonale, że starą wydawała się być od zawsze, zmurszała, z zielonkawym meszkiem na brodzie i czerwonym nosem pajaca, zawsze opuchnięta, utyskująca na pogody i uskarżająca się na obyczaj pana domu, tej nocy padła na klęcznik i długo w głuchą noc harującą nietoperzy odmawiała pokutne litanie.

Każda taka mroczna wizyta wzbudzała u mistrza wielkie poniesienie, przez kilka następnych dni był ponury, cichał słowa, pograżał się w zadumie, w okno patrzył, był przygnębiony i tracił apetyt, mówił, że melancholia go dopadła. Albo że bije się z myślami. Co znaczy, że mistrz bije się z myślami, niedobrze było dociekać. Przed takim zamiarem solennie przestrzegala klucznicza – Znowu w głowie mistrza zalęgą się demony. Gdyby nie przysięga uczyniona w porwie serca, dawno rzuciłabym ten dom!

Słyszając owe pogrożki albo komentując – kiedy mu o takowych donoszono – mistrz Akken nawet nie raczył się uśmiechać, tylko parsknął ze dwa razy żywcem, jak ten koń, któremu nałożono zbyt tępe wędzidło.

Ale nie tylko mistrza Akkena odwiedzano, on sam też wypuszczał się w podróże, nie mniej niepokojące niż te odwiedziny człowieka z białym nosem w kapturze. Niezbyt często zdarzało się i to zazwyczaj nagle, z takim pośpiechem, jakby uciekał z płonącego domu. Raz z takiej wyprawy oprócz drobnych prezentów przywiózł radę. – Mój chłopcze, przyjmij raz na zawsze prawdę, iż największym nieprzyjacielem artysty jest jego własne ciało i potrzeby czy też kaprysy owego ciała. A najgorsze są proste żądze, które klechy nazywają obowiązki względem bliźnich!

Więc mistrz Akken albo opuszczał dom i przepadał na całe tygodnie, albo przeciwnie, potrafił tkwić całymi dniami od świtu do północy samotnie, jak eremita studiować, pisać, rozmyślać w ciszy i skupieniu. Jadał wtedy mało i byle co, w przeciwieństwie do normalnego toku życia, kiedy jadł dużo i wykwitnie, a posiłki lubił celebrować, okraszać dobrym winem, łagodnym pulsowaniem płomienia świecy. Pisanie listów to wielka sztuka i jeszcze większa celebra. Mistrz Akken musiał mieć inkaust dobrze czerniony,

zamknięty w kałamarzu rogowym lub szklanym. Pęk dostrojonych piór gęsih bądź labędzih ostro przyciętych, nożyk do temperowania takowych, lineal i ryłce do liniowania (jeśli zachodziła taka konieczność), plik kart, laseczkę wosku konieczną do pieczętowania, zapaloną świecę na podorędziu i dobre światło. Mając to wszystko zgromadzone, dopiero imał się pulpitu, odżegnując się zaklęciem od dręczącego duszka – biesa przewrotności, utrapienia wszystkich kopistów – Titivullusa. Oglądał badawczo pod światło pióro, sapał, kładł starannie kartę papieru czy pergaminu, maczał pióro w kałamarzu i na próbę kreślił wymyślne fioresy: przypisane probationes pennae na skrawku jakiegoś papieru. Sprawdzając, czy pióro właściwe i czy inkaust nie zanieczyszczony, podrabiany albo zatęchły.

Najczęściej bywało tak, iż mistrz Akken na pisanie listów przeznaczał cały dzień. Kiedy z rana lekko nadąsany ogłaszał dzień kancelaryjny, wtedy miał Kacper odpuszczenie z obowiązków. Mając swobodę polubił msze, obrzędy oglądał jako świetne spektakle, w których tylko przypadkiem wspomina się o jakimś Bogu, który jest Bogiem Litościwym. Bóg, z tego co się dowiedział, miał być kimś pamiętliwym i zazdrosnym, ale jednocześnie bytem koniecznym, tak, bytem koniecznym, wedle słów mistrza Akkena. Takim niebiańskim cesarzem nad cesarzami, królami, biskupami i papieżem. Mistrz odprawiał korespondencje, a uczeń mógł do woli odwiedzać kościoły. W innych okolicznościach mistrz Akken krzywił się, gdy Kacper wybierał się na mszę – Zachciało ci się sinazyć w odorze zaklamania i świętego kadzidla, przecież masz zostać artystą, a nie bezmyślnym klechą klepiącym swoje pacierze.

Jakoś w listopadzie, w porze tkania i warzenia piwa, mistrz Akken oddał się dłuższemu pisaniu. Całymi dniami przesadywał nad manuskryptem, pani klucznica bogobojnym acz załęczonym szeptem wyjawiała, iż – nasz pan powziął zamiar stworzenia dzieła swego życia, nie przeszkadzaj mu chłopcze, bo się będzie strozył, znajdź sobie sam jakieś użyteczne zajęcie. Jakie to miało być dzieło, nie sposób było się domyślić ani dociec. Mistrz Akken począł obnosić się z nadętą miną, pomrukiwał cudzoziemskie słowa, przystawał przy ścianie i palcem kreślił w powietrzu znaki, całe figury. Następnie rozwierał szeroko okno, wychylał się i dysząc długo lapał powietrze. W nocy też pracował, światło palił, kazał sobie wino podawać i bakalie. Kładł się do łóża z kurami i pani klucznica miała nieść baczenie, aby cały dom utrzymywać w ciszy. Kacper szeptem, inaczej zabronione, pytał – czy może sam znaleźć sobie zajęcie? Pani klucznica machała ręką na zgodę.

Zatem cóż może być pożyteczniejszego i pobudzającego zmysły dla wrażliwej duszy niż nawiedzanie kościołów dla ich urody i by poczuć przyjemne odurzenie. Domy boże tego grodu były piękne i każdy odmienny od drugiego, tak jakby każdym osobny Bóg zawiadywał. Zwłaszcza ten pod wezwaniem świętego Jana z przepyszny, niedawno co ukończonym chórem, urzekał. Same budynki to nie wszystko, to jedynie ramy, jak piękne ramy obrazów. Te spektakle, które w owych murach celebrowali księża. Unikalna jakaś nieziemską uroda i zalecany przepych owych mszy nie polegały przecież na boskich sprawach, ale na ludzkiej ułomności, która tak pragnie, aby się zachwycać. Dzień w dzień od wieków w szacownych murach: oto z wołna, zgodnie z przypisanym rytuałem, zaczyna się, nieśmiało ćwierkając dzwoneczki w ręku zakrystiana. Pomruk, jakby wiele dzwoneczków zlewano się w jeden, rozlegał się pomiędzy ludźmi, czyjeś młode, olśniewająco modre oczy pociemniały ze zdumienia. Na to nakładał się już z wyso-

ka, jakby w całości ku niebiosom wystawiony chór. Jego przewodnik w szacie proroka, kudłaty, zacisnął usta niczym pętle i uniósł ponad głowę lewą rękę, żeby widać, ale godnie „gwidonową dłoń” i wskazującym palcem prawej dłoni pokazywać w ściśle określonym porządku na stawach znaki, wygładzać słodko wyśpiewywane motety zrodzone w przesławnej katedrze w Brugii. Całe to misterium chór odczytywał jako wyznaczenie różnej wysokości dźwięków. Zgromadzenie najpierw na chłodno, jakby zbierało mroc, ciężało następnie strzeliście, jakby bożym ogniem natchnione, intonując łaciński hymn. Chór w fioletowych pelerynkach z galonami, zazdrość brała patrzeć na cudowne stroje.

Wymaszczony śpiewami kościół pojaśniał imponująco, rozrastał się, zapalone lichtarze wniesiono migoczące jak pęki najczystszych gwiazd. Kiedy zdawało się, że chwalebne modlitwy rozsądzają świątynię, ksiądz celebrans w asyście rozmodlonych ministrantów wkroczył. Na widok tego pocztu ministranci cienkimi głosami podjęli modlitwę, rzeźbiona balustrada oddzielająca lud od ołtarza zatrzeszczała. Poblądle pacholeta w białych komeżkach wianuszkami przytknęły u stóp ołtarza i noski zadzierzały, jak praszczyń dzióbki. Siwy diakon o twarzy krewnego Pana Boga w uroczystej dalmatyce, hafty niby zeschnięte kwiaty na bielutkiej na sztywno krochmalonej albie, puszył się, kiedy księgę oprawną w saflan na szkarlatnym pulpicie rozkladał i między właściwe strony zakładkę ze złotych nici wkładał. I już przyskała niby srebrne lzy święcona woda, grzechy z ciężby wyparzając. Celebrans znakomitym się okazał mistrzem gestu, miny i postawy: marszczył brwi, wypinał kark, rozrywał oczyma, unosił ręce białe i falujące niczym strzępy chorągwi. Jakby odpędzał diabelskie podmioty miotające się gdzieś blisko w powietrzu. Kapłan obwieszczal wielorako wielką obietnicę, w dramatycznych słowach opisywał chwalebny mękę Zbawiciela, w słodczy cudowną niepokalaność Dziewicy, w chwale przymioty legionów świętych, w potępieniu zgrozę wiecznego ognia piekielnych trzewi.

W zwykły dzień przychodziła stała publiczność. W tylnych ławkach tłok, te z przodu kolatorskie i te ławy rady, pod baldachimem ustrojonym w herb grodu, w zwyczajny dzień puste i oniemiałe. Czasem z nagłą zaniósł się spazmem jakaś zaptakana wdowa w żałobie po majstrze sukienicznym, pokurczona i rozdygotana niczym kopka czarnego siana. Zgromadzenie wiernych dnia codziennego składało się z paru tuzinów proszalnych łab, handlarzy ryb czekających na dowóz towaru, bezzębnych starców, łachmianarzy (wyschnięte szkielety obciążone gnijącą skórą z liszajami i ropniami, obasypane wrzodami), pochlipujących wdów o błyszczących oczach rosących łzami i zawodzących niczym chór płaczek z zaświatów. I w zenicie mszy podnoszona tryumfalnie, jak głowa pokonanego wroga, monstrancja złota wykładana klejnotami z kropelką bieli, suchotniczy kapłan o natchnionych oczach ptaka, ornat na nim perlił się, jakby papuzie pióra. Po plecach wiernych przeleciał dreszcz. Dzwony rozbuchały się, były pod stropy niebios, omiały dachy, przed ołtarzem spowitym w dymy wdzięcznie wtórowały im dzwoneczki. Ludzie jedną falą, niczym podcięty pokos zboża, przygięci na kolanach, kaftany na plecach zabłysły, bo buchnął na nie ten ogrom jasności, jak gdyby rybią łuską. Nadęta chmura kadzidla zabieliła się i rozszerzając przybrała formę wonnej kopuły. Trwał wielki pokaz, demonstracja doskonalsza od widowisk komedii dell'arte, tu nic nie pozostało przypadkowe. Cały kościół był sceną i cały w obrzędach uczestniczył. Choćby na ścianach przyciemnione freski, osadzone niczym zwierciadła ukazujące za-

wsze ten sam czas i te same pozy. Barwne przedstawienia scen biblijnych, postaci ludzkich, świętych, a każdy święty mizerota w aureolach jak dyski i jakieś pisma bądź przedmioty własnej męki trzymający, mnogość węży kuszących czerwoniutkim jabłkiem nadobnie długolice białe Ewy u wodnistych oczach zjaw płasające w zieleni i kwiatach, oplecione rozpuszczonymi włosami jak grochovina, pękających dzbanów z chluzającą wodą, rękojmią Chrztu świętego, bez liku aniołków wszelkiego stanu, fruujących, dumających na obloczkach lub skaczących pośród skal wodospadów. Wreszcie w śródtku, tu dech mogło odebrać, w najgłodniejszym miejscu, tam gdzie jak po sznurku zbiegały się wszystkie oczy wiemych, zasadzała się okazała postać samego Boga Ojca.

Kacprowi osoba Ojca Najwyższego przypominała pospolitego zinnookiego oberżystę o drętwej minie starca brodatego i wielkogłowego w błękitnoszarej szacie sięgającej aż do ziemi. Z czasem odkrył, iż ów Bóg Ojciec z twarzy i z postawy prezentował się zupełnie jak ten kłótlivy dostawca ryb – Herman Niemiec. Z tą różnicą, że Herman Niemiec z lubością gazy popuszczając i beki rozsiewając nosił kosze z rybami i krótki fartuch błyszczący rybim tłuszczem, zaś Bóg Ojciec pozwalał się podziwiać w gwardii uczynionej z chorągwi przeciętych czerwonym krzyżem i gąszczu obloczków ustrojonych anielskimi pyzatymi główkami. Pomimo migotów, kadzidel, dzwonek, lacin, całosc obrzędów wydawała się jak kunsztownie zdobiona szkatulka, która zawiera w swym wnętrzu nieodgadnioną tajemnicę i to, co się widzi, jest błyskotliwą oprawą.

Zwyczaj nazajutrz po takim listowym dniu następował jeden z tych, po którym spodziewamy się, że przyniesie nam coś wzniosłego, taka jakby cicha niedziela poza kalendarzem. Bez wiatrów, ocieplilo się i nastala duża przejrzystosc powietrza. Mistrz Akken przechadzał się po komnacie i nie głośno, ale i nie za cicho, odpowiednio przykuwając uwagę objaśniał Kacprowi (wcześniej polecił, aby ten zajął miejsce za dodatkowym pulpitem, który dostawić polecił) obecną sytuację w krajach ościennych i w samych Niderlandach. Kto jest władcą w danym kraju, jaka w królestwie stosuje się primogenitura, ile lat taki władca panuje, jakie przydomki nosi, jaka sila zbrojna przy nim, z jakim władcą jest w sojuszu, a z jakim wojnę może wszczynać. Opowiadał, gdzie mieści się stolica danego władcy, czym się ona charakteryzuje, jakie ma zaniki i twierdze, czy jest portem albo czy leży na równinie bądź też czy rozłożona jest na wzgórzach, niczym macierz nasza wieczna Roma. Jaka mowa w danym królestwie, jaka moneta w użytkowaniu, jakie miary i wagi w zastosowaniu, jakie są wszelakie herby i rycerskie zawołania, potrawy i obyczaje, sławne uniwersytety, przymioty i wady narodów. Jaka następuje hierarchia grodów, w czym wyższe jest civitas od opida? W których krajach hoduje się najlepsze konie, a w których najsprawniej uklada się psy do polowania. Czas, godziny i dnie, wschody i zachody słońca, odmiany księżyca i patrzcie ludzie, był skwar, a tu już pierwszy śnieg lekki i białutki niby gęsi puch na krótko obielil gród. Mróz polizal uszy, cienutki lód zaszklił ciemne wody. Tak się przyjęło, że mistrz Akken więcej czasu poświęcał Kacprowi w czas chłodu, wszelkie podróże odłożono do wiosny. Przyszła na krótko odwilż, w dzień tajało. Ludzie, jak to ludzie, przyjęli ją jako prognostyk łagodnej zimy. W czarne zakopane noce pojedyncze pochodnie smoliscie dymily, za dnia na uschniętej gałęzi topoli na płacyku siadywal nadepty gawron i wodzil ślepkami za rozbrzydka dzieciarnią, w jarzębinie sikorki obrabiały suche kiście wybladłej czerwieni.

Nocami przyszly mrozy. Zatem zima dojrzała, a ziemia stwardniała niczym zelazo lub rzemień od tych grudniowych mrozów. Na dwie niedziele nastala pora zimna i bezśnieżna, przez to cale miasto przybrało ton szary jakby szykowało się do pokutnej pielgrzymki. Od polowy grudnia, w wilczym miesiacu trzaskajacego ognia na kominku i aromatu imbirowych ciasteczek mróz ciął, kasał i gryzł, a wichury byly jak zastęp potępieńców. Pojawil się w końcu, bo wyczekiwany, trwały śnieg. Martwe plaki znajdowano pod drzewami, w ciemnościach wilki byly. Największy śnieg ten, o którym powiadalo się, że jest cesarski, spadł dopiero na Uroczystosc Objawienia Pańskiego, kiedy zwyczajowo ucieszni przebierańcy pukali do bram głośno obwieszczając swuje przybycie, i zalegal do polowy marca. Od pierwszej chwili lśnil zlodiscie, a zasy dziwaczne cienie rozrzucaly, co też niektórzy poczytali jako znak i przestroge. Wtedy też na kanałach i stawach ścietych lodem rozbiegly się gromady dzieci i wyrostków, ślizgajac się na zelaznych albo koscianych lyżwach. Sople lodu oderwal się od gzym-su i rozbil na ubitym śniegu dzwoniąc niczym szkło. Mistrz Akken wówczas stracil zainteresowanie w kwitnym jadle. Zarządził, aby przez dwie niedziele odżywiano się w domu Pod Hazyliszkim kaszą, ledwo co okraszona stonina, prostym piwem od kramarzy, wędzona rybą i cebulą. Czemuż to, ano popadł w kolejne i daj Boże chwilowe dziwactwo. Nikt jak mistrz Akken nie cenil sobie rozkoszy stołu. Przeciez to on powtarzal, że w plastrach paszletu z dziczyzny zachowuje się bieg zajaca i lot kuropatwy na wrzosowisku. Że każda kropla wina zawiera oddech słońca i sok ziemi, tej, która zrodzila winogrono.

Znow odmiana, w dzień przy słońcu duszne cieplo lizalo. Za to nocami późnojesienne wiatry sypką śniegową kaszką cięły i zasypywaly wglębnia. Przed świtanie przynitrozek pokrywal drzewa i dachy warstwą szronu, na stojacej wodzie iskrzył się cienutki lód, szleścił pod butami, jak kęski szkła. Szemiały kępy wierzb i brzożek.

W tygodniu zaś poprzedzającym Boże Narodzenie w domu mistrza Akkena wykwitnie acz bogobojnie delectowano się karpim w sosie rodzynkowym. Podlug starego przepisu dorodną rybę duszono na wolnym ogniu, czym nasaczano cale domostwo blagim aromatem w zawieszonym wywarze z pieprzu, cynamonu, cytryny z odrobina soli, z wielką iloscia miodu i nadzwyczajnym bogactwem rodzynek.

Dobre czasy i złe chwile, tak to przemienne się przeplatalo. W mroźny i jasno zadzierzasty dzień (słońce istnym białym złotem się zdawalo być wylane, a niebo tak niebieskie, że aż w oczy parzyloi świętych Tymoteusza i Tytusa sypnęło śniegiem godziwie już znacznie przed wieczorem. Na styku wieczoru i nocy, w wilczej porze, kiedy demony przybierają postać człowieka albo zwierzęcia, w mieście wybuchł z nagle pożar diabelską ręką rozniecony. Ktoś czy coś podložilo zdrażnicę żagiew pod kościółek świętego Polikarpa na Pobożnych Groblach przycupnięty. Jak dotąd utrzymywano, od kiedy miasto bylo grodem na tamtejszych groblach, żaden demon, nigdy, przenigdy się nie pokazal, bo i jaką by odniósł korzyść. Kościółek chudzina, drewniany, malutki, cichy, prawie zapomniany, nad wyniz skromny, nikomu dotąd nie wadzacy, jedynie od wielkiego dzwonu rozświetlany świecznikami. Naraz huknęło, ale tak przejmujaco, jakby mocarz jakiś odłupywal od zdrowego pnia dębu tęga szczapę. Ogień mocny wystrzelil pietnistą strzałą, ale zrazu przypuszezony lekkim mrozem i gęstym powietrzem skupil się pod dachem, tam większej mocy nabral, za krótką chwile, prawie

jedno mgnienie oka, czerwona luna przeżyła się ponad szczytami. Podskoczyli wszyscy hurmem, zespoleni trwogą, z tym, co w rękę wpadło – toporami, bosakami, kubłami, linami, szaflikami, wiadrami z wielkim krzykiem: – Jezu, Mario Punno Przenajświętsza, chudoba boża zgorzeje. – Pobiegli wraz z innymi, poczuwając się do wspólnoty bólu, też Kacper i jego mistrz. Obaj okazując nadzwyczajną chyżość i zręczność w przebijaniu się poprzez pędzący tłum, tak że szybko wysforowali się na czoło. Gdy wkroczyli stosownie godnym krokiem (na ile to się udało?) na placyk – kałużę opryskaną iskrami, krajaną luną, usmarowaną błockiem – przed tymże nieszczęsnym kościołem mistrz Akken pochwylił z determinacją i z jeszcze potężniejszym przekonaniem twarz Kacpra w swe dlonie i zwróciwszy ją w stronę pożaru pociętą szramami błasku twarki zarządził, dysząc czerwonymi ustami – Patrz, nie waz się zamykać oczu, zapamiętaj, tak może wyglądać inferno! Chociaż na moją imaginację zbyt prostackie takie widowisko. Tak czy inaczej biedny ten święty Polikarp, niegdyś go pogańscy Rzymianie pchnęli puginałem, potem mu doczesne ciało spalili, a dziś nawet ten mizerny przybytek też spłonął.

Omiotane, w szlochach i błaganiach dwie mniszki na pożar wystawiły obraz Chrystusa na krzyżu, ufając, że wspomnianie cierpienia Syna Bożego odwróci nieszczęście. Zgroza narastała, niemożliwy gorąc chrypiał trzaskiem pękających ścian, chrzęścił i walił jak z czeluści pieca chlebowego. Nienazarte czerwone kury cynobrowe ze wściekłym wigorem, tak rozpasane skowycząc i furcząc rozpelzły się jak szczury roznoszące zarazę, zwiastując popiół i zgliszczą, a tysiącami krwawo czerwonych szponów i dalejże, obmacywać, oblizywać ściany, dach i przedsionek. Purpurowe węże oplatały jak macki potworów kościółek, którego kontury rozplywały się jakby w falującej wodzie, od tego widoku mroziła się krew. Już duszno, już się kupeci z szat, szczypało w zażawione oczy, dławilo gęstym, smolistym dymem, jako że kościół, choć stary, ale z solidnego materiału postawiony. Tryskaly rojnie iskry sunącymi z bulgotem strumieniami jak spod racie opętanego diabła. Burczenie i gruchnęło belkowanie, nikt nie odważył się wskoczyć, żeby ratować liturgiczne naczynia czy księgi, jeśli akurat się w gorzącym wnętrzu znajdowały, kościółek szedł na zatracenie. Trzeszczało i zamieniało się w plonącą jadowicie ścianę jakby kroczące wrota piekiel. Co chwila szyderczo w paszczy trzaskającego ognia zamajaczyła łata szarogranatowego nieba, na której zaczęły poblyskiwać gwiazdy. Sygnaturka z szyderczym świstem runęła obsypując uciekający tłum stosem iskier. Wokół wałaly się i pstrzyły czerwoną noc sterty skorup, nadpalone graty, ławki, skibki chleba, szmaty. Sterczały upalone czarne kikuty drzewek. Ościisty kurz, sadza i popiół we troje drapały w gardle, powodując kaszel. Swąd dławił, lzy wyciskał, piekł, popioły szeleściły. Ogień szalał w postaci potwornego węża, polykał co jeszcze pozostało do połknięcia z nienawistnym chichotem.

Co popędliwsi bądź mocniejsi wiarą księża trojako mocowali się ze zdradzieckim żywiołem: wznosili krzyże, kropili ognistą bestię święconą wodą, odpędzali litaniją. Już skwar lepil włosy, dusiło. Wtedy bulgotały kałuże zrodzone z przemiany śniegu w wodę pełne skaczących rozbryzgów, dopełniło się, tylko godziny wystarczyło, żeby kościółek zamienił się w kupę dymiącego popiołu z trzęsawiskiem dopalanych belek.

Stary ksiądz, chudzina cudem z pożogi wybawił cyborium.

Jakiś szczególnie zajadły plomyk przyskoczył, liźnął czubek trzewika. Mistrz zdeptał go, tak jak się depeze łąb żmii. Za chwilę dziwnie uradowa-

ny, choć okopcony, przysmażony siedział na przypadkowym zydlu pod drzewami i z przymkniętymi oczami być może się modlił. Wtedy też dym z micjsca kłasnętego ogniem najintensywniej, mocny i tłusty jak korzeń, z którego wyrastając, przybrał kształt odcisniętej w powietrzu rozwarłej dłoni Pana Boga. Skoro ten osobliwy dym rozszedł się jak każdy inny, mistrz Akken bez słowa powstał, szarpnął za rękaw Kacpra, z brody zdmuchnął płatki sadzy świecące jak czarne księżycy. Powracali przybici, jakby to oni sami stali się pogorzalcami. Kasłali, w gardle wierciło i oczach szkliło. Mistrz Akken kryjąc nicco, lecz wystarczająco, jak na pokuz osmolone ręce w rękawach, wypluwał czarniawą ślinę, z mieszaniną ironicznego zwycięstwa i żalu odezwał się – To był jednak znak, zauważ chłopcze, jaka jest przewrotność diabła, taka ubożuchna kapliczka przecież, a nie bogata katedra, a właśnie ją, sierotkę pośród dumnych świątyń, diabeł na zniszczenie sobie wypatrzył i zamiaru dotrzymał – dokończył z przekąsem, tak jakby go ten diabeł zawiódł. – Od trzydziestu lat staram się pojąć, na czym polega diabelska metoda, jaką się kieruje względem ludzi i coraz mniej pojmuję, wychodzi na to, że diabłem również rządzi przypadek, tyś młodszy, może tobie kiedyś będzie dane rozstrzygnąć, czy to metoda, czy obłęd.

Tymczasem dopiero poniewczasie ocknęły się dzwony z tych kościołów, których tym razem Pan Bóg nie doświadczył, obco obwieszczały czas komplety. Długo, boleśnie tęsknym spiżem wybrzmiewały. Dźwięk ich był tak stogi, że ogniste mrowie rozpelzło się po plecach. Sinawe piaty rozplywały się w błoto. Powietrze podzieliło się: z jednej strony ostre i lodowate, z drugiej, tej od pogorzelska kwaśne, gęste, skłębione, ciepłe, zwyczajnie brzydkie i czarne, jak piwnica pełna węgla. Dalej i jeszcze dalej uliczki czerniały milczące, bo zatwożone, zaczęli bmać w głębokim, mokrym śniegu. Futrzana opończa zaciążyła mistrzowi Akkenowi, gdyż garbił się jak starzec, który niczego dobrego nie spodziewa się spotkać w przyszłości. – A teraz śmieję się ze świętego, bo ominęła nas burza, jakby powiedzieli Italczycy – podsumował, ledwo pierwsze drzwi za sobą zamknęli.

Świeczka w sieni dopalała się, kiedy weszli i stupywali strzępki śniegu. Naraz ciemność pękła na dwoje. Z izby-komory drobnym krokiem wyszła pani klucznica z krótkim łuczywem w dłoni. Spojrzała na mistrza surowo, jakby czegoś się odeń domagała. – Okrutnie się mocowali – głucho i obco, jak zza ściany orzekł mistrz Akken odbierając podawane łuczywo, ze zmierzwioną brodą i przekrwionymi oczyma. Wnet pozbywali się wierzchniego odzienia, mistrz Akken, przez co bliskość nastąpiła pomiędzy nimi, położył dłoń, dziwnie ciepłą, na ramieniu Kacpra i nieco rozmarzony, jak to u niego, z wennym spojrzeniem, ale z technieniem popiołów rzekł głosem jakby nadłamanym i wilgotnym:

– Mój chłopcze, przyjmij, że pożar również należy oglądać jako igrzysko, przedstawienie, pokaz, pobudzającą zmysły maść na oczy. – Właśnie, wspomnial o oczach, oczy Kacpra szczypały, jakby długo z otwartymi pływali w slonej wodzie, w gardle drapało słodkawe i ościście. – Ten pożar, przyznając, może uchodzić jako zajmujący, ale ja oglądałem już ognie w spanialsze, z większą dystynkcją odprawione i nabożeństwem takoz. Zawierz mi: najpiękniej ploną nie świątynie, nie pałace czy twierdze, ale stopy, na których święty Kościół gorliwie pali kacerzy. Nie znajduję wytłumaczenia, ale jest tak, że iskry z kacerskich stosów nadzwyczajnie wypiętrzają się jak najwyższe drzewo, purpura i szkarłat niespotykanej czystości i pełni zachwyca, żar rozplywa się falami, luna jest równa najdoskonalszej zorzy.

publiczność klaszcze, zachwycona tłuszcza skacze, ochoczo podkłada, płomienie syczą, gwizdzą, bulgoczą, polukują, dzwony dzwoniąc ponaglają, by modlitwą wspomagać duszę, lawina miesza się z wrzaskami, tylko jedno jest wprost nie do zniesienia, feior, paleni ludzie śmierdzą gorzej od palonych kóz. I jeszcze jedna prawda: w żadnych annałach nie znajdziesz zapisu, że od kacerskiego stosu najpodlejsze miasto jakiegokolwiek uszczerbku doznało, widać Pan Bóg ma na ten ogień baczenie. – Naraz odwrócił głowę na stronę nieba krzyczącego złowieszczym blaskiem, spuścił na moment oczy i ciszej powiedział: – Jednak mi żal, przecież mogły te nasze wyleńnięte grodzkie diabły na znaczniejszym przybytku podokazywać, choćby taki dom rady puścić z dymem i z większym dla ludzi pożytkiem. Co im szkodziło? Widać nastaly takie czasy, że już i diabły na psy schodzą.

Śniegiem zwodniczym, bo chętnie zmieniał się w słotę, ale za to szron trzaskal i trzeszczał jak szkło, przez to ziemia drżała z zimna. – Głupi ludzie zanadto ziemię matkę gniołą, takie potęgi na pokaz ogromniachne, pałace i zamki stawiają, to się staruszka bioni, z grzbiotu próbuje zrzucić – stwierdziła pani klucznica. Jeszcze przez dwie niedziele w uboższej części grodu zwisał kwaskowy odór spalenizny i krążyło czarne piactwo. Działy się też rzeczy zatrważające: ponoć na pogorzelsku widziano diabła w zielonym odzieniu, takim jakie przysługuje diablom wodnym. Zielony diabeł brzożową gałęzią gmeral w popiołach, bardzo zatroskany, różnie powiadano, czego szukał? A kto widział? Choćby ten dychawiczny i suchy jak tyka lawnik Holst, poważany jako człek wielkiej uczeiwości. Jeszcze po tym pożarze pobożni chłopci haniebnie podnieśli cenę za szynki, bozerek, słoninę i wędliny. – Musi być jakaś kara na miastowych za to, że kościółka biskupa i męczennika przed diabłami nie upilnowali – powiadali. Rada na pewien czas zmuszona była wprowadzić karę obciążenia ręki dla notorycznych łotrzyków, zwyczaj dawno już zarzucony, ale plaga kradzieży i klusownictwa tak się rozplenila, że nijak ani groźbą, ani dobrym słowem nie sposób było zaradzić. Pogorszył się chleb, bochenki schudły stając się zakalcowate, do drogiej mąki dodawano bez opamiętania zmielonych żołądzi.

Co tam wojny, pożary, stomoty, życie młodzieńca jurne jest niczym bydłatko, tubi sobie pobrykać i nie rozpamiętuje. A tym bardziej że przyszła nowa wiosna. Wieczorna pogoda była chłodna, ciepka i tchnęła młodą trawą, gnojem i wilgocią murów. Tak się złożyło, że to wypadła pora, w której Kacper w wieku lat 14 zgodnie z klasyfikacją Hipokratesa wkroczył w wiek młodzieńczy z buńczucznością i apetytem na nowości. A w głowie kielkowały wielkie plany, być może szalone. Od czasu pożaru na groblach sny zaczynał miewać kolorowe z zamkami, rycerzami, pannami i smokami, jak we śnie przewracał karty ksiąg.

Tamtej pamiętnej, pamej nudzycyzajnie nocy, aż pocily się mury, niebo trzaskalo, suchą burzą błyskawice cięły, w szybkach rozgwieżdżony błękit poryty połyskliwym srebrem oszalał. Zdawać się mogło, że niebo się pruje, a dach się unosi od tej duchoty. Cicho, bardzo cicho drzwi do izby Kacpra zatrzeszczały. W chwili szarości pomiędzy fioletowymi blaskami i układkiem wsunął się mistrz Akken, w białej, długiej, prześwitującej koszuli, tak że ukazana była obecność niezaspokojonego organu męskiego spotej okazałości. Nachylił się nad Kacprem, dyszał, choć to dyszenie starał się stłumić. Kacper powoli unosił się na łokciach, już otwieral usta, aby krzyknąć, ale coś go powstrzymało. Ta niespodziewana obecność mistrza w tej marności światła. Akken zadrzał, bo dostrzegł, że chłopiec nigdy dotąd nie miał

tak ogromnych oczu dziwnie odbijających się od długich rzęs, włosów złotych, a wargi jakby spękane już rozwarłe, aby się zadziwić, wtedy on, jego mistrz, przyłożył palec do ust i zasyczał podwójnie, tak, jakby dwa głosy się w jeden groźny zlewały – Zamilez proszę, nie krzyez, tak będzie lepiej dla nas obu, teraz przesun się mój chłopcze, dobrze, będę zażywać przyjaźni twych ud. Nie wzbraniaj mi się, bo czeka nas nieziemska rozkosz przypisana filozofom i królom, acz pospólstwu niedostępna. Niech nam patronuje Eros niebiański. Kacper miał uczucie, że napastliwe chłodne dłonie, które rozbiegły się po jego stężalym z lęku ciele, należą do uperfumowanego trupa bardziej niżli do żywego człowieka, ale zaciął wargi i zacisnął powieki. Przy jego niemej zgodzie mistrz Akken poczynal sobie coraz swobodniej.

Następnego dnia mistrz Akken skorzystawszy z pierwszej okazji, skoro tylko zostali sami, zapobiegliwie unikając wzroku Kacpra, głosem ściszym, cokolwiek syczącym, tonem, w którym jednakowo przelewała się prośba i groźba, przestrzegł zerkając na boki, jakby jakieś duchy skrycie podchodziły. – Kacprze, o tym, co zaszło między nami ani słowa nikomu, piśujesz słówko, zdradzisz się choćby gestem, napomknięciem, straszne będą tego skutki. To się stanie jedną z owych sekretnych misterium tremendi, doświadczysz tego, co jest innym wzbronione. – Następnie już tonem twardszym kontynuował. – Ponadto i przede wszystkim zapamiętaj, bo to o twoją skórę przede wszystkim chodzi. Ja posiadam tyle złota i florenów, cale morze, i wpływowych znajomych, że łatwo się obronię, mnie włos z głowy nie spadnie, a ty będziesz uznany za winnego i srodze ukarany. Czy nie przepowiadałem ci, że Temida jest ślepa, a dodatkowo bywa kapryśna? Teraz odejdz, zajmij się czymś pożytecznym, postaraj się nie rozwodzić nad przeszłymi wypadkami, ty kusicielu o włosach zwierzaka!

Jesień, w październiku wielkiej urody i obfitości nastaly pogody. Przenikały się okresy srebnego szronu (o którym opowiadał mistrz Akken, że często występuje w górach, na kwaśnych nizinach rzadko) z czasem dojrzewania późnych winogron i wędzenia wczesnych szynek. Dygotały gałęzie roniąc liście zrudziałe kęsami.

Minął cały rok nauki i kolejnych doświadczeń, a jednocześnie rok oczarowań. Z powodzeniem Kacper zagłębiał się w arkana nauk i sztuk. Ale najwięcej radości przynosiła mu praktyka: rysowanie i malowanie połączona z fantazjowaniem. Nie był w stanie powstrzymać się od własnego przetwarzania oglądanego świata, udoskonalania go. Mistrz Akken z wieloznacznym uśmiechem kiwał głową i mawiał, obracając w palcach jego karty z wizerunkami scenek, czyli przedstawieniami osobnych postaci – Próbuj dalej mój chłopcze, przebijaj się, draż, innego sposobu nie ma. Nie ustępuj losowi! Pola nikczemnym, a butnym łatwo nie ustępuj. – Następnie wyszukany tonem pochwalił rzetelność rysunku i obiecującą imaginację.

Tadeusz Ziubiński

INGA KOTECKA

pierwsza miłość

pierwsze lata w mieście były wyjątkowo trudne
pałi w piecu szkicami i rysunkami żeby nie marzli w pokoju

blękity rodzili się na zimnych szybach

utrzymywała dom za zaledwie 2 franki dziennie

nie miał w sobie nic uwodzicielskiego

chował jej buty

żeby nie mogła sama wychodzić

wariat

śmiejąc się zasłania ręką usta

żyli miłością

on malował

ja czytałam powieści w odcinkach

a potem stworzył kanciaste kobiety i nie był już nikim

zostałam w tamtym czasie

namalowana do końca

zasiania dłonią kreskę ust

niebezpiecznie zakrzywioną

jak uśmiech na portretach na których jej nie ma

pozwolić sobie na otwarte niezadowolenie,
tego się nie robi. świat ma dosyć landelnegu
smutku. jeśli trzeba wyjść z domu drzwi
zamykać dwukrotnie na wypadek natarcia
osób których sama obecność przy dzwonku
jest nieznośna. bezpieczny który się upewni.
kupować rzeczy pojedyncze i przydatne aż do
wyrzucenia. nie przywiązywać się do przedmiotów.
wystarczy już że one się rozczulają nad
swoją kruchością i trzęsą się potem na półkach
i upadają w potrzaskane skorupy. pozwolić im
odejść. zadowalać się kartkami z okazji świąt które
niczego nie wnoszą i nie w zamian nie dają.

papier wiele zniesie. przed snem nie czepiać się
kurczowo jawy. jeszcze uwierzy że ma znaczenie
i nigdy nie wyjdzie z pokoju aż meble zostaną
na nowo obdarowane cieniem. a wtedy nie będzie
można sobie już dłużej poradzić i trzeba by się
przyznać że coś nas przerosło. jakiś czas temu.

kobiety schielego

tutaj ciało ma krawędzie

czarna kreska oddziela je od kartki papieru

różowe sutki wycinają

wyraźne kółeczka na piersiach

oddzielenie

kobiety wylaniając się z przestrzeni przecinają tęczęwki

pomarszczoną skórą

obwisłymi piersiami

skurczoną aureolą pępka

ich królestwo zamyka się nu granicy ołówka

moje ciało rozlewa się jak zaczyn na ciasto

niegrzeczne trzeba je zamykać w ubraniu

wymyślać mu sztuczne granice

ale nocą wymyka się materii

rysuje nowe kontynenty na pościeli

kobiety Schielego

odwracają wzrok do ściany

lipiec 1977 renowacja obrazu

trzeba mieć cierpliwość trwalszą od płótna

lekko nadtopiona powierzchnia przypomina o pożarze

zdecydował się wymazać woń spalonego świata

oczyścić powierzchnię z tych wspomnień

i zabezpieczyć warstwę malarską

ale obraz pamięta lepiej

jeszcze wiele lat będzie spoglądał na nas

nigdy nie wiadomo ile zachowa farba

z tego co chcemy pominąć w naszej biografii

dziadek zawsze pachniał terpentyną

plamił wszystkie koszule

aż babcia dała mu tylko jedną do

„tego bahrania się w olejach”

odnawiał jedynie sielankowe krajobrazy

żadnych ludzi ani zwierząt

babcia biadolita że motyw konia najlepiej schodzi
„za to krajobrazy dają poczucie szczęścia” mówił

że „nie należy zamykać obrazu w ramach
bo może rozrośnie się na cały świat
i będziemy mogli być bezwstydnie szczęśliwi”
i że najlepszych obrazów nie trzeba konserwować
namalowane na trwalszej materii niż płótno
z roku na rok zmieniają nam twarze

po dziadku zostało mi pudełko po cygarach
w którym trzymał najcieńsze pędzle
jeden mały gwiazd prawdopodobnie jego autorstwa
kilka książek podpisanych kaligraficznym piśmem

im bardziej próbuję sobie przypomnieć
tym mniej pamiętam
tylko wyrwane z kontekstu historie i zapach
doprowadzający mnie do bólu głowy

jeszcze trochę i nauczę się nakładać wspomnienia na obrazy

czytanie snów

zaczęło się od niesfornego zabawy
wydzierania objawień z obrazów
po jakimś czasie stwierdza że to głowa
tam z pewnością jest cała maszyna

wyobraża sobie gimnastykę śrubek i sprężyn
nicugięty kręgosłup maszyny która tnie życie
na estetyczne skrawki czuje chłód metalu aż
przechodzą go dreszcze *kochanie aspiryna nie pomoże*

skąd naje czerwonych pajaków
jakie nowiny spoczywają pod kałużą
krwi otwartą raną zmoczoną gliną
kapsłem coca-culi na śniegu

dłaczego pajaki może wyparta kobiecość
obrzydliwie domaga się uwagi
prządki snujące opowieść pod sufitem
jak tego dużo czyżbym za długo milczał

po lekturze Junga uznaje że
doszczętnie znoszone już sacrum
deformuje obrazy w maskary
w ucieczki zakończone na wilgotnej poduszce

tak czasem budzi się z zaciśniętym gardłem
tak czasem czuje czyjąś obecność pod łóżkiem
ale nie zagląda szepcząc do siebie *obudź się*
obudź prawie bezgłośnie żeby jej nie obudzić

zaczyna maniackalnie notować sny
w maju dochodzi do rekordowej liczby
sześciu w ciągu jednej nocy
jest ciągle zmęczony

z pomocą przychodzą encyklopedie spisy
symboli prześwietlone karty tarota tylko książki
telefoniczne trzymają go przy zdrowych zmysłach bo tam
liczby oznaczają jedynie anonimowe nazwiska

w głowie hucznie i gwarno szmer nie pozwala
mu porządnie obejrzeć wiadomości śmiać się
nawet pod prysznicem ciało go nie absorbuje
nie rozumie większości dowcipów

każdego dnia starannie odmierza
ile z tego co ma to jawa
wyraźnie zepchnięta na pobocze
i czym jest cała reszta

która opija się majakami niczym
zielona gąbka używana przez żonę
do układania bukietów
reszta pęcznieje i puchnie

lipiec 1977

na fotografii tata jest szczuplejszy niż pamiętam
w jasnej koszuli patrzy w przeciwnym kierunku a mama
chroni przed słońcem swój wypukły brzuch
świat jest szczęśliwszy w tanim odcieniu szarości

w albumie dzieją się historie dostrzeżone
przed zawałtami sprzedają domu przede mną
za kilka lat pewien pociąg zabije tego małego chłopca
jego matka nigdy nie będzie umiała się z tym pogodzić

maszynista kupił swojej żonie kilo dojrzałych czereśni
są słodkie ale każdy smak staje się w końcu
gorącą przemijania maszynista wypluwa pestki
żona szykuje zaczyn na ciasto chyba jeszcze nie mają dzieci

Inga Kotecka

MAREK BERNACKI

Praca jako los spełniony

O „Kamieniolomie” Karola Wojtyły¹

I. Fakty

Kamieniolom – „jeden z najgłośniejszych utworów Papieża”² – napisany w 1956 r., po raz pierwszy ukazał się drukiem na łamach miesięcznika „Znak” (nr 6 z 1957 r.) sygnowany pseudonimem literackim Andrzej Jawień. Poemat interpretować można co najmniej trojako. Po pierwsze, jako poetyckie świadectwo Karola Wojtyły przedstawiające mocno zakorzenione w pamięci autora doświadczenie pracy fizycznej z okresu okupacji hitlerowskiej. Po drugie, jako utwór o charakterze polemicznym napisany przez młodego księdza-poetę w czasach tzw. odwilży popaździemnikowej kończącej okres wypaczeń ideologicznych w literaturze i sztuce polskiej (mroczny epizod socrealizmu). Po trzecie, jako dzieło o wymowie ponadczasowej i uniwersalnej, którego zasadniczym tematem jest namysł nad godnością ludzkiej pracy³, a jako takie – skierowane do wszystkich tych, którzy w trudzie rąk i pocie czoła czynią sobie ziemię poddaną. Chciałbym się skoncentrować przede wszystkim na pierwszym oraz na trzecim aspekcie omawianego utworu; drugi – niewątpliwie inspirujący i godny zbadania – pozostawiam na razie na boku⁴.

We wrześniu 1940 r. – na skutek uwarunkowań historycznych – 20-letni Karol Wojtyła, student drugiego roku polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego (zamkniętego przez nazistów w listopadzie 1939 r.), musiał podjąć pracę zarobkową, będącą warunkiem przetrwania w okupowanym Krakowie, wówczas stolicy Generalnej Guberni, według zasad narzuconych przez władze hitlerowskie⁵. Dzięki protekcji nauczycielki języka francuskiego, pani Jadwigi Lewaj (notabene córki nauczycielki Stanisława Wyspiańskiego), młody Wojtyła otrzymał Arbeitskarte i rozpoczął pracę w Ostdeutsche Chemische Werke (taką nazwę nosiły wówczas Zakłady Chemiczne „Solvay” zlokalizowane na przedmieściach Krakowa w dzielnicy Borek Fałęcki, położone nieopodal klasztoru Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia, w którym mieszkała przed wojną siostra Faustyna Kowalska). Karol Wojtyła przepracował w tym przedsiębiorstwie niemal cztery lata: od września 1940 do sierpnia 1944 r. Początkowo zajmował się układaniem torów kolejki kursującej między kamieniolomem w Zakrzówku a zakładami w Borku. W liście do Mieczysława Kotlarczyka datowanym na 7 października 1940 r. Łolek donosił:

Obecnie jestem robotnikiem. Pracuję fizycznie w kamieniolomie. Nie przecierają się! Jak dotąd, nie łupię kamienia. Kładę tylko tory kolejki (...). Zarabiam b. dobrze (stosunkowo, oczywiście), najcenniejsze są deputata robotnicze. (...) Przy pracy czas gna. Człowiek się staje pełniejszym człowiekiem⁶.

Po kilku miesiącach Wojtyła awansował na pomocnika strzałowego Franciszka Łabusia⁷, pomagając mu w wysadzaniu potężnych bloków skalnych. Fakt ten znalazł swe odzwierciedlenie w drugim fragmencie pierwszej części poematu zatytułowanej *Tworzywa*:

*Związane są bloki kamienia przewodem niskiego prądu,
który wciąga się w nie tak głęboko, jak niewidzialny bicz
– kamienie znają ten gwałt,
kiedy dojrzałą spoistość nieuchwytny rozpruwa podmuch,
który odrywa je z nagłą od ich wieczystej prostoty
– kamienie znają ten gwałt.*

*Jednak nie prąd elektryczny rozwiązuje w całości ich moc,
ale ten, co ją nosi w swych dłoniach:
robotnik⁸.*

W latach 1942–1944 Karol Wojtyła, już jako student tajnych kompletów Wydziału Teologicznego UJ⁹, był zatrudniony przy oczyszczaniu wody w kotłowni fabrycznej „Solvay”. Na koromyśle zakładanym na piecy dźwigał drewniane wiadra wypełnione mlekiem wapiennym służącym do zmiękczenia wody w piecach. W tym czasie nosił prosty robotniczy drelach, a na bosą nogę wzuwał drewniane chodaki. Ciężką pracę fizyczną, dzieloną wtedy z pasją teatralną (występy w tajnych przedstawieniach Teatru Rapso-dycznego) oraz nauką i modlitwą Wojtyła zakończył w sierpniu 1944 r. Na polecenie kardynała Sapiehy – już jako młody kleryk – przeniósł się do Pałacu Biskupiego przy ul. Franciszkańskiej, a następnie – dzięki bezpośredniej interwencji Księdza Metropolity – został skreślony z listy pracowników Zakładów Chemicznych „Solvay”.

Do tego okresu, będącego ciężką, ale pożyteczną „szkołą życia”, Karol Wojtyła wielokrotnie powracał i – jeśli można tak powiedzieć – twórczo wykorzystywał i przetwarzał zarówno w duszpasterstwie, jak i w działalności naukowej i artystycznej. Doświadczenie pracy i fakt nacznego zetknięcia się z problemami środowiska robotniczego, które odłąd dobrze rozumiał, szanował i poważał, zaowocować miało w przyszłości m.in. pierwszym opublikowanym przez niego w 1949 r. na łamach krakowskiego „Tygodnika Powszechnego” artykułem *Mission de France* (reportaż o pobycie w Belgii wśród tamtejszych „księży robotników”)¹⁰, rozprawą filozoficzną *Osoba i czyn* (1952)¹¹, poematem *Kamieniolom* (1956), a w późniejszym okresie – jakże ważną encykliką społeczną Jana Pawła II *Laborem exercens* (1981), opublikowaną w 90 lat po encyklice *Rerum novarum* papieża Leona XIII¹².

¹ Artykuł jest aktualizacją wariantu zeseledy wygłoszonego podczas sesji *Praca w wymiarze antropologicznym i teologicznym* zorganizowanej przez Instytut Teologiczny im. Św. Jana Kantego i Katedrę Polonistyki Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białym; 16-17.01.2007 r.

² Zob. Władimir Smuszcz: *Słowo porożykie Karola Wojtyły*, Warszawa 1976, s. 114.

³ Władimir Smuszcz: *Słowo porożykie Karola Wojtyły*, Warszawa 1976, s. 114.

⁴ Władimir Smuszcz: *Słowo porożykie Karola Wojtyły*, Warszawa 1976, s. 114.

⁵ Dnia 20 października 1940 r. gubernator Hans Frank wydał rozporządzenie o „nakładaniu publicznego obowiązku pracy”. Karty zamienione zostały w datę 12 grudnia tego roku na „przyznanie pracy” (rob. Adam Bujak, Michał Rutek: *Wojtyła*, Wrocław 1997, s. 18).

⁶ Cyt. za: Halina Kwiatkowska: *Wielki Kołosa*, Kraków 2000, s. 60.

⁷ Schodowany 90-letni Franciszek Łabusz pozostał niedługo świadectwem o swej młodym pomocniku: *Przeżył i nie młodzieńczo do roboty, tak mi go tak było, nie wiem, ale do niczego się nie nadawał. Myślałem sobie, najlepiej by było mu być na kądzie. Miał takie delikatne ręce. Ja nie wiem, czy mógł, ale on mógł. Mnie było potrzebne to wiadro, a temu nie chciało. Pomagał mi w najcięższych dniach, nosił drewny urządek za mną. Raza pewnego, jak zwykli, jechał, a on przy moim boku. Ja mu mówię: lepiej wódr będzie zostać z nami, a on się tylko uśmiecha. Pótem mi wspominał, że chciał być robotnikiem. (Cyt. za: *Kalendarium życia Karola Wojtyły*, oprac. ks. Adam Białoch, Kraków 1983, s. 62).*

⁸ Karol Wojtyła: *Kamieniolom*, za: tegoż, *Poezje i dramaty*, Kraków 1986, s. 45.

⁹ Studia teologiczne Karol Wojtyła rozpoczął w październiku 1942 r. (za: *Kalendarium życia Karola Wojtyły*, dz. cyt., s. 72).

¹⁰ Karol Wojtyła: *Mission de France*, „Tygodnik Powszechny” nr 9, 1949.

¹¹ Warto przypomnieć, że część III poematu *Kamieniolom* nosi ten sam tytuł i realizację co część IV rozprawy *Osoba i czyn* (podobnie za: *Wzrost Przemysłu: Samoświadczenie w obywatelstwie. Mroczny aspekt „Poezji i dramaty” Karola Wojtyły*, Kraków 2002, s. 157 (przytys nr 328)).

¹² Jan Paweł II: *Laborem exercens*, za: Jan Paweł II, *Encykliki i adhortacje 1979-1981*, Warszawa 1983, ss. 103-158.

Na zakończenie części faktograficznej warto przywołać słowa zapisane przez Ojca Świętego w autobiograficznym *Darze i Tajemnicy*, książce opublikowanej w 1996 r. w pięćdziesiątą rocznicę jego święceń kapłańskich:

Aby uchronić się przed wywózką na przymusowe roboty do Niemiec, jesienią roku 1940 zacząłem pracę jako „robotnik fizyczny w kamieniołomie”, związanym z fabryką chemiczną Solvay. Kamieniołom znajdował się na Zakrzówku, około pół godziny drogi od mojego domu w Dębniakach. Chodziłem więc codziennie do pracy w tym kamieniołomie, o którym później napisałem utwór poetycki. Kiedy po latach odczytuję go w kontekście tamtego szczególnego doświadczenia wydaje mi się on pełen ekspresji:

*Śluchaj, kiedy stuk młotów miarowy i tak bardzo swój
przenieszę wewnątrz ludzi, by badać siłę uderzeń –
śluchaj, prąd elektryczny kamienistą rozcinu rzekę –
u we nianie narasta myśl, narasta dzień po dniu.
że cała wielkość tej pracy znajduje się wewnątrz człowieka...¹³*

(*Kamieniołom: I, Tworzywo, I*)

II. Obraz i teksty

Próbie interpretacji poematu *Kamieniołom* warto, jak sądzę, poprzedzić krótkim namysłem nad podobnym tematycznie obrazem francuskiego malarza Gustava Courbeta *Kamieniarze*. Obraz ten, namalowany w 1849 r.¹⁴, uchodzi za reprezentatywny przykład realizmu w malarstwie XIX wieku.

Tematem dzieła jest wysiłek fizyczny dwóch anonimowych robotników rozbijających bloki skalne na mniejsze kawałki, wykorzystywane później do utwardzania i brukowania dróg. Niewolniczy charakter pracy uwytkła wykład postaci (postrzępione lachmany i zużyte obuwie) oraz kompozycja przestrzeni, w tle której rozgrywa się przedstawiana scena (nad rozjaśnionym słonecznymi promieniami niewielkim fragmentem drogi dominuje utrzymana w ciemnej tonacji stromizna zbocza, na szczycie którego widać fragment litej skały lub kamieniołomu wiszącego nad pracującymi niczym miecz Damoklesa). Na pierwszym planie artysta wyeksponował coś, dzięki czemu dzieło nabiera charakteru alegorycznej przypowieści – to delikatne zaokrąglenie przestrzeni przypominającej górną fragment tarczy zegara. Wrażenie kolistości podkreślają dodatkowo: pusty wiklinowy kosz stojący po lewej stronie młodzieńca, identyczny przedmiot wypełniony po brzegi tłuczniem, podtrzymywany przez robotnika na biodrze, oraz – ukryty w tle, po prawej stronie starszego mężczyzny, żeliwny garnek przykryty pokrywką z uchwytem. Te trzy okrągłe rekwizyty oraz wyrażone zakrzywienie przestrzeni pierwszego planu (czyli fragmentu drogi, na której robotnicy wykonują swą katorżniczą pracę) sprawiają, że na obraz można spojrzeć jak na „metaforę drogi” lub „alegorię zegara ludzkiego życia”. Niewykluczone, że na płótnie przedstawiono jedną i tę samą osobę w różnych fazach istnienia – młodzieniec ukazany po lewej stronie byłby wczesnym stadium życia tej samej postaci – starzejącego się mężczyzny ukazanego po stronie prawej. Analizując *Kamieniarzy* Courbeta pisał Radosław Doboszewski:

Obraz jest nie tylko dokumentem pracy kamieniarzy. Ich niewidoczne twarze pozwalają go interpretować jako portret samej pracy i alegorię losu

¹³ Jan Paweł II, *Dar i Tajemnica. W pięćdziesiątą rocznicę święceń kapłańskich*, Kraków 1996, s. 12.

¹⁴ Jest to obraz namalowany techniką olejną na płótnie o wymiarach 165 x 257 cm, przed drugą wojną światową znajdający się w Dreźnie, prawdopodobnie uległ zniszczeniu podczas dywazyjnego nalotu na miasto w 1945 r. (patrz: 1000 arcydzieł malarstwa, Warszawa 2006, s. 146).

kamieniarza, a dobór postaci (młodzieniec i starzec) jako metaforę początku i końca życia – bez odkupienia i wypełnionego pracą, pracą, pracą...¹⁵

Zarówno przy realistycznym, jak i alegorycznym odczytaniu przedstawionej sceny, uderza wpisany w nią fatalizm podkreślany przez kolistą, a więc cykliczną wizję czasu zamkniętego. Słowa rozpoczynające *Mit Syzyfa* Alberta Camusa niemal same cisną się na usta:

Z wstępu bogów Syzyf musiał nieustannie toczyć pod górę głaz, który, znalazłszy się na szczycie, spadał siłą własnego ciężaru. Bogowie nie bez racji doszli do wniosku, że nie ma straszniejszej kary niż praca bezużyteczna i bez nadziei.¹⁶

III. Powierzchnia i głębia poematu

Kamieniołom Karola Wojtyły składa się z czterech części nierównomiernych pod względem długości i ilości sylab w wersach. Część pierwsza zatytułowana *Tworzywo* obejmuje cztery wydzielone liczbami fragmenty, podzielone na mniejsze całości (stroiki). Tematem wiodącym tej części jest wzajemna zależność materii, reprezentowanej przez skały kamieniołomu, oraz różnorodnych form energii na nią oddziałujących: uderzeń młota kamieniarskiego czy rozsadzającego skały prądu elektrycznego. Ale mówi się tu także o energii ludzkiego bólu, pracy myśli i poruszeniach serca. Dla autora najpełniejszym odzwierciedleniem mozolnej pracy są robotnicze dłonie:

*Dłonie są krajobrazem serca. Dłonie pękają nieraz
jak wąwozy, którymi się toczy nieokreślony żywioł.
Te same dłonie, które człowiek wówczas dopiero otwiera,
gdy nasycone są trudem –
i widzi, że przez niego jednego inni ludzie spokojni już idą*

*Dłonie są krajobrazem. Gdy pękają, to wtedy w ranach
wzbierny fizyczny ból, rwący swobodnie jak strumień.
Ale człowiek nie myśli o bólu.
Ból sam jeszcze nie jest wielkością,
a swej właściwej wielkości on po prostu nazwać nie umie.¹⁷*

Część druga poematu, zatytułowana *Natchnienie*, składa się z dwóch wydzielonych i oznaczonych liczbami całości. To bodaj najtrudniejszy, niepokładający się łatwej i jednolitej interpretacji, ale niewątpliwie kluczowy element całego utworu. Mowa w nim o wzajemnej relacji między ludzką wolą i – sięgając do języka techniki – jej dalszym efektywnym „przełożeniem” na wykonywaną pracę. Niekoniecznie musi to być praca fizyczna, ale na dobrą sprawę każdy ludzki wysiłek podejmowany w trudzie, którego owocem jest wypracowanie i zagospodarowanie w sobie przez człowieka dwóch równoważących się sił: gniewu i miłości.¹⁸

W zakończeniu drugiej strofy *Natchnienia* pojawia się intrygujący fragment utrzymany w poetyce liryki apelu, ale – jak można wywnioskować

¹⁵ Cytuję za: Michał Nawrocki, Marian Stala, *Literatura polska. pozytywizm*, Kraków 2003, s. 59.

¹⁶ Albert Camus, *Mit Syzyfa* (fr.) [język. tłum. rzyjski], Warszawa 1991, s. 107. Cytowane zdanie otwiera głoszący tekst Camusa.

¹⁷ K. Wojtyła, *Kamieniołom*, dz. cyt., s. 44.

¹⁸ Główny motyw etyki rozpatrywany jako „kainowa frustracja”, złość płynąca z samego faktu „bycia skazanym” na pracę, która staje się dla człowieka przekleństwem, istnieje i wyraża zatem odnalezionym sensem pracy, jej zaakceptowaniem przez osobę i podjęciem odpowiedzialności, którego nadprzyrodzonym celem jest eschatologiczny wymiar zbawienia. Według Wojtyły oba te pierwiastki gwałtownie podlegają wzajemnej równowadze.

z kontekstu – będący przykładem refleksyjnego monologu wewnętrznego, w którym „ja” liryczne kontempluje bardzo ważną prawdę:

*Więc jeśli chcesz trafić z daleka i wejść, i w ludziach pozostać
to musisz obie te siły skupić mową nad wyraz prostą
(mowa twoja nie może prysnąć w napięciach owej dźwigni,
którą tworzą miłość i gniew).
Wówczas nikt Cię nie wydrze z człowieka, nie oderwie od niego nigdy¹⁹.*

Kto właściwie wypowiada te słowa? Zapewne jakiś nadrzędny „podmiot” przenikający całość spraw poruszanych w przestrzeni poematu. Ale kim on jest? Czy może to jeden ze starszych robotników pracujących w kamieniołomie i pełniący rolę mentora? Czy też port-parole samego autora? Niewykluczone jednak, że głos słyszany przez „ja” liryczne w sercu to głos powołania, inspirowany przez Innego, wzywającego podmiot liryczny do pełnego zaangażowania się w sprawę ludzką:

Wówczas nikt Cię nie wydrze z człowieka, nie oderwie od niego nigdy²⁰.

Logicznym dopełnieniem tej wypowiedzianej prawdy wydaje się zakończenie trzeciej, najbardziej jednolitej pod względem kompozycyjno-tematycznym, części poematu zatytułowanej *Uczestnictwo*. Padają w nim znamienne słowa:

*I znów zostaje milczenie między sercem, kamieniem i drzewem,
Każdy w nie może wejść. Jeśli wszedł, pozostanie sobą.
Jeśli nie wszedł, to mimo pozorów, we wszystkich sprawach ziemi
nie uczestniczy dotąd²¹.*

Słowem-kluczem w przytoczonym fragmencie jest „milczenie” – jako pewna wartość, jako synonim ciszy, która staje się dla człowieka wezwaniem. Do czego? Do kontemplacji „kamienia” i „drzewa”, które są tutaj metonimiemi, a właściwie synonimami dwóch różnych stanów materii będących przedmiotem ludzkiej pracy. Kamień, podobnie jak i drzewo, można obrabiać, nadawać mu kształt, przemieniać w coś, co staje się pożyteczne dla ogółu. Ta praca może mieć sens i dawać spełnienie człowiekowi pod warunkiem, że zaakceptuje ją w ciszy własnego serca, że wejdzie w nią nie jak wyrobnik nierozumiejący nadrzędnego sensu podejmowanego wysiłku, ale jako wolny wewnętrznie twórca. Tylko wtedy człowiek-pracownik „pozostanie sobą”. A dla Wojtyły być sobą, znaczy być z ludźmi, działać z nimi i wśród nich, tworzyć w grupie osób wolnych i rozumiejących nadrzędny sens wykonywanej pracy. Tak rozumiana praca nie jest już przekleństwem, nie upodla człowieka, nie niszczy, ale wręcz przeciwnie – wzbogaca go, wyzwala i przemienia. A ponadto – już po Norwidowsku – staje się zarzewiem i zaczątkiem życia wiecznego w wymiarze wiecznym: *Bo piękno na to jest, by zachwyciło / Do pracy – praca, by się zmartwychwstało²²...*

Nieprzypadkowo zatem poemat kończy część IV, pozbawiona tytułu, dedykowana „Pamięci towarzysza pracy”. Jej tematem jest opis tragicznej śmierci jednego z kamieniarzy, która tworzy nagły wylom w strukturze robotniczej wspólnoty:

¹⁹ Tamże, s. 47.

²⁰ Tamże.

²¹ Tamże, s. 48.

²² Więcej o związkach papierkowej refleksji nad pracą w esykibie *Laborem exercens* w kontekście orywalnej frazy C.K. Norwida porównano z jego poematem *Przemysłowiec* – zob. M. Demacki: *Norwidem: do sprawy i do sprawy* (1948) przeł. J. B. *Europa! Sportsworld i refleksja uczestnicząca rymikowo* „Ora et labora”, „Świat i Słowo” nr 215/2005, ss. 393-406 (wyróżnienie – M.B.).

*Nie był sam. Mięśnie jego wrastały w ogromny tłum,
dopóki dźwigał miot i pulsowały energią —
lecz trwało to wszystko tak długo, dokąd czuł pod stopami grunt,
dokąd kamień nie zmiażdżył mu skroni
i nie przeciął komór serca. (...)*

*Czas jego stanął gwałtownie. W zegarach niskiego prądu
zerwały się nagle wskazówki i spudły z powrotem do zera²³.*

Poetycki opis tragicznego wypadku przy pracy stopniowo przechodzi w nacechowaną emocjonalnie refleksję nad ludzkim życiem i śmiercią. Podmiot mówiący w wierszu, szukając głębszego uzasadnienia dla wydarzenia, które po ludzku biorąc jest czymś absurdalnym i przytłaczającym, toczy wewnętrzny dialog, formułując sekwencję wykrzykników, pytań retorycznych i analogii, co widoczne jest zwłaszcza w przedostatniej strofie utworu:

*Czy dotąd? Czy jego gniew ma się tylko na innych przełać?
Czy nie dojrzał w nim samym własną miłość i prawdę?
Czyż mają go jak tworzywo zużyć pokolenia
i wyzuc z treści najgłębszej, jedynej i własnej?²⁴*

Dopełnienie tego fragmentu stanowi końcowy czterowiersz poematu zbudowany na zasadzie symetrycznej opozycji: dwa pierwsze wersy to opis świata, w którym wszystko wraca do normy, a śmierć towarzysza pracy zostaje z czasem zapomniana:

*I znowu ruszyły kamienie. Wagonik ginie w kwiatach,
I znowu prąd elektryczny ściany głęboko tnie²⁵.*

Jednak ostatnie słowo, zawarte w dwóch końcowych wersach, nie jest opisem „stanu rzeczy”, ale zmierza ku pogłębionej filozoficznie i teologicznie refleksji „ja” lirycznego. Można powiedzieć, że w finale poematu Wojtyły metoda „showing” (beznamiętnej prezentacji rzeczy) ustępuje specyficznemu realizowanemu zaangażowanemu „telling” – wyrażaniu prawdy ukrytej za pozorami zdarzeń, prawdy przenikającej każdy wymiar ludzkiego życia:

*Lecz człowiek zabrał ze sobą wewnętrzną strukturę świata,
w której miłość rym wyżej wybuchnie, im większy nasycą ją gniew²⁶.*

Jak rozumieć to zagadkowe zdanie, które układa się w pełne głębokiego przekonania stwierdzenie? Co oznacza dla Wojtyły interioryzacja „struktury świata”, której dalszy ciąg – realizowany w wymiarze eschatologicznym – współzależny jest od miłości i gniewu, czyli dwóch wolicjonalnych aspektów życia osoby ludzkiej? Kluczowe wydają się słowa elipsy „człowiek zabrał ze sobą”, za którymi domyślić się można oczywistego ciągu skojarzeniowego: „zabrał ze sobą w podróż pośmiertną”. Śmierć postrzegana jest zatem jako koniec pewnego etapu ludzkiej drogi, ale jednocześnie staje się początkiem podróży, do której człowiek przystępuje z bagażem wszystkich dotychczasowych pragnień, wysiłków i osiągnięć. Innymi słowy, śmierć kończy, ale nie unicestwia, gdyż ponad nią – w świecie, którego jeszcze nie znamy, a co najwyżej przeczuwamy – trwa ocalająca miłość, która „wy-

²³ Tamże, s. 49.

²⁴ Tamże.

²⁵ Tamże, s. 50.

²⁶ Tamże.

buchnie wysoko", dając początek nowej, niewyobrażalnej formie naszego istnienia, ufundowanej jednak na tym, czego dokonaliśmy tutaj, na „niskiej ziemi”...

IV. Los przewycięzony

W zakończeniu *Mitu Syzyfa* Albert Camus pisał, dając wyraz laickiemu humanizmowi:

Bóg, który znalazł się w tym świecie razem z upodobaniem do niepotrzebnych cierpień, zostaje wygnany. Los staje się sprawą ludzką i określaną przez ludzi³⁷.

Szesnaście lat później³⁸ Karol Wojtyła w *Kamieniolomie* dał wyraz personalistycznej wizji człowieka, której pozostał wierny do końca swych dni:

*Nie lękaj się. Sprawy ludzkie szerokie mają brzegi.
Nie wolno ich w ciasnym łożysku więzić nazbyt długo.*

Nie lękaj się. Sprawy ludzkie stoją od wieków

W Tym, na którego patrzysz poprzez młotów mianowy stukot³⁹.

Warto zauważyć, że Camus i Wojtyła, reprezentując odmienne opeje światopoglądowe, w podobny sposób zmiernają do przewyciężenia absurdu pracy, będącej przecież dla obu pisarzy i myślicieli metaforą człowieczego losu. W *Micie Syzyfa* i w *Kamieniolomie* zostaje przewyciężona zarówno horyzontalna wizja przestrzeni sprowadzająca to co ludzkie do wymiaru przytłaczającej przyziemności, jak i cykliczna koncepcja czasu, będąca wyznacznikiem fatum ciężącego jak wyrok nad ludźmi (vide *Kamieniarze* Courbela). Camusowski Syzyf zrywa kajdany w momencie, kiedy uświadamia sobie absurdalność własnego losu, gardząc wolą bogów i heroicznie nadając sens pracy wykonywanej odłud według własnego wyboru. Bohater Camusa, którego „trzeba wyobrazić sobie szczęśliwym”, nadaje swemu życiu wektor wertykalny:

Aby wypełnić ludzkie serce, wystarczy walka prowadząca ku szczytom⁴⁰.

Także w poemacie Wojtyły odnaleźć można wicie fragmentów, w których to co wertykalne, skierowane wwyż, nadaje głębszy sens ludzkiej pracy i życiu. Najpełniejszym wyrazem takiej optyki jest fragment czwarty pierwszej części zatytułowanej *Tworzywa*, w którym akt pracy, angażujący całą osobę, porównany został z gotycką świątynią wznoszącą się z prochu ziemi ku temu co transcendentalne:

*Przecież nie tylko ręce opadają ciężarem młota,
nie tylko wzbiera tors i mięśnie kształtują swój styl –
ale przez pracę jego myśli głębokie wiody,
by się wiązały zmarszczkami na czole,
by się wiązały wysoko nad głową ostrym łukiem ramion i żył.*

*Gdy więc tak się na chwilę przemieni w przekrój gotyckiej budowli,
który przenika zrodzony z jego myśli i oczu pion –
to nie jest tylko profil!*

³⁷ A. Camus, *Mit Syzyfa*, dz. cyt., s. 110.

³⁸ *Mit Syzyfa* opublikował w 1942 r. i ponownie został opublikowany w roku 1956.

³⁹ K. Wojtyła, *Kamieniolom*, dz. cyt., s. 47. Warto przypomnieć w tym momencie słowa skierowane do całego świata w pierwszym orędziu Jana Pawła II, które zaczęły się od słów „Nie lękajcie się”.

⁴⁰ A. Camus, dz. cyt., s. 110 [wyróżnienie – M.B.].

*to nie jest tylko postać między kamieniem a Bogiem
skazana na wielkość błąd⁴¹.*

Nad Doliną Pomników

Jednak w miejscu przewyciężenia tragicznego splotu przyziemności i fatalizmu ludzkiej pracy, których wyrazem jest obraz Courbela, drogi obu pisarzy i myślicieli rozchodzą się. Egzystencjalista Camus „zostawia Syzyfa u stóp góry” – wyposaża swego bohatera w aureolę laickiego heroizmu, nie szukając dopełnienia w „pustej transcendencji”. Personalista Wojtyła idzie dalej... i głębiej – towarzysząc mentalnie zmarłemu towarzyszu pracy wyruszającemu w ostatnią podróż wyposaża go w eschatologiczną nadzieję pokładaną w Tym, który odsunął kamień z grobu Łazarza, przywracając mu pełnię istnienia.

Marek Bernacki

Bielsko-Biala, 15 stycznia 2007 r.

⁴¹ K. Wojtyła, dz. cyt., s. 46 [wyróżnienie – M.B.].



Gustave Courbet, *Kamieniarze*, 1849

STEFAN RUSIN

Trzcina

Śni mi się
jako oddech wody,
lustro proroka,
ścieżka, nieustający deszcz.

Do Magdaleny

Kiedy ukończyłaś pięćdziesiąt lat
mieliśmy odbyć wspólną podróż.
Z ekscentrycznej oferty wybraliśmy zwiedzanie
wyrzutni rakiet obcych cywilizacji, płasich wzgórz,
latami magicznych, pieczar piratów, pokutnych
bram, pałaców nowych władców świata
i podziwianie wschodów słońca nad oceanem.

Dlaczego przed naszym wyjazdem
opuściłaś ciało i sama udałaś się bez bagaży
w nieznane pustkowia?

* * *

Korony drzew budują słoneczny tunel.
Kwilą żolądki piskląt. Szeleści folia na plantacjach.
Rozpycha się zwyczajność.
Wóz wiezie umęczony dzień.

Nasza żarliwość jest silna. Karmimy kury,
krowy, konie, stada gęsi. Pola są gotowe
do zbiorów. Grządki pachną koprem, czosnkiem,
truskawką.

Na ciepłym ganku Wali Whitman kończy opowieść
o marach, chciwości, pokusach.
Zagalopował się w dalekie rejony pamięci
i pomylił nazwiska sprawców przestępstw.
Podoba mi się jego pogodny głos
i bezinteresowna uczciwość.

* * *

Nad Doliną Pomników
budzi się światło.
Dzień znowu
rozkwita.

Skalne iglice śpiewają
w jedwabnym cieniu.

Zbiegamy
z pomśniętego nasypu
rozplamieni,
przezroczysti,
by złapać anioła
w swoje ręce.

* * *

W fontannie światła
kapia się płaskowyzę i kopalnie kredy.
Ławice wiatru rozplątują wydmy.
Stare ściernisko kruszeje wzdłuż przebudzonej
drogi.
Pracują winnice, akwedukty.
Gołębie wracają z niebezpiecznych wędrówek.
Opuszczamy górską serpentynę
by dołączyć do przyjaciół
uczujących nad morzem.
Dokończymy dyskusję o filmach Marca Forstera
i dylematach cnoty.

Stefan Rusin

Książki nadesłane

Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2007

Heinrich Böll: *Dziennik irlandzki*. Przekład Teresa Jętkiewicz. Ss. 145.

I. M. Coetzee: *Chłopięce lata*. Z prowincjonalnego życia. Ss. 186.

Czesław Miłosz: *Zaraz po wojnie. Korespondencja z pisarzami 1945-1950*. Ss. 756.

Podróże z Ryszardem Kapuścińskim. Opowieści trzynastu tłumaczy, pod redakcją Bożeny Dudko. Ss. 212.

Marek Bieńczyk: *Przezroczystość*. Ss. 257.

Krzysztof Michalski: *Plomień wieczności. Eseje o myślach Fryderyka Nietzschego*. Ss. 298.

ZOFIA BESZCZYŃSKA

Przejścia

Mężczyzna w czerwonym swetrze miał na imię, powiedzmy, Johann. Był miły, spokojny, odległy. Wiedziałam, że jego pasją są podróże, chłonięcie miejsc, w których się znalazł, które wybrał na krótsze lub dłuższe postoje. W Domu przeważnie przesiadywał w fotelu, nawet do późna w nocy, ukryty z książką w świetle lampy. Na ogół nie odzywał się niepytany, najczęstszą formą jego kontaktu z innymi był roztertagniony usmiech.

Jedynie piękna Maria – kobieta z czarnym warkoczem – na to nie zważała. Przemykała przez pokoje, schody i zakamarki Domu niczym kolorowy wiatr, rosnąca i cichnąca muzyka. Pila czerwone wino zostawione przez kogoś nieuważnie na szafce, wydawała radosne okrzyki odbierając i wysyłając maile, mówiła dużo, głośno i o wszystkim.

Nie wyglądała jak ktoś, kto należy do kraju, z którego przyjechał i o którym mówi: mój. Była mieszkanką wielkiego Wszędzie i Nigdzie, nicustającą podróżniczką przez czas, przestrzeń, napotykanym ludzi. Była płakiem: jej szkarłatne serce świeciło w ciemności. Także i tu wydawała się jedynie gościem, kimś nie mogącym po prostu wtopić się w pejzaż, otoczyć kokonem: wydawała się kimś innym.

Johann patrzył na nią z uśmiechem, słuchał jej wielopiętrowych opowieści lekko potakując, niekiedy coś odpowiadał i wracał do lektury.

Czasem obserwowałam ich wszystkich z oddalenia, wierząc, że sama nie jestem zauważana. Pokój, w którym mieszkalam, dzieliła od Domu wąska ulica i jeśli chciałam, mogłam widzieć, co się w nim działo.

Chwile, gdy w kuchni włączano silne górną światło, gdy za oknami przesuwali się sylwetki ludzi. Plecy w czerwonym swetrze pochylone nad stołem, ktoś w czerni podnoszący ku lampie butelkę z migoczącym płynem; ktoś inny w oknie obok sięgający do regału po książkę; na górze słaby, sinawy blask włączonego telewizora. Świeczki na parapetach. I cisza; jak w niemym filmie, gdzie dźwięk jest zawsze gdzie indziej, ukryty, nierozpoznany.

Czułam się bezpieczna w swej kryjówce za podwójnymi szybami domów i jeszcze jedną komputera, oddzielona od dźwięków i ruchów wieczorną ulicą nieprzekraczalną jak Styks. Powoli wszystko się uspokoiło, wyrównało, nawet stukolorowe opowieści Marii rozpięchły się w ciszy. I ona w końcu wróciła do siebie, zwinęła się w kłębek, zajęła pisaniem.

Zaczęłam pakować swoje rzeczy.

Odniosłam książki do biblioteki.

Johann stał w drzwiach. Zanim go spostrzegłam, poczułam jego wzrok, nikły uśmiech.

– A więc wyjeżdżasz – powiedział.

Spojrzałam na niego, jasne oczy za szklami okularów, zaróżowione policzki.

– Tak..., jutro rano.

– Jeśli chcesz, odwiozę cię na lotnisko.

– Weźmie rano.

Uśmiechnął się, ledwo dostrzegalnie skinął głową.

Po południu Helena zabrała mnie na wycieczkę. Pojechaliśmy jej samochodem w górę wyspy, gdzie po raz pierwszy zobaczyłam morze z wysokiego klifu, odległą panoramę miasta zamkniętego w różowych murach jak w skorupce jajka; i las. Drzewa rosły rzadko, kurczowo czepiając się korzeniami skalistego gruntu, w omiatanych wiatrem prześwitach leżały rozrzucone glazy. Ich nieład – mówiła Helena – jest pozorny, w przeszłości musiało tu być miejsce kultu. Przestrzenie między kamieniami były ścieżkami, tajemnymi przejściami do nieznanego Gdzie Indziej; one same – grobami. Pewnie nigdy się nie dowiemy, jak było naprawdę.

Wieczorem zjadliśmy zupę w rybnej restauracji, prawie same, otoczone migającymi ognikami świece. Rozmawialiśmy o poczci i o tym, czym wyśpa różni się od reszty kraju.

– Czym się różni? – chciałam wiedzieć.

Milczała przez chwilę.

– Światłem – powiedziała wreszcie. – Myślę, że różni się światłem. Tu jest inne światło.

Skinęłam głową. Pomyślałam o spotykanych wszędzie kamieniach.

Była połowa grudnia, czas zmierzal do najkrótszej nocy roku; od stycznia dni będą coraz dłuższe, coraz więcej słońca.

Ale już teraz załazek przyszłego światła czeka zwinięty w którymś z białych otoczaków, kamiennym jajku nad morzem, słabo przeblyskując przez cienką skorupkę.

Światło

For (...) their expectations were fulfilled, but not their hopes

E. M. Forster

Gdy lato zostało przytłumione przez jesień, a potem jej miejsce zajęły listopadowo-grudniowe deszcze, światło we mnie zaczęło przygasać. Dodał płonęło tak mocno, ogarniając mnie całą od wnętrza po końce włosów, że nie wierzyłam w życie bez niego.

Mój wewnętrzny świat jaśniał i rozkwitał, strumienie przybierały, zieleń mieniła się kolorami. Teraz jednak powoli jął zniknąć nawet ze snów, które stawały się wątle, szare, szybko ginęły w zakamarkach pamięci. Czułam, że i ja tracę zakorzenienie, staję się nleważka. Zbyt łatwo wpadałam w roztertagnienie, nerwowość, drażliwość. Płakałam. To, co wydawało mi się niemożliwe wtedy, gdy tłumaczyłam sobie, że muszę być silna, zdecydowana, pewna swego, teraz przedarło się przez tamy i wyciekło ze mnie cienkim, potem coraz silniejszym strumieniem.

Na przyjęciu, w tłumie ludzi.

Podczas wybuchłej nie wiadomo skąd kłótni.

W środku miasta, gdy szłam ulicą i nagle przystawałam.

Zapewne byłam przemęczona. Zapewne mocno odbierałam wahania atmosferyczne, zmiany pór roku. Zapewne.

Dotychczas towarzyszyło mi niezwykle, wibrujące wrażenie czyjejs ciepłej obecności pojawiającej się za mną, palców dotykających mojego łokcia,

ust muskających kark. Wrażenie, że ktoś na mnie patrzy, odprowadza wzrokiem, w każdej chwili może podejść, z uśmiechem, blaskiem w oczach, pozdrowieniem. Teraz coraz częściej czulam się sama w mroku; coraz częściej też musiałam przykrywać ciało swetrem, owijać szyję szalami, włosy chować pod czapkę.

Na promocji mojej książki spotkałam mężczyznę. Był miły, uważny, dość przystojny, elegancki. Gdy goście zniknęli, poszliśmy na wino. W kawiarni płonęły świeczki, cicho grała muzyka; powoli się rozluźniałam. Najtrudniejsze było już za nią, no i miałam towarzystwo. Nazajutrz zaprosił mnie na obiad. Wciąż był ujmujący, demonstrował życzliwe zainteresowanie. Raz tylko poczułam ułtucie niepokoju, gdy obnażył zęby w niespodziewanym uśmiechu. Wydały mi się zbyt białe, zbyt błyszczące i drapieżne. Coś mi też przypominały, ale szybko to od siebie odepchnęłam.

Po obiedzie odprowadzał mnie do autobusu, chociaż w istocie był to długi spacer, w tym zimnym klującym powietrzu, bo i ja nie chciałam od razu wracać. Wymieniliśmy wizytówki.

I nagle, gdy dochodziliśmy do kolejnego przystanku, zaczął mówić.

Był długo zakochany w pewnej kobiecie, kochał ją z wzajemnością, byli kochankami; namiętnymi. Później ona związała się z innym, urodziła dziecko. Ale wciąż się przyjaźnią; zaakceptował i jej męża, i syna.

Pomyślałam, że wciąż ją kocha i że: jak to możliwe?

Te wyznania pochlebily mi, ale i wprawiły w zakłopotanie. Poczułam samotność mężczyzny i jego rozpaczliwe pragnienie kontaktu; poczułam się obciążona.

Ale nie to okazało się najważniejsze. W nocy obudziłam się ze ściśniętym sercem, jakby przyśnił mi się koszmar. Uświadomiłam sobie, że zdradziłam mojego ukochanego. W tej krótkiej chwili, gdy zobaczyłam jego uśmiech w uśmiechu obcego; gdy znów zaczęłam czuć wstępujące mi pod skórę ciepło. Nie było nawet cieniem tamtego płomienia, lecz jednak. Delikatność mężczyzny, skupiona na mnie uwaga i życzliwość miały w sobie niejasną, kuszącą obietnicę nowej przestrzeni i czasu. Lecz jego niespodziewane otwarcie objawiło w tym coś dziwnego, nie na miejscu, czego nie umiałam ani pojąć, ani oswoić.

Powoli światła świec roztopiały się w prawdziwym, coraz silniejszym świetle, mrok się rozprasał. Teraz doba znów dzieliła się na dzień i noc, wyraźnie rozgraniczone, bez długich niepewnych wieczorów, snów przenikających w jawę. Wieczorami piłam wino, śmiałam się, tańczyłam. Ludzie podchodzili coraz bliżej; jakiś mężczyzna objął mnie ramieniem, nachylił się, dotknął ustami mojego policzka. Nie chciałam tego. Nie chciałam, żeby gnucie znów się zaczęły cofać, zanikać. Wróciło dawne, tak mocno odpychane uczucie bezradności i lęku.

Na pustej ciemnej ulicy zobaczyłam otwarte drzwi kawiarni; wewnątrz migotały płomyki świec. Weszłam.

W głębi podniosła się wysoka ciemnowłosa kobieta, tak jakbym się tu z nią umówiła na spotkanie, o którym zapominałam. Na jej stoliku płonęła świeczka, leżały owinięte czarnym jedwabiem karty.

– Siadaj, skarbie – powiedziała i chociaż już byłam trochę pijana, popełnęła w moją stronę kieliszek z czerwonym winem.

Oczywiście przyjął go.

– Przelóż lewą ręką do siebie.

Oczywiście przelożyłam.

I nagle znów znalazłam się w lesie. Nocą, w ciemności. Było cicho, tylko gdzieś w dole szmerła woda.

Aż coś usłyszałam: ktoś do mnie mówił. Poczułam dotknięcie – i z daleka dobiegł mnie krzyk. Wiedziałam czyj. Zakręciło mi się w głowie.

Przykryła mi dłoń ręką. Miałam dreszcze, a w środku pusikę, wielką ciemną otchłan. Byłam tak słaba, że nie mogłam się ruszyć.

– Co... co pani zrobiła?

Uśmiechnęła się.

– To nie było dla ciebie dobre, kochana.

– Co?

– Kazalam mu odejść.

Zacząłam płakać. Lzy wyplukiwały ze mnie wszystko, wszystko. Dopiero teraz poczułam, naprawdę i bez nadziei, że zostałam sama.

To trwało jakieś trzy dni, potem minęło. Uspokoiliłam się, wewnątrz mnie spadł śnieg. Przykrył cały las, woda też pewnie zamarzała. Nie dbałam o to.

Po kilku miesiącach zaczęły wracać do mnie sny, a przynajmniej mogłam je zapamiętać. Jeden z nich pamiętam szczególnie.

Miałam Anioła, przyjaciela, który czuwał nade mną i pomagał w każdej okoliczności; materializował się na każde wezwanie. Aż nagle, w bardzo trudnej sytuacji, opuścił mnie. Wołałam go, ale nie przyszedł; wiedziałam, że nie przyjdzie. Musiałam uporać się ze wszystkim sama – i tak się stało. Wtedy ostatni raz poczułam jego obecność.

– Na nie już ci się nie przydam. Teraz musisz radzić sobie sama.

Poczułam ból, dojmujący smutek utraty. I choć odwróciłam się natychmiast, zdolalam jedynie dostrzec słaby, zanikający uśmiech.

Muzyka

Znów pojechałam nad morze, tym razem na południe.

Dom stał na wysokiej skale, z okien było widać zrujnowane wielobarwne morze, jasne niebo, palmy. Nie potrzebowałam nic więcej.

Wstawalam późno, wieczorami starałam się nie opuszczać pokoju. Słuchałam ciszy.

W Domu zjawił się ktoś nowy. Drzwi do pokoju numer dziewięć, dotąd szeroko otwarte i demonstrujące całą nagusć nieużywanego pomieszczenia, ze schłodnionym łóżkiem, dziewczymi ręcznikami i fragmentem okna z dalekim mirażem morza – stały się częścią ściany, podobną do innych na piętrze ślepych okien w murze.

Nocą w korytarzu panuje wąlla, rozrzedzana poświatą pobliskiego budynku ciemność i cisza; staram się jej nie ruącić, jak kot skradając się w czarnych wełnianych skarpetach, jak kot wślizgując się w jej futrzaste wnętrze.

Za którymś razem poczułam, że coś się zmieniło. Cisza stała się bardziej przejrzysta, jaśniejsza, jakby spod którychś drzwi wślizgiwało się w nią światło. Ale to nie było światło; to była muzyka. I płynęła z pokoju numer dziewięć.

Delikatna, ledwie słyszalna, po chwili przybrała w czułym crescendo. Czyjś wysoki głos stapiał się z brzmieniem instrumentów, których nie umiałam rozpoznać; lecz pośród nich musiał być flet, dzwonki i coś, co przypominało morskie fale, wiatr. Nie było to podobne do niczego, co mogłam

usłyszeć tutaj. Te fale przyplwały z całkiem innej wyspy, zanurzonej w szarawym, wilgotnym powietrzu. Zdała się dryfować po morzu, naprawdę jednak zatonąłaby, gdyby stała nie pałono tam światła: to one utrzymywały ją na powierzchni.

Następnego dnia wstałam późno, wszyscy już dawno byli po śniadaniu. Wracając do siebie zobaczyłam drzwi numer dziewięć wpółotwarte, obite atlasem krzesło wysunięte na środek; wewnątrz jednak nie dostrzegłam nikogo.

Nad morzem było ciepło, bezwietrznie, pusto. Przy brzegu dużo nowych kamieni i wysokie fale uderzające w nie z wielką siłą. Na pomoście kilku mężczyzn jak zwykle lowito ryby. Odwróciłam się i ruszyłam z powrotem wzdłuż plaży. Teraz widziałam przed sobą mężczyznę w eleganckim czarnym ubraniu. Stał wpatrując się intensywnie w napływającą falę, a gdy już niemal dotykała nosków jego wypolerowanych butów, schylił się szybko i zanim uciekła, dotknął jej rozwartą dłoń. Chciałam się do niego uśmiechnąć, dać mu znak radości i sympatii, ale spojrzał na mnie z popłochem, szybko więc odwróciłam oczy.

W mieście tylko jedna kawiarnia była otwarta. Siedziałam tam do wieczora wpatrując się w migocący płomyk świecy przede mną i szklanki z jasnym i ciemnym alkoholem na kilku innych stolikach. Ktoś w kącie zachowywał się zbyt głośno, rozmawiał przez telefon, brzęczał szkłem. Nagle zapadła cisza, usłyszałam dobiegający z daleka nikły szum morza, a potem, z tego samego kąta – śpiew. Nie wiem, czy kobiety, czy mężczyźni: nie zapamiętałam, kto niedawno tak hałasował. Była to pieśń bez słów lub ze słowami, których nie mogłam rozpoznać; melodia wznosiła się i opadała, zmieniała ton i natężenie, i podobnie jak instrument zmieniał się głos śpiewającego. Odwróciłam się w ramię stronę i poczułam jego wzajemne spojrzenie; wymieniliśmy niewidzialne uśmiechy. Zaraz później świeczka na moim stoliku zgasła.

W nocy wróciły do mnie wspomnienia niedawnej wędrowki przez obce miasteczko i spotkania z mężczyzną grającym na trąbce. Podarował mi jedwabną torebkę i bransoletkę z koralami, a potem grał na swym instrumencie tak długo, aż znalazłam wyjście z plataniny ulic.

Ale nie wiem już, czy naprawdę słyszałam tę melodię, czy mi się tylko zdawało.

Gdy nie mogłam spać, leżąc wsłuchiwałam się w ciemność. Miałam nadzieję, że znów usłyszę muzykę, lecz dobiegały mnie tylko delikatne odgłosy ruchów Domu. Ktoś mógł chodzić po drewnianych podłogach, lecz mogły one też kołysać się same, cicho wdychając; albo była to sprawka wiatru, który dostał się tam nie wiadomo skąd i teraz miękko przesuwal się między sprzętami, wzdłuż ścian. Kogoś dotykał, głaskał, kogoś omijał; niekiedy śmiał się z cicha. Liście drzew na zewnątrz migotały nawet bez jego pomocy, zaglądały do okien lub od razu wpychały się do środka. Tylko terakotowa posadzka zdawała się zimna i niema; wystarczyło jednak spuścić na nią kroplę wody, by zaczęła śpiewać. Jakby te kafelki, te kamienie dopiero wróciły z morza.

Lecz ja, słuchając wszystkich dźwięków i drgnień, przypomniałam sobie historie o domach, które nie tylko żyły, ale wymagały, by je karmić. Ciałami mieszkających w nich ludzi.

Zacząłam wstawać coraz później, rano długo leżałam słuchając morza, czując jak się wolno, wytrwale przybliża, a po chwili zniecka oddala, kreśląc niewidzialne linie, granice między ziemią a niebem, sobą a resztą świata; i słuchając, po jakimś czasie znów zasypiałam.

Gdy w końcu schodziłam na śniadanie, jadalnia była pusta, dzbanek po kawie umyty; jak więc mogłam tu kogoś spotkać?

Któregoś wieczoru znów wyszłam na miasto. Księżyc już wzeszedł i wisiał nad ząbkowanymi wieżami niby na ilustracji do romantycznej powieści grozy. Ale tu nie było duchów; prawie też nie było ludzi.

Jakiś mężczyzna przechodził poprzeczną ulicą, widziałam jego twarz długo odwróconą w moją stronę. Ucieszyłam się; chciałam zapytać o godzinę. Lecz gdy go zagadałam, wsunął głowę w ramiona i przyspieszył kroku. Po chwili zobaczyłam mijającą mnie kobietę; lecz i ona, patrząc z lękiem, prędko odeszła.

Postanowiłam przejść na przelaj miasto i park, a później, z morzem po prawej stronie, spokojnie wrócić do Domu.

Niespodziewanie z zaułka na tyłach głównej ulicy dobiegła mnie muzyka. Tak jak podczas mojego pierwszego spaceru po mieście, gdy jeszcze było lato. Pamiętam wystawione na zewnątrz okrągłe metalowe stoliki i siedzących przy nich starych mężczyzn ze szklankami wypełnionymi białym płynem, z talerzami chleba, pomidorów i oliwek. Na środku tańczył inny stary mężczyzna. Jego chude ciało i ramiona zdawały się same poruszać w rytm melodii, szczęśliwy uśmiech pokazywał zepsute zęby. Nie tylko ja nie mogłam oderwać od niego wzroku. Tancerz wracał do stolika przy akompaniamencie radosnych okrzyków aplauzu.

Wtedy spłoszyły mnie natarczywe spojrzenia gości baru, teraz jednak postanowiłam tam wrócić.

Chociaż nie było późno, zaledwie pora wczesnej kolacji, pewnie z powodu zimna i mroku stoliki i poskładane krzesła piętrzyły się niedbale przy ścianie. Lecz płynąca przez otwarte okna baru muzyka była dużo głośniejsza niż przedtem, musiała zagarniać sporo sąsiednich ulic. Wewnątrz siedzieli ci sami, jak mi się zdawało, mężczyźni; znów zlustrowało mnie kilka par oczu, ale teraz na to nie zważałam. Podeszłam do właściciela; spojrzał na mnie pytająco, a następnie uśmiechnął się z zakłopotaniem i rozłożył ręce. Z ruchu jego warg domyśliłam się, że powtarza: zamknięte, już zamknięte. Mężczyźni leniwie wrócili do swoich szklanek. Muzyka grała tylko dla nich.

Gdy wróciłam do siebie, od razu zapaliłam obie lampki i otworzyłam okno, by wpuścić szum morza. Było chłodno i wietrznie; zbierało się na burzę. Wiatr przybrał na sile i musiałam pozamykać nawet żaluzje. Dom był ciemny, pusty, milczący; miałam wrażenie, że na coś czeka. Zastanawiałam się, czy ciągle jeszcze są w nim ludzie, czy może zostałam tylko ja jedna, kurczowo trzymająca się swego pokoju jak tratwy na morzu pełnym rekinów.

Leżąc w łóżku z napięciem wsłuchiwałam się w ciszę, ale nie mogłam wylapać nawet echa dźwięku. Pomyślałam, że wstanę, zapukam do drzwi pokoju dziewięć i przynajmniej sprawdzę, czy jest tam ktoś w środku; ale nie odważyłam się opuścić stopy na podłogę.

Chłód

Wyjechałam do Ameryki Północnej. Na miesięczne, z trudem wywalczone stypendium. Praca, której ode mnie wymagano, okazała się symboliczna – ledwo parę godzin dziennie – i w sumie przyjemna. Kiedyś wyobrażałam

sobie, że mogłabym jakiś czas pracować w bibliotece, żeby wśród książek nabrać dystansu do świata, pobyć sama ze sobą – i tak właśnie mi się zdarzyło.

Oprócz mnie przyjeżdżali i inni, z całego świata, niektórych nawet polubiłam. Lecz naprawdę zapamiętałam tylko jego: człowieka z Zewnątrz, mieszkańca tajemniczego Skądinąd.

Spotkałam go w barze. U siebie nigdy nie chadzam do barów, ale tam widziałam siebie jak kogoś innego, bardziej wolnego, no i chciałam się wreszcie przekonać, jak to jest. W nieznanym miejscu czułam się samotna i zagubiona, dopiero szukałam swojego miejsca.

Już za pierwszym razem wszystko poszło gładko, prędko zapomniałam o nieznosnie krępującym poczuciu obcości. Prawie natychmiast wdalam się w rozmowę z młodym mężczyzną: jak się okazało, Indianinem, co dodatkowo mnie zaintrygowało. Powiedział, że nazywa się Borys – jeszcze niezwyklesze. Później miałam się przekonać, jak bardzo nie było to jego prawdziwe imię.

Rozmawiając, wyszliśmy się przewietrzyć, a gdy poczułam się naprawdę zmęczona, zaproponował, że mnie odprowadzi do domu. Przystałam na to ochoczo; teraz czasem się dziwię, jak mogłam mu tak ufać od samego początku. Zadzwoił następnego dnia, i tak się zaczęły nasze spotkania: moje odkrywanie zupełnie nowego świata.

Borys był wysoki, przygarbiony, chudy, średnio przystojny i dosyć ponury. Czarne włosy niemal zakrywały mu oczy, a duży fragment czoła i policzków znaczyły pęki cienkich blizn. Nigdy o nich nie mówił, jak i o swoim życiu. Podobało mi się to, tak jak że nie próbował mnie uwodzić i w żaden sposób nie dawał mi odczuć mojej inności, również tego, że jestem kobietą. Mimo uprzejmości, a nawet delikatności, którą mi okazywał, czułam promieniujący od niego chłód; czasem uśmiechał się w sposób, który wydawał mi się obelżywy, ale to wrażenie szybko mijało. Zadziwiająco szybko się do siebie zbliżyliśmy. Naszą zażyłość trudno byłoby nazwać przyjaźnią, jednak coraz więcej ze sobą rozmawialiśmy; między nami panowała czuła szczerłość, bez żadnych zobowiązań.

Odkryłam, że jest wspaniałym gawędziarzem. Z początku trochę, jak wyczuwałam, napięty i niepewny, rozluźniał się z każdą kolejną historią. Były one fascynujące i absolutnie niezwykłe, ale ja nie zastanawiałam się nad ich wiarygodnością, słuchałam z płonącymi uszami. Zapewne wiele z nich wywodziło się ze starych mitów, nieco podkolorowanych, inne, prawdopodobnie wymyślone, brzmiały jak część dziejów narodu. Opowiadały o zwierzętach i ludziach, którzy z łatwością mogli przybierać ich postać – i odwrotnie – oraz innych, będących zarazem i ludźmi, i zwierzętami; mówiących kamieniami i chodzących drzewach; o darach, jakie należy składać przyrodzie, i pieśniach, potrafiących uleczyć duszę i ciało, uczynić życie piękniejszym; a także o nigdy nie gasnącej komunikacji żywych i zmarłych i wzajemnych wędrówkach między ich światami, o tym, że nie tylko zmarli mogą przeprawiać się na stronę żywych, ale i żywi penetrować krainę umarłych.

Wszystko tam żyło, wibrowało, stałe w ruchu, tańcu, pełne niezwykłości. „Był ostrożny jak lis i cichy jak noc”; „Droga zmarłych naznaczona jest wyraźnie” – oto jedne z określeń, które najbardziej zapamiętałam.

W tych gawędach musiały się mieszać historie z różnych regionów Ameryki sprzed podboju jej przez Białych; wątki często się plątały i zamieniały

miejscami, tworząc w końcu jedną opowieść dającą złudzenie prawdziwej, solidnej i spójnej.

Lecz nie zawsze. Zdarzało się, że Borys tracił wątek i milkł w rozłargnięciu; wtedy lekko dotykałam jego dłoni i jakiś czas siedzieliśmy w ciszy.

W dalszym ciągu jednak prawie nic o nim nie wiedziałam. Pamiętam tylko, że kiedyś krótko mi oznajmił, iż ma matkę gdzieś w głębi kraju i jak się zorientowałam, przyrodnią siostrę, ojciec zmarł lub zniknął; Borys wspominał o tym raz, ogólnikowo i z widoczną niechęcią. Nigdy nie mówił o swoim życiu osobistym, czy miał dziewczynę, a może wolał mężczyzn, ja nie wyczuwałam tego, jak zdarza mi się to w przypadku innych; na serdecznym palcu lewej dłoni nosił cienką srebrną obrączkę.

Zwykle czekał na mnie przed biblioteką, gdzie odsiadywałam przypisane mi godziny, coś wypijaliśmy lub jedliśmy i szliśmy na długi spacer. Później zaczął mnie zabierać na kilkugodzinne przejażdżki swoim nieprawdopodobnie starym samochodem. Zwykle jechaliśmy przed siebie, nuciąc, i nagle on skręcał w las, nad jakieś urwisko; czasem odkrywały się przed nami zamaskowane polany, osobliwe spiętrzenia kamieni, niezwykle drzewa, wpółzarosnięte jaskinie; niekiedy zatrzymywaliśmy się gdzieś na piknik. Wtedy wszystko to wydawało mi się naturalne, zwyczajne i łagodne; teraz czasem się zastanawiam, czemu akurat mnie sobie upodobał, co nas właściwie złączyło, chociaż wiem, że niedobrze zastanawiać się za bardzo.

Podczas jednej z takich wycieczek niespodziewanie i od niechcenia, jakby cofając się do zaczętej kiedyś rozmowy, mruknął, że Borys jest jego przybranym imieniem, naprawdę nazywa się Chromy Jeleń. Zamartam zrozumiawszy, że dotyka mnie coś bardzo ważnego, dla mnie, ale i dla niego, że zdecydował się na to wyznanie dla jakiejś istotnej przyczyny, jednak nie chciałam jej dociekać. Działo się to dość dawno temu i nie pamiętam już szczegółów tej rozmowy, przypominam sobie jednak z niejakim wstydem moją natychmiastową chęć, by zerknąć na jego nogi; musiał zauważyć lub wyczuć ten odruch, bo uśmiechnął się lekko. Później już nigdy do tego nie wracaliśmy, nie wiem więc – i nie wiem, czy bym się dowiedziała – czemu tak go nazwano i jakie to mogło mieć znaczenie w jego życiu. Nadal, jakby nigdy nie, chętnie opowiadał mi historie, prawdziwe i zmyślone, a może mityczne lub zaczerpnięte z folkloru – nie dbałam o to. Czułam, że jest nieśmiały; unikał patrzenia w oczy, trochę się jękał i uśmiechał niezbyt przyjemnie, krzywo, i pewnie też przez to nie byłam do końca pewna, ile z jego opowieści było autentycznych lub podkolorowanych, a ile sobie zwyczajnie zmyślił.

Któregoś dnia Borys oznajmił mi lakonicznie, że wyjeżdża na kilka dni i odezwie się, gdy wróci; nie zrobił tego i nigdy więcej o nim nie słyszałam. No cóż, mówiłam sobie broniąc się przed ogarniającym ruzzalaniem, tak się zdarza i nie ma w tym nic dziwnego, w końcu nie między nami nie było, ot, zwyczajne bez zobowiązań. Niedługo miałam wracać do domu, wszystko się w naturalny sposób rozsypie, rozwieje; zresztą smutek towarzyszy każdemu opuszczaniu miejsca, gdzie się zabawiło jakiś czas, spotkało nowych ludzi i zakosztowało innego życia.

Jechaliśmy nocą, autokarem przez las, a właściwie szosą, po której obu stronach rósł las, i zatrzymaliśmy się na krótko na stacji benzynowej. Odeszłam trochę dalej w ciemność i nagle z całą siłą wróciły do mnie historie, które opowiadał mi Borys, godziny, które z nim spędziłam, nasze milczenia i niezwykle bycie razem; czym prędzej odwróciłam się znowu i zaczęłam

z powrotem iść w stronę autokaru, do światła i ludzi. Przy drodze stał duży metalowy kosz na śmieci; zatrzymałam się przy nim chcąc opróżnić kieszenie z papierów, i nagle poczułam przeraźliwy irracjonalny lęk. Uderzył we mnie silny zapach, obrzydliwy fetor zgnilizny i rozkładu. Kosz nie był pusty, teraz widziałam wyraźnie, że sterczy z niego wielka noga jakiegoś zwierzęcia, częściowo oklarta ze skóry i świeża, jeszcze nie całkiem utyła. Wydzielała ciężki odór krwi, śmierci, zwierzęcego strachu; a także coś jeszcze, coś znacznie gorszego, czego w ogóle nie umiałam nazwać. Obezwładniający chłód, przenikające do szpiku kości zimno. I co było najgorsze, prócz straszego chłodu promieniowała mdłym blaskiem, sinym, fosforyzującym, nie z tej ziemi.

Nigdy dotąd nie czułam takiej grozy. Włosy stające na całej skórze, ucisk i szum w uszach, szczykowanie zębów, zawroty głowy, mdłości: wszystko to i jeszcze więcej. Chyba zaczęłam okropnie krzyczeć; chyba straciłam przytomność. Jak przez mgłę docierały do mnie głosy biegnących w moją stronę ludzi, migawkowy widok ich białych jak kość twarzy i śmiecielnie przerażonych oczu. Nie pamiętam, jak znalazłam się w autokarze, nie pamiętam, jak długo trwałam tam bez ruchu, wstrząsana lodowatymi dreszczami, z głową wciśniętą między kolana. Właściwie nie pamiętam nic, co stało się później.

Jedynie zakończenie tej historii.

Leżąca w koszu noga była nogą jelenia, choć wielkiego, znacznie większego niż spotykane w rzeczywistości.

W tamtych stronach Indianie wciąż, jak dawniej, polują na jelenie. Musiało się zdarzyć, iż jeden z nich nie rozpoznał, że ściga nie zwykłe zwierzę, lecz ducha, bóstwo lasu, które przybrało jego kształt. Zaślepiiony lub pełen pychy, nie pojął wysyłanych mu sygnałów; i gdy go w końcu ustrzelił, za karę sam został zmieniony w jelenia, a później zabity przez innego myśliwego. Zimno i ta straszna bladoniebieska aura były znakami przejścia, bramą do Krainy Zmarłych: do Śmierci samej, Otchłani najgłębszej z możliwych, bez powrotu i ratunku; bez zmiłowania ani najmniejszej nadziei na odkupienie.

To usłyszałam wiele lat później od innego Indianina, starego mężczyzny, o którym mówiono, że jest szamanem.

Bezenność

Zaczęłam jeszcze raz, po chwili wahania.

– Wiem, jak to zabrzmieć – mówiłam wolno, ważąc słowa – wiem, że z realnego punktu widzenia jest to niemożliwe. Ale czasem myślę... myślę, że zaraziłam się od tamtego mężczyzny. Że jego bezenność przeniknęła we mnie, zainfekowała mnie. Ten jego defekt, ta szczególna przypadłość...

– Nie umiem pani pomóc – powiedział lekarz.

Ale obserwował mnie czujnie spod ściągniętych szpakowatych brwi; przenikliwie, jakby płasio.

Czas stanął w miejscu.

– Ale wie pani – podjął wreszcie lekarz – polecę panią koledze. Jest kimś... specjalnym, specjalistą. Czy zgodzi się pani?

– W milezeniu skinęłam głową.

– Proszę więc za mną. – Wstał i skierował się w stronę zamkniętych drzwi, innych niż te, którymi tu weszłam. Położył dłoń na okrągłej klamce i czekał, patrząc na mnie. Później ruszył przed siebie, nie oglądając się, a ja za nim. W końcu znaleźliśmy się w niedużym ciemnym pokoju. – Proszę tu poczekać, aż zmienię... krótko – powiedział zniechęca, chrapliwie i niewyraźnie.

Zrobiło mi się nieswojo, nie wiem czemu usłyszałam albo zrozumiałam:

– Proszę tu poczekać... aż zmienię się w kruka.

Z półmroku błysnęły jego oczy; cicho zamknął za sobą drzwi i zostałam sama.

Poczułam takie zmęczenie, że nie byłam w stanie rozejrzeć się za kontaktem i zapalić światło. Jakby ciężar wszystkich nieprzespanych godzin, cała nieprzeżniona rzeczywistość przygniotła moje ramiona i plecy. W głębi słabo lśniły ciemne tafle okiennych szyb... a może luster? Jednak były to okna; gdy do nich podeszłam, mogłam wyjrzeć na zewnątrz. Wtedy zobaczyłam, że pokój znajduje się w wieży, na samej jej szczycie. Musiał być śmulek nocy, bez gwiazd ani księżyca, ale i tak odgadłam, że wieżę wzniesiono na pustkowiu, że do horyzontu lub nawet dalej – nie było tam nic. A wokół wieży, inaczej powietrze skrzydłami i przeraźliwie kracząc, kolowało stado kruków.

Cofnęłam się gwałtownie i odwróciłam. Teraz widziałam, że w pokoju oprócz mnie znajdują się jeszcze dwie kobiety, siedzące na przysuniętej do ściany drewnianej ławie bez oparcia. Stopniowo, gdy moje oczy przywykły do ciemności, zaczęłam dostrzegać je lepiej.

Jedna była starsza, wysoka i dość tęga, o gładkiej zdecydowanej twarzy i czarnej lub bardzo ciemnej skórze; wyglądała na opanowaną i pewną siebie. Druga, przeciwnie – drobna, blada, niepozorna, miała mysie włosy ściągnięte w cienki ogonek; z opuszczoną głową wpatrywała się w ziemię między swymi stopami. Spojrzałam tam i ja, a im dłużej patrzyłam, tym wyraźniej widziałam, jak coś tam się porusza, kłębi... I nagle ze strachem wciągnęłam powietrze, przerażona uciekłam z nogami na ławkę.

– Węże! Cała podłoga węży!!!

Czarna kobieta spojrzała na mnie z ukosa.

– Tak jest – powiedziała głębokim zrezygnowanym głosem. – My wszystkie będziemy musiały się przemienić. Nie ma tu dla nas miejsca.

– Przemienić? – wyjąkałam pod dłuższej chwili.

Czarna kobieta wzruszyła ramionami i obojętnie odwróciła wzrok. Za to druga podniosła oczy. Białe, pozbawione źrenic, zupełnie białe.

– Tak właśnie, przemienić – odezwała się, nieprzyjemnie i świszcząco. – Im prędzej, tym lepiej. – Zerwała się z miejsca, rozpostarła ramiona; na naszych oczach pokryły się luską i bladobłękitnymi ostrymi lotkami.

Czarna roześmiała się chrapliwie. Nagłym ruchem także podciągnęła stopy, błyskawicznie odbiła się od ławki i przykleiła wysoko na ścianie. Była wielkim, włochatym nietoperzem. Obłeśnie nagi różowy pyszczek wykrzywił się na mnie paskudnie.

Zniknął ratunku, pomyślałam.

Rozpuściłam włosy i przerzuciłam je oknem na zewnątrz. Poczułam niespodziewane szarpnięcie, tak silne, że z bólu straciłam przytomność.

A więc jednak śpię, śpię i śnię! – mogłabym wykrzyknąć, ale nie byłam w stanie.

Szłam przez las, miałam na sobie ciemnozielony płaszcz z grubego filcu; na nogach ciężkie buty, a w ręku kij. Szłam za nikłym cieniem, który mnie

prowadził, ale nie wiedziałam dokąd. Miałam też plecak, który ciążył mi coraz bardziej, aż wreszcie przystanęłam, żeby go zsunąć z ramion. Nie potrafiłam tego zrobić. Szamotałam się z nim, na oślep macając z tyłu rękami, gdy nagle poczułam nie dotyk martwej skóry, lecz żywego zwierzęcia. Wydawało z siebie rozjuszony syk, pazurami wbilo mi się w ciało. Z wściekłością, kalecząc dłonie do krwi, zrzuciłam je z pleców. Zobaczyłam, że dźwigałam na plecach smoka, małą silną bestię o białych oczach. Zaczęłam przeraźliwie wrzeszczeć i z tym krzykiem się obudziłam.

Nade mną pochylała się wielka, różowobiała jak u bobasa głowa lekarza. Spoglądał na mnie srogo, karcąco.

– Musi pani zerwać z kochankiem i rozwieść się z mężem – przemawiał tonem nieznośnym sprzeciwu. – A także powinna pani przytyć, koniecznie. Co jakiś czas rozerwać się, pójść na dancing...

Jaki znowu dancing, co za bzdury pan wygaduje! – chciałam wykrzyknąć, ale nadaremnie. Mężczyzna ciągle paraliżował mnie wzrokiem.

– Seks spokojnie, regularnie, a nie w pośpiechu, gdzieś pod mosiem.

Jeszcze raz próbowałam zaprotestować i znowu bez skutku.

– A przede wszystkim to ma pani depresję, ale ja panią wyleczę. Czy miała pani w ostatnim czasie jakieś silne przeżycia? – Zamilkł świdrując mnie badawczym wzrokiem, wyraźnie czekając na odpowiedź, ale ja nadal nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

W co muszę przemienić się tym razem? Czulałam tępy ból w dole brzucha.

– Ma pani na skórze mnóstwo białych plam, jakby blizn... po sierści? piórach? luskach? A i tu, na barkach... i pod paznokciami!

Rzuciłam się do przodu i w jednej chwili odgryzłam mu tę obrzydliwie miękką sondującą dłoń. Sama nie wiem, jak to się stało. U moich stóp w kałuży krwi wił się mały pokrauczny kameleon. Przesząpiłam go ze wstrętem i po kilku krokach otworzyłam drzwi. Na całą szerokość. Z rozkoszą wdychałam pachnące powietrze przestrzeni, słońca i wiatru, świeżo skoszonej trawy. Niebo wirowało od ptaków, chmur i koron drzew, długa trawa lekko muskała moje nogi niczym włosy łagodnego zwierzęcia. Tu i ówdzie, drząc nieznacznie, rozpościerały się ciepłe cienie.

Nieważne, kim byłam i kim jeszcze mogłam się stać. Byłam wolna.

Zofia Beszczyńska

Książki nadane

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Wrocław 2006

Adam Tadeusz Bąkowski: *Nieszczęsne okiennice*. Poezja. Ss. 46.

Gabriel Leonard Kamiński: *ROTH – Nowy Testament*. Poezja. Ss. 36.

Rafał Skrobich: *Z kamiennego wyboru*. Poezja. Ss. 43.

BOŻENA BRZozowska

oko

nie potrafiłam zajrzeć ci pod skórę
teraz *schudłam* się powoli
i liczę kilometry do pierwszego
już nie przeraża widok
skróconych nóg, wydłużonych rąk
i stanów bez posiadania się

bez radości
w połowie orzecha
tupic moja starość

okno nie na świat

wdech, wydech
wdech, wydech
wdech, wydech

sluchasz czy mówisz?

dziesięć tysięcy metrów sześciennych
nieczytelnych zapisów, niedopitej kawy
niesprawdzonych listów, niedokończonych rozmów

a ty?

*chciałbyś być nim, iowić ryby, żyć sobie pomalutka**

powoli odpływa ryba, strach, piekło
świeci na końcu języka

plener

wypatrzony, wypaczony, zwinięty w kłębuszek
sen na cztery ręce płacze się w zoznaniach

* R.W. Grolini

stoimy stoimy Stoimy wzdłuż torów
– my sweterki z przetartym rękawem,
biedronki nie z biedronki i wiersze nieme
od zachwytu na przekór sobie. śniegi wróżą
śniegom śniegi – wstrzymujesz oddeci. jesteś
czytelnikiem własnego snu, zagubionym w płamę na suficie*
godzinami ustawiasz biejtram
przechodząc z nadczynności w czynność. pada sz

z deszczu pod niedopowiedzenie

dopadła mnie jakaś starość na „e”
(może to wers po wczorajszym fryzjerze?)
nadstawiałam głowę ażeście
tak długo – aż spadło „i”

potoczyło się

teraz jak piechur bez głowy
walczę o lepsze wczoraj
coś tam, ktoś tu
już oficjalnie zadaje pytania pytaniom

okamgnienie

uważaj na zielone światła. końce
świata i wieże do połowy malowane.
dzisiaj chimery bezpłatnie rozdają zdziwienia
płacąc słono za słowo zastępcze.
bądź czujna
życie trzeba mieć na oku

Bożena Brzozowska

plastyka

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Portret artysty przed trzydziestką

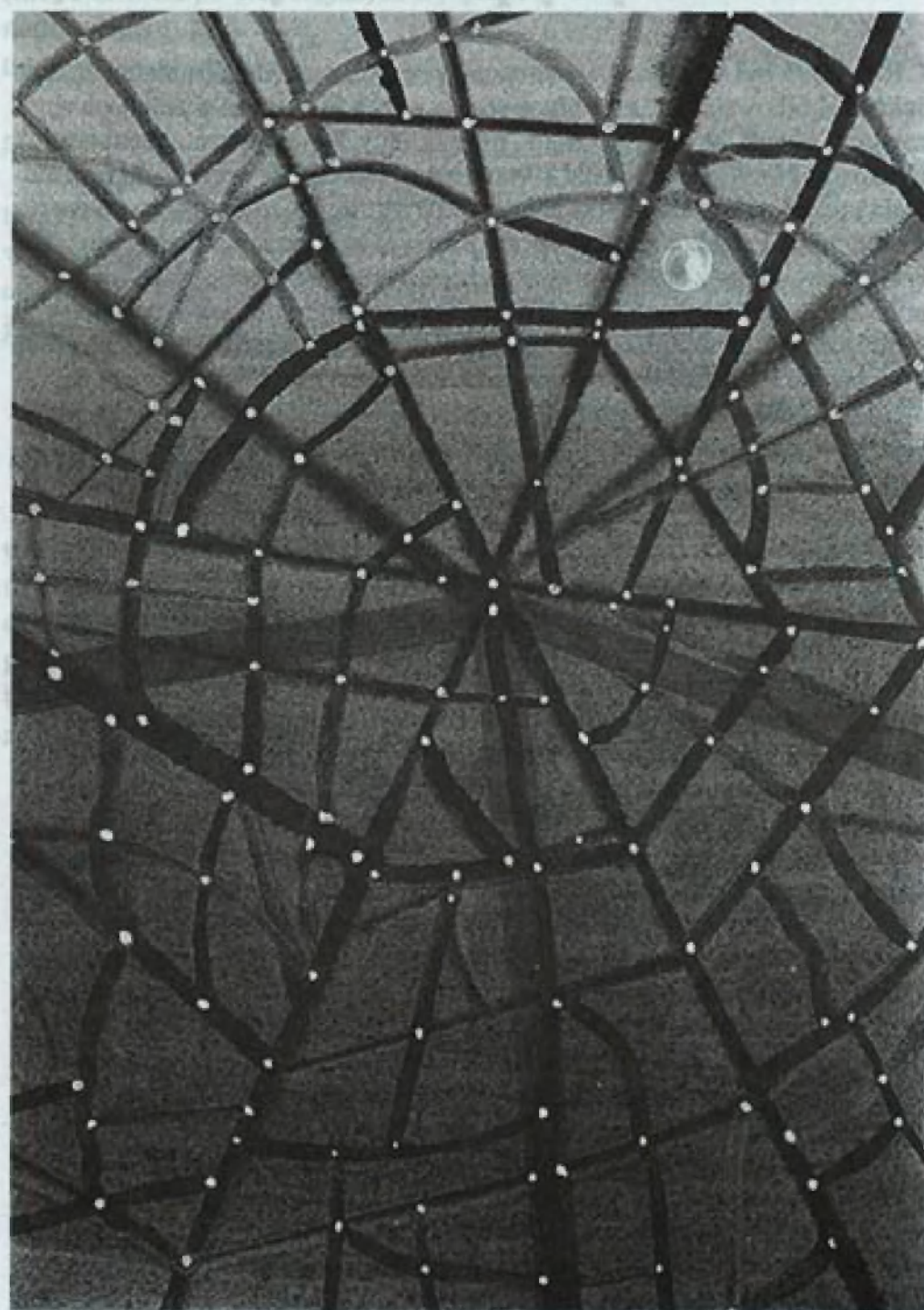
Rok 2006 był wyjątkowo interesujący w życiu młodego malarza Jakuba Juliana Ziółkowskiego. Jego prace wzięły udział w siedmiu wystawach zbiorowych. mogli je oglądać m.in. mieszkańcy Norymbergi, Monachium, Krakowa, Norwich, Bielefeld i Warszawy. Twórczość artysty zaprezentowała także londyńska galeria Hauser & Wirth organizując mu wystawę indywidualną. Projekty te spotkały się z dużym zainteresowaniem i wydobyły Ziółkowskiego z cienia sprawiając, że artysta znany dotąd wąskiej grupie odbiorców stał się osobą obecną zarówno na polskim, jak i europejskim rynku sztuki. Jakub Ziółkowski nie zepsuty powodzeniem, otwarty na nowe impulsy, wciąż szuka swojego miejsca. Jest kreatywny, wymyka się uogólnieniom. I choć krytycy próbują wrzucić go do wielu pojęciowych szuflad widząc w jego malarstwie inspiracje Kandinskim, Maxem Ernstem, rysunkami Kippenbergera, analogie te są na tyle odległe, że wydają się nie szkodzić malarzowi, nie zamykają bowiem jego prac na nowe odczytania. Sam autor broni się przed taką klasyfikacją tworząc rzeczy bardzo różnorodne stylistycznie.

Obrazy malarza można dziś nabyć poprzez Fundację Galerii Foksal, ona reprezentuje artystę. Znalazienie się pod jej skrzydłami jest dla wielu adeptów akademii sytuacją wymarzoną, trudno dziś bez pomocy pośredników nawiązać kontakt z prestiżowymi galeriami w Europie, trafić do kolekcjonerów. FGF prowadzona przez kuratorów: Joannę Mytkowską i Andrzeja Przywarę pozostaje dziś jedną z najbardziej prężnych instytucji na tym polu, a w jej katalogach figurują czołowi polscy artyści, m.in. Monika Susnowska, Paweł Althamer, Wilhelm Sasnal. Wśród znajomych Ziółkowskiego krąży plotka, że obecność w fundacji zawdzięcza właśnie Wilhelmowi Sasnalowi. To on miał zrobić zdjęcia obrazów Ziółkowskiego zaprezentowanych podczas wystawy w krakowskiej ASP i zainteresować nimi warszawską galerię. Współpraca z malarzem rozpoczęła się od przyznania mu stypendium, pieniądze pozwoliły na zdobycie niezależności i spokojną pracę. W 2005 roku Fundacja Galerii Foksal zorganizowała mu wystawę indywidualną, od tego czasu promuje również prace artysty prezentując je w Polsce i za granicą.

Odbiorca twórczości młodego artysty musi przede wszystkim zrozumieć proces, który można określić jako próbę przezwyciężenia środkami malarzkimi chaosu myślowego. Chaos ten jawnie permanentny nie jest pożądanym programem, nie jest także objawem niedowładu intelektualnego czy duchowego, jest raczej stanem, w jakim osobowość artysty znajduje siebie. Poeta Kajetan Herdyński, wieloletni przyjaciel Ziółkowskiego, z którym przygo-

rowuje wspólne przedsięwzięcie artystyczne, zwrócił uwagę na jeszcze jeden istotny aspekt tego malarstwa:

Tym, co mnie uderzyło i zdumiało, kiedy Jakub zaczął mi pokazywać swoje obrazy, była ich niesłychana dziwność (mogłbym napisać, że zdziwila mnie ich dziwność i nie byłaby to tylko tautologia, gdyż na pewną dawkę dziwności możemy być przecież zawsze przygotowani, zwłaszcza gdy mamy do czynienia ze sztuką. Tymczasem u Jakuba ta dziwność przekraczała – w moim odczuciu – swoje normalne granice – była czymś wynaturzonym, jakimś przepokraczeniem, jakimś szaleństwem rozbijanej formy, w pewnym sensie czymś groteskowym i ironicznym. Dziwnością, która zaczyna dziwić się samu sobie if you will. Wpłynęły jednak na to nie tylko formy, kształty, niekiedy zupełnie dzikie, frywolne, absolutnie dowolnie przedstawiane elementy rzeczywistości, ludzkiego ciała, elementy krajobrazu, mapa nieba – wszystko to u Jakuba – wyrwane ze swoich stałych miejsc, zaczęło nagle tworzyć świat zupełnie nowy – nie miałem nigdy pojęcia o regułach tego



Tusz, papier, format A3, 2006 r.

świata – być może jedną z nich jest właśnie ironia, ale zawsze miałem pewność, że te reguły muszą istnieć – może dlatego sądzę, że mimo tej dowolności obrazy Jakuba nigdy nie były dla mnie pozbawione dyscypliny i rygoru.

W stylowej komodzie rodziców Ziółkowskiego leży medal, który malarz otrzymał za dyplom na krakowskiej ASP. On sam jednak dystansuje się od swojego studiowania i wspomina je raczej jako pasmo kłopotów.

Zdałem na akademię i od razu się rozczarowałem. Okazało się, że to bardzo skostniała uczelnia. Nie mogłem skupić się w pracowni, rozpraszały mnie rozmowy panienek o ciuchach. Wolałem pracę w domu.

Wielotygodniowa absencja na zajęciach i konflikty z profesorami sprawiły, że omal nie został wyrzucony. Na pierwszym roku zniszczył obraz jednego z wykładowców. Poszukiwał dużego blejtramu, znalazł taki na zapleczu, wyciął płótno i nabił własne. Chciał namalować duży obraz. Afera rozniosła się szerokim echem po akademii. Zniszczony obraz wrócił właśnie z wystawy w Norymberdze. Na szczęście dla Ziółkowskiego znalazł się student, który bardziej przesadził, i to jego wyrzucono.

Od połowy trzeciego roku Jakub malował wyłącznie w domu. Czuł, że taki tryb pracy posuwa go znacznie do przodu. Zglądał na akademię jedynie na zajęcia rysunku. Spotkanie z Jackiem Gajem, grafikiem, erudytą, profesorem w dawnym stylu uważa za jedyne istotne doświadczenie wyniesione ze szkoły. Zajęcia u niego doradziła mu Agata. Była dawną modelką, kłoszardem, wyciągała drobne sumy od przechodniów, a co mniej wrażliwym pokazywała swoją chorą przepuklinę, czasami przychodziła do gmachu akademii ogrzać się i zdrzemnąć. Ona mu powiedziała o Gaju, znała wykładowców lepiej niż ich studenci.

Na akademii pojawiałem się okazjonalnie, ale na zajęcia z Profesorem Gajem przychodziłem zawsze wcześniej, żeby zająć sobie dobre miejsce i „przygotować do walki”. Wyzwał we mnie niesamowitą energię. Bardzo lubiłem jego korekty. Stawiał mi coraz wyższe wymagania, otwierał głowę, namawiał, żebym malował tak jak rysuję. Rzecz najważniejsza: był to jedyny pedagog, do którego czułem zaufanie.

Po zajęciach u Jacka Gaja Ziółkowski nie tylko przełamuje akademickość w swoich obrazach, ale także wyzwala wyobraźnię, tworzy rysunki w gigantycznych formatach. Profesor czuwa nad jego dalszym rozwojem, przychodzi do pracowni oglądać obrazy, pomaga w kłopotach.

Jakub był bardzo żywym dzieckiem – wspomina ojciec malarza Jacek Ziółkowski – że starszym o 11 lat Tomkiem prowadził nieustające wojny. Trzy razy zbil szybę w jego pokoju, w akwarium topił ciapy, skarpetki i co popadło. Starszy się na klucz zamykał, a tu naraz się skumulowali. Jakub przestał wylatywać z pokoju z kopniakiem. Dopiero w szkole na wywiadówce dowiedziałem się, że estetyka zeszytu z biologii starszego syna znacznie się poprawiła. Miał w zeszycie wreszcie piękne przekroje liścia, dokładne rysunki komórek. Pani podejrzewała, że ja za niego to odrabiam, bo przez całe liceum uczył się dobrze, ale zeszyty miał skandaliczne. Tomek był wtedy w klasie maturalnej, a Jakub miał 7 lat i z przejęciem mu te wszystkie prace wykonywał.

Przestranny dom rodzinny Jakuba przypomina galerię, na ścianach obok prac młodego malarza odnaleźć można obrazy jego dziadka, Michała Ziółkowskiego. Był on długoletnim dyrektorem Liceum im. Jana Zamoyskiego w Lublinie, uczył historii, grał na skrzypcach, ale jego pasją było malarstwo. Malował, robił drzeworyty i akwarele. Syna nazwał na cześć Malczewskiego – Jacek, kupował mu wszystko, co było niezbędne do rozbudzenia zainteresowań artystycznych, posyłał na zajęcia plastyczne, pokazywał albumy dawnych mistrzów, Jacek jeździł z ojcem na plenery, rozkładał sztalugi i biegi grać w piłkę. Malowanie zupełnie go nie zajmo-

walo. Został lekarzem. Jakuba nikt nie namawiał do rysowania, pamięta scenę z dzieciństwa. Siedzi w pokoju, na biurku blok z rysunkami, mama przychodzi sprawdzić czy się uczy, on ledwie nadsza zarzucić szkicownik książkami. Mama od dzieciństwa zbiera w teczki jego prace, regularnie odwiedza skup papierniczy. Kiedy zbliża się moment wyboru studiów, siadają przy stole i rozmawiają o przyszłości syna. Rozmowa trwa długo, a Kuba nie odzywa się ani słowem, mimowolnie, mechanicznie zapelnia kartkę rysunkami. Decyzja narzuca się sama, postanawia zdawać na grafikę. Dostaje się na UMCS na Wydział Plastyczny, ale już po kilku miesiącach postanawia zdawać na ASP, zawiera z ojcem układ, że będzie próbował cztery razy. Dlaczego nie trzy? Bo nie lubi liczb nieparzystych.

Jeszcze kiedy Jakub chodził do liceum, zabierałem go do Kazimierza – wspomina ojciec artysty – rysował wąwozy, pejzaże. Pierwsze malarskie



Pracownia autora. 2006 r.

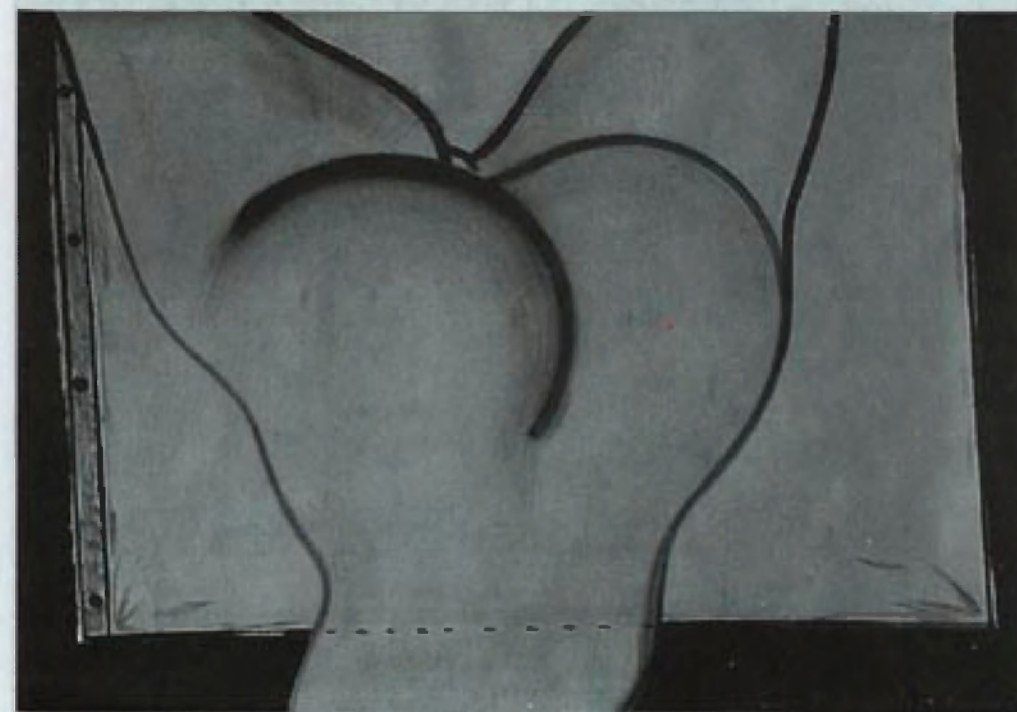
korrekty dostał od Starowieyskiego. Znalismy się jeszcze z dawnych lat i to on mi poradził, aby posłać syna na akademię do Krakowa.

Ziółkowski dostaje się na ASP za pierwszym razem, z pierwszą lokatą. Choć zdaje na malarstwo, bardzo długo lepiej i pełniej wypowiada się w rysunkach. Twórcą dzieli je na trzy grupy, każda spełnia w jego życiu inną funkcję. Te prezentowane na wystawach robi tuszem i gwaszem, są kolorowe, kipią od pomysłów i bardzo przypominają jego obrazy. Zarówno w tej grupie obrazów, jak i w rysunkach pojawiają się te same motywy i tematy, wracają podobne układy kompozycyjne. Rysunki rzadko pozostają punktem wyjścia do obrazu. W podręcznym przybomiku Jakuba są też prace, które nazywa „bezsennaść”, robi je w wolnych chwilach, w przerwach między właściwym malowaniem i nigdy ich nie dokumentuje. Czasem to tylko kilka kresek w ołówku. No i ostatnia grupa rysunków – erotyki pokazane właśnie na wystawie w Hause & Wirth, w osobnej sali dawnego sejfu. To zmysłowe przedstawienia aktów, wizerunki kobiet o wąskiej talii i szerokich, mocnych biodrach, ale także pupy żyjące własną osobowością, pozbawione właściciela, bezpańskie, kuszące, zwyrodniałe. Stanowią esencję witainości i biologizmu. O roli rysunków mówił Ziółkowski w wywiadzie umieszczonym na stronie internetowej arthazaaru:

Ja uwielbiam rysować i spotykam się coraz częściej z tym, że malarze coraz mniej rysują, że nie mają szacunku dla tego niezmiernie cennego zestawu: ołówek i pomięty kartelek papieru. Miałem kolegów na studiach, którzy w ogóle przestali rysować. Nie chodzi mi o zaliczenie pracowni rysunku, tylko o rysowanie dla samego rysowania, o przyjemność, zabawę. A u mnie to się wszystko zaczęło od rysowania. Robiłem tysiące, tysiące rysunków.

Rysowanie stanowiło dla Ziółkowskiego rodzaj ucieczki, to był pierwszy, własny świat, w którym mógł się wypowiedzieć. Kiedy pewnego popołudnia jeszcze w podstawówce został w domu sam, pomalował rodzicom całą ścianę. Do dziś ma ich przed oczami, stoją w progu i ręce zalamują z rozpaczy.

W życiu Jakuba Ziółkowskiego najważniejsza była mama. To ona łagodziła spory w rodzinie, pomagała podjąć właściwą decyzję, umiała słuchać. Opowiadał jej o sprawach istotnych, ale także o codziennych zdarzeniach. Ukryta w domowym zaciszu, nie narzucająca się potrafiła spojrzeć na wy-



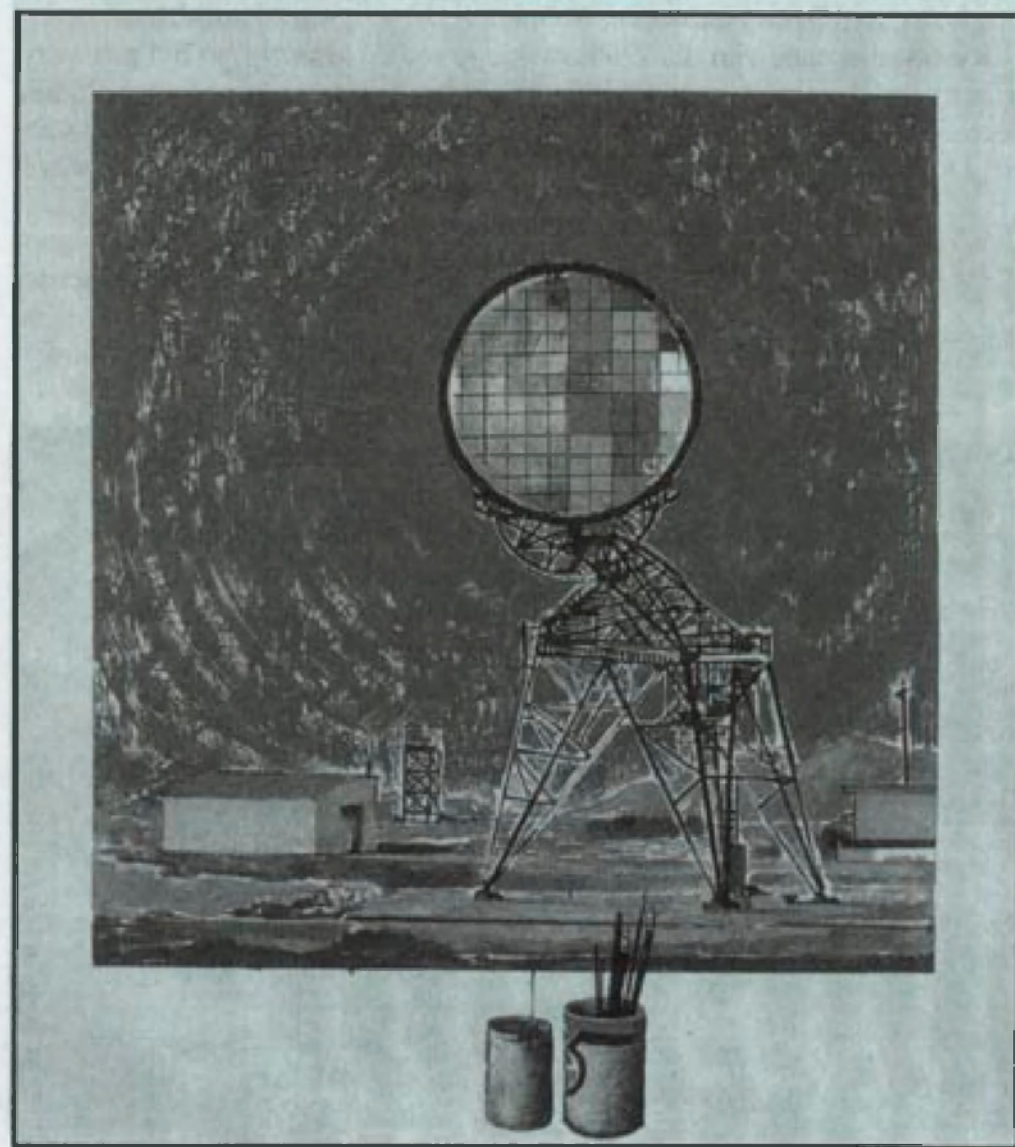
Tusz, papier. 61 x 86,5 cm, 2006 r.

darzenia świeżo, z dystansem. Przesiadywał z nią w kuchni, palił i rozmawiał. Kiedy dowiedział się, że jest chora, że jej życie gaśnie, przeniósł pracownię z Krakowa do Zamościa. Jej śmierć sprawiła, że utracił wiarę w Boga i zdał sobie sprawę z tej głębokiej samotności, na jaką skazany jest człowiek. Na początku nie mógł malować, a potem tygodniami nie wychodził z pracowni, to wówczas powstały mroczne portrety bez twarzy.

Pamiętam, że po śmierci żony Jakub godzinami rysował czarne kreski. Bałem się, że coś się z nim stanie. Matka była dla niego wszystkim, ja nigdy nie miałem z nim takiego kontaktu – przyznaje ojciec malarza.

Miesiące wyalienowania i żmudnej pracy przyniosły dotąd najlepsze prace malarza. To one zawisły 21 września 2006 r. na ścianach prestiżowej galerii Hauser & Wirth. Do Londynu pojechało około 700 prac, obok obrazów i rysunków nie pokazywane dotąd akty robione węglem na mokrym papierze.

Z zamojskiej pracowni Jakuba Ziółkowskiego rozciąga się widok na łąki, pod ścianami stoją zagruntowane płótna, a z drugiej strony już ukończone obrazy. Wśród nich bardzo piękna martwa natura wykonana na desce. Miśtena i dopracowana w detalach stanowi jedną z najlepszych prac artysty. Ziółkowski pracuje dużo i nic wierzy w natchnienie, malowanie stanowi jak dotąd najlepszą odpowiedź na rzeczywistość wewnętrzną, z którą konfrontuje się każdego ranka. Malowanie to ciężka praca, żmudne godziny spędzone w pracowni, bez nich jednak nie byłby w pełni sobą. Najlepiej określił to artysta w wywiadzie udzielonym Sebastianowi Cichockiemu:



Transmisja I, olej, płótno, 140 x 125 cm, 2003 r.

Jestem uzależniony, bo malowanie działa jak wentylator głowy, nie wiem, co by się stało bez takiej emocjonalnej wentylacji. To jest gimnastyka głowy i ćwiczenie języka wypowiedzi. Po dłuższej abstrynencji pojawia się malarzki niedowład, nie mogę zatrzymać myśli w kadrze. Malowanie to szalona machina, która sama siebie napędza, a im większy rozpęd – tym mniej przewidywalne decyzje i ich niekonwencjonalne rozwiązania.

Miniony rok zamknęła duża wystawa zbiorowa przygotowana w Zachęcie pt. *Malarstwo polskie XXI* pokazująca najmłodsze pokolenie artystów. Wśród wielu prezentacji znalazły się płótna Jakuba Juliana Ziółkowskiego.

Eliza Leszczyńska-Pieniak

Zdjęcia dzięki uprzejmości Fundacji Galerii Foksal



Gwasz, tusz, papier, 62x50 cm, 2006 r.

dwugłosy

JACEK LUKASIEWICZ

JERZEGO ŚWIĘCHA PROJEKT NOWOCZESNOŚCI

Nowoczesność. Szkice o literaturze polskiej XX wieku – taki jest tytuł. Wylania się z tej książki porzec polonisty-historyka literatury, włączonego w instytucje, odpowiedzialnego za nie. A także – z innej strony – uczonego kierującego się własnymi zainteresowaniami, pasjami, zachwytem, niechęcią.

Pierwsze z tych ujęć stanowi ranę. Padają pytania: Czym jest dziś polonistyka i jej rdzeń – historia literatury? Jak uprawiać ją z pożytkiem na uniwersytetach, by móc właściwie uczyć innych, po to, aby oni z kolei przekazywali wiedzę i umiejętności posługiwania się nieczystym językiem i kulturą? Jak zapewnić tej dyscyplinie ciągłość, możliwość korzystania z własnej tradycji? Jaką stosować periodyzację, selekcję, taksonomię? Takie pytania zadaje tu ktoś, komu chodzi nie tylko i nie tyle o własną grządkę badawczą, ile o całe wielkie gospodarstwo, za które czuje się współodpowiedzialny. Chce, by się utrzymało, nie dało się ekonomii rynkowej i – unowocześnione – służyło w wieku XXI. Jest ono bowiem konieczne dla zachowania wspólnoty kulturalnej Polaków. Pisze to profesor polonista w wieku przedemerytalnym, troszczący się o ciągłość dziedzictwa. Do zawodu wszedł w latach sześćdziesiątych, przed z górą czterdziestu laty. Marksizm wtedy stał się już ideologią fasadową, nie traktowano go jako metody badawczej, raczej jako w gruncie rzeczy zewnętrzny system zakłęb i restrykcji. Zachlustywano się strukturalizmem, on był „przeżyciem pokoleniowym”, choć to przeżycie oceniane jest już dzisiaj z perspektywy historycznej, jako część dziedzictwa. Jerzy Święch – można by powiedzieć – dobrze się czuje w todze, gdyby był u nas zwyczaj wdziwania togi na wykłady. Dobrze się też czuje w formach syntetyzujących, jak referat zjazdowy, umocowanych instytucjonalnie.

Drugi profil w tym autoportrecie jest bardziej osobisty. To „ja” wobec paru problemów – powiła swoją książką Święch – które uznałem dla mnie, człowieka i badacza XX wieku za najważniejsze, choć one „nie wyczerpują całości”. Będą to kwestie: kanonu lektur, figury wygnania oraz wojny totalitarnej i wszystkiego, co z nią się wiąże. A także, w tej perspektywie, obszar szczegółowy, ale dla życiorysu naukowego Jerzego Święcha istotny – poezja Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Reszta to akcydensy.

K a n o n. Wiek XX zamknął się: konieczna stała się reinterpretująca go synteza. Sprzyja jej – a zasłużył się po tem u nas Ryszard Nycz – szerokie rozumienie modernizmu jako formacji ogólnoeuropejskiej, obejmującej minione stulecie, przechodzącej w postmodernizm, pojmowany bardziej jako przekształcenie niż przeciwieństwo modernizmu. Wpływa to na kanon, który nie kształtuje się ani według patriotycznego tradycjonalizmu, ani następujących po sobie awangardowych nowinek, kolejnych „-izmów” (traktowanych obecnie chętnie jako

jedne z wielu „elementy gry literackiej”, a w istocie – uważa Święch – maskujących głębsze procesy dokonujące się w literaturze), lecz według wartości głębszych i perspektyw szerszych. Przeto Brzozowski, Berent, Irzykowski, Leśmian, a nie Wyspiański (on zostaje jako reformator teatru), Kasprówic, Żeromski, Dąbrowska... Także: *nie Jasiński, Przybóś czy Peiper, lecz Witkacy, Schulz, Gombrowicz decydują dziś o obliczu nowoczesności*. Następnie – kanon przestaje być w pierwszym rzędzie poetycki, bo, jak zauważył był Miłosz, w XX wieku „walki o życie” toczyło się w prozie epickiej, ale też można je było toczyć w filozoficznym eseju i dramacie. Poezja przestaje być przewodniczką. (Podobne poglądy mają autorzy innych wydanych ostatnio książek, np. Tadeusz Driwnowski, Zbigniew Majchrowski, wskazujący na dramat o polskiej problematyce – na *Dziady*, na Słowackiego, Wyspiańskiego, *Ślub* Gombrowicza, na Różewicza – jako na szczególnie aktualną, kluczową tradycję.)

Nowy kanon z pewnością lepiej łączy z kulturą światową, ale też rodzi nowe problemy. Zyskuje się, ale i coś się traci. Zmiana kanonu wpłynęła też na kształt szkolnej listy lektur, z natury swej bardziej zachowawczej. Szkolny kanon polonistyczny zaś walnie współtworzy system symboliczny zapewniający głębszą komunikację i wspólność kulturalną. Tradycja idąca od polskiego romantyzmu została w nim, mniej lub bardziej szczęśliwie, zmodyfikowana, uzupełniona.

Wszystko to dokonuje się w warunkach, w których kanon jako taki jest kwestionowany przez postmodernizm i związane z nim dążenia. Sam staje się tekstem, jednym z wielu, jak inne umownym, względnym i piastującym w sobie własną parodię. Ta postmodernistyczna tendencja przyponina odwieczny stosunek uczaiów do kanonu szkolnego. Ale postmodernistyczna kpina z kanonu to przeniesienie zachowań szubackich na poziom wysokiej kultury. Zła to zabawa. Tu Święch jest konserwatystą.

W projekcie modernizmu zmienia się zasada periodyzacji. Zacierają się, niemal unieważniają (jako granice literatury), nie wielkie wojny światowe. Dotyczą one innej sfery, wpływającej na literaturę jako jej podłoże psychiczne (trauma wojny w skali jednostki i całych społeczeństw) oraz – szczególnie u nas – jako zmiany porządku instytucjonalnego, w którym literatura egzystuje, rozwija się lub przeżywa regresy. Rzeczywiste przemiany są gdzie indziej (*Peiper, jak wszyscy wtedy, myślał, że wojna jest progiem, od którego zaczyna się upragniana nowoczesność, ale z kontekstu jego wypowiedzi wynika, że już od początku miał gotowe wyobrażenie zadań, jakie stoją przed nowym wiekiem i to właśnie do nich przymierzał zarówno przeszłość, jak i przyszłość*).

Święch wyraźnie opowiada się za traktowaniem historii literatury jako jednego, acz złożonego procesu, a nie zbioru „serii” (w rozumieniu Foucaulta). Proces ten wyznaczają pisarze niekonunkturni, dlatego iż skierowany on jest w przyszłość i dokonuje się ponad doraźnymi modami. Dokonując periodyzacji, pamiętać trzeba, że nad epokami literackimi są literackie eony – bardzo długie okresy, wyznaczone przez dzieła uznawane za „opowieści założycielskie”: Biblię, Homera, Szekspira. Jeśli nawet nie są one wiecznotrwale, to mają status trwania nie do ogarnięcia. Takie ujęcie zmienia też perspektywę oglądu wieku XX. Pozostaje szczególny obowiązek uniwersyteckiej polonistyki: dbanie o przetwarzający się kanon, o to, by nie zniknął, ale i nie kosztował ani był jak klefony. Pisarze, szkoła, krytycy, wydawcy – wszyscy mają wpływ na ten system symbolicznych drogowskazów.

F i g u r a w y g n a n i a. Kto chciał w XX wieku być krytykiem bądź pisarzem, wie, jak ważna to figura. Ze względu na perypetie historyczne: migracje, emigracje, deklaszacje i awanse społeczne, dylematy etniczności i wieloetniczności. Ale i z innego powodu, bowiem *wygnanie jest pewnym stanem ducha, przypisanym niejako kondycji nowoczesnej*. Patronami tak rozumianego wygnania są Joyce, Kafka, Miłosz... Wybijano je dobiwołanie, a gdy wynikało z kn-

nieczności, należało je aprobować i wykorzystać twórczo. Stawało się wartością. Przedstawia Święch fazy wygnania, począwszy od zakłócenia dotychczasowej osobowości, przez pracę nad uzyskaniem osobowości nowej, niezależnej od miejsca na ziemi, po nadanie tej nowej tożsamości porządku narracyjnego; kolejno więc występuje zdanie sobie sprawy z utraty ciągłości, a tym samym substancjalności podmiotu, różne wahania na drodze, mającej indywidualne warianty, w końcu „odzyskanie narracji”. *W ten sposób – pisze Święch – literatura wygnańcza odpowiada na jedno z najbardziej dotkliwych wyzwań nowoczesności, które dla jednych oznacza kryzys osoby, dla drugich śmierć podmiotu, wreszcie dla innych – zniknięcie autora.* Ta kreacja własnej osobowości (a nie jedynie roli społecznej), wiążąca się z ryzykiem, stanowi główne doświadczenie literatury wygnańczej. Figurze wygnańca odpowiada figura domu, w najtóżnorodniejszych odmianach znaczeniowych. Wygnanie z domu to wygnanie z ojczyzny, ale może to być też wygnanie z „żywej mowy”. Wygnaniec zdobywa praktycznie tę prawdę, że jest punktem, w którym przecinają się konieczność i wolność, determinizm i wybór. W naturalny sposób wybiera wartości, które dzięki niemu w kulturze XX wieku jednak dominują. – *Wygnańca to nieustanny bunt przeciw wszelkim odmianom rasizmu i nacjonalizmu, integryzmu i ksenofobii. Ale to także upominanie się o swoje miejsce w kanonie. Ponowoczesność, która żadnemu domowi nie przyznaje nadrzędnego statusu, zdaje się niszczyć ów „mit wygnania”, będący prawdopodobnie ostatnią wielką utopią artystyczną europejskiego modernizmu, przyznającą sztuce uprawnienia, jakich nie znajduje w życiu. Wątpliwe, czy ma szansę odrodzić się w przyszłości.* Brzmi to pesymistycznie.

Kondycja wygnańca nie jest synonimem wszelkiego wyobcowania. Buntuje się on przeciw swemu wygnaństwu: *to taki człowiek, który z wyobcowania, wykorzenienia, bezdomności czyni rodzaj trampoliny, która pozwala mu się odbić od ziemi i szybować w przestworza, mając nadzieję, że wreszcie tam odnajdzie siebie, siebie prawdziwego.* Beneficjentem wygnania staje się obdarzony szczególną wrażliwością i ostrością widzenia artysta, znajdujący azyl w przeszerzeni wyobrażonej i umiejtnie wykreowanej, także jeśli opiera się ona na ewokowaniu przeszłości, świata utraconego, „z którym odczuwa [on] żywą więź”.

Gdy czytam te kany o wygnańcu, gdzie przywoływana jest bogata literatura naukowa i przykłady wielkich europejskich dzieł, z polskich piarży przychodzi mi na myśl zwłaszcza jeden: Teodor Pamicki. On z wygnańca, wyposażonego we wszystkie nowoczesne cechy i osadzonego w dziejach świata, uczynił zasadniczy temat swej prozy bez granic. To on starał się, jakże gorliwie, wcielić w swe dzieło „ostatnią wielką utopię modernizmu”, znajdziemy tam niemal wszystkie jej elementy, o których pisze Święch. I zrozumiałem, czytając *Nowoczesność*, dlaczego wszyscy interpretujący dzieło Pamickiego według postmodernistycznych kluczy muszą błędzić. To jednak dygresja.

O Pamickim Święch nie pisze, wspomina Miłosza i Gombrowicza, stawiając ich obok Ciorana, Joyce'a, Gertrudy Stein. Osobne szkice poświęca Tymonowi Terleckiemu, Józefowi Łobodowskiemu, Wacławowi Iwaniukowi. Mimo wszystkich ich zasług, inne to kalibry. Żaden z nich nie był rzeczywistym „beneficjentem wygnania”. Można by za to tak powiedzieć o innych bohaterach *Nowoczesności* – Zygmuncie Haupecie i w pewien sposób Bobkowskim. Niezwykle ciekawy jest szkic o polskiej literaturze we Francji w czasie II wojny światowej *Na francuskiej ziemi*. Mniej jednak wiąże się on z figurą wygnańca, bardziej z problematem wojny, który jest następnym wielkim tematem tej książki.

T e m a t w o j n y. Jerzy Święch, autor wspaniałej syntezy polskiej literatury z czasów II wojny światowej, wojną zajmował się od dawna – jej kulturowym i moralnym wymiarem. Wojna „materiałowa” czy „maszynowa” stanowi jeden z efektów szczególnie – dodajmy – *niepokojących procesów modernizacyj-*

nych, jakie objęły wiek XX. Zjawisko to znalazło swoje odzwierciedlenie w literaturze. Bardziej może niż gdzie indziej i kiedy indziej. Od roku 1916 zaczęła się wojna totalitarna, której teoria, jak pisał przywoływany przez autora Huizinga, *rezygnuje z ostatniej reszki ludzizmu (...) i wskutek tego jednocześnie i z kultury, prawa i ludzkości w ogóle.* Sfera wojskowa przestała być oddzielona od cywilnej. Spór o moralne racje stawał się w taniej wojnie białych ludzi bezprzedmiotowy. Odżył w walce z hitlerowskimi Niemcami. Pierwsza wojna przyniosła ludom wolność, „ale na krótką metę”, dała też początek ponowoczesnym lękom o przyszłość procesów modernizacyjnych, zakwestionowała projekty utwicznowych utopii. Razem z drugą określiła pewien moment, od którego już nie można będzie inaczej rozumieć żadnej z wojen, jak tylko w ścisłym powiązaniu z końcem jakiegoś utraconego na zawsze ładu, porządku, który na dłuższą metę wydawał się nie do utrzymania (...). Obie wojny korzystały przy tym z tych samych narracji czy dyskursów.

Patrzmy na nie z pierwszej dekady XXI wieku, ale zarazem na naszą dekadę (i toczące się wojny współczesne) patrzymy, pamiętając – a pamięć to niezbywalna – o moralnych doświadczeniach wojen z dwudziestego stulecia. *Wiedza [zaś], jaką wynoszą z wojny ci, którzy ją poznali, nie jest wiedzą radosną, bo jest przeciwieństwem [jak to określił Stanisław Reimbek] „odwiecznych umownych kłamstw”.* Totalna wojna nowoczesna nie dawała się wynieść w „starej mowie”, w przez wieki kształtowanych dyskursach batalistycznych, choć z konieczności w nich ją umieszczano. Najbardziej odpowiadałoby jej milczenie, ono jednak *nie może być odpowiedzią na terror i zbrodnie, skoro te dumają się świadectwa.*

Obie wojny dopelniają się. Uczestnicy drugiej – Buczkowski, Kuśniewicz, Różewicz – chętnie wracają w swych utworach do pierwszej. Wojna totalna przestała być agonem, choć trudno bytu pogodzić się z tym literaturze. Odsłoniła się jej prawdziwa natura – zło, choć nieraz maskowane. Postęp techniczny podczas wojny napawał podziwem i równie silnie budził grozę. Wojna przy tym – pisze Święch – „przechwytywała” język rewolucji. Miała stawać się oczyszczeniem poprzez zburzenie złego porządku świata. Nie stawała się nim jednak. Wprawdzie przekraczano w jej trakcie normy, lecz było to tylko *maską dla anarchii i nihilizmu, lekceważeniem wszelkich ograniczeń zewnętrznych i wewnętrznych, zwykłym odwróceniem od człowieczeństwa.* Neguje autor mniemaną wychowawczą rolę wojny: *wszak zakwestionowane tu zostały wszelkie ideały wychowawcze i jeśli uznać wojnę za szkołę, to owszem, przyspiesza ona proces dojrzewania, ale za cenę zniszczenia charakteru, znieczulenia na zło, zatrzymania się na poziomie takiej wiedzy o świecie, która nie dopuści innej prawdy od tej, jaką młody bohater zdobył na froncie, że kultura, wychowanie nie nie znaczą (s. 213).* Wojny totalne łączą się z kryzysem cywilizacji europejskiej. Bezasobność wojny nowoczesnej wiąże się z „redukcją podmiotu” (analizował podobne zjawisko Tolstoj, pisząc o wojnach z dziewiętnastego wieku). Ale literatura może korzystać też z dwuznaczności wojny, traktowanej jako jeszcze jeden spektakl, w którym *każdemu przychodzi odegrać swoją rolę. [co] wzmacnia tylko przekonanie o teatralizacji życia społecznego, wyzwala z jednej strony pokusę uniformizacji zachowań, z drugiej zakosztowania walnej i nieskrępowanej ekspresji „ja”.* Wojna – zauważano też w ubiegłym wieku – *zawiera potencjał znaczeń, który tylko sztuka potrafi wydobyć (...), ale tylko taka sztuka, która nęci sobie prawo do miana awangardy.* Jednak parę zdań dalej Święch cytuje Hannah Arendt, piszącą, iż *brutalną destrukcję, chaos i ruinę wyniesiano do godności wartości najwyższych.*

Czy czeka nas wojna ponowoczesna i stąd związane z nią iluzje? Kierujemy wzrok na wiek dwudziesty, na jego obie wielkie wojny, z którymi kolejne generacje pisarskie (i zarazem kombatanckie) próbowały i nadal próbują sobie poradzić.

Katastrofizm. Baczyński. Powrót do wojny to w tej książce portrecie także powrót do warszawskiej poezji wojennej, również do katastrofizmu z lat trzydziestych i jego wojennej postaci w „pokoleniu dramatycznym”. Ów katastrofizm, oparty na modelu *Apokalipsy*, zawierał wiarę „w drugi brzeg”, już za katastrofą: apelował do wnętrza jednostki, która musi niejako w sobie powtórzyć ów konflikt czy dramat, jaki przenika świat dzisiejszy, przelożyć go jakby na repertuar pojęć psychologicznych, moralnych i religijnych. Młodzi warszawscy poeci łączyli w żywą tradycję swe lektury Słowackiego, Norwida, Witkacego i Zagajstów, których znali na pamięć. W gniewie odnajdywali dystans do wrogiej rzeczywistości. Byli zagrożeni, wybrali czyn, świadomi moralnych złożoności wyborów, a przy tym, nie przestawali [począć?! – J. Ł.] marzyć o innym życiu, trwalszym, uwolnionym od praw historii. W swoich wizjach skupiali doświadczenia duchowe czasu wojny w sposób swojskie bezkompromisowy. I to właśnie Święcha najchętniej interesuje.

Szukali wyjść. Przywoływali czas cykliczny i związane z nim mity. Dokonywali heroizacji swych alter ego (wiecej niż poetyckich). Baczyński odbierał apokalipsie wymiar historyczny, więc i materialny, czynił z niej *problem wewnątrznego rozrachunku człowieka ze sobą samym*. Mogła być ona – i bywała – interpretowana według modelu linearnego („eschatologicznego”) lub cyklicznego („naturalistycznego”). Ale nie sposobem interpretacji była przede wszystkim – była immanentna, w pełni zaktualizowana należała do świata przeżywanego. Pozorny oksymoron „grun powszedni” (tytuł Gajcego) stał się trafną formułą.

W osobnym rozdziale (*Jeszcze o Baczyńskim-katastrofście*) wraca Święch do swego ulubionego poety, którego wiersze wciąż zapraszają go do nowych interpretacji. Polemizuje ze Stanisławem Stabram (recenzując jego książkę *Chwila bez imienia*). Stwierdza, że u Baczyńskiego przyszły komentator *odnajdzie zarzuty problemów, o które upomniała się nowoczesność i ponowoczesność*. Ludzka problematyka wyprowadzona z doświadczenia wojny, jak pisał Błosiński – *wewnętrznie z tego doświadczenia wywalała*. Kończy ten dział obszerny tekst *Poeta i holocaust*, Jerzy Święch podejmuje tu dyskutowany w ostatnich latach temat wpływu, jaki miała na twórczość Baczyńskiego świadomość żydowskiego pochodzenia jego matki, spotęgowane poczucie zagrożenia, solidarność z ginącymi w getcie (wśród których była bliska rodzina poety). Jest to bardzo rozważny, taktowny, mądry artykuł. Święch przyznaje, że stosunek Baczyńskiego do zagłady musiał być szczególny, ale jednocześnie stwierdza: *nie wydaje mi się, by podstawowy, kanoniczny, by tak rzec, zbiór wiedzy o Baczyńskim, jakim dysponujemy, miał ulec zasadniczym zmianom*. Baczyński był – co głosił i udowodnił – polskim patriotą, także gdy nie zgadzał się z nacjonalistycznymi poetami z orbity Konfederacji Narodu. Pyta Święch o gatunek patriotyzmu Baczyńskiego, *gdyż sprawa nie jest może, jak by należało sądzić, tak zupełnie bezproblemowa*. W inny sposób w tym kontekście biograficznym ukazuje się problematyka „winy chrześcijan”, wyczerlenie na „dwuznaczny status ofiary”, w której, bywa, łatwo niknie czujność moralna, podsycane są uczucia zemsty; w innym świetle jawi się krytyka instytucji i form religijności. Konkretna Święcha jest ostrożna: *Baczyński jako katolik odczuwał znaczną niewygodę trwania w tej wspólnotce, tylko tyle i aż tyle mówią jego wiersze*. Badacz, traktując bardzo poważnie tę problematykę, ujmuje ją w jej skomplikowaniu, szuka złożonych odpowiedzi w poezji, niepoddającej się redukowaniu do kontekstów politycznych, historycznych, choć w nich żyjącej. Na nowo odczytuje wiersze powstałe w czasie likwidacji getta warszawskiego. Chrystianizm stanowił dla poety wciąż najwyższy punkt odniesienia dla spraw, które budziły w nim głęboki niepokój. Wykazuje Święch, że Chrystus stał się w tych wierszach łącznikiem między chrześcijanami a Żydami (s. 271), *występuje jako wcielenie a zarazem symbol eksterminacji Żydów*. Był Baczyński wielkim patriotą mimo całej udręki uwikłania w przekłete

problemy tradycji, cieniem kludące się na postawie rodaków, a jego dramat, w świetle jego poezji, nie jest dramatem obcego wobec wspólnoty, która miałaby się go wyrzec i opuścić w ciężkich dla niego chwilach, lecz przeciwnie, potwierdzeniem silnego związku z nią, bolesnego, ale trwałego i oczywistego. Polemizuje też autor z interpretacjami Roztropowicz-Clark, która niebezpiecznie i tendencyjnie ujednoznacza poszczególne słowa ze związków metaforycznych w poezji Baczyńskiego, tworzącej przecież jakby „wielki tekst”, rządzący się „własnymi prawami”. Tekst ów Jerzy Święch odczytuje i interpretuje od lat wnikliwie i wytrwale.

Polonistyka na zakręcie. Wspominałem, że książka Jerzego Święcha ma budowę ramową. W ostatniej części wraca on do spraw swojej dyscypliny. Wpierw w referacie zjazdowym *Tożsamość polonistyki wobec innych dyscyplin*. Pyta w nim o zakres polonistyki, która *nigdy nie była i nie jest nadal równoznaczna z samą tylko nauką o literaturze i nauką o języku, ani też z odpowiednim kierunkiem studiów, o to, jak dziś literaturoznawstwo sytuuje się wśród innych nauk, o jego związki m.in. z socjologią, kulturologią, semiologią, historią*. O to, czym jest polonistyka, jakie ma zadania po „przełomie poststrukturalistycznym”. O jej związki ze szkołą, która *okazała się paradoksalnie bastionem konserwatywności w dodanym sensie tego słowa, gdyż broniła zdobyczy wypracowanych przez dwie poprzednie naukowe rewolucje, była instytucją stabilizującą odbiór dzieł wedle norm zakładających obecność sensu, regul gatunkowych, procesów rozwojowych (...)*. Tu minimalistyczna strona nauczania szkolnego miała zwykle oparcie w uniwersyteckim studium (dotyczyło to też poprawności języka). Dziś, *gdy z pola widzenia zniknęła prawie pojęcie kanonu, gdy przyjmuje się pełną dowolność interpretacji, gdy sens tekstu jest z założenia niestabilny – są z tym kłopoty*. Nadto utrudniona staje się komunikacja w ramach samej polonistyki uniwersyteckiej, segmenty wiedzy izoluje się od siebie (np. folklor, poetykę, historię literatury).

Chodzi o to, by można było kontynuować dorobek poprzedników, rozwijać dawne badania nie tylko materialowe, ale i interpretacyjne, historycznoliterackie, korzystając z nowocześniejszych sposobów. Strukturalizm wniósł bardzo wiele w rozwój poetyki historycznej, poetyki, wersologii, socjologii literatury, badań nad recepcją itp., ale stosunkowo niewiele w historię literatury, która trwała tradycyjna i zapóźniona, nie korzystająca z nowych metodologii (np. szkoły frankfurckiej). O tym traktuje szkic *O historiografii etapowej* (odpowiedź na ankietę „Pamiętnika Literackiego”). Eksplicacją słabości historii literatury staje się w omawianym tu tonie recenzja *Dwudziestolecie* Jerzego Kwiatkowskiego, nader krytyczna. W monografii, będącej podręcznikiem akademickim, Kwiatkowski – w sposób, według Święcha, nieuprawniony – podporządkował całość literatury typologiom charakterystycznym tylko dla poezji. W krytyce tej autor rozwija swe wcześniej wyrażone idee dotyczące periodyzacji, kanonu, dominacji prozy epickiej nad innymi rodzajami.

Kończy książkę tekst o strukturalizmie, wcześniej niepublikowany. Autor należy do generacji przez strukturalizm „ukaszanej”. Miał do tej metodologii pretensje, o czym pisałem wyżej. Tutaj jednak strukturalizm chwali. Dziś, kiedy widzi się w nim teorię zaniknącą i restrykcyjną, Święch akcentuje: *Strukturalizm to nie teoria, to przede wszystkim procedura*, jeśli zaś teoria, to nosi ona w sobie „ideę samozaprzeczenia”. Strukturalizm nie był totalitaryzmem ani fundamentalizmem, jak niektórzy go przedstwiają. Święch ma oczywiście nieję. Interpretacja pozostawiała „hipotezę ukrytej całości utworu”. Strukturalizm na każdym swym etapie „zakładał swoją postalternatywę”. Lecz też obcy był mu pogląd o „retorycznym w istocie zamiarze wszelkiej teorii”. Spierający się ze strukturalizmem chcą go widzieć bardziej nieprzejednanym niż był czy jest w istocie. Obejmował on różne przecież stanowiska. Odpowiadał samej literaturze

XX wieku, jej językowi, jej ograniczeniom, jej sprzecznościom. Książka kończy się słowami: „bronię strukturalizmu”.

Wygłos ten jest charakterystyczny. Bronię go – strukturalizmu – podkreślając jego nieostateczność, otwartość. Jego samokrytycyzm, oparcie w tekście, który nie jest tylko konstruktem interpretatora, ale ma swój byt od niego niezależny. W każdym zaś dziele sztuki, nie mówiąc już o poszczególnej twórczości literackiej w jej przebiegu, jest pewna hipoteza całości. Całości skomplikowanej i autonomicznej, nie będącej niewolnicą polityki, ekonomii, socjologii ani filozofii, ani religii. Literatura, nie tylko modernistyczna, w swym długim trwaniu przekracza te uwarunkowania, tak jak przekraczają je bohaterowie Dostojewskiego, Camusa, Conrada – jak zdolny jest przekraczać je człowiek. Tak projekt nowoczesności (nie pisanej w cudzysłowie, choć opatrzonej zastrzeżeniami), szkicowy, osobisty, a zarazem wynikły z odpowiedzialności za instytucje kultury, której się służy – trzeba odbierać.

Jurek Łukasiewicz

Jerzy Święcha, *Nowoczesność. Szkice o literaturze polskiej XX wieku*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2006, 11, 149, 3 ełb.

JERZY JARZĘBSKI

TWARZ BADACZA I NOWOCZESNE PROBLEMY

Napisanie takiej książki to przedsięwzięcie, które na prawdziwego literaturoznawcę musi działać jak narkotyk. Oto po wielu latach studiów nad „swymi” tematami literaturoznawczymi uczony wreszcie próbuje tego, co najważniejsze: stara się odpowiedzieć sobie na pytanie, w jakiej epoce żyje i jaka jest najistotniejsza problematyka, która jemu i jego rówieśnikom pojawiała się w życiu jako wyzwanie, jednym słowem, umieścić siebie na tle swego czasu. Konstrukcja książki odbija to, co w takich dziełach najbardziej istotne: nieustanną korespondencję pomiędzy tematami maksymalnie ogólnymi, a tym co jest osobistą prawdą badacza i wypełnianymi na co dzień obowiązkami wobec polskiej literatury.

Mówi o tym wiele podziałów książki na cztery wyraziste części: pierwsza poświęcona jest kwestiom zasadniczym dla każdego historyka literatury dwudziestowiecznej: charakterystyce stulecia, jego delimitacji, projektowi nowoczesności, następnie projektowi nowej periodyzacji literatury współczesnej, wreszcie wiecznie gorącej problematyce kanonu. Część druga poświęcona jest w całości problematyce wygnania jako losu twórcy oraz literaturze emigracji. Tu pojawiają się też rozdziały poświęcone konkretnym twórcom emigracyjnym (Tymonowi Terleckiemu, Józefowi Łobodowskiemu i Wacławowi Iwaniukowi), a także, będący jakby dodatkowym rozdziałem pisanej przez Święchę wielkiej historii literatury wojennej, szkic na temat polskiego życia literackiego we Francji w czasie II wojny światowej.

Część trzecia nawiązuje do tego ostatniego szkicu. Poświęcona jest w całości problematyce wojen światowych w XX wieku: najpierw jako tematu, który sprawia zasadniczy kłopot każdemu, kto próbuje go wyrazić w literaturze, a szczególnie daje się we znaki tym, którzy usiłują pogodzić go z „projektem nowoczesności”. Autor książki zajmuje się też dziedzictwem katastrofizmu w poezji pokolenia wojennego, osobno w odniesieniu do Baczyńskiego, a także często

pomijaną kwestią żydowskiego dziedzictwa tego poety i poetyckich śladów jego przeżycia holocaustu.

Ostatnia, i zważywszy na pozór charakter mniej istotnych miscellaneów, bowiem poza pierwszym, nader istotnym szkicem o stanie polonistyki, zbiera teksty będące omówieniami książek, jest tam też odpowiedź na ankietę rozpiętą przez „Pamiętnik Literacki”. A jednak mam wrażenie, że także w tych pozornie marginesowych tekstach autor próbuje powiedzieć coś bardzo istotnego o samym sobie jako uczonym. Szczególnie ważny jest tu tekst poświęcony strukturalizmowi, bo do tego dziedzictwa Jerzy Święcha się przyznaje. Jest to próba pokazania tego nurtu w badaniach literackich w sposób daleki od poststrukturalistycznych bądź dekonstrukcjonistycznych stereotypów – jako tradycji myślenia ceniącej dystans do własnego języka i własnych twierdzeń, w jakimś sensie rozdwojonej w sobie i zawierającej od początku te wątki krytyczne, jakie zdawały się później wynalazkiem badaczy likwidujących strukturalistyczną metodologię. Ta obrona strukturalizmu wydaje mi się szczególnie cenna w dobie, kiedy utożsamia się go beztrudno i w niezgodzie z faktami z metodologicznym „totalitaryzmem”.

Tematem książki Święcha jest, jak wskazuje tytuł, nowoczesność. Właśnie w tej wersji – nie nazwana w tytule „modernizmem”, bo z modernizmem właśnie cały kłopot, odkąd pojawił się w polskiej historii literatury w swojej wersji szerokiej, zachodnioeuropejskiej i zaważył nie tylko na periodyzacji dwudziestowiecznej literatury polskiej, ale też na pojmowaniu nowatorstwa oraz wirtuściowaniu pisarzy i ich dorobku. Autor książki zaleca tu pewną ostrożność, mając na uwadze zmienną perspektywę, z jakiej oglądamy dzieje literatury – najpierw doraźnie, potem z coraz większego, zmieniającego interpretacje i wartościowania dystansu.

Z nowoczesnością też jest pewien kłopot, bo coraz bardziej – i wbrew etymologii – staje się ona określeniem czegoś, co jest już minione i przewyciężone. Może dlatego jej granice przesuwają się w czasie (zarówno zresztą wstecz – jeśli idzie o początki, jak naprzód – gdy się mówi o kresie epoki). W ten sposób nowoczesności jest coraz więcej (kosztem postmodernizmu), a jednocześnie z jej ekspansją wiek XX staje się w coraz większej mierze stuleciem o jednej dominancie, „wiekiem nowoczesności”, co pozwala go traktować jako epokę w historii literatury (inaczej niż wiek XIX, który rozłamywał się wyraźnie na romantyzm i pozytywizm). Autor książki zdaje się opowiadać za takim traktowaniem, w jego ramach dokonując jednocześnie mikropodziałów w oparciu o inne niż dotychczas kryteria. Święcha nie chciałby raczej, aby kryterium podziału „krótkiego” stulecia były nierównomiernie wydarzenia historyczne, zwracając uwagę, że z punktu widzenia literatury często istotną rolę odgrywały okresy pozornego spokoju, pozbawione wyrazistych zdarzeń. Przyznani się, że takie stanowisko nimie nie przekonuje: delimitacje nie są przecież datami rewolucyjnych przewrotów w literaturze – takie zdarzają się niezmiernie rzadko, jeśli w ogóle. Wprowadza się je w celach swoście matematycznych i symbolicznych, a do tego celu nie najgorzej nadają się daty historycznych przełomów. Gorzej, jeśli traktuje się je jako coś więcej niż to czym są; a są jedynie datami przemian społecznych i politycznych wprowadzających nowe, inne warunki dla rozwoju literatury, z których ona może korzystać bardziej, mniej lub wcale.

Niezależnie od tych drobnych rozbieżności, jestem skłonny zgodzić się z Jerzym Święchą, że epoka, w której upłynęło półwiecze mojego życia, to „wiek XX” – ze wszystkimi tego skutkami, a zatem z mniejszym niż to się przyjęło dotychczas naciskiem na podziały wewnętrzne, choćby one miały fundament w całkiem rewolucyjnych wydarzeniach natury historyczno-politycznej.

Niezwykle ciekawa jest podejmowana szeroko przez Święchę problematyka kanonu nowoczesności, jego wielorakich postaci i sposobów kształtowania. Cała

ta część książki jest doskonale i wszechstronnie udokumentowana, zdając sprawę z niezliczonych kłopotów, jakie czekają tu na literaturoznawcę. Sądzę jednak, że autor książki trochę zbyt łatwo ustępuje tu przed głosami tych, którzy samo istnienie kanonu uważają za akt intelektualnej przemocy. To apodyktycznie brzmiące stanowisko jest wprawdzie przez badacza łagodzone i kładzione na karb mód epoki, ale w istocie wraca co chwila jako świadectwo pewnej nieśmiałości metodologicznej. Tymczasem jeśli pojęcie przemocy rozszerzać na sam akt tworzenia kanonu, to okaże się, że każdy w ogóle akt wyboru względnie wartościowania dokonywany na terenie historii literatury będzie na sobie nosił piętno „przemocy”. Nie jest to dla mnie powód, aby z tego rodzaju aktów rezygnować – wprost przeciwnie. Uważam tego rodzaju zastrzeżenia za klasyczny przykład ideologizacji języka nauki o literaturze, kwestionujący w istocie ją samą – skoro kwestionuje coś, co jest, podług mnie, jedną z głównych racji jej istnienia. Tak czy inaczej, rozważania o kanonie są jedną z najciekawszych części książki Jerzego Świącha.

Podobnie pasjonujące są w książce teksty poświęcone kwestii literatury emigracyjnej, połączonej ściśle z pojęciem wygnania jako losu artysty w XX wieku – wielokrotnie w Polsce i na świecie omawianego (z czego autor zdaje sprawę), ale tu przedstawionego w sposób wyczerpujący. Najciekawszy jest chyba ogólny model przeżycia wygnania, który autor ogląda jako wydarzenie zasadnicze w biografii twórcy, owocujące wielką duchową przemianą:

Będzie więc wygnanie jako formuła twórczości odtworzeniem i przetworzeniem całego życia artysty, od chwili opuszczenia przez kraj (mniejsza, czy była to przymusowa emigracja, czy dobrowolna ekspatriacja), przez stadium wyobcowania, bezdomności, osamotnienia, alienacji, trudy asymilacji w nowym środowisku itd., aż do momentu, kiedy musi on podjąć samodzielną decyzję, od której będzie zależał jego dalszy los (...). Dylemat jaki stoi przed wygnancem, jest bowiem następujący: „albo skazać się na jalość, albo przejść całkowitą przemianę” (s. 120).

Najważniejszy dla Jerzego Świącha w rozważaniach nad fenomenem emigracji jest, jak widać, rachunek zysków i strat duchowych, jakie się wiążą z wygnaniem. Idzie on tutaj w ślad za Wittlinem, Gombrowiczem, Miłoszem i całym legionem emigrantów (oraz krytyków opisujących ich kondycję), którzy ten rachunek przeprowadzali – wraz z analizą różnych aspektów wygnanczej sytuacji: nabieraniem dystansu do własnego dziedzictwa, podwójnością zakorzenienia w sensie kulturowym i geograficznym, nowym stosunkiem do języka itd. Są to wszystko sprawy fundamentalne dla sytuacji artystów w XX stuleciu, które może być z powodzeniem nazwane stuleciem wygnanców. Oto zatem kolejny problem, który w książce jest osobisty dla autora i zarazem uniwersalny. W ślad za tym idą ciekawe rozważania nad konkretnymi przypadkami emigrantów, z których szczególnie ważną postacią był Tymon Terlecki – często traktowany jako emigrant „niezłotny”, czyli politycznie ortodoksyjny, nieskory do dialogu na temat emigranckiej taktyki wobec kraju, jak najnieśluszniej zresztą. Świąch dokonuje tu swego rodzaju rehabilitacji i eksplikacji jego ideowego stanowiska.

Problem emigracji w sposób naturalny łączy się z problematyką wojenną, której Jerzy Świąch poświęca trzecią część książki i która – podobnie jak emigracja – jest zawsze gdzieś w centrum doświadczeń jego pokolenia. Także i w tej części widać charakterystyczne dla książki Świącha przechodzenie do problematyki ogólnej – rozdział: *Wojny a projekt „nowoczesności”*, w którym autor pokazuje, jak paradoksalnie wiązały się „nowoczesne” tematy z motywem wojny, stając się niekiedy dla awangardowych artystów rodzaj marzenia o niezbędnej dla świata „puryfikacji”, usunięcia tego, co stare i co zawadza triumfalnemu pochodowi Nowego. A jednocześnie doświadczenie wojny (zarówno pierwszej, jak drugiej) dotyczyło bardzo często tego, co w swej potworności i przekroczeniu

wszelkich standardów ludzkiej kultury staje się niewyraźne. Afirmacja, także nowoczesnej techniki bojowej, sąsiadowała tu zatem z grozą, tak jakby to sama nowoczesność zawikłała się w nieuchronną aporię, produkując coś, co ją przerosło i poddało w wątpliwość.

Alc wojna to przecież także główny temat dotychczasowych studiów Jerzego Świącha. A zatem dotyka ona od razu tego, o czym pisał przez ostatnich wiele lat, i owocuje przyczynkami do kwestii wcześniej stawianych, jak dziedzictwo katastrofizmu u poetów wojennych czy problem mieszanej tradycji narodowej i religijnej Baczyńskiego. Nawet zatem tekst będący dyskusją z książką o Baczyńskim Stanisława Stabry wpisuje się łatwo w główny dyskurs Świącha o wojnie.

Część czwarta, jak się rzekło, jest dość osobistą refleksją badacza literatury polskiej nad swoją dyscypliną. Najważniejszy i najbardziej problemowo uocwiony jest tu rozdział wstępny, będący zmodyfikowaną wersją referatu wygłoszonego na krakowskim Zjeździe Polonistów. Autor przedstawia tu polonistykę jako naukę rozpiętą na nieuchronnych sprzecznościach, głównie wskutek zadań usługowych, jakie pełni wobec polonistyki szkolnej. Jest więc i nowatorska, i konserwatywna (musi bowiem bronić kanonu i standardów nauczania), wchłania nowe idee i zarazem obserwuje, jak owe idee, sformułowane w specjalistycznym języku, nie potrafią przebić się do uczniowskich głów (i programów nauczania). Jednocześnie jest wciąż obiektem manipulacji ze strony polityków i ideologów, którzy próbują używać jej do transmisji pożądanых przez siebie treści wychowawczych.

Ten pobieżny z konieczności rzut oka na tematykę książki Jerzego Świącha dowodzi, jak wielostronne i pasjonujące jest to dzieło. Jednocześnie mówi, że zajmowanie się literaturą pociąga za sobą zajęcia znacznie bardziej rozległe i wymagające szerokiej wiedzy, a także ustalonej tożsamości – nie tylko kulturowej, ale też moralnej. Bo gdziekolwiek dotkniemy literatury XX stulecia, tam owa moralna problematyka pojawia się i żąda dla siebie uwagi. Badacz literatury XX wieku stoi na ruchomych piaskach, bo jego przedmiot studiów nieustannie się zmienia, oglądany jest z różnych perspektyw, sam badacz atakowany jest przez coraz to nowe języki metodologiczne i filozoficzne, co zmusza go do przepracowywania nieustannie założeń swej nauki, jej kanonu tekstów i zasad wartościowania. Zmusza też do zadawania niewygodnych pytań – także samemu sobie. A jednak autorowi *Nowoczesności* udaje się zachować własną tożsamość pośród tych ciągłych zmian. Czytając jego wielce erudycyjne szkice na tematy teoretyczne i metodologiczne, mamy zarazem w pamięci inne, nader osobiste teksty, w których wyraża się jego osobowość i biografia (nie tylko naukowa). Nawiasem mówiąc, jest to także punkt spotkania pomiędzy autorem książki a mną – jej czytelnikiem, sam bowiem wiele pisałem na tematy, które pojawiają się w dziele Jerzego Świącha. Takie osobiste wyznaczenie i nastawienie na równie osobistą reakcję czytelnika to zapewne jedyny w dzisiejszych czasach sposób uprawiania nauki o literaturze, który pozwala uczonemu w wielości nowych języków i koncepcji zachować rysy własnej twarzy. I to może jest największą wartością książki Jerzego Świącha.

Jerzy Jarzębski

Jerzy Świąch, *Nowoczesność. Szkice o literaturze polskiej XX wieku*. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2006, ss. 349, 3 alb.

przekroje

Poeci, poeci...

ANNA MAZUREK

PIÓRO Z OGNIĄ

Ten wiersz *Czerzeź* potwierdza wysoką rangę artystyczną i dojrzałość twórczości Janusza Szubera. Autor podejmuje te same wątki, motywy, tematy, które absorbują go od początku poetyckiej drogi. Prowadzi dialog ze sobą, nawiązuje do wcześniejszych utworów, niekiedy próbuje ukazać te same zagadnienia w nieco innym świetle. Lektura zbioru utwierdza w przekonaniu, że jego liryka ma charakter integralny, co jest zapewne przejawem duchowej dojrzałości twórcy. Już pierwsze cykle poetyckie – notabene określane jako „pięćksiąg” – stanowią spójną, zwartą całość, a każdy następny tom jest *rozwijaniem czy dopełnianiem poprzednich (...), swoistym dobudowywaniem do nich kolejnego piętra, jakichś przybudówek i munsard*.¹

Architektoniczna metaforyka dobrze oddaje istotę poetyckiej refleksji Szubera, która polega na wydobywaniu rzeczywistości z „nieporządku” i nadawaniu jej kształtów dających się objąć umysłem. Dominantą *Czerzeży* jest napięcie pomiędzy chaosem, żywiołem a światem form. Wydaje się, że owa dialektyczna zależność ujawnia się już na poziomie kompozycyjnym.

Najnowszy tom sanockiego poety otwiera zbiór 49 epigramów bądź aforyzmów, które stanowią zapisy codziennych obserwacji i ulotnych wrażeń. Są to liryczne notatki, hyć może zarysy przyszłych wierszy, opisujące pozornie zwykłe, banalne, nieistotne przedmioty, wydarzenia i przeżycia. Bardzo często ich podłożem są językowe „zadziwienia”, dostrzeżenie urody bądź wieloznaczności słowa. Wielokrotnie krytycy literaccy porównywali poetyckie cykle Janusza Szubera do precyzyjnie skonstruowanych utworów muzycznych. Podążając tym tropem, możemy określić serię początkowych tekstów jako preludium. Z bezkształtnej miazgi codzienności, z różnorodności chaotycznych epizodów wylania się uporządkowana struktura, opowieść o życiu konkretnego człowieka, jego duchowym dojrzewaniu i zmaganiu się z losem. Istotnym czynnikiem kompozycyjnym tego tomu jest konfrontacja sylwicznej formy wypowiedzi z uporządkowaną, niezwykle spójną i zwartą narracją.

Budowanie „prywatnej kosmogonii”, wywiedzionej ze stanu chaosu i nieuporządkowania, sugeruje również tytuł zbioru. *Czerzeź* – wyjaśnia autor – to rzeczownik pochodzenia ruskiego (ukraińskiego), który *należy do grupy nazw żarowych związanych z archaiczną gospodarką w Karpatach: wyrębem, wypalaniem*

i karczowaniem terenów zalesionych pod przyszłe osadnictwo. W najnowszym tomie Szubera mowa – a przede wszystkim poezja jako jej najdoskonalsza forma – związana jest zatem z praktykami uswajającymi „pozaludzkie”, gdyż pozwala nadać tad widzialnemu światu, umożliwia w *żywiole częściowo już przywłaszczonym* przewyciężenie natury, będącej domeną chaosu i dzikości, a jednocześnie czyni uporządkowany obszar domem człowieka. Dlatego też poeta konsekwentnie stosuje „żarową” metaforykę na określenie procesu twórczego. Poezja stanowi niedoskonalą próbę ujarzmienia rzeczywistości, zakreślenia granic swojego domostwa.

Dialektyczna zależność kosmosu i chaosu to tylko jedna z licznych opozycji i uzupełniających się sprzeczności, które stanowią podstawę tej poezji. Dlatego zapewne ważną rolę w tomie *Czerzeź* odgrywa motyw ognia. Żywioł ten – zauważa Bachelard – jest jedynym spośród wszystkich zjawisk, który może sobie samemu zaprzeczać, ponieważ łączy wartości przeciwstawne: dobro i zło, chaos i porządek. Ponadto kontemplacja heraklityjskiego „ognia wiecznie żywego” sprowadza nas do źródeł refleksji filozoficznej i pozwala pogodzić sensualne doznawanie świata z próbą jego opisanie i zrozumienia. Nieprzypadkowo obraz tego żywiołu pojawia się w twórczości sanockiego autora, w której współistnieje zmysłowy ogląd rzeczywistości, „poetyka konkretna” z uogólnieniem i dyskursywnym, zdystansowanym komentarzem.

Ze wszystkich czynników kształtujących poetyckie obrazy ognia wydaje się najbardziej dialektyczny, gdyż *jedynie on może być podmiotem i przedmiotem*². Dobrze zatem oddaje sytuację egzystencjalną bohatera wierszy Szubera, który żyje wewnątrz tego dylematu. Autor opisuje trudne doświadczenie duchowe człowieka, balansującego pomiędzy życiem i literaturą, naturą i kulturą, jawą i snem, doczesnością i zaświatami. W swoich utworach wyraża również odwieczny paradoks indywidualnego i wspólnego: bohater jego wierszy jest odizolowany, niepowtarzalny, jedyny, ale jednocześnie uczestniczy w uniwersalnej rzeczywistości i posiada silną potrzebę odczuwania wspólnoty doświadczeń, potwierdzenia swojej tożsamości w spotkaniu z innymi ludźmi.

Ambiwalencje i dopełniające się sprzeczności są w *Czerzeży* liczne. W wielu wierszach sanocki twórca przywołuje kruchą, ulotną rzeczywistość, która zastygła już we wspomnieniu, a jednocześnie chce ją ocalić, przeobrazić zatrzymany w poetyckim kadrze ułamek sekundy w wieczne, niezniszczalne teraz. Dlatego też dużą rolę w liryce Szubera odgrywają fotogramy, posiadające „dwóistą naturę ontologiczną”. Są one równocześnie świadectwem trwania i przemijania, życia i śmierci, początku i końca, a tym samym wyrażają fenomen czasu i paradoks ludzkiej egzystencji. W niektórych utworach to właśnie ogień jest pierwotnym przejawem niespokojnej, nieustannie zmieniającej się natury, symbolem ciągłego przepływu, owego „nairętwu ruchu”, które stanowi jeden z głównych wątków poetyckiej narracji Szubera oraz podstawową zasadę przeżywania świata w tej twórczości. Niszcząc wszystko i nieustannie się przeobrażając, jest on jednocześnie ciągłym „teraz”, niezniszczalną terażniejszością, a tym samym – zauważa Bachelard – *efemeryczność udziela nam lekcji wieczności*. W wierszu *Będąc ciągle tym samym*, w którym przeszłość i chwila obecna współistnieją w uniwersalnym praesens, poeta czyni wyznanie:

Więc „tu i teraz” tak jak „tam i wtedy”,
Nieruchomy podróżny do krajiny Nicoté,
Dalej patrzę w ogień, najważniejszy z czterech elementów,
W twarz żywiołu bez twarzy, rodziciela duszy.

¹ *Esra*, temat *Kwiatów*, edycja: Kozm, Helena Zaworska, „Literatura” 1997, nr 12, s. 18.

² G. Bachelard: *Wymiarowe powieki. Wybór pism. Wybory tekstów H. Chwałek, tłum. H. Chwałek, A. Tarnowska, przedmowa J. Białki*, Warszawa 1973, s. 99.

W liryce Szubera życie stanowi konstatację bytu i niebytu, istnienia i nicości. W utworze pt. *Kat i myś* pojawia się kwestia relacji między światem danym faktycznie a światem możliwym, między historią spełnioną, dokonaną a historią potencjalną, otwartą. Bohater wiersza ma świadomość, że został „uwięziony” w swojej biografii, „zruczony” w sytuację, której nie wybiec. Jednocześnie wyobraża sobie różnorodne możliwe sposoby bycia, a tym samym transcenduje swoją egzystencję, próbuje wykroczyć poza nią. Jego życie stanowi zatem spłót realności i możliwości, determinizmu i wolności.

Ważnym tematem w najnowszym tomie Szubera jest również zmaganie się człowieka z własnym losem. Bohater wierszy ucieka przed samym sobą i swoją ludzką kondycją (*Czerzeż*, *Bilans*), ale jednocześnie stara się zaakceptować konieczność, próbuje wypowiedzieć trudno „tak”, przyzwalając na życie takie, jakie ono jest, w całym jego pięknie, trudzie i surowości, wraz z nieubłagalnością jego praw. Nieprzypadkowo autor czym jednym ze swoich interlokutorów Yusefa Komunyakę, którego liryka – pulsująca muzyką i energią – jest pełną afirmacji życia we wszystkich jego przejawach. *Tę imaginistyczną poezję emocjonalnego ognia* charakteryzuje kalejdoskopowe wymieszanie wątków i tematów: wiersze o tańcu, jazzie i miłości współistnieją z utworami o wojnie w Wietnamie, „ciemnych miejscach” ludzkiej egzystencji. Bogactwo doznań charakteryzuje również bohatera liryki Szubera. Pierwotnej afirmacji wszelkiego stworzenia towarzyszy uczucie trwogi, wynikające z uzmysławienia sobie nicości i grozy istnienia, niepojętego wymiaru życia, którego nie sposób wyrazić w słowach.

Człowiek w tej poezji znajduje się zatem na granicy pomiędzy naturą a kulturą, bytem a nicością. Jest skazany na wieloznaczność, wewnętrzną niespójność, „ontologiczną maskaradę”, przejawiającą się m.in. poprzez konstruowanie opowieści o samym sobie. Ta żonglerka maskami, grą światła i cienia wiąże się również ze sposobem bytowania w świecie, przeżywania czasu, z tym, że człowiek nie doświadcza życia wprost, lecz jego udziałem jest nieustanna utrata istnienia w bezpowrotnym „minęło”. Odpowiedzią na alienację jest poszukiwanie źródeł pewności w sensualnym doznawaniu świata oraz pragnienie zadowolenia się w byciu, odnalezienia miejsca będącego symbiozą wszelkich sprzeczności.

Wydaje się jednak, że w liryce Janusza Szubera dom nie jest bezpieczną, swojską przystanią, lecz raczej „drogą istnienia” czy też – odwołując się do metafor innego poety – „siedzibą wiatru”, ponieważ zmienność, budowanie i rozwój są jego zasadniczymi właściwościami. W wierszu *List do Telemacha* Odyseusz rezygnuje z powrotu do haki, gdyż uznaje samo wędrowanie – nie zaś kres i cel podróży – za ostateczne spełnienie się człowieka. Wyrzeka się zatem uporządkowanego, oswojonego świata, zamkniętego w konkretnej formie, wybierając bycie w drodze, które umożliwia bezpośrednio zetknięcie się z własną egzystencją, uchwycenie życia in statu nascendi, „na gorącym uczynku”. Pamiętajmy, że „powrót” był w Grecji archaicznej i w samej Odysei słowem i figurą myślową związaną z ideą docierania do prawdy, dlatego też szczególnie niebezpieczna wydawała się starożytnym pokusa „zapomnienia o powrocie” i zaniedbanie szukania drogi do domu. W utworze sanockiego poety „droga do prawdy” okazuje się jednak „drogą-prawdą”. Jest to prawda egzystencji, której istotą stanowi ruch, zmiana, a także niedoskonałość, możliwość zagubienia się i popełnienia błędu. Wybór drogi jako obszaru zamieszkiwania oznacza jednocześnie zgodę na bycie „tu i teraz”, prowadzące do wyzwolenia i bezpośredniego odczuwania rzeczywistości. Tylko poprzez tę „szczelinę czasu” człowiek może zakorzenić się w świecie, być sobą u siebie (*Opona i świr*).

Motyw egzystencjalnej wędrówki, „bycia w drodze” pojawia się w wielu utworach z tomu *Czerzeż*. Należy jednak podkreślić, że poezja ta sytuuje się zdecydo-

wanie na antypodach postmodernistycznej wizji świata, której podstawowa zasadą jest nieustanne dryfowanie, chaotyczne przemieszczanie się w bezkresie możliwości, podążanie drogą bez wyraźnie określonego celu. Przeciwwagą dla współczesnego nomadyzmu stanowi tutaj podróż w głąb samego siebie, pielgrzymowanie do rzeczywistości sakralnej.

Janusz Szuber to przede wszystkim – jak wielokrotnie podkreśla sam autor – *homo ritualis* i *homo religiosus*, który w zdesakralizowanym świecie poszukuje metafizycznego punktu odniesienia, a swoje domostwo buduje na mocnym, transcendentnym fundamencie. W najnowszym tomie ikonę i ziemskie odtworzenie tego metafizycznego wzorca stanowi mała, zabytkowa cerkiew w podsanockiej miejscowości Czerzeż. Jest ona symbolem chrześcijańskiej duchowości, a tym samym staje się w niepewnym i fragmentarycznym świecie „gwaraniem ciągłości, intuicją całości”. Jednocześnie stanowi ona widony, zewnętrzny przejaw wewnętrznego „domu duszy”, do którego konsekwentnie zmierza bohater liryki. Bardzo istotne znaczenie w tym zbiorze ma utwór *Żeby opóźnić*, w którym pojawia się – niczym w mandali – próba ześrodkowania ludzkiej egzystencji z centrum wszechświata, skoordynowania kręgu indywidualnego z uniwersalnym. Wyalienowany człowiek – uwikłany w szereg paradoksów, pełen wewnętrznych podziałów i granic – usytuowany został w sakralnej przestrzeni, w miejscu, *gdzie oś planety trafia w wirujący nieruchomo biegun*. Owa piaśta stanowi symbol ostatecznej rzeczywistości, tajemniczej pełni, będącej doskonałą harmonią i polifonią przeciwieństw. Obraz ten przypomina liden sprzed upadku i stojące pośrodku raju drzewo – mityczną oś świata, przechodzącą przez punkt, w którym jednoczy się ruch czasu i nieruchomość wieczności. Centrum bytu, axis mundi, jest jednocześnie miejscem początkowym, inicjalnym wszelkiego stworzenia, a tym samym bohater wiersza Szubera odbywa – rzecz można – podróż do źródeł czasu, stanu prakosmicznego chaosu poprzedzającego rozdział światła i ciemności.

*A już ciemności wracają w jasność
I jasności powracają w ciemność,
Jakby od zarania nie były od siebie oddzielone.*

W wielu wierzeniach i rytuałach archaicznych odrestaurowanie przyczynu stanowi zarazem obrzęd leczniczy, umożliwiający regenerację ludzkiej istoty. Wydaje się, że również w niektórych wierszach sanockiego poety (*Czerzeż*, *Żeby opóźnić*) powrót do źródeł jest zabiegiem terapeutycznym, który daje człowiekowi szansę na oczyszczenie istnienia i związanie wszystkich rozproszonych aspektów swojego życia.

W utworze *Żeby opóźnić* wejście w jasność wszechczasu odbywa się wbrew podejmowanym przez bohatera próbom „opóźniania” kontaktu z samym sobą, niezależnie od jego niedojrzałości, niedoskonałości i przypisanej mu nie-tożsamości. Wyalienowanie i zakorzenienie stanowią zatem dwa bieguny prawdy, pomiędzy którymi usytuowane jest życie człowieka. W najnowszym tomie Szubera egzystencja jest nieustannym napięciem między upadkiem, ucieczką od siebie a autentycznym istnieniem, a tym samym przypomina heraklitejski pierwotny płomień bycia, polegający na *podwójnej grze skrywania i odkrywania*.

Czerzeż stanowi misternie i precyzyjnie skomponowaną całość, przy czym szczególne znaczenie konstrukcyjne posiadają dwa korespondujące ze sobą utwory, które otwierają i zamykają tę poetycką narrację. Pierwszy wiersz, zatytułowany *Umdziny*, odsyła nas do początków życia bohatera. Izn. do momentu, kiedy rozpoczęło się jego świeckie trwanie, powolne przemijanie, znaczone następstwem kolejnych lat. Wiersz *Żeby opóźnić* – przedostatni w zbiorze – wzbogaca linearny, destrukcyjny czas ludzkiej egzystencji o metafizyczny wy-

miar, a tym samym jest on obrazem przemiany świadomości, ponownych, duchowych narodzin, które są jednocześnie punktem dojścia i ostatecznym spełnieniem.

W utworze pt. 1899 pojawia się zasadnicze pytanie: *Od czego zacząć, jeżeli skończone?*, które – w różnych wariantach – nieustannie powraca w twórczości sanockiego poety. Wydaje się, że w tomie *Czerzez* powiązanie początku i końca jest szczególnie ważnym – wręcz kluczowym – zagadnieniem. Wiele wierszy (np. 1899, *Jeszcze*) określić można jako różne formy anamnezy, poetyckie powroty pamięci, w których „ja” liryczne konfrontuje się z sobą minionym i swoimi antenatami. Istotę owej wspólnoty żywych i umarłych stanowi ugięcie się biegunów czasu – teraźniejszości i przeszłości, które zatrzymują się w beczasowym trwaniu.

Pragnienie powiązania początku z końcem, pochwylenia całości ludzkiej egzystencji ujawnia się także w elegijnych utworach, będących poetyckimi portretami konkretnych osób oraz próbą przeniknięcia tajemnicy ich życia (*Elegia, Skomolne*). Poeta – wzorem Edgarda Lee Mastersa – patrzy na biografie swych bohaterów z perspektywy ich śmierci, która uwydatnia życie, rzuca na nie pełny blask. Kontemplacja tych żywotów daje możliwość ujrzenia ludzkiego losu jako czystej konieczności, wyzwolonej z wszelkiej przygodności i przypadkowości. „Nienieboma podróż”, bieg „na przekór” fizycznego czasu nie tylko ocala kruchą, przemijającą rzeczywistość, ale również pozwala ujrzeć pełnię i irracjonalną świętość ludzkiego życia. Przede wszystkim jednak prowadzi do „przenicowania”, uduchowienia rzeczywistości, tworzy szczególną sytuację, w której – tak jak w wierszu *Państwo* – „słowo staje się ciałem”.

Na zakończenie warto także wspomnieć o delikatnej nutce humoru, pojawiającej się w niektórych tekstach Szubera. Uwagę zwraca wiersz *Appendix*, który następuje po metafizycznym utworze *Żeby opóźnić*, a jednocześnie stanowi zwieńczenie zbioru. Ten żartobliwy wiersz-piosenka jest utrzymany w barokowej tonacji i przypomina nieco „rymowanki” księdza Buki. Stanowi on niewątpliwie ważny „suplement” i wzbogaca tom o nowe sensory, bo przecież – zauważa Eliot – *żart jest najlepszą rekomendacją powagi*, będąc wyrazem dystansu do samego siebie oraz manifestacją wewnętrznej wolności człowieka.

Zdaniem Janusza Szubera poezja jest *niezastąpionym instrumentem, który umożliwia dotknięciu „kłopotem z istnieniem” choćby na chwilę (...) uzyskać poczucie tożsamości, budując dla niej kruchy na pozór, a jednak paradoksalnie niezniszczalny dom*¹. Również w najnowszym tomie autor pragnie przezwyciężyć dotkliwą świadomość wykorzenienia, próbuje odnaleźć swoje miejsce, zadomowić się zarówno w konkretnej krainie geograficznej, jak też w historycznej świadomości, ludzkiej eukmene oraz w przestrzeni sakralnej, obdurzającej człowieka w najpełniejszym wymiarze poczuciem trwałej tożsamości. Czerzez to wypalanie, karczowanie lasu, który w twórczości sanockiego poety jest synonimem tego, co obce i nieoswojone. Warto w tym miejscu przywołać Heideggerowski termin „prześwit”. Słowo to w ujęciu autora *Sein und Zeit* wyraża chwilowe, momentalne objawienie się sacrum, bytu i pełni prawdy, a jednocześnie oznacza w języku niemieckim karczowanie, „przerzedzanie”, „przecinanie” lasu. Wydaje się, że w najnowszym tomie Janusza Szubera nswajanie rzeczywistości jest takim właśnie „prześwitem”, mozolnym budowaniem swojego domostwa na granicy między bytem i nicością, jawnością i tajemnicą, porządkiem i chaosem, jasnością i smugą cienia.

¹ Janusz Szuber: *Czerzez*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2006, s. 110.

² J. Szuber: *Ogród Łaski*, „Rzeczpospolita” 2001 nr 210, dodatek „Plus-Minus, cykl „Czytanie na prosię””, s. 5.

POETA „PIONOWYCH WIDZEŃ”

Publikacja wyboru wierszy świadczy o sporym dorobku poety, często stanowi podsumowanie pewnego etapu drogi twórczej, swego rodzaju literacki rachunek sumienia. Częściowo jest tak również w przypadku wydanego w 2006 roku *Tryptyka z gwiazdą* Waldemara Michalskiego, ale jednocześnie ta książka może spełnić znacznie ważniejszą funkcję niż tylko podsumowanie dotychczasowych dokonań, może być bowiem drogowskazem wytyczającym szlaki w świecie poetyckim autora. A stworzenie takiego świata, jego bogactwo i wiciowymiarowość, jest jednym z najważniejszych świadectw wysokiej rangi poezji i kreacyjnej siły wyobraźni.

Tryptyk z gwiazdą jest zapisem drogi twórczej Michalskiego – poety „pionowych widzeń”, by użyć tytułu jednego z wierszy z tomu *Pejzaż rdzawy* z 1974 roku. Pionowych dlatego, że jego wiersze rozpięte są pomiędzy tym, co w górze, a tym, co wokół nas i w nas. Poeta patrząc w górę, chciałoby się napisać „w gwiazdy”, nie traci jednocześnie z oczu tego, co dotykalne – ziemi, ludzi, historii, literatury – i stale konfrontuje to z tym, co jest ponad. Znakiem tego, co w górze, często bywa właśnie gwiazda, czasem proste zawołanie czy westchnięcie „Panie...” lub powracający wątek karowego lotu albo inne odwołanie się do europejskiej tradycji – biblijnej, mitologicznej, literackiej, ludowej, naroduwej. Skierowane ku górze oczy poety przywracają światu pion, są aktem sprzeciwu wobec poczucia utraty wertykalności, o której pisał Tadeusz Różewicz, sprawiającej, że nawet nasze upadki mają horyzontalny wymiar.

W tym wyntarze zaczyna Michalski swoją poetycką drogę. Wspomniany już wcześniej pierwszy tom *Pejzaż rdzawy* pełen jest kurzu i hałasu betonowego miasta.

*jak wyroku do gwiazd
z betonowej studni*

– pyta w *Chwili refleksji*; trudno mu się odnaleźć wśród murowanych ścian, gdzie:

*pył cegieł zaprószu mi oczy
wiedną w oknie palce zielonych drzew
dokoła gorycz słoneca wyroka*

(Powroty)

Wybór wierszy z kolejnego tomu *Ogród* (1977) zaczyna się od tytułowego utworu poświęconego lubelskiemu Ogrodowi Saskiemu, położonemu *ongli za murami – wszak lublin nad łąką przysiadł*, by zacytować Józefa Czechowicza, który gród nad Bystrzycą umieszczał właśnie na granicy miasta i wsi, a jednocześnie na granicy pomiędzy tym, co doczesne, a tym, co nadprzyrodzone. Michalski w swym drugim tomie wyprowadza nas zatem z betonowej, wypalanej pustki ku temu, co wciąż przedstawia wartość – prostym uczuciom, naturze; rozpoczyna religijne poszukiwania. *Kocham więc jestem* – deklaruje i ta myśl odmienia „rdzawy pejzaż” w ogród.

W kolejnym tomie z 1979 roku *Głosy na wersety* poeta zgodnie z tytułem usiłuje twandą materię rzeczywistości – do tej pory raczej opisywaną – przekształcić przy pomocy słów, w których niekiedy odbija się moc biblijnego Logosu. Jednocześnie wiara w ich moc jest stale podawana w wątpliwość, biblijne frazy i wątki są często konfrontowane z codziennością i nie zawsze są w stanie tę konfrontację przejść pomyślnie:

*W piaskach pustyni która nie była pustynią
uciekła Maria która nie była Marią
tylko słowa w bieli krawędzi.*

(Ucieczka, która nie była ucieczką)

W tomie tym coraz mocniej dają o sobie znać tak charakterystyczne dla Michalskiego akcenty egzystencjalne. W poetycki ogród wkracza śmierć – niepokoi „alternatywa starej alei”, w której:

*stary ogrodnik kopie row głęboki
wiosłuje łopatą jak Charon
który łączy i dzieli*

(Alternatywa starej alei)

Warto się zatrzymać nad tym obrazem – zaskakujące zestawienie postaci ogrodnika z mitologicznym przewoźnikiem dusz zmarłych wyznacza bowiem dwa bieguny poetyckiej refleksji o człowieku. To samo napięcie pomiędzy pragnieniem ładu i nadzieją a przemijaniem i cierpieniem daje się dostrzec w dedykowanym żoncie wierszu *Pochyleni nad kołyską*:

*Nad kołyską więc pochyleni przekazujemy
mu naszą tajemnicę: są śmiertelne rany
lecz bez nich nie ma nadziei i życia na wieki.*

W kolejnych tomach wierszy autora *Tryptyku z gwiazdą* (*Pod znakiem Wagi* z 1987 r. i *Będziesz jak piotun* z 1991 r.) opozycja ta znajduje swoje odbicie w dwu odmiennych sposobach patrzenia na poezję, z jednej strony jako na wyraz „czamoleskiego ładu”, z drugiej zaś – jako na wypełnienie nakazu bycia poetą „jak piotun”. Pragnieniu ładu, harmonii z naturą i z samym sobą stale towarzyszy świadomość „niespokojnego trwania i bólu”. Gwarantowany „znakiem Wagi” (znów gwiazdy!) spokój i porządek istnieje bowiem u Michalskiego potencjalnie, jest przedmiotem poszukiwani, niekiedy tylko bywa doświadczany, na przykład w chwili kontemplacji przyrody, by zniknąć pod wpływem wewnętrznego niepokoju, z którego rodzi się modlitwa:

*Ogień świecy jak słońce planie
i serce moje piąte koło u wozu:
Panie mój z Ogródzica i Gólgoty
spal mnie zanim się spalę.*

(Prośba kapucyna)

Z takiego właśnie „bycia pomiędzy” rodził się tom *Lekcja wspólnego języka*, wydany w 1999 roku, w którym świat Michalskiego znalazł swoje najpełniejsze odbicie. Składające się nań wiersze poruszają bowiem wszystkie najważniejsze wątki jego twórczości. Zawiera on niezwykle przejmujący cykl *Na krawędzi*, będący zapisem choroby i pobytu w szpitalu, w którym przeczuwane wcześniej „krawędzie” rzeczywistości znalazły swoją konkretyzację:

*i zaś przepływał
kropłówką –
uwierzyłem że każdego minuta
ma wymiar wieczności
a najbliższa godzina może być ostatnią*

Będąc „pomiędzy” życiem a śmiercią, ale również między wieloma tradycjami, kulturami, narodami, poeta szuka tytułowego wspólnego języka. W tomie tym, obok innych charakterystycznych dla liryki Michalskiego nawiązań do tra-

dycji literackiej, często przywoływana jest postać Juliusza Słowackiego, z którym poza wspólnotą poetycką łączy go także miejsce urodzenia – Wołyń. Pisalem już kiedyś¹ o tej specyficznej kresowej formacji duchowej i światopoglądowej, cechującej się otwartością na innych, skłonnością do poszukiwania tego, co łączy nawet całkowite na pozór skrajności. Ów poetycki Wołyń w *Lekcji wspólnego języka* przypomina nieco ogród z wcześniejszych wierszy, poeta zdaje się wracać do pierwotnego ładu świata, starając się na nowo wyznaczyć jego centrum – jak w wierszu *Włodzimierz Wołyński*:

*Miasto z bajki pierwszych liter alfabetu
cztery cerkwie dwa kościoły – Bażę spraw
by zawsze było głównym dworcem świata.*

Ten główny dworzec świata ma jednak ponurą przeszłość, która wymaga uporządkowania i przebaczenia:

*Wołyń przez sen
grzechów nie panięta
od miłości nie ucieka
do ogrodu zaprasza
wzywa świętych na pojednanie –
każe wracać
na kolanach*

(Wołyń przez sen)

Józef Czechowicz w publikowanym w 1938 roku na łamach krakowskiego „Kuriera Literacko-Naukowego” szkicu pt. *Poezja Wołynia*, poświęconym poetom działającym w latach 30. grupy „Wołyń”, zauważa, że wobec braku naturalnego językowego podłoża – co wynika z faktu, iż miejscowa wołyńska ludność w znacznej części nie mówi po polsku – ich regionalna odrębność zaznacza się głównie w specyficznym krajobrazie kulturowym; jest on obecny w wierszach Wacława Iwaniuka czy Czesława Junczarskiego. Czytając *Lekcję wspólnego języka* można odnieść wrażenie, że Michalski stara się do tego właśnie języka wołyńskich poetów na nowo dotrzeć, odkryć i raz jeszcze włączyć to kresowe doświadczenie do współczesnej liryki polskiej. Poza tym, co charakterystyczne dla artystycznej postawy autora *Tryptyku z gwiazdą*, najpierw czyni to jako poeta, a dopiero później z pozycji krytyka i historyka literatury (w szkicach poświęconych dziełom twórców związanych z Wołyniem, publikowanych w ostatnich latach m.in. na łamach „Akcentu”).

Z tej „kresowości” wyrasta również pokrewny Mickiewiczowi, Słowackiemu, a także i Czechowiczowi romantyzm, rozumiany za tym ostatnim jako specyficzna postawa wobec dwóch światów – dotykającego i nadprzyrodzonego – polegająca na szukaniu tego, co obydwa te światy łączy. W kontekście „ziemi cudzinnej” Czechowicz charakteryzował taką postawę w następujący sposób: *Wiara pomaga widzieć, że to, co jest, przemienie i ustąpi miejsca Innemu królestwu, lecz jakże dalekiemu. Wiara nie pozwala zwątpić, to prawda, ale serce ludzkie już takie jest chciwe, że mało mu wiary; ono pragnie, by słowo ciałem się stało, by była i oś, bodajby drabnego, jak liść, byle na tym można było postawić stopy i ująć przed zalewem. Ziemia rodzinna stanowi dla nas takie właśnie azylum². „Azylum”, przez które prześwieca „inne królestwo”, to chyba dobre ujęcie znaczenia Wołynia w twórczości Michalskiego.*

¹ Zob. Wąjrowski, *„Słowa i sprawy”*, „Akcent” 2005, nr 2 (100), s. 136-139.

² J. Czechowicz, *Przeobrażenia doświadczenia współczesnej poezji (betykiety)*, [w:] *Essays. Wskazywanie i tworzenie. Szkice literackie, wstęp, wybór i oprac.* T. Klak. Lublin 1972, s. 132.

Warto jeszcze przy tej okazji zwrócić uwagę na włączone do *Tryptyku z gwiazdą* przekłady, gdyż świadczą one o jeszcze innym obliczu „kresowości” autora. Są to wiersze piszącego po niemiecku i łużycku Benedykta Dyrlicha i ukraińskiej poetki Nadii Stepuly: oboje są obdarzeni podobną wrażliwością i, tak jak Michalski, związani są z miejscem pochodzenia. Rozszerzają oni poetycką przestrzeń zbioru o Budziszyn i Lwów.

Wybór wierszy dopełnia cykl *Tryptyk z gwiazdą*, datowany na 2005 rok, w którym (zwłaszcza w utworze tytułowym) poeta czyta sam siebie. Raz jeszcze od-bywa drogę przez swoje ulubione tematy, by skonstatować:

*Tylko miłość jakby wciąż ta sama
czeka na progu snu szczęśliwej gwiazdy*
(*Tryptyk z gwiazdą*)

Podobne przesłanie odnaleźć można w wierszu *Świętego Wojciecha droga do Polski*, gdzie tytułowy bohater deklaruje:

*– nie znają Słowa chwał nie są dzicy
więc bratu podam rękę
chlebem się podzielę – Panie daj światło tak w niebie
jak i na ziemi.*

Nie odrzuca zatem lego, co stało się jego udziałem, przyjmuje to z pokorą, mimo perspektywy męczeństwa – a może właśnie dzięki niej – stać go na pozornie tylko łatwo przychodzące westchnienie: *co będzie dalej – wola Twoja Panie*. Metafizyka autom *Tryptyku z gwiazdą* nie polega na łatwym „zrzuceniu” wszystkiego na Boga, poeta obejmuje niezwykle szeroki zakres ludzkiego doświadczenia, które nie poddaje się tak łatwo „Jego woli”. Porządek, piękno, samo życie jest bowiem stale zagrożone i w tym chaosie ciągłego mchu od kreacji do destrukcji jedynie zapatrzenie się w to, co nie przemija, może stanowić jakieś oparcie. Właśnie ów stale tracony i stale odzyskiwany ład świata sprawia, że pomimo tak rozległej w horyzontalnym wymiarze poetyckiej przestrzeni Michalskiego, pozostaje on przede wszystkim poetą „pionowych widzeń”.

Waldemar Michalski: *Tryptyk z gwiazdą*. Wiersze i przekłady, Norbertinum, Lublin 2006, ss. 230.

MICHAŁ BUKOWSKI

POEZJA PYTAŃ

Najnowszy tom wierszy Urszuli Gierszon nosi tytuł *Ziarno ruty rzucam w ogień*. Ruta hockiwana była niegdyś w ogródkach i na oknach i wito z niej wianki, także weselne, wiązek ruty używano do skrapiania wodą święconą, a wyciąg z jej liści służył do leczenia chorób kobiecych. „Siać rutę” oznaczało dla podstarzałych panien – nie tracić nadziei na męża. Ponadto, przez swą gorycz, ruta uważana była za symbol żalu i skruchy. Które więc z tych znaczeń legło u podstaw tak sformułowanego tytułu? Smutek z powodu zamknięcia przeszłości? Ostateczne rozstanie z nadzieją? A może jeszcze inaczej – może odrzucenie żalu? Może otwarcie się na przyszłość? To nie jedyna wątpliwość. Niczym dobry palimpsest, wiersze Urszuli Gierszon podczas kolejnej lektury rodzą nowe pytania i nie pozwalają na jednoznaczne odpowiedzi. Przypadek to czy metoda?

Na książkę składa się 81 utworów, niemalo, w tym 3 epicedia – gatunek jakże dziś rzadki. I już w takim zestawie rysuje się znamienna inwersja znaczeń. Epi-

cediów jest bardzo niewiele, ale zyskują one rangę stylistycznego i treściowego zwieńczenia całego tomu – tomu bardzo osobistego, pełnego zamyslenia i w intymny sposób poruszającego sprawy podstawowe: refleksje nad dniem codziennym, przemijanie, odejścia, rozstania.

Wiele w nim niespodzianek. Już pierwszy wiersz uderza na początku mocnym akcentem przyziemnej i, jak na poczęcie, odważnej hiperboli – *Ogródkami jak by-dło aby nie weszło w szkodę* – by dalej, po wieloznacznych refleksjach o życiu i śmierci, zamknąć się konstatacją *Mój oddech nie należy tylko do mnie*. Profanum zderza się z transcendencją podstawowych pytań o sens i wartość życia; zestrój znaczeniowy uwypukla biegunowość obu wymiarów.

Autorka ujawnia swoje rozterki w różnych formach i w różnym zakresie. W wierszu *Poprzez myśli* pyta: *Co ocalleje kiedy echo ustaniej struny / rozprzyszy się w powietrzu?*, w utworze *A jeśli...*: *Czy echo czasu coraz słabsze skostniałe / z zimna jeszcze zdołasz ogrzać oddechować?* W innych tekstach zamiast pytań formułuje twierdzenia, ale twierdzenia te są de facto jej własnymi wątpliwościami, które – w takim „przechraniu” – mają zapewne wywołać u czytelnika reakcję intelektualną i skłonić go do określenia swych własnych poglądów.

*Nie liczę na pamięć
Nie chcę jej przefiltrowanej przez krzywe zwierciadła*

znajomych krytycznych i bezkrytycznych oczu
(*Poprzez myśli*)

*Kochałam wiele razy kwiaty drzewa ludzi
Ziemie całą a tak niewiele wokalno*
(***)

Nie znajdę wzoru na użyteczność zjawisk
(***)

To tylko kilka przykładów takich twierdzeń-wątpliwości. Nielatwo zacytować ich więcej nie cytując całych wierszy – autorka swoje wypowiedzi opiera bowiem nie na pojedynczych sformułowaniach, lecz na rozbudowanych strukturach semantycznych, w których każdy wers i każde słowo mają swoje miejsce i swoje znaczenie.

I dopiero czytając strofę po strofie i wiersz po wierszu może czytelnik wchłonąć atmosferę całości – atmosfera ta bowiem wypływa nie tylko z wnętrza pojedynczych utworów, ale również, a może przede wszystkim z tego, co pomiędzy nimi i co poza nimi. Owo wrażenie smutku, jakie pozostawia lektura, jest wynikiem tego, że smutek nie jest u Urszuli Gierszon tylko subiektywną emocją podmiotu lirycznego. Jest niejako zewnętrzny, kontekstualny, wynika bowiem obiektywnie i nieuchronnie wprost z charakteru opisywanych faktów i otaczającej rzeczywistości.

Może to prowadzić do różnych reakcji, od rezygnacji poprzez akceptację rzeczywistości aż po walkę z nią. Autorka jakby przyjmowała ten pierwszy wariant – powtórzmy choćby tylko cytowane już słowa: *Nie znajdę wzoru na użyteczność zjawisk*, przytoczmy też wiersz *W tej maskaradzie...*, znacząco zaczynający się od słów *nie biorę udziału*, zacytujmy utwór pt. *Wypełniony kształt*, w którym autorka pisze: *Wtęwa się we mnie pustka i dalej Otworzyłam się jak skorupa / glinianego garnka-zrzuconego z wysokości*.

Przejmująco osobiste są wiersze dotyczące związku między kobietą i mężczyzną. Autorka spogląda w przeszłość z miejsca wyznaczonego rozstaniem – odnotowuje uczucia, kiedyś żywe, podsumowuje minione. Wiele tu refleksji,

niewiele uśmiechów, niewiele radości. Cóż, każde rozstanie zawsze jest wielkim przeżyciem, a do tego inny na pewno charakter ma rozstanie dwojga młodych ludzi po krótkiej znajomości, a inny – rozstanie ludzi dojrzałych po wielu wspólnie przeżytych latach. Konkluzja jest przejmująco rzeczowa – *Ocalala ale zimna bosa / wynędzniała... (Prawda)* – i odzierająca ze złudzeń na przyszłość, jak w wierszu *Potrzebuję potwierdzenia (Mów do mnie może jeszcze uwierzę / że wilgotna pieczęta twójego spojrzenia / obudzi w nas coś więcej niż tylko ciało.)* czy w wierszu bez tytułu ****A kiedy inna miłość...: A kiedy inna miłość zawładnie mną raz jeszcze / ...znów / omami myśli zapracuje na wspomnienia.*

Jest w tych refleksjach dramatyczna szczeniść, jest swoisty egotyzm, jest ryzykowne balansowanie nad przepaścią ekshibicjonizmu, jest też odważna ekspozycja zmysłowości (m.in. w wierszu *Bez znaczenia* czy w wierszu ****lubię czasami bywać tylko ciałem*). Wszystko razem tworzy całość emocjonalną, ale nie krzykliwą, smutną, ale nie tragiczną – i stąd ów rezygnacyjny ton, eksponowany w różnych miejscach książki, może być nie tyle wyrazem przekonania autorki, co raczej świadomym zabiegiem warsztatowym, prowokującym, drażniącym i nie dającym czytelnikowi szansy na pozostanie obojętnym.

Już nie są mi potrzebne / drogowaskazy i ścieżki na skróty płynę, mówi poetka w wierszu *Już nie* – przekora to czy optymizm? Samoświadomość osoby skierującej i pełnej życiowych doświadczeń czy tylko okrzyk hołsnej rezygnacji? Znow pytania...

Nie wszystkie wiersze Urszuli Gierszon mają tytuły, a przecież żaden incipit nie dorówna nośnością dobrze dobranemu tytułowi, zwłaszcza wtedy, gdy ten nie jest tylko identyfikującym wyróżnikiem, lecz integralną częścią, syntezą utworu, jego rozwinięciem czy uzupełnieniem. A takie właśnie są tytuły u Urszuli Gierszon – szkoda więc, że nie wszystkie teksty zostały nimi opatrzone.

„Używając słów” – by zacytować jej własne określenie – autorka z upodobaniem stosuje przeczutnie emocyjne, powszechnie i bez parłonu łamiąc wersy, a nieraz i strofy. Osobiście nie przepadam za taką technikę. Owszem, może to czasem prowadzić do dość ciekawych zderzeń i stwarzać możliwość wielorakich odczytań tego samego wiersza (patrz np. *Lublin...*), ale stosowane powszechnie wydaje się swoistą manierą formalną, w większości przypadków zahurzającą strukturę intuicyjną i tok składniowy utworów.

Wiersze Urszuli Gierszon to poezja semantycznie bogata, poważna i pełna zamyślenia, nasycona refleksjami, wymagająca skupienia i uwagi. Nie ma w niej słów czy konstrukcji obliczonych na pokłask, nie ma błyskotek. Niesie obrazy wzięte z życia i życia dotyczy.

Urszula Gierszon: *Ziemie i inne rzeczy w ogóle*. Wyd. Anka, Lublin 2005, ss. 89.

OLGA NADSKAKUŁA

NIEKOŃCZĄCE SIĘ ZDZIWIENIE

Ważnym tematem najnowszego tomu poetyckiego Krystyny Stoleckiej jest współczesna komunikacja, jakość przekazu słownego, to, że często uciekamy w banał, dewaluujemy znaczenie wyrazów, zaciemniamy istotę rzeczy:

*(...) najlepiej mówić o tym o czym wszyscy mówią
wybrać właściwy temat przerobić na papkę
odzywać się nią cierpliwie nie po to
by prześwietlić*

*Ilustre tkanki pałolitości
otwinię z wódkiem bezsensów (...)*

(Nagie serce)

Te niebezpieczne tendencje nie tłumią w nas jednak potrzeby mówienia o sprawach naprawdę ważnych. Krystyna Stolecka chce odrzucić schemat „powtarzania zbędnych słów”, mówienia tego, co należy i co wypada powiedzieć. Jej utwory wręcz onieśmielają prawdziwością przekazu, szczerze i czasem wręcz brutalnie pokazując to, co w istocie składa się na jakość naszej egzystencji. „Skraplają się” w nich i są w nich interpretowane zdarzenia z dzieciństwa, ze szkoły, relacje domowe, próby odnalezienia własnego miejsca na ziemi. Za poetyckimi figurami kryje się głębia przeżyć; to, co doświadczone przez lata, skorelowane jest ze światem wewnętrznym. Z niemal psychologicznym zacięciem Krystyna Stolecka podąża meandrami swych stanów emocjonalnych.

uciekłam od siebie

Podeptałam kolorowe ścianki musztelek

Już nie mam gdzie się schronić

Zwinęłam udawać że mnie nie ma (...)

nie ucieknę

Z ciemności

Wykoczę nogi

I przestraszę siebie na zawsze

(Ucieczka)

W zbiorze odnajdziemy motywy świadczące o fascynacji autorki wierszami kontrowersyjnej Sylwii Płah, zapis procesu docierania do własnych przekonań, wypracowywania swojego światopoglądu, a nawet rozliczania się z Bogiem.

Dzieląc się swoimi przemyśleniami dotyczącymi śmierci, Stolecka jest szczerą i bezkompromisową. Porusza na przykład tak trudny temat, jak zapominanie o zmarłych. Pisze o tym w wierszu *Umierają umarli*:

umierają we mnie umarli

wtrącają się coraz rzadziej do rozmów

i snów ach umarli umierający jeszcze

wdzielają cennych rad niezmiennych

komentują dawne wydarzenia

powtarzają te same dawcipy (...)

Bogactwo wrażeń, którymi dzieli się z nami autorka, jest dowodem jej intensywnej percepcji otaczającego świata. Znajdziemy tu zarówno zachwyty nad okrucami codzienności, ładem i harmonią zjawisk, jak również opis niewytłumaczalnych zagadek bytu, którym nierzadko towarzyszą uczucia smutku, rozpacz, bezsilności. Swoją osobisty ból egzystencjalny poetka dozuje stopniowo, mienchalnie, bez przesadnego patosu i zawstydzających porównań. Zwinnie wplata go w strofy, oswajając i nadając mu status jeszcze jednego składnika życia.

Mozna pokusić się o stwierdzenie, iż motywem przewodnim zbioru, spajającym zawarte w nim treści, jest – nie wyartykułowane *expressis verbis*, ale doskonale wyczuwalne – pytanie o sens egzystencji. Odpowiedzi autorka szuka w przeszłości, we własnych doświadczeniach, w tym, jakie stawia sobie cele i z czym się zmagą. Nie boi się eksplorować trudnych obszarów ludzkiego życia. Zrywa zasłony z przygodnego, zmysłowego hytu, wykraczając poza przyrodzoną rzeczywistość w stronę transcendencji.

O poezji zawsze pisze się subiektywnie. Moim zdaniem tomik Krystyny Stoleckiej jest wyjątkowy. Autorka wychyla się ku „metafizycznej grze na Górze”, nie tracąc jednak z pola widzenia wszystkich przejawów codzienności, zwy-

kłych okruchów życia, dzięki czemu pozwala nam z innej perspektywy zobaczyć nasze ludzkie zmagania.

Krzysztof Sulecka, *Demj Rozmowa*, Wyd. „Czytelni Kultury”, Łódź 2000, ss. 131.

WOJCIECH FIGEZA

NA GRANICY SNU

Na okładce swojego najnowsze tomu wierszy Piotr Szewc umieścił wyznanie: „*Całkiem prywatnie*” to moja krótką z rzędu książka, tym razem poetycka. Pomyślałem, że chętnie bym nią zadebiutował, ale przecież... Zdanie zostaje przerwane, rozbudowanej argumentacji nie będzie. Przygodę artystyczną pisarz pragnie rozpocząć od nowa, zapowiedziana zmiana jednak nie unieważni poprzednich książek. I jeszcze: jeśli czyta się całą sekwencję tekstów Szewca, podział na prozę i poezję nie ma większego znaczenia. Przypomnijmy, że debiutancka powieść *Zagłada* (1987) bardzo dobrze została przyjęta, a później posypały się przekłady na wiele języków, znakomite *Zmierzchy i poranki* (2000) – jak najsluszniej – umieszczono wśród książek finalistów Nagrody Nike, nie zawiodła też oczekiwań czytelników subtelna, kaligraficzna proza w *Bocianach nad powiatem*. Dzięki tym utworom pisarz zyskał wysoką literacką rangę.

Piotr Szewc znany jest przede wszystkim jako twórca mitu zamojskiej prowincji, kronikarz ludzkich losów spełniających się w małej skali, empatyczny obserwator szczegółów codzienności. W tej charakterystyce nie sposób też przeoczyć sensuodnej wrażliwości wspieranej przez bogactwo polszczyzny, tyleż skierowanej na precyzyjny opis faktów i rzeczy, co zasobnej w poetyckie obrazy. Narracje Szewca, zawieszające czas historyczny, poddane trwaniu, sprzeciwiające się gwałtownym zmianom, akcentujące wieczne następstwa poranków i zmierzchów, odpowiadają użytym narzędziom językowym. Starannie dopracowując frazy, kolekcjonując nazwy i metafory, Piotr Szewc stara się tak gospodarować słowem, by jednocześnie ujawniły się tradycyjne sposoby realistycznego opisu oraz nowsze zdobycze prozy niotwórczej.

Wracajmy do początku. Oczywiście nie tak łatwo uwolnić się od własnych osiągnięć, ale możliwe stają się gry z zaszczerpioną w świadomości odbiorców wizją świata, z przewidywalnymi preferencjami poetyki, a także – co może najbardziej istotne – z wizerunkiem mówiącego „ja”. Marzenie o powtórnym debiucie wiąże się z przekroczeniem progu dojrzałości, kiedy powiedzieć można więcej i szczerzej, bez oglądania się na to, co wypada lub nie wypada. Jednakże zaznaczanie owej cezury podszycie zostaje przekorą. Znaki identyfikacyjne twórczości Szewca zostają inaczej ułożone. Paradoksalnie – hunt nie wyklucza kontynuacji, a prowokacyjne igranie z gustem czytelniczym nie przecina mocnej nici porozumienia. Dopuszczenie do konfidencji, skrócenie dystansu wobec czytelnika, to jednak pewien wybieg. Otóż nie wierzyłbym takiej na próbę przyjętej autokreacji, w której pisarz zdaje się mówić: patrzcie, wyrażam się jak człowiek z tłumem, sądzę to, co inni, mam takie same marzenia i upodobania, ponieważ wiersze dobitnie przekonują o tym, że życiowa mądrość nie płynie wyłącznie „z dołu”, nie może być znaleziona na ulicy.

Tom *Całkiem prywatnie* jest książką afimującą i zarazem skandalizującą. Poeta raz po raz daje dowody wyrafinowania artystycznego i jednocześnie epatuje zgrzebną prozą. W omawianym zbiorze znajdziemy brutalizmy języka ulicy – wraz z cytatami z więziennej grypsery, głupstwa napisów na murach,

niezborności komputerowego gadu-gadu (co dotąd było przez Szewca omijane) i również – pełne czułości zapisy lokalnej mowy miejsca, w którym poeta spędził dzieciństwo. Zdarzają się ekscytujące „piękne zdania”, jak w wierszu o imaginacyjnym powrocie w strony niegdyś często odwiedzane: *jeśli nie przybędę osobiście / wyślę na próg kruchty sprawdzonego emisariusza światła (Kościół w Horyszowie polskim)* lub w studium ruchu w grafice: *w zgęszniałym powietrzu wahają się barwy skały ziemi nieba (Toczą się głązy)*. W *Całkiem prywatnie* poszerza się skala wysłowień. Język poetycki budowany jest z wielorakich ingrediencji, ale podkreślić należy, że o ile słowo w powieściach Piotra Szewca wyraźnie ujawnia energie poetyckie, o tyle wiersze z ostatniego zbioru dążą do prozaizacji. Wypracowanym zdaniom o wielkiej urodzie stylistycznej przeciwstawiany jest teraz tok kapryśny, dygresyjny, przerywany, a rzucone niedbale myśli mogą nawet zostać niedokończone. Kolokwialność się usamodzielnia, rozbija literacki porządek wypowiedzi.

Umieszczony na początku wiersz *Coś innego* można by nazwać negatywnym wyznaniem wiary artystycznej. To „usprawiedliwienie” zmian oraz przekorny akt kapitulacji wobec pedantycznych rozgraniczeń na prozę i poezję przecięzają konwencje, przelamują wszelki przymus. Nadszedł też czas, by nie liczyć się z modą literacką. Swoboda twórcza zostaje wyraźnie podkreślona. *Piszę jak chcę / i umiem* – powiada Piotr Szewc. Jednak nie należy tej deklaracji łączyć z wolnością anarchiczną, z dowolnością poetycką. Krótki i nieskomplikowany program otwiera nowe możliwości. Po pierwsze znika podział na to, co wzniosłe i trywialne, tajemnicze i zwyczajne, po które mocno zaznacza się obecność osoby prywatnej, nie abstrakcyjnego literackiego podmiotu, osoby nastawionej na dialog z wybraną grupą słuchaczy, skłonnej do zwierzeń, z pokorą podchodzącej do ekshibicji. Dodajmy, iż bohater liryki Szewca nie jest dobrze zadomowiony w świecie. Częste są takie kreacje jak intym, w sensownie urządzonej naturze (*Gawron na kartofliku*), samotny (wyobcowany) obserwator ptaków (*Sroki na oknem*), rozbitek na jawie (*Goląb i kosa*), zagubiony wędrowiec, który pragnie wyjawiać sekrety rzeczy potocznie prostych (*Do miasta dzieciństwa*), obcy w mikrosocjetywie nieneli – współczesnych ludzi gościńca (*Ulica Gojawiczyńskiej*).

Granice stylów w wierszach Szewca okazują się płynne – w tym samym trybie (pozornie nieuporządkowanych) dywagacji można rozważać o szyldach, reklamach, tramwajach, gatunkach ciasta (*Bazar na Broniewskiego*, *Ulica Gojawiczyńskiej*), o awarii lodówki (*Zabrakło freonu*), szaleństwach ciemnej erotyki (*Hiszpańska mucha*, *Ostra jazda*), co o powrotach w pamięci do rajów dzieciństwa (np. *Stare piece*, *Kościół w Horyszowie polskim*), radościach i udręcech wieku średniego, fascynacjach lekturowych i teatralnych (*Czytanie pod gwiazdami*, *Lepsza część*, *Zabawa w teatr*), ulubionej przez Szewca grafice, a także obrazach unowocześnionego piekła (*Całkiem prywatnie*), tajemnicach Boga (*Coś innego*), o sprawach ustatecznych (*Szare pióra*, *Rozklejam klepsydry*).

Nie tylko pisanie-mówienie, ale też przygody poznającego „ja” scalają wielość światów w omawianym tomie poetyckim. Istotne są tutaj obserwacje samego siebie, tak to nazwijmy: notatki dotyczące istoty zmiany w zakresie pojmowania hierarchii spraw. Wszystko jest równie ważne, godne utrwalenia, tak jak rozmowa emerytek o trywialnych gospodarskich, wymiana kwestii bez pointy i przesłania (*Jabłka w cieście*). Sama rzeczywistość – znana i zaskakująca, widzialna i ukryta, nędzna i wzniosła – jest ciekawa. Prywatne kroniki mają trzymać się ziemi, rejestrować rzeczy, nie nastroje, lecz właśnie – na przykład w poruszającym wierszu *Rozklejam klepsydry* – niby obojętny spis przedmiotów po zmarłym ojcu zawiera spory ładunek emocji. Znamienne jest tu trzykrotne powtórzenie słowa „fakt”: *na gorąco rubię te notatki fakty fakty fakty bo wszystko przeobrazi się za trze rozsypie i nie da się pozbiierać*.

Z rozpadem, entropią, ubożeniem własnego świata oraz ekspansją obcej „kultury telewizyjnej”, w której wszystko jest zmieszane, należy stoczyć walkę, choć jest ona nierówna. Jak pisze Szewc w liryku *Psy szczerkają* „wszystko marginalizuje się umniejsza traci / ważność”. Natomiast w lirykach *Wszystko osobno* oraz *Odkleja się* przeczytamy o niezbomych odpryskach zdarzeń, o tym, że w rozproszeniu poeta pragnie dostrzec jednak jakiś ład. Nizanie sensu nie prowadzi do zadowolających rozstrzygnięć, ale to nieprawda, że odpowiedzią na rozpad może stać się jedynie wiersz semantycznie rozchwiany, prowizoryczny, imitujący nieporadność. Takie eksperymenty Piotr Szewc podejmuje, ale przecież z powtarzania słówek wyrażających nikły sprzeciw, w rodzaju „poniekąd”, „bynajmniej”, „ale”, z zawieszonych pytań i supozycji nic jeszcze nie wynika.

W poezji Szewca świat wciąż ulega procesowi porządkowania, przedmioty są liczone i ustawiane w odpowiednich sekwencjach. Poetyka sprawdzania rachunków odgrywa tutaj szczególną rolę. Jak napisałem, prywatny stan posiadania osoby nieustannie się kurczy, przestają istnieć stałe punkty orientacji. Odsłaniają się runy i wyrwy po osobach, drzewach, rzeczach. Poeta sugestywnie szkicuje ogolony krajobraz jesienny, gdzie nawet „do odejścia szykują się drugi” (*Gawron na kartofliśku*). Procedury rozpoznawania i klasyfikowania nie mogą kończyć się sukcesem, gdyż formy istnienia są niepoliczalne, wiązania faktów różnorodne i niepewne i w ogóle nie należy naruszać integralnej tajemnicy wszelkich bytów. W tomie *Całkiem prywatnie* natkniemy się na taki komentarz: *zdarzenia wchodzą w najróżniejsze związki / logika której nie pojnę do końca przypomina wróżby ze snów lub przepowiednie* (*Różne związki*). Zadowolili się wypadnie sygnałami, śladami, cieniami dawnych spraw i co więcej – nierozstrzygalność znaczenia przyjąć należy jako cenny dar.

W tym miejscu otwiera się inna perspektywa labiryntowo wiodąca w głąb snów. Ważne są osmozy różnych realności, gdyż ten świat poetycki sytuuje się na pograniczu snów. Sen świadomości nie wyłącznie rodzi potwory – w typie wyobrażenia piekła jako burdelu (*Całkiem prywatnie*). Dzieje się też tak, że jałowiecie jawy kompensowane jest po stronie świata wewnętrznego. Tam epizody przeszłości małej wspólnoty miejskiej, ale też fragmenty autobiografii zagęszczają się, następuje też restytucja wspomnień. Znakomitym sprzymierzeńcem techniki mieszania realizmu z oniryzmem jest grafik Leszek Różga, z którym Piotr Szewc prowadzi bardzo płodny poetycko dialog. Spora kolekcja wierszy w tym tomie została usnuta na motywach przejętych od Różgi. O artyście napisała Alicja Kępińska, iż *modeluje przedmiot kreską cienką jak włos, osiągnąjąc nadrealność wizji*.

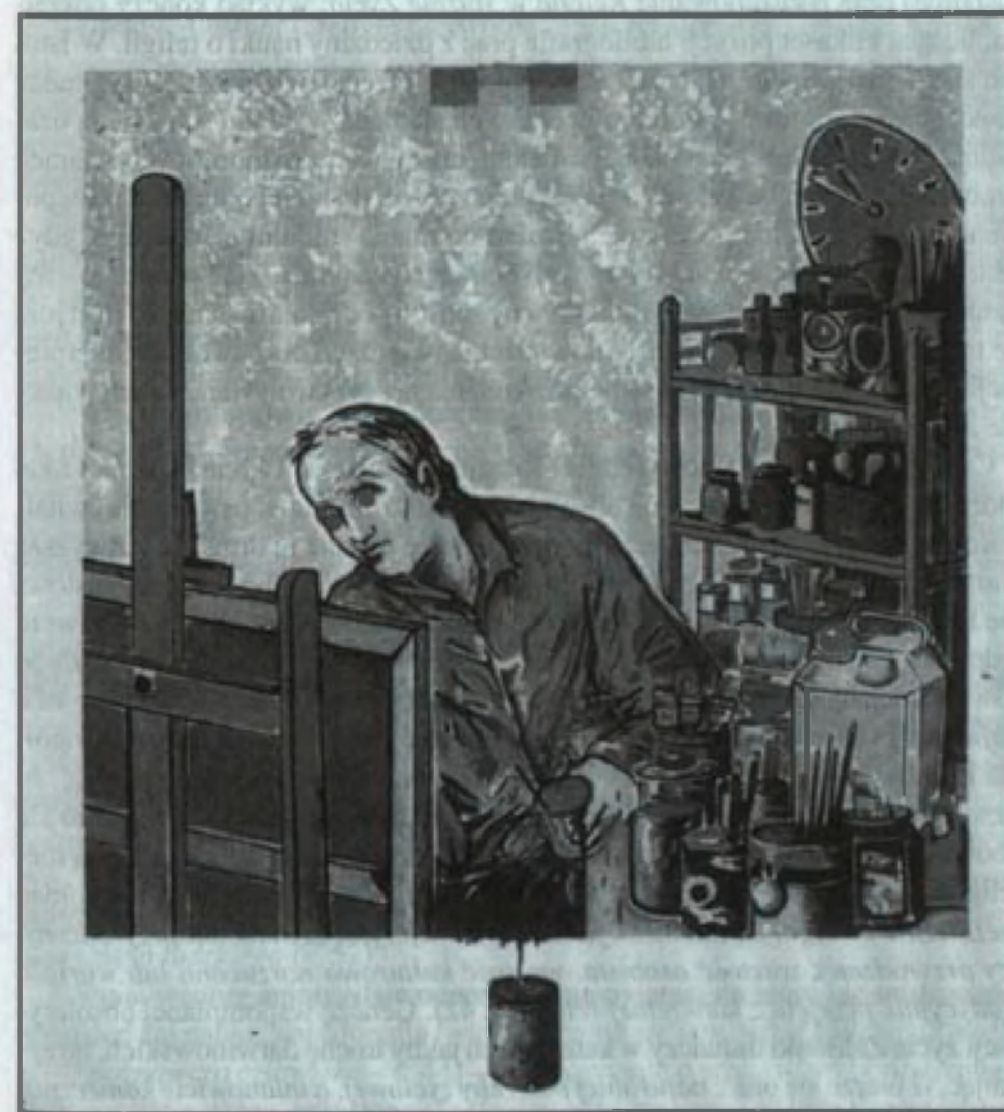
Wchodząc w osobny świat dzieł sztuki, Piotr Szewc wzmacnia swoją wyobraźnię. Na tej kanwie rozstrzyga historię prywatną (np. *Do miasta dzieciństwa*). Grafika daje asumpt do rozniecania radości gry w życie (*Zabawa w teatr*). Piotr Szewc zgaduje, co jest przedmiotem lektury nocnego czytelnika Różgi (*Czytanie pod gwiazdami*). Dawne prowincjonalne podwórko ohrasta bełkotliwą ordynarną mową współczesnej warszawskiej ulicy (*Podwórko treść*). „Biologiczne kłębowisko” Różgi wiezie też na pokuszenie, gdyż pojawiają się erotyczne fantazmaty, ryzykowne marzenia, opowieści o dusznym, pełnym męki miłosnej wtajemniczeniu kochanków (*Hiszpańska mucha, Rzeczy francuskie, Zapach potu*).

Nade wszystko poeta zafascynowany jest zatrzymaniem czasu. „Królestwo dziurawych płaszczy i pajaków” (*Liczna rodzina*) eterycznie trwa w cieniu kresce artysty. Za tym pośrednictwem przekazane zostają ślady życia żydowskich miasteczek (*Znaki szczególne, Sztafete*). W ostatnich przykładach znakomite są odpowiedniki słowne grafik Różgi. Dodajmy, że wizje plastyczne rozwijają się w opowieści – zamknięte, jak na przykład w wierszu *Na koruzeli*, dramatycznym gestem pożegnania. Zniszczenie świata żydowskich miasteczek

jeszcze na chwilę, jakby w ostatnim spojrzeniu, zostaje wstrzymane (*Exodus*). Nie mogę dłużej się zatrzymać przy wskazanych wątkach. Zauważyć jednak należy, że gdybyśmy mieli w ręku komplet reprodukcji (w możliwym do pomyślenia albumowym wydaniu) dokładniej odsłoniłyby się związki między językiem plastyki a wypowiedzią poetycką.

W tomie *Całkiem prywatnie* przebywanie na granicy snu oznacza również wylanianie się świata z mroku. Jak w *Zmierzchach i porankach*, jak w *Bocianach nad powiatem* istnienie wymaga nieustannego odnawiania, stwarzania przez światło. W wierszach inspirowanych grafiką Piotr Szewc postępuje podobnie, natomiast w lirycznych wspomnieniach wspieranych przez sny mówi się o powinnościach wobec tego, co przeżyte i zapamiętane. Topografia musi być dokładna, uwaga napięta, by nie przeoczyć żadnego detalu. W słowie powracają miejsca, pejzaże, budowle: *kościół w Horyszowie stara studnia w Czółkach karcie tny na Listopadowej / zakola Eaburki i schody rarusza to zaledwie kilka napomknień* (*Splacam długie*). Kilka napomknień. Tak wiele.

Piotr Szewc: *Całkiem prywatnie*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2006, s. 56.



Jakub Juhon Ziolkowski: *Transmisja III*, olej, płótno, 140 x 125, 2003

Nie tylko analitycznie

ALEKSANDER MADYDA

RELIGIA JAKO AFIRMACJA ŻYCIA

Na pierwszy rzut oka książka Wojciecha Zalewskiego jest dziełem religioznawczym, traktującym o najbardziej reprezentatywnych wyznaniach świata i przynoszącym ogólną definicję religijności, wywiedzioną z analizy omawianych systemów wierzeń. Wskazywałaby na to struktura książki podzielonej na następujące części: *Religia a życie*, *Religie pierwotne* (tu m.in. prezentacja wybranych religii azjatyckich, afrykańskich i indiańskich Ameryki Północnej), *Religie wtórne* (o taoizmie, hinduizmie, buddyzmie, judaizmie, chrześcijaństwie i islamie) oraz podsumowanie *Religia w służbie Życia*, wykład koferowy obszerna, licząca kilkaset pozycji bibliografia prac z dziedziny nauki o religii. W istocie jest jednak zupełnie inaczej: autor najpierw przedstawia własną, oryginalną koncepcję religijności, a dopiero w dalszych stadiach wywodu stara się ją uzasadnić, odnajdując jej najważniejsze elementy w wielu różnorodnych wiarach i mitologiach całej kuli ziemskiej. Ma pełne prawo do takiego właśnie postępowania – jego tekst nie pretenduje bowiem do miana studium naukowego, gdyż jest, o czym informuje podtytuł, esejem humanistycznym, a – jak wiadomo – ten gatunek wypowiedzi cechuje subiektywny sposób podejścia do tematu, elastyczne traktowanie logicznych reguł dowodzenia twierdzeń oraz swoboda interpretacji. Ważniejsze zatem są tu same przekonania niż przywoływane na ich poparcie argumenty.

Czym jest dla Zalewskiego religia? Rezultatem afirmacji życia jako zjawiska, która to afirmacja prowadzi do absolutyzacji (uwznioślenia, uświęcenia) witalności, przy czym autor zaznacza z naciskiem, że uznane tą drogą za najwyższą wartość życie może być nazywane Bogiem, lecz nie musi, bo w rzeczywistości nie liczą się symbole (jest ich niemożliwość), lecz wyrażana przez nie treść – zawsze jedna i ta sama; jak powiada autor, *u fundamentów religii nie stoi wiara w Boga i świat nadprzyrodzony, a uświadomiony i praktyczny stosunek do Życia jako najwyższej wartości* (s. 44). Jak widać, religijność jest tu rozumiana bardzo ogólnie i niezwykle szeroko, co pozwala Zalewskiemu nieco arbitralnie przyjąć, że każdy, kto szanuje życie dla niego samego, jest osobą religijną, czy mu to się podoba, czy nie. Wynika z tego, iż nie można szanować życia, będąc osobą niereligijną: *Człowiek kierujący się taką Wartością może być nazwany religijnym niezależnie od tego, czy ideałem, jakim się kieruje, jest czynnik nadprzyrodzony, czy prymordialny, wartość osobista, wartość kulturowo narzucona lub wartość tradycyjnie przejęta z konkretnej religii* (s. 42). Genezę wspomnianej absolutyzacji życia Zalewski tłumaczy w kategoriach jakby trochę darwinowskich, utrzymując, iż bierze się ona z *naturalnej potrzeby życiowej, a mianowicie konieczności kontynuacji życia tak jednostki, jak i gatunków* (s. 37), z czego wyprowadza wniosek, iż *religia jest tak naturalna, jak naturalnym jest uświadomione Życie*,

czyli że religia jest czymś koniecznym, gdyż zaspokaja najważniejszą ludzką „potrzebę godnego życia” (s. 64), i że wobec tego, w domyśle, człowiek niereligijny jest czymś w rodzaju wybryku natury. Jednakże pierwotnym źródłem religijności jest dla Zalewskiego refleksja nad najważniejszym dla każdego człowieka fenomenem życia, który to fenomen stanowi do dziś największą niewytłumaczalną zagadkę, i to zarówno gdy idzie o istotę życia, jak i o jego powstanie. *Człowiek myślący kategoriami humanistycznymi – powiada dalej autor – (...) nie potrafi wyjaśnić początku życia inaczej niż z Życia* (s. 26). Jeśli jednak zapytamy Zalewskiego, czym tak naprawdę jest owo zabsolutyzowane życie, pisane wielką literą, to okaże się, iż życie owo „trwa wiecznie” (s. 40) i stanowi „niewymierną, pozamaterialną” siłę (s. 67); ponadto indywidualnym wyrazem szacunku dla niego jest modlitwa, społecznym zaś – ceremonie religijne i liturgia (s. 68). Zatem Życie będące siłą to nic innego jak Bóg religii monoteistycznych, z czego ostatecznie wynika, iż według tej koncepcji prymarnym źródłem religii jest jednak, wbrew temu, co powiedziano wcześniej, przeświadczenie o istnieniu nadprzyrodzonego stwórcy świata – dawcy życia.

Tak pojmowana religia zajmuje autora wyłącznie w jej aspekcie funkcjonalnym, tzn. interesują go jedynie jej walory pragmatyczne, czyli wartości i wzory moralne, jakie proponuje człowiekowi do realizacji w jego indywidualnej egzystencji – Zalewski nazywa je „humanistycznymi wartościami religii” (s. 16). Nie interesują go natomiast w jakiś szczególny sposób formy wyrażania tych treści, czyli mity, wierzenia czy dogmaty odróżniające daną religię od innych, gdyż stara się odnaleźć w różnych systemach religijnych ich wspólne, humanistyczne przesłanie, leżące, jak twierdzi, u podłoża każdej religii, zarówno opartej na tradycji ustnej („religie pierwotne”), jak i na pisanej („religie wtórne”). Interpretacje prowadzone na rozległym obszarze badawczym prowadzą Zalewskiego do wniosku, że każda religia zawiera uniwersalne wartości humanistyczne, stanowiące tzw. złotą regułę: usytuowany na szczycie hierarchii wartości moralnych nakaz pozanawiania życia samego w sobie.

Oczywiście autor *Religii w służbie Życia* jest świadomy, że czasami dany system religijny ewoluuje w stronę zaprzeczenia swemu pierwotnemu przesłaniu, na którym został ufundowany. Zalewski wyjaśnia ten proces jako rezultat zbyt daleko posuniętej formalizacji doktrynalnej i prawno-administracyjnej systemu wierzeń, podporządkowującej religię interesom organizacji społecznej lub państwowej, w następstwie czego dokonuje się zniekształcenie przesłania humanistycznego i dekompozycja hierarchii wartości, przez co religia przekształca się w antyreligię, gdyż w istocie zaczyna głosić szacunek dla życia-istnieniu danej społeczności zamiast szacunku dla życia w ogóle, tracąc tym samym nieodwołalnie swój uniwersalistyczny charakter. Z powyższej obserwacji Zalewski wyciąga wniosek, iż religijność może być realizowana tylko w spontanicznym działaniu jednostkowym (*stosunek do Wartości może mieć jedynie człowiek* – s. 53; *religia jako bezpośredni stosunek człowieka do Wartości Życia jest indywidualistyczna* – s. 65), nie zaś – w zorganizowanym działaniu zbiorowym, dlatego odmawia jakiegokolwiek grupie prawa do nazywania się wspólnotą religijną, deprecjonując moralność społeczną, głosząc zaś pochwałę indywidualizmu religijnego (*propaguję religijny priorytet jednostki* – s. 55) i moralności indywidualnej, która *stawia równe wymagania każdemu bez względu na płeć, rasę, narodowość, stan społeczny czy orientację religijną i wymaga uszanowania każdego życia ludzkiego* (s. 52).

Religia, według autora, daje odpowiedź na pytanie, na które nie może odpowiedzieć ani nauka, ani filozofia (*wiara zaczyna się tam, gdzie kończy się możliwość poznawcza człowieka* – s. 44) – jest to pytanie o sens świata. Zatem religia daje poczucie sensu egzystencji, skłaniając do realizacji wartości najwyższej, jaką jest życie. Bez religii nie ma też etyki: *Odmówienie Życiu kategorii najwyż-*

szej *Wartości* przeciwne jest *Życiu*, czyli jest *antyreligijne i niemoralne* (s. 59). Warto zaznaczyć, że początki moralności, tak jak początki religii, Zalewski tłumaczy w oparciu o dyskurs naturalistyczny: *Istnieje naturalny „instynkt” moralny związany z koniecznością samozachowawczą, który nie musi być motywowany racjami pozanaturalnymi. Gdzie „instynkt” ten jest uświadomiony i modyfikowany *Wartością Życia*, tam nabiera on charakteru absolutnego, a więc religijnego* (s. 59).

Potwierdzenia swojego stanowiska szuka autor w treści wszystkich ważniejszych systemów wierzeń. Tę część książki, która jest im poświęcona, ocenić kompetentnie może jedynie zawodowy religioznawca. Niespecjalista natomiast zauważa w niej przede wszystkim ze wszech miar szlachetną autorską intencję odnalezienia w każdej religii *powszechnego, ponadkulturalnego, pozytywnego stosunku człowieka do Życia* (s. 63), co w zamierzeniu Zalewskiego ma prowadzić do kulturalnego wzbogacenia ludzkości poprzez ukazanie pozytywnych walorów egzystencjalnych wszystkich bez wyjątku wyznań religijnych.

Jak widać, *Religia w służbie Życia* sytuuje się na pograniczu wielu dziedzin: teologii, etyki, filozofii religii i religioznawstwa. Jeśli chodzi o tę ostatnią dyscyplinę, to w pracy Zalewskiego można dopatrzeć się fenomenologicznego, ahistorycznego podejścia do tematyki rozważań, które wywodzi się z lektury przywoływanych w tekście eseju prac Rudolfa Otto i Mircei Eliadego, a prawdopodobnie też z, co prawda nie cytowanego, lecz na pewno obecnego duchem, dorobku „Wielkiego Fena” – Gerardusa van der Leeuwa. Taka perspektywę sprzyja jasności i wyrazistości prezentowanych idei, a samo stwierdzenie obecności wymiaru fenomenologicznego dodatkowo skłania czytelnika do snucia domysłów na temat ewentualnych Eliadowskich inspiracji poglądu na religię jako afirmację życia – wszak dla autora *Obrazów i symboli* najważniejszym elementem każdej religii pozostają mity kosmogoniczne, czyli opowieści o stworzeniu tego, co żywe.

Jest w omawianym dziele nieco sformułowań kontrowersyjnych, a nawet budzących otwarty sprzeciw, jak np. negatywna ocena tradycji oświeceniowej (*Epocha Oświecenia z jej kultem rozumu i, konsekwentnie, relatywnym poznawczym, odebrała człowiekowi w znacznej mierze szacunek dla uniwersalnej Prawdy i Wartości* – s. 64), przyznanie modnemu ostatnio w Stanach Zjednoczonych kreacjonizmowi statusu hipotezy naukowej (*Póki nie znamy początku wszechświata, a dalej życia, nie można naukowo potwierdzić ani zaprzeczyć kreacjonizmu* – s. 25), traktowanie filozofii jako gorszego gatunku refleksji nad światem i człowiekiem w porównaniu z religią (*Filozofia, w całym swoim bogactwie teorii, jak uczy jej historia, nie jest zdolna odpowiedzieć zadawalająco na życiowe pytania człowieka* – s. 40; *Takie filozoficzne systemy, jak cynizm i relatywizm teoretycznie pomniejszają *Wartości Życia*, w gruncie rzeczy promują destrukcyjną anarchię intelektualną i społeczną* (...)) – s. 42) czy nieuprawnione zestawianie nauki z religią (*Intelekt nie ma odpowiedzi na wszystkie pytania, więc wiara ukierunkowuje nasze poszukiwania* – s. 41).

Sądy merytorycznie wątpliwe wygłasza również Zalewski w odniesieniu do religii archaicznych. Choć słusznie podkreśla, iż *w społeczeństwach pierwotnych więź społeczna jest silniejsza i bardziej naturalna niż w społeczeństwach rozwiniętych, stąd też założyciel należy, iż społeczny wyraz religijny jest przeżywany autentycznie przez jednostkę* (s. 73), to jednak jego wyraźnie idealizacyjna interpretacja tych wierzeń, przypisująca im „ekologizm” (s. 103–104), idzie stanowczo zbyt daleko. Przeczy jej wiele faktów udnatowanych w pracach etnologów i historyków społeczności egzotycznych – np. Wyspa Wielkanocna została ogolona z drzew przez jej pierwotnych mieszkańców, Polinezyjczyków, tak skutecznie, że musieli ją w końcu opuścić, co zdarzyło się przed odkryciem wyspy przez Holendrów; kolonizujący Nową Zelandię Maorysi wybili do nogi

licznie zamieszkującą wyspę przed ich przybyciem największe w dziejach życia na Ziemi nieloty mna; mieszkańcy wielotysięcznej indiańskiej wsi Cahokia, powstałej w środkowej części dzisiejszych Stanów Zjednoczonych na długo przed pojawieniem się w tych okolicach białych kolonizatorów, cierpieli z powodu smogu, produkowanego nieustannie przez setki ognisk, a wywędrowali z tego miejsca i rozproszyli się, gdy okoliczne tereny zostały przez nich całkowicie wyeksploatowane z drewna i zwierzyny łownej.

Warto by więc głębiej zastanowić się nad mechanizmami sprawiającymi, że słuszną na poziomie deklaracyjnym ideologia religijna przekształca się w wymiarze pragmatycznym w swoje zaprzeczenie. Na pewno nie da się takiego procesu wyjaśnić instytucjonalizacją i biurokratyzacją wierzeń, gdyż są to zjawiska charakterystyczne dla społeczeństw rozwiniętych. Interesującej propozycji rozwiązania tego problemu dostarcza antropologia kultury – jak się okazuje, sprzeczność między żywioną przez wyznawców tradycyjnej religii nabożną czcią dla przyrody a niemiłosiernym pustoszeniem przez nich środowiska naturalnego nie może przedostać się do ich świadomości, ponieważ światopogląd mityczno-magiczny zakłada apriorycznie zgodność faktycznego stanu rzeczywistości ze stanem postulowanym przez religię. A według wierzeń archaicznich dzieło stworzenia, jako dzieło bogów, jest święte, zatem doskonale – więc jeśli dane empiryczne mówią co innego, to należy je zignorować. Dlatego członek społeczności tradycyjnej, nosiciel światopoglądu archaicznego, nie widzi siebie w roli bezpośredniego sprawcy wyniszczenia środowiska – przyczyny szuka raczej w działalności złych demonów lub w gniewie bogów. Eseje Zalewskiego byłyby bardziej przekonujące, gdyby ich autor uwzględnił to, co na zajmujący go temat mają do powiedzenia inne ważne dyscypliny wiedzy, jak psychologia religii czy wspomniana antropologia kultury. Wtedy, być może, nie sformułowałby tak kategorycznego przekonania, iż *religia w swojej istocie nie ma zarodków konfliktu; wręcz przeciwnie, mając jednoznaczny ideologiczny i praktyczny płaszczyznę. *Wartość Życia*, jest czynnikiem jednoczącym* (s. 66).

Jakiegokolwiek by jednak jeszcze podnosić zarzuty, nie podważają one podstawowych tez książki, że wszystkie religie są tak naprawdę rezultatem próby zaspokojenia jednej i tej samej powszechnej ludzkiej potrzeby poczucia sensowności egzystencji; że gwarancją zyskania tego poczucia jest uczynienie z szacunku dla życia naczelnej zasady moralnej; że, w związku z tym, nie ma religii lepszych i gorszych; wreszcie, że z dwóch religijności: indywidualnej i zbiorowej, bezwzględnie ważniejsza jest ta pierwsza. Zapoznanie się z argumentacją na rzecz wyliczonych tu zapatrywań z pewnością podziała ożywczo na czytelnika, którego nie zadowala dominujący dziś model życia religijnego.

Wyjciec Maria Zalewska: *Religia w służbie Życia. Eseje humanistyczne*. Galeria Autorska, Bydgoszcz 2000, ss. 420.

ŁUKASZ JANICKI

OD PLATONA DO KOMERCJI

Kompozycja książki Bogdana Czaykowskiego i Adama Czerniawskiego jest prosta. Poeci, naukowcy i dziennikarze (m.in. Andrzej Busza, Kazimierz Brakoniecki, Marian Kisiel, Marek Kusiba, James McCabe, Beata Tarnowska, Edward Zyman) dyskutują z autorami na tematy związane z polityką, kulturą i sztuką. Rozmowy pochodzą z lat 1987–2003, obejmują więc niezły okres, w którym sytuacja kraju zmieniała się kilkakrotnie. Perspektywę czasową poszerzają ponadto wspomnienia sięgające aż po lata dwudzieste XX wieku (np. opowieść

Czerniawskiego o jego wuju Kazimierzu Świtalskim, współpracowniku Józefa Piłsudskiego, premierze i marszałku sejmu). O czym jest więc konkretnie ta książka? Kluczem do ogarnięcia i skategoryzowania jej różnorodnej problematyki można uczynić tytuł: *O poezji, nostalgii, krytykach i kryteriach*.

Po pierwsze: o poezji. Obydwaj rozmówcy, jako poeci mający za sobą ponad pięćdziesięcioletnią działalność twórczą, posiadają dużą świadomość tajemnic warsztatu. Teoretyczne inspiracje rodem z teorii awangardowych (nie tyle polskich, co angielskich – Pound, Eliot), paradoksalnie, ale bez dysonansu, łączą z pewnym rodzajem metafizyki. Punktem wyjścia jest w ich przypadku niechęć do poetyki skamandryckiej, wzruszeniowej i retorycznej, nie dość zwracającej uwagę na konstrukcję formalną i intelektualną. Według Czerniawskiego *poeta nie trudni się przekonywaniem; stwarza obrazy, sytuacje, które w odbiorcy wywołują jakieś uczucia*. Podbudowa estetyczna konieczna jest dla zaistnienia tworu poetyckiego, który bez niej *przeistacza się w program polityczny, w kazanie, wynurzenia osobiste, bełkotliwość*. Od „scjentyficznej” filozofii poezję ma odróżniać sceptycyzm, który pozwala jej odkrywać nowe punkty widzenia, lecz niekoniecznie prowadzi do rezygnacji z porządkującej roli rozumu: *poeta filozoficzny musi zarówno przyjąć, jak i odrzucić logikę (...) winien opiewać jednorodca, trójkąt i kwadratowe koło, które logicy słusznie wygnali do kategorii pustych pojęć*. Odwołanie do rozumu i przyznanie dużej roli wyobraźni pozwalają przeciwstawić się nihilizmowi poznawczemu i postulować twórczą rolę poezji. Czerniawski często podkreśla, że jest platonistą, co oznacza, że wierzy w istnienie obiektywnej hierarchii, według której można porządkować rzeczywistość, a także tworzyć system wartości. Zgadza się z nim Czaykowski, który w jednym z wywiadów (*Wzrost czym jest poezja?*) formuluje interesujące credo poetyckie. Wykorzystuje klasyczne przeciwstawienie kultury i natury oraz dokonuje przeważnościowania tych terminów. Charakterystyczny dla nauk biologicznych darwinizm, głoszący prawo silniejszego, nie wystarcza do opisanie rzeczywistości. Natura naturans Spinozy to dla Czaykowskiego twórcze istnienie, które obejmuje sobą takie wartości, jak dobroć, mądrość, szczęście, miłość, współzucie, kultura, a wreszcie poezja. Wszystkie one tkwią w stanie potencjalnym w naturze świata i człowieka, czekają na spełnienie. Takim uwolnieniem sił twórczych w imię piękna jest właśnie poezja, tożsama z wznoszeniem się rzeczywistości na wyższy poziom. Na płaszczyźnie warsztatu poetyckiego wartość poezji tkwi w odkrywaniu nowych możliwości wyrażania, a nawet doświadczania uczuć. Dzieje się to poprzez specyficzną grę między zastaną konwencją i wolną wyobraźnią. Dzieło zdolne wyrażać świeże myśli i emocje wchodzi w dialog z zastanymi formami, czerpie z nich, a jednocześnie je przekracza. Poezja tkwiąca w naturze przypomina nieco elan vital Bergsona – ta koncepcja pozwala Czaykowskiemu przejść od problemów stricte literackich do filozofii, a nawet metafizyki.

Drugim wątkiem stale powracającym w rozmowach są wspomnienia i refleksje na temat życiowych wyborów. Nostalgia. Obydwaj poeci opuścili Polskę w czasie drugiej wojny światowej, w bardzo młodym wieku. Byli pierwszym pokoleniem emigrantów, które dorastało poza krajem, wynosząc stamtąd tylko niewielki bagaż wspomnień i rodzinny język. Czaykowski został wywieziony z Polski do Związku Radzieckiego w 1940 roku, a po okresie spędzonym w Indiach osiadł na Wyspach Brytyjskich, skąd w 1962 roku przeprowadził się do Vancouver w Kanadzie. Losy Czerniawskiego potoczyły się odmiennie: z okupowanej Warszawy w 1941 roku wyjechał przez Rumunię i Bułgarię do Turcji i Palestyny. Po krótkim pobycie w Libanie emigrował do Wielkiej Brytanii, gdzie osiadł na stałe w 1957 roku. Poeci dokładnie analizują powody, dla których wybrali język polski jako narzędzie swej twórczości. Ta decyzja zawazyła na ich dalszym losie, zarówno wtedy, kiedy kończyli polskie i angielskie szkoły, jak

i wtedy, gdy, jako dojrzały mężczyźni, założyli w Anglii grupę poetycką Kontynenty. Wiele stron książki poświęconych jest na przedstawienie tego epizodu – prezentację sylwetek innych członków grupy, stosunków, jakie mieli z resztą emigracji, a także ich poglądów na PRL.

Patriotyzm Czerniawskiego i Czaykowskiego ma wymiar kulturowy i, jak często powtarzają, daleki jest od nacjonalizmu. Dbałość o krzewienie ojczystej kultury i tradycji na świecie przyczynia się, ich zdaniem, do budowania silnego państwa, z którego dobrokiem każdy inny kraj musi się liczyć. Bronią literatury emigracyjnej jako rdzennie polskiej, przeciwstawiając się twierdzeniu Jana Długosza, że „literaturę polską można tworzyć jedynie nad Wisłą”. Nie szczędzą gorzkich słów polskim krytykom, mając poczucie, że zbyt mało są w kraju zauważani, a czasem nawet ich twórczość bywa traktowana jako niepoliska.

Trzecim ważnym wątkiem książki jest właśnie refleksja na temat sytuacji naszej krytyki. Nie ukrywając osobistych animozji (patrz polemika Czaykowskiego z osobami ganiącymi jego dobór tekstów do *Antologii poezji polskiej na obczyźnie* czy konflikt Czerniawskiego z Szymborską i Barańczakiem), kreślą w wywiadach obraz polskiej rzeczywistości literackiej. Stawiają rodzimym krytykom poważne zarzuty. Oskarżają ich o ograniczanie się do analizy poszczególnych wątków lub stylów, przy jednoczesnym ignorowaniu dzieła sztuki jako złożonej całości. Zarzucają im zbyt dużą akademizację języka, który staje się zwykłym popisem i *szybuje nad omawianymi utworami jak stratosferyczny satelita nad ziemią w mgłach*. Mają im też za złe zbyt uleganie uznanym autorytetom, brak własnego zdania i niechęć do wirusowania – dla naszych krytyków liczą się Miłosz i Grudziński, a wszelki pogląd sprzeczny z ich opiniami traktowany jest jako herezja. Całości smutnego obrazu dopełniają wkraczające do polski prawa wolnego rynku, na mocy których każda książka jest tylko produktem – należy ją dobrze zareklamować i sprzedać, niekoniecznie zaś dobrze napisać.

Czwartym tematem rozmów zasygnalizowanym w tytule jest właśnie sprawa kryteriów obiektywnej oceny dzieła. Refleksja nad tym zagadnieniem prowadzi do kilku ciekawych spostrzeżeń dotyczących uniwersalizmu i zaściankowości polskiej literatury. Czaykowski i Czerniawski nie ograniczają się do znanych argumentów, lecz zastanawiają się, w jaki sposób dychotomia „uniwersalny – zaściankowy” może być postrzegana w rzeczywistości zdominowanej przez tendencje postmodernistyczne i globalizację. Wcześniejszy podział kultury na elitarną i ludową zastąpił w dwudziestym wieku inny. Zaczęto wyróżniać kulturę wysoką i kulturę masową, ignorującą wymogi artystyczne i nastawioną na konsumenta. Kultura ludowa przechowywała pewne wartości, umożliwiające funkcjonowanie społeczeństwa i jednostek, natomiast kulturę masową cechuje kiełkowatość, bezrefleksyjność, automatyczne przyswajanie mód, płynących najczęściej ze Stanów Zjednoczonych. Mimo postmodernistycznej otwartości, a może właśnie z jej powodu, zanikły hierarchie, a system wartości legł w gruzach. Uniwersalność zaczęła być tożsama z kliszowością, płytkością, konwencjonalnością – Baudrillardowskimi symulakrami. W tej sytuacji zaściankowość stała się interesującą alternatywą. Należy jednak postępować jak Gombrowicz, który *ze swojej walki z polskością uczynił temat uniwersalny, fascynujący swoją typowością i nietypowością zarazem*. Norwidowskie hasło, mówiące o tym, by ludowe podciągać do ogólnoludzkiego, u Czaykowskiego i Czerniawskiego nabiera nowego znaczenia.

Książka *O poezji, nostalgii, krytykach i kryteriach* potrafi zainteresować, jednak należy zwrócić uwagę na kilka jej wad. Składające się na nią wywiady były wcześniej drukowane na łamach kilku czasopism, m.in. „Akcentu”, „Frazy”, „Twórczości”. Dość sztucznie zostały połączone, co powoduje, że pewne tematy się powtarzają. Brakuje idci przewodniej, spajającej poszczególne teksty i ułatwiającej czytelnikowi orientację. Ponadto, mimo świetnego wstępu Magdaleny

Rabizo-Binek, dość trudno jest wylapać z tekstu elementy odróżniające poglądy obydwu twórców. Zbyt często ich wnioski zlewają się w jedną całość – to, co wspólne, przyłomia to, co indywidualne. Książka pozostaje więc raczej głosem do twórczości Czaykowskiego i Czemiawskiego, wydawnictwem dla tych, którzy znają już wiersze, przekłady oraz eseje poetów i chcą poszerzyć swą wiedzę o nich.

Bejamin Czaykowski, Adam Czemiawski: *O poręki, nowągii, krytykach i brytykach*. Wstęp Miłosława Rabizo-Binca. Wyd. Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Frua”, Toronto-Rzeszów 2006, ss. 320.

WACŁAW SĄDKOWSKI

ZAMIAST EPITAFIUM

Pomysłodawczyni i redaktor *Podróży z Ryszardem Kapuścińskim*, Bożena Dudko, wyznaje: *Zaproponowałam zebrać 75. urodziny Dziennikarza Wieku, który nie lubi pompy i w ogóle obchodzenia jakichkolwiek rocznic, uczyła w sposób szczególny. Czy mogło to być coś innego niż książka, napisana przez ludzi, dla których Kapu jest nie tylko mistrzem i autorytetem, ale przyjacielem i bliskim człowiekiem? Nie jakaś tam więc pamiątkowa ku czci, lecz rzecz oryginalna, która nie tylko dodawałaby do wizerunku Jubilata nowe fakty i obrzydki, ale też wiele mówiła o krajach, z których pochodzą autorzy tekstów, o historii Polski i państw Wschodu i Zachodu...*

Najpierw ująć się muszę za „instytucją” książek pamiątkowych. Niektóre z nich przeszły do historii myśli naukowej (a nawet stworzyły okazję do zaprezentowania rewelacyjnych odkryć i dokonań badawczych); przybierały też niekiedy formę „prac ofiarowanych” jakiemuś mistrzowi czy pionierowi jakichś poszukiwań. Redaktorka książki przedstawiona jest w nocie wydawcy jako polonistka; chyba więc stykała się z tego rodzaju publikacjami.

Po drugie, jeśli można się zgodzić, że zbiór „opowieści” kilkunastu tłumaczy o autorze, którego przekładali – czyniąc to *con amore* i nie ograniczając się do jednej książki – może być publikacją poznawczo nośną, to stwierdzić wypadnie, że w przypadku tomu *Podróże z Ryszardem Kapuścińskim* możliwość ta nie została wykorzystana. Ani „o historii Polski i państw Wschodu i Zachodu”, ani o „krajach, z których pochodzą autorzy tekstów” nie dowiadujemy się wiele nowego czy też szczególnie ciekawego. Pierwszy krąg tematyczny nakreślony przez redaktorkę sprowadza się do rudymmentarnych informacji o owych krajach – może z wyjątkiem „opowieści” (by pozostać przy słownictwie wydawcy) Williama Branda o decydującej roli agentów literackich we wprowadzaniu na rynek anglosaski nowych autorów książkowych i świetnie napisanego szkicu Veronique Patte *U progu moich drzwi*, prezentującego ukształtowaną w wielokulturowym środowisku limbursko-prowansalsko-paryskim wrażliwość na wszelakie „inności”, która zbratała tropiącego owe inności w całym świecie pisarza polskiego z jego francuskojęzyczną przekładownicą. I może jeszcze dodać by trzeba wywiad, jaki pani Dudko przeprowadziła z czeskim tłumaczem Kapuścińskiego, w którym podano ciekawe szczegóły dotyczące sierpniowych i posierpniowych wydarzeń praskich z roku 1968, a także lat następnych. Wywiad ten wnosi także sporo wiedzy o technice pracy reporterskiej autora *Hebanu* oraz w ogóle o jego osobowości twórczej, zainteresowaniach i pasjach intelektualnych i artystycznych.

Najwlecej wszakże dowiadujemy się z tego tomu o autorach pontieszczonych w nim opowieści. I jest to całkiem zrozumiałe; nie tylko dlatego, że każdy „wspominacz” dąży świadomie, podświadomie i pozaświadomie do uzewnętrznienia własnych doznań i doświadczeń związanych z obiektem swych wywodów, ale

także dlatego, że ma uwierzytelnić je własnym świadectwem. W tym zakresie *Podróże z Ryszardem Kapuścińskim* wzbogacają wiedzę o nim o element niezwykle istotny; okazywał on mianowicie w sposób niezwykle takowny i serdeczny wszechstronną pomoc swym tłumaczom, darzył ich niepozorowaną, autentyczną przyjaźnią – taką, jaka niezwykle rzadko się zdarza między ludźmi pióra. Jeszcze rzadziej trafiają się ludzie tak owej przyjaźni wierni.

Na koniec pozostaje mi jeszcze podjąć próbę odpowiedzi na pytanie – co prawda czysto retoryczne – jakie postawiła redaktorka tomu: czy taki hommage złożony autorowi *Podróży z Herodotem* mógł przybrać inną postać od tej, w jakiej dociera do czytelników zbiór opracowany przez panią Dudko? Zbiór, jaki może spełniłby swoją rolę, gdyby rzeczywiście okazał się podarunkiem urodzinowym, ale wobec zgonu pisarza, który nie doczekał jubileuszu, jako zbiorowe epitafium zahrział niezbyt zęcznie.

Otóż mógł, o czym przekonał mnie numer „Dużego Formatu”, w którego przygotowaniu Bożena Dudko uczestniczyła, poświęcony Ryszardowi Kapuścińskiemu, wydany w kilka zaledwie dni po śmierci autora *Cesarza*. Zawiera on najpełniejszy z dotychczas opublikowanych szkiców biograficznych o nim (pióra Mariusza Szczygła) i najtrafniejszą antologię tekstów Kapuścińskiego, kluczowych dla zrozumienia jego postawy pisarskiej jako erudyty, eseisty-reportera, a także piety o niepowszednim potencjale refleksji na temat świata i człowieka. Nadeszła pora na gruntowne badania nad jego twórczością.

Podróże z Ryszardem Kapuścińskim. *Opowieści i recenzje tłumaczy*. Pod redakcją Bożeny Dudko. Wydawnictwo Żanek, Kraków 2007, ss. 212, ołh. 3.

DARIUSZ PAUCHĘKI

REDAKTOR POTRZEBNY OD ZARAZ!

Na rok 2007 przypada 70. rocznica urodzin Edwarda Stachury. Fakt ten stał się dla wydawców dogodną okazją, by przypomnieć jego twórczość. Od kilku lat obserwujemy wyraźny wzrost zainteresowania tym piarstwem, którego apogeum przypadło na lata 80. minionego stulecia. Stachura miał to nieszczęście, że w artykułach prasowych, które pojawiały się po jego śmierci i pojawiają się do dziś, uwaga komentatorów skupiona była raczej na życiu i związanej z nim legendzie niż na utworach pisarza. W nurcie tym sytuuje się również wydana ostatnio książka Marka Badikego *Stachura alias Sted*.

Składają się na nią teksty, które dla osób obserwujących recepcję utworów Stachury nie będą nowe. Wiele z nich ukazało się na początku lat 80. na łamach tygodnika „Fakty”. To, że stanowiły niegdyś odrębne całości, sprawia, iż w książce występują natarczywe powtórzenia, czyniące lekturę nieco uciążliwą. Jednak jeszcze zanim do nich dojrzymy, już w przedmowie, trafiamy na frugimenty, które przykuwają uwagę i wywołują konsternację. Choćby taki oto passus: *Zauważalny obecnie wzrost zainteresowania dorobkiem twórczym Stachury można wytłumaczyć postępiami globalizacji i wyraźnym umiędzynarodowieniem życia kulturalnego w kraju po wejściu Polski do Unii Europejskiej*. Nic nie wskazuje na to, że autor żartował.

Oprócz wzmiankowanych powtórzeń, które najczęściej dotyczą historii Kujaw, tekst naszpikowany jest błędami rzeczowymi i przejawami. Ilustracją niech będą poniższe przykłady:

– na str. 6 dowiadujemy się, że kiedy czołgi marszałka Koniewa w 1945 roku wkrczały do Paryża, Stachura miał 3 lata, w rzeczywistości miał lat 8;

– Badtke pisze, że Stachura na Pomorzu i Kujawach znalazł twórczo dla najważniejszych utworów „Calej jaskrawości” i „Siekierozady” (str. 8), gdy tymczasem materiał do *Siekierozady* autor zbierał w lasach pod Głogowem (Dolny Śląsk), gdzie pracował przy wyrębie;

– latem 2006 roku w Warszawie odbyły się „Mironalia”, a nie „Mironiada” (str. 12);

– autorem sentencji „Poetą się nie jest, poetą się bywa” nie jest Przybóś (str. 38), a Norwid („Jeszcze się poeta, czyli raczej tylko bywa się?”). Zob. *Bransoletka*;

– Badtke wypomniał Stachurze, że ten w dedykacji zrobił błąd ortograficzny, jednak cytując ową dedykację sam popełnił dwa błędy: „rancho położonym nieopodal cmentarza” (str. 75), w oryginale czytamy: „rancho nieopodal cmentarza”;

– prawdą jest, że Zyta Orszyn była żoną Stachury, lecz nie debiutowała książką *Menada* (str. 114), tylko *Najada* (Czytelnik 1970).

Wiele jest w książce informacji, które, gdyby były faktami, idealnie komponowałyby się z tezą autora o kujawskiej genezie licznych książek Stachury. Badtke funduje czytelnikowi apodyktyczne wywody, nie poparte żadnymi dowodami: *Wojazował także po Kujawach Białych, co najlepiej ilustrują emocjonalne związki artysty z Niezawą. Magia „wędrującego” miasta zadecydowała o powstaniu „Calej jaskrawości”; W Niezawie powstał także projekt niezwyklego poematu „Kropka nad Ypsilonem” (str. 10); W Toruniu, żyjący pod wielką presją czasu Stachura, znalazł idealne warunki do swoistej hibernacji najbardziej ulotnego twórcy. Pod budką z piwem, na obrzeżach starówki, powstał projekt „Siekierozady” (str. 10).* Tak stanowcze i jednokierunkowe pisanie o genezie książek Stachury musi budzić u czytelnika co najmniej niepokój.

Autor miał ambicje przełamania stereotypowych opinii dotyczących Stachury, szczególnie tych, które charakteryzowały go jako „prostaczka w dzinsach”. Walczył z nimi i, kiedy starał się połączyć kruchym mostem odległe brzegi, popadł w trudne do skomentowania interpretacyjne koleiny. Pisze oto, że *W twórczości Stachury dostrzec można wiele oznak wizjonerstwa. Przeczucie zjawisk i tendencji odnajdujemy w wypowiedziach bohaterów „książek” Steda (...). Stachura jakby przeczuwał, iż dwadzieścia lat później świat fascynował się będnie losami Polaków personalizowanych przez Lecha Wałęsę. Przywódca „Solidarności” urodził się w tym samym regionie Polski, w którym osiadła „Dziecko-prorok”, późniejszy autor „Calej jaskrawości”.* Jeśli czytelnik chciałby w lekturze wytrwać do końca, to takie fragmenty musi ignorować.

Badtke wskazywał także na, być może niezbyt fortunate, za to nadmierne ekspluatowane w literaturoznawstwie, a odnoszone do Stachury pojęcie „zyciopisania”. Jednak kolejne karty książki nie przynoszą polemiki, lecz potwierdzają trafność takiego ujmowania twórczości autora *Oto*. Badtke dołącza jeszcze nową formułę – „marketing artystyczny” – która według niego celniej rzecz opisuje.

Pozostaje jeszcze kwestia znajomości Marka Badtkego i Edwarda Stachury. Jest ona na wiele sposobów manifestowana, co prawdopodobnie ma być gwarantem wiarygodności. Niestety, książka jest nie tylko mało wiarygodna, ale także niebezpieczna. Mam tu na myśli jej ewentualny wpływ na tych wszystkich czytelników, którzy po lekturze tego tomu chcieliby zainicjować swój kontakt z dziełem Edwarda Stachury.

Niemale wątpliwości budzi sugestia, iż obecność autora omawianej książki działa katalizująco na piarstwo Stachury. Wspominając wspólne spacerki, Badtke pisal: *Z perspektywy czasu mogę przypuszczać, że dialogi na cztery nogi odnoszące się do roli tandety językowej w polskiej literaturze współczesnej mogła [sic!] wywołać potrzebę publikacji kolejnego ważnego poematu w twórczości Stachury (str. 98).* Tak oto w jednym zdaniu wyjaśnia się nam dzieje powstania *Kropki nad Ypsilonem*.

Obok takich uchybień nie można przejść obojętnie. Dołączają się do nich jeszcze potknięcia korekty (niekiedy fatalne), które najbardziej rzucają się w oczy przy nazwiskach i tytułach. Wszystko to odbiera czytelnikowi przyjemność z lektury i zmusza do zastanawiania się nad rzetelnością tomu. Wiele poprawić by tu mogło wprawne oko dobrego redaktora. Niestety zawód ten jest chyba na wymarciu...

Mark Badtke: *Stachura i jego Sieć*. EKO-RAP Wydawnictwa Regionalne, Bydgoszcz 2006, ss. 130.

PAWEŁ NCIWAK

ŚWIAT KOMUNIKACJI MEDIALNEJ

Tymi wydanej przed prawie półwieczem książki Marshalla McLuhana *Zrozumieć media*¹ zachęca do tego, by dążyć do odkrycia reguł funkcjonowania w przestrzeni komunikacyjnej środków masowego przekazu (a może lepiej określić je mianem „środków masowej komunikacji”?). Czy jest to zadanie wykonalne? Czy raczej to mit, idea, niezaspokajalna potrzeba? Co wynika z analiz jakiegoś fragmentu prasowo-radiowo-telewizyjno-internetowo-komórkowo-platonnocy-frowego świata, podejmowanych przez amatorów laików czy badaczy medioznawców? Odkrycie zasad rządzących tą rzeczywistością czy pustka niespełnienia, o której tak pięknie przed laty pisał Bolesław Leśmian w balladzie *Dziewczyna: Bo to był głos i tylko – głos, i nic nie było oprócz głosu!*? Tego jeszcze nie wiemy, a skoro tak, to warto podjąć wysiłek rozumienia mediów.

To przekonanie towarzyszyło autorom licznych prac na temat środków masowej komunikacji, jakie ukazały się w Polsce w ostatnich kilkunastu latach. Równocześnie do polskich księgarń trafiały liczne przekłady literatury medioznawczej, i to zarówno dzieł kanonicznych, jak i najnowszych opracowań. Nie sposób znaleźć dla tych publikacji, idących od początku lat dziewięćdziesiątych w setki, jakiegoś wspólnego mianownika, charakteryzują je bowiem różnorodność naukowych punktów widzenia i różnorodność metodologii opisu, jak również publicystyczność bądź literackość poetyki.

Słownik terminologii medialnej pod redakcją Walerego Pisarka jest pierwszą na polskim rynku odpowiedzialną syntezą wiedzy o mediach. Tytuł sugeruje, że przedmiotem uwagi badaczy będą słowa używane przez teoretyków i praktyków mass mediów, a celem poszukiwanie wyrazów odpowiedników, bardziej przystępnych i jednocześnie niesplycających znaczenia objaśnianych pojęć medioznawczych. Krótko mówiąc, odbiorca może przypuszczać, że będzie miał do czynienia ze słownikiem przekładowym, w którym spolszczone anglicyzmy i inne zapożyczenia, jakich od 1989 roku, zwłaszcza w marketingu, reklamie, biznesie i mediach, namnożyło się co niemiara, znajdą swoje zamienniki. Czy rzeczywiście to dzieło można postawić na jednej półce ze *Słownikiem terminologii medycznej*, *Słownikiem terminologii chemicznej*, *Wielkim słownikiem technicznym* etc.?

Stworzenie słownika, który stałby na takiej półce, byłoby zadaniem zbyt prostym dla redaktora *Słownika terminologii medialnej* i dla zebranego przez niego zespołu autorów, należących do najbardziej znanych polskich medioznawców i komunikologów. Nie będę tu wyliczał wszystkich zaangażowanych w tę pracę badaczy (łącznie 25 osób), za całą rekomendację mech wystarczy pięć nazwisk: Walery Pisarek (pisanie o dorobku honorowego przewodniczącego Rady Języka

¹ McLuhan M.: *Understanding Media. The Extensions of Man*. New York 1964 (tłum. polskie: Natalia Szczechka, Warszawa 2004).

Polskiego i redaktora naczelnego „Zeszytów Prasoznawczych”, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego byłoby nietaktem), Zbigniew Bauer i Edward Chudziński (m.in. redaktorzy jednej z najczęściej kupowanych i czytanych publikacji o mediach – *Dziennikarstwo i świat mediów*), Kazimierz Wolny-Zmorzyński (pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor znanych książek poświęconych reportażowi i genealogii dziennikarskiej) oraz Wojciech Kajtoch (również pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek redakcji „Zeszytów Prasoznawczych”, autor wielu publikacji na temat polskiej prasy, literatury fantastycznonaukowej oraz prozy i poezji rodzimej i obcej). Ci i pozostali członkowie zespołu gwarantują jakość i przydatność opracowania.

Nie jest więc ono słownikiem przekładowym, ale objaśniającym, podającym w bardziej lub mniej skondensowanej formie definicje terminów, z którymi mogą spotkać się świadomi „konsumenci” i badacze mediów. Książka zawiera 1200 haseł, głównie z zakresu medioznawstwa, i są one niewątpliwie terminami specjalistycznymi. Dużo to i zarazem mało, bo z jednej strony w słowniku można by było oczekiwać większej liczby wyrazów hasłowych, a z drugiej strony niektóre artykuły hasłowe zajmują 2, a nawet 3 kolumny (najobszerniejsze są: *Typologia prasy*, *Format radiowy*, ale także *Propaganda* (sic!) i *Etyka mediów*). Walery Pisarek we wstępie pisze: *Grupę najmniej liczną, ale objętościowo badając największą stanowią hasła problemowe, właściwie o charakterze raczej encyklopedycznym niż słownikowym. Redaktor niejako sam wskazuje zatem na możliwość nazwania książki także „podręczną encyklopedią medioznawczą”*. Równie dobrze można by ją było także określić mianem „leksykonu medioznawstwa”, bo w części haseł znajduje się etymologiczna informacja o rodowodzie definiowanego pojęcia. Widać zatem, że *Słownika terminologii medialnej* nie da się „zaszufladkować”. Czy ta heterogeniczność jest jego wadą? Nie, gdyż wynika ona ze świadomości, iż do przedmiotu badań, jakim są współczesne mass media, nie da się zastosować jednego klucza opisu, gdyż ów przedmiot nie jest koherentny, jego różnorodność wydaje się nie mieć granic i ciągle się potęguje. Opis medialnego „ogrodu nie plewionego” wymaga różnych form oraz „poetyki fragmentu” i taką właśnie metodę wybrali autorzy *Słownika*...

Nie ma sensu pisać o jego przejrzystości, kompletności i innych zaletach, gdyż tego się spodziewamy po dziele mającym tak znamienitych twórców. Warto natomiast wskazać to, co można by w nim poprawić. Z pewnych niedoskonałości zdają sobie sprawę sami autorzy. We *Wstępie* redaktor *Słownika*... pisze m.in. tak: (...) *zdają sobie sprawę z jego dwóch głównych słabości: po pierwsze, nierówności poziomu poszczególnych haseł (...), po drugie, braku spójności i urealnienia metodologicznej całości grup haseł*. O niespójności metodologicznej mówiliśmy, że w tym wypadku nie jest ona wadą. Natomiast brak odpowiedniości rangi omawianego zagadnienia do długości hasła jest rzeczywiście dostrzeżalnym, choć często przyczyną tych dysproporcji jest niemożność znalezienia „złotego środka” między zwięzłością a informacyjnością (patrz np. hasło *modele komunikowania medialnego*). Czytając *Słownik*... ma się także chwilami wrażenie, że wspomniana przez Walerego Pisarkę „nierówność poziomu” dotyczy również staranności opracowania poszczególnych haseł.

Świetnym rozwiązaniem, wskazującym na naukowy charakter *Słownika*... jest umieszczenie w artykule hasłowym informacji o dwóch, trzech najważniejszych bądź najnowszych publikacjach dotyczących omawianej problematyki. Niestety, nie jest to żelazna reguła, a i dobór opracowań budzi kontrowersje. Autorzy haseł genealogicznych zapomnieli najwyraźniej o rewelacyjnej książce Marii Wujtak pt. *Gatunki prasowe* (Lublin 2004), a ważny dla językoznawstwa polskiego i komunikacji językowej zespół badaczy z lubelskiego UMCS-u reprezentują w bibliografii 2 (!) prace (w tym jedna zbiorowa). W ogóle Lublin został przez, w głównej mierze krakowski, badaczy potraktowany po macoszemu,

brak np. wzmianki o choćby jednej pracy Piotra Francuza z KUL. W bibliografii nie ma także ani jednej pozycji autorstwa Wiesława Godzicia (badacza, który już nie jest z Lublina). Ale Walery Pisarek zapowiada: *Być może słabościom tym uda się zaradzić w drugim wydaniu naszego „Słownika”*.

Warto by w nim pomyśleć jeszcze o dwóch sprawach. Po pierwsze o zestawie haseł. Można rozważyć oczyszczenie słownika z elementów redundantnych. Na przykład z powtórzeń, które są zbędne, bo tego typu publikację czyta się fragmentami i szuka się w niej najważniejszych informacji. Być może także należy zastanowić się nad tym, co zrobić z hasłami „nadwyżkowymi”, wykraczającymi poza obszar medioznawstwa. Skoro bowiem pojawia się *kognitywizm*, a nie ma *konstruktivismu*, jest *konotacja*, a nie ma *językowego obrazu świata* czy choćby *medialnego obrazu świata*, to trzeba by było dodać te hasła, których brakuje, lub też usunąć te, które już są. Po drugie, można by się było zastanowić nad szkolno-studenckim wariantem *Słownika terminologii medialnej*. Świcień przygotowany edytorsko, wydany w twardej oprawie z CD (kapitałny pomysł) *Słownik*... kosztuje niestety 65,00 zł (w sklepach internetowych trochę taniej) i choć nie jest to majątek, to brak tańszej, mówiąc językiem młodzieżowym „mniej wypasionej” wersji może spowodować, że ta wanościowa praca i znakomita pomoc dydaktyczna nie trafi pod strzechy.

I na zakończenie apel do zespołu przygotowującego *Słownik terminologii medialnej*. Skoro autorzy pomyśleli przeszli „próbę ognia”, może mogliby podjąć większe wyzwanie i stworzyć *Encyklopedię medialną*, w której znalazłoby się miejsce i na nazwy własne, i na ilustracje, i na wykresy.

Słownik terminologii medialnej, pod red. Walerego Pisarka, Universitas, Kraków 2006, ss. IX + 230 oraz CD.

JAROSŁAW CYMERMAN

IWANIUK ZAWSZE BYŁ „NA WALIZKACH”

Ilekoć czytam literaturę określaną mianem emigracyjnej, zastanawiam się nad żywotnością tej etykiety, niezbyt chyba korzystnej dla recepcji dzieł, zwłaszcza w momencie, gdy po latach nieobecności czyjaś twórczość „wraca do kraju”. Musi wówczas przejść przez niezwykle trudną próbę określenia swego miejsca, wpisania się w całość, której zręby określano w czasach, gdy twórca pozostawił nie tylko na indeksie, ale także (co chyba jest znacznie gorsze) był niemal zupełnie nieznan wśród rodaków. Jak celnie zauważył Kinol Zbyszewski w 1976 roku na łamach londyńskiego „Pamiętnika Literackiego”: *Emigracyjni autorzy piszą jakby do szuflady. W kraju są absolutnie nieznanymi. Powieść, krytyki, historia są po latach do niczego. Gdyby „Dzieje grzechu”, „Ludzie bezdomni” ukazały się dzisiaj – uznano by Żeromskiego za grafomana i tyle!*. Co prawda w wielu przypadkach „stempel emigracyjności” ulega zatarciu – niki dziś wszak go nie dostrzega na dziełach Mickiewicza,łowickiego czy Norwida, a coraz rzadziej zauważany jest na książkach chociażby Ciombrowicza czy Miłosza. Można oczywiście mówić o wielu przyczynach tego stanu rzeczy – począwszy od wartości samego dorobku literackiego, jego prekursorstwa, aż po mniejszą lub większą chęć podtrzymywania przez twórcę kontaktu z tym, co się dzieje w kraju.

Wydaje się jednak, że im dłużej po śmierci autora jego twórczość pozostaje „na emigracji”, tym większe ryzyko, że trafi do zakurzonego muzeum historii literatury, do którego zaglądać będą wyłącznie filolodzy i krytycy. Emigrantowi

¹ Cw. ss. J. Krywicki, *Walców rękawic. Samozwonej prasy (sic) Podróże w jego pamięci. O Rabinowicz i Janinie. Solce-wspomnienia-wiersze*, pod red. J. Wolskiego, H. Wójcika, E. Zymana, Toruń 2005, s. 40.

wiele się wybacza, podkreśla się jego tęsknotę za krajem, odcięcie od naturalnego źródła twórczości literackiej, jakim jest żywy język ojczysty... i jednocześnie rzadko się go czyta, traktując często jak epigona lub w najlepszym wypadku nużącego ekscentryka. Myślę, że badacze literatury emigracyjnej z łatwością podaliby wiele przykładów zupełnie dziś zapomnianych literatów, którzy nie zdolali się takich lalek pozbyć i do dziś figurują jedynie w szczegółowych opracowaniach literatury powstającej poza Polską. Dlatego tak ważna jest refleksja krytyczna nad tą twórczością, zwłaszcza teraz, gdy już wolni od politycznych obowiązków możemy spojrzeć na nasze piśmiennictwo jako na pewną całość, nie tracąc jednak z pola widzenia faktu, że postawa emigranta, wygnańca, outsidera jest jedną z najbardziej charakterystycznych dla współczesnej literatury. Takie spojrzenie na emigrację pozwala wpisać to także polskie doświadczenie w szerszą perspektywę kulturowych przemian XX wieku.

Z całą pewnością jednym z najbardziej „zatwardziały” emigrantów był i po części nadal jest Wacław Iwaniuk, choć jego pośmiertny powrót „na ojczyzny łono” już się rozpoczął, a jednym z takich świadectw jest pięknie wydana w Toronto, staraniem tamiejszego Polskiego Funduszu Wydawniczego (którego notabene Wacław Iwaniuk był długoletnim prezesem), książka zredagowana przez Jana Wolskiego, Henryka Wójcika i Edwarda Zymana pt. *Podróż w głąb pamięci. O Wacławie Iwaniuku. Szkice-wspomnienia-wiersze*. Ukazuje ona polsko-kanadyjskiego poetę i jego twórczość jako niezwykle bogate i różnorodne zjawisko. Zawiera bowiem, obok artykułów wybitnych literaturoznawców (zamieszczonych w części zatytułowanej *Eseje, szkice, rozbiory*), obszerny blok wspomnień o autorze *Pelni czerwca* oraz zapisy rozmów z nim. Tom uzupełniają wiersze-świadectwa jego obecności w twórczości współczesnych poetów. Z takich „fragmentów mozaiki” układa się wielowymiarowy portret człowieka twórcy, żyjącego i piszącego pomiędzy Polską a Kanadą, Chelmem a Toronto, Bugiem a jeziorem Ontario.

Ta dwubiegunowość, poczucie zjawiskowości dwóch światów, jednakowo obcych: *tamtęgo wywołanego ze wspomnienia i pamięci, oraz tego, danego w aktualnym doświadczeniu*¹, są – według Jerzego Świącha – typowe dla sztuki tworzonej przez wygnańców. Jego zdaniem u Wacława Iwaniuka daje się dostrzec *głęboko ugruntowaną świadomość przebywania równoczesnego w dwóch porządkach czasowych: historycznym, który jest niczym innym, jak tylko ciągłym marszem ku zagładzie, zacieraniem śladów własnej egzystencji w pamięci potomnych (...), oraz przyrodniczym, który przez niezmienną powtarzalność cyklu, gwarantuje ustawnie dojście do siebie, do źródeł własnej tożsamości*. O ile to pierwsze łączy się z dramatycznym doświadczeniem historii minionego wieku – „czasu martwego”, to odkrycie „czasu urodzajnego” zawdzięcza Iwaniuk doświadczeniom kanadyjskim². Dualizm zauważa też badacz w poetyckiej „dykcji” autora *Lustra*, o czym pisze on w zamieszczonym w *Podróży w głąb pamięci* szkicu pt. *Głos Iwaniuka*.

Wśród *Esejów, szkiców, rozbiorów* znajdziemy również tekst *Noty do eseju „Miejsce Iwaniuka w powojennej poezji polskiej”*, pióra poety i literaturoznawcy, Wójcika i emigranta Bugdana Czaykowskiego, który stawia sobie za cel umieszczenie twórczości Iwaniuka na mapie liryki polskiej XX wieku. Z kolei problem pamięci i poszukiwaniu tożsamości przybliża w swoim artykule poświęconym samemu poecie Janusz Kryszak. Zbigniew Andres rozważa funkcję *Lubelskiego Jeruzalem, czyli Iwaniukowego miejsca na ziemi*. O porzuceniu utraty „swego miejsca”, będącego centrum świata i gwarantem jego porządku, oraz o poezji jako reakcji na ową utratę pisze również Maria Magdalena Rudiuk. Natomiast Rafał Moczko dan śledzi, pozostające zwykle w cieniu dokonań poetyckich, teksty kry-

tycznoliterackie Wacława Iwaniuka, chcąc dotrzeć do zębów myślenia autora *Lustra* o literaturze. Ciekawym dopełnieniem jego tekstu, opisującym problematykę metapoetycką w twórczości Iwaniuka, jest poświęcony poematowi *Polska jesień* szkic Marzeny Woźniak-Labieniec pt. *Prywatna historia poezji*.

W *Podróży w głąb pamięci* znaleźć można również analizy i przybliżenia poszczególnych księzek, poematów czy nawet pojedynczych wierszy poety z Toronto, które często otwierają nowe interpretacyjne perspektywy dla całej jego spuścizny literackiej. Jest w niej na przykład szkic poświęcony debiutanckiemu tomikowi *Pelnie czerwca* z 1936 roku (Paweł Tański: „*Cmentarzami obłąkami*”. O „*Pelni czerwca*” Wacława Iwaniuka), tekst Alicji Jakubowskiej-Ożóg o poemacie *Pieśń nad pieśniami* z 1953 roku, a także artykuł o *Moiu obłąkaniu* z 1991 roku, poświęcony pierwszemu wydanemu po wojnie w Polsce zbiorowi wierszy zawierającemu nowe, niepublikowane wcześniej utwory (Anna Frjlich: *Wacława Iwaniuka powrót na mistyczną Lubelszczyznę*). Piotr Soboleczyk opierając się na pochodzącym z *Noctnych rozmów* (1987) wierszu *Białoszewski* omówił stosunek Iwaniuka do stylu i twórczości autora *Obrzędów rzeczy*. Sposób ujęcia relacji Bóg – człowiek i związki poezji autora *Lustra* z tradycyjnymi formami liryki religijnej przedstawił Zenon Ożóg w szkicu *Wyzwanie niewiary*, przyglądając się opublikowanemu w 1944 roku wierszowi *Hymn*.

Znaczną część książki zajmują wspomnienia. Możemy tam znaleźć relacje ludzi bliskich Wacławowi Iwaniukowi – artystów, naukowców (m.in. Edwarda Zymana, Henryka Wójcika, Nutana Grossa, Julii Hartwig, Longina Jana Okonia, Waldemara Okonia, Tadeusza Klaka, Jadwigi Sawickiej, Bogusława Wroblewskiego) – mówiące o spotkaniach oraz o korespondencji z poetą. Niektórzy dzielili z nim los emigranta, inni mieli okazję spotkać go przy okazji pracy naukowej czy różnych przedsięwzięć związanych z życiem kulturalnym Polaków za granicą.

Podróż w głąb pamięci zawiera też okazały zestaw wierszy związanych z postacią Wacława Iwaniuka, wśród których są utwory Ewy Lipskiej (jednej z najwyższycieńskich przez Iwaniuka poetek), jak również Jana Rostworowskiego czy Waldemara Michulskiego, a także teksty przyjaciół i znajomych, niekiedy badaczy jego twórczości (np. Janusza Kryszaka czy Pawła Tańskiego). Można tam również znaleźć, powstałe zarówno w Toronto, jak i w Chelmie, wiersze będące reakcją na śmierć poety 4 stycznia 2011 roku. Tom uzupełnia szczegółowy biogram Wacława Iwaniuka – rzecz niezwykle ważna m.in. dlatego, że jeszcze do niedawna operowano błędną datą jego urodzin – oraz spis jego książkowych publikacji i bibliografia tekstów poświęconych jego twórczości.

W książce zamieszczono również zapisy rozmów poety z Janem Wolskim i Wojciechem Ligęzą, a także wywiady z przyjaciółmi i współpracownikami Iwaniuka – Henrykiem Wójcikiem i Johnem Haltem. W rozmowie przeprowadzonej w grudniu 1989 roku, zatytułowanej *Po potopie*, na pytanie o możliwy powrót do Polski autor *Pelni czerwca* odpowiedział: *Ja zawsze byłem „spakowany” i czekałem „na walizkach”, wewnętrznie, niedosłownie. Mówiłem to wszystkim niedowiarkom, którzy i dziś kraczą. W jakimś sensie poeta powraca w książce zredagowanej pomiędzy Toronto a Rzeszowem. Nastąpiła zatem pora na przyjęcie w Polsce jego domku, zwłaszcza że Iwaniukowa „emigracyjność” jest czymś więcej niż tylko przebywaniem poza krajem przodków. Może być przykładem trudnej, okupionej samotnością walki o niezależność i wolność twórczej jednostki w coraz bardziej unifikującym się świecie.*

¹ *Podróż w głąb pamięci. O Wacławie Iwaniuku. Szkice-wspomnienia-wiersze*. Pod red. J. Wójcika, H. Wójcika, E. Zymana. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 2003, s. 424.

¹ Jerzy Świąch: *Nowoczesność. Szkice o literaturze polskiej XX wieku*. Warszawa 1996, s. 149.

² *Ibid.*

teatr

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

SZEKSPIR W ZAMOJSKICH PLENERACH

XXXII Zamojskie Lato Teatralne

Na zamojskim rynku gwar letniego południa. Dzieci kamnią gołębic, zakochani jedzą lody, a aktorzy schodzą się na próbę generalną. Dziś wieczór zagrają *Ryszarda III*. To ostatnie przedstawienie XXXII Zamojskiego Lata Teatralnego. Atmosfera próby daleka jest od teatralnej intymności, otwarta przestrzeń skupia uwagę przechodniów, ludzie zatrzymują się, by choć przez chwilę popatrzeć jak Jerzy Stuhr wcieli się w tytułową postać z szekspirowskiego dramatu. Zresztą od lat próby mają tu swoją widownię, a starówkowe dzieciaki podслуshują co ciekawsze kwestie i bawią się później wykorzystując opowiedzianą przez aktorów historię. Jerzy Stuhr przygotował spektakl z zespołem Teatru Ludowego w Krakowie i wystąpił w podwójnej roli – reżysera i głównego bohatera. – *To dla mnie ważny tekst – powiedział podczas próby na zamojskim rynku – ukazuje człowieka, który zaprzedał duszę diabłu, poświęcił wszystko: część, moralność, honor by osiągnąć władzę. a gdy ją zdobył, okazał się marnym władcą, nie wiedział, co z tą władzą zrobić. Potem odkrywałem także inne warstwy dramatu, na przykład temat wyrzutów sumienia, który w każdej sztuce Szekspira pokazany jest inaczej, tu wyrzuty sumienia dopadają bohatera we śnie.*

Wykorzystując walory renesansowej architektury Jerzy Stuhr wpisał przedstawienie w scenografię miasta. Ryszard III stojąc na pierwszym planie głosem konfidencjalnym, czasem z uśmiechem obnażającym obrzydliwość i marność własnej duszy, zdradzał publiczności swoje kroki, wprowadzał w intrygę, wyprzedzał zdarzenia. Dzięki temu widz oglądał historię z perspektywy głównego bohatera i jakby przez niego. Jednak Ryszard III w wykonaniu Stuhra to nie tylko cyniczny okrutnik, to raczej postać groteskowa. Człowiek ukazujący wewnętrzną jakość, w pełni świadomy zarówno własnych win i grzechów, jak i roli, którą gra w teatrze świata. Może dlatego tak łatwo odbić się w lustrze tej historii i uwierzyć w istnienie Ryszarda III. To przecież sąsiad, a może nawet przyjaciel, który obliczając chciwie wargi bez skrupułów nas okradła.

Kiedy na przełomie lat siedemdziesiątych zrodziła się idea Zamojskiego Lata Teatralnego, sztuki Williama Szekspira miały stanowić kanon tego festiwalu, renesansowe miasto miało być sceną dla renesansowych dramatów. Umowność dekoracji charakterystyczna dla teatru elżbietańskiego, żywy, spontaniczny odbiór spektakli – tak było podczas pierwszych widowisk na zamojskim rynku. Bardzo szybko się jednak okazało, że nie sposób wystawić w Zamościu jedynie przedstawień oprtych na tekstach wielkiego angielskiego pisarza, nie wszystkie

realizacje można bowiem zagrać w plenerze, nie zawsze też w repertuarze teatrów znajdują się dramaty Szekspira. Stało się na tym, że nie ma „lata” bez Szekspira, ale jego dramaty są tylko jednym z punktów bogatej oferty teatralnej.

Aby zrozumieć ideę, która legła u podstaw ZLT trzeba cofnąć się do połowy lat siedemdziesiątych. Zamość – perła renesansowej architektury, był wówczas bardzo zaniedbany i wymagał szybkiej i gruntownej rewaloryzacji. Zbliżająca się 400 rocznica powstania miasta zmotywowała władze do podjęcia inicjatyw budowlanych i renowacji stojących w obrębie starówki zabytków. W 1975 roku Zarząd Główny PTTK zorganizował zlot Hufców Pracy z całej Polski pod hasłem „Zamość – wczoraj – dziś – jutro”. celem akcji była pomoc w odbudowie miasta. Zaproszenie do udziału w tym przedsięwzięciu otrzymał również Teatr Ochoty z Warszawy, miał dostarczać intelektualnej rozrywki ochotnikom pracującym przy rewaloryzacji. Artysty spędzili w Zamościu miesiąc, grali spektakle, brali udział w dyskusjach i spotkaniach z widzami, a Jan Machulski, oczarowany miejscem, złożył władzom propozycję powołania Zamojskiego Lata Teatralnego.

Nikt chyba wówczas nie przypuszczał, że z występów Teatru Ochoty zrodzi się impreza, która przetrwa 32 lata, pełniąc w tym okresie nie tylko funkcje edukacyjne czy estetyczne, ale także społeczne. ZLT stworzyło bowiem w mieście bez stałego teatru namiastkę tej instytucji, rozbudziło potrzebę obcowania z widowiskiem artystycznym, kształtowało gusty odbiorców. Stanisław Rudy, dyrektor Zamojskiego Domu Kultury i wieloletni komisarz ZLT, czuwa nad organizacją i przebiegiem festiwalu od początku: *Narodziny festiwalu wynikały z dorobku i historii miasta. Zamość zawsze stał teatrem, bo Zamojscy dbali przede wszystkim właśnie o teatr. To miało swoje odzwierciedlenie w realizacji spektakli na arcydziełach dworze, gdzie funkcjonował teatr dworski i uczelniany. Duch teatru wisiał nad Zamościem od zawsze, a i sam Rynek w Zamościu ma w sobie coś szczególnego – artystyczną, teatralną duszę. To nie skupisko bloków, bez rienia emocji. To jest dusza, która pozwala, by wszystko tu było teatrem. Udala się także dlatego, że te ludowe spotkania z teatrem rozporządzał właśnie Jan Machulski – ze swoim entuzjazmem i wiarą, że to będzie naprawdę wyjątkowe wy-*



Ryszard III, Teatr Ludowy w Krakowie. Fot. vermetu

darzynie artystyczne. Nie dziwi więc, że stał się „ojcem chrzestnym” Zamojskiego Lata Teatralnego i honorowym obywatelem Zamościa¹.

Jan Machulski do dziś przyjeżdża na ZLT, od kilku sezonów towarzyszą mu studenci prowadzonej przez niego szkoły. W tym roku zagrali cztery przedstawienia. Ich obecność stanowi ważny element imprezy, wnoszą bowiem trochę świeżości i witalizmu i choć prezentowane przez nich spektakle nie zawsze są na najwyższym poziomie, wiele mówią o drodze, jaką musi przejść człowiek, by zostać aktorem. Dla Jana Machulskiego powroty do Zamościa mają wymiar sentymentalny, w jednym z wywiadów wyznał: *Tak się jakoś związałem ogromnie z tym miastem. Wracam do młodości, wracam tak, jak się jechano do ukochanej babci, wracam i zaczyna mi inaczej serce bić... Tak się cieszę, że tak wiele się tu zmieniło, to taka moja intymna podróż, jak do wakacyjnych niezmiernie wielkich i wadrych wspomnień. Jestem wtedy młodszy, o te 30 lat młodszy...*²

Jan Machulski rozpoczął Zamojskie Lato Teatralne w 1976 roku wystawieniem *Romea i Julii*, to historyczne już przedstawienie zgromadziło 10-tysięczną widownię. Wcale nie skusiły jej aktorskie sławy, gwiazdy jeszcze wówczas nie występowały w Zamościu, główne role zagrali studenci PWSFTViT Mariena Miaczyńska i Piotr Skiba, zważył ich odwieczny rytuał teatru. Reżyser sięgnął po tekst dobrze mu znany, w którym sam występował (grał Romea w Lublinie i w Opolu), aby w ten sposób lepiej pokonać problemy techniczne plenerowego spektaklu. Do przedstawienia przygotowywał się cały rok, zrobił adaptację sztuki teatralnej, opracował sytuację, przeprowadził próby analityczne i psychologiczne z aktorami. Władze sfinansowały dwutygodniowy pobyt zespołu w Zamościu, aktorzy ciężko pracowali uczestnicząc w próbach na rynku dwa razy dziennie. Próby otwarte dla publiczności gromadziły od 200 do 600 widzów, uczestniczyły w nich także dzieci adorując ulubionych aktorów, a polem odgrywania w zabawie sceny z Szekspira. Taka sytuacja sprawiła, że między artystami a widownią utworzyły się niezwykle więzi. Praca Jana Machulskiego przekroczyła ramy teatru, stała się działalnością społeczną i edukacyjną. Widzowie nie tylko obserwowali, jak rodzi się widowisko teatralne, ale także z czasem włączyli się w jego realizację – jednostka wojskowa użyczyła statystów, a także specjalistów od materiałów pirotechnicznych, a indywidualni widzowie przynieśli przedmioty, które mogły przydać się podczas przedstawienia. Reżyser, by wzmocnić wrażenie i uprawdopodobnić akcję, postanowił wykorzystać w przedstawieniu konia, lecz organizatorzy mieli z nim więcej kłopotów niż pożytku. Konia bowiem uciekł tuż przed próbą generalną i aktor grający Księcia Werony już w kostiumie ścigał go taksówką po mieście. Widowisko przygotowywane z taką pieczołowitością i rozmachem zagrano tylko raz, ale ta premiera była prawdziwym świętem teatru.

Zachowała się relacja widza pamiętającego tamte pierwsze spektakle: *My tutaj od lat mieszkamy na Rynku – te okna, niech pani wyjrzy, wychodzą na schody Ratusza. Trochę z boku, ale wszystko widać. Oglądaliśmy próby i przedstawienia. Przy przedstawieniu „Romea i Julii” cały Rynek był jeszcze zamieszkały. W czasie przedstawienia wszystkie okna były dosłownie oblepione przez ludzi. W czasie przedstawienia „Hamleta”, kiedy bez przerwy lał deszcz, myśmy sobie spokojnie oglądali, a tłumy mokły na Rynku i aktorzy też mokli, do suchej nitki.*³ Było z pewnością wielu piękniejszych, być może lepiej wyreżyserowanych i prześlanych *Hamletów*, zagranych z rozmachem, z aktorską precyzją i kunsztem, ale żaden z tych spektakli nie przeszedł do historii widowisk plenerowych, żaden nie zgromadził czterotysięcznej widowni gotowej oglądać przedstawienie w strugach deszczu. Widowisko Jana Machulskiego z 1977 roku stało się dla

¹ *Agenda Gali*, nr. 1, Na XXX, „Biuletyn Zamojskiego Lata Teatralnego”, „Zamojski Kwartalnik Kulturalny” 2004, nr. 1-2, s. 119.

² Tamże.

³ *4000 waleczni male młodości*, KAW, Lublin 1980, s. 14.

wielu mistycznym przeżyciem, a pojawienie się ducha Hamleta ponad wieżą Ratusza, przynawiającego głosem Czesława Niemena, w towarzystwie piononów i hłyskawie stanowiło oczywisty znak, że sama natura włączyła się do tego przedziwnego spektaklu.

Terenem widowisk plenerowych realizowanych w Zamościu pozostawały zawsze miejsca zażytkowe – rynek, krążanki, mury obronne, ale także piękna, naturalna sceneria parku. W związku z tym zadanie scenografia nie polegało nigdy na zahadowaniu miejsca akcji dekoracjami, lecz na wydobyciu, podkreśleniu i symbolicznym uzupełnieniu walorów naturalnego otoczenia. Zasady obowiązujące w plenerze różnią się od prawideł rządzących sceną pudełkową. Z uwagi na to, że przedstawienie jest grane bez przerwy, już na poziomie adaptacji tekstu reżyser musi dokonać wielu skrótów, inaczej również dubierany jest kostium – inny strój przygotowano dla aktora grającego tu de Ratusza, inny zaś dla artystów występujących w parku czy na tle murów obronnych. Kostium miał podkreślać charakter postaci, dlatego każdy z głównych bohaterów musiał mieć jakiś charakterystyczny element, który go wyróżniał – tak by był rozpoznawalny z dużej odległości. Statyści zaś, np. żołnierze, świta króla czy dwór w Handecie – nosili stroje jednakowe.

Wszystkie plenerowe przedstawienia ZLT, poza widowiskami dla dzieci, odbywają się o wiele później niż w tradycyjnym teatrze, pod osłoną nocy. W tej sytuacji sprawą kluczową jest światło, za jego pomocą można przesuwać akcję w różne miejsca, sygnalizować upływ czasu, budować nastrój przedstawienia. W pierwszych spektaklach realizowanych w zamojskich plenerach oświetleniem zajmował się Stanisław Zięba z Teatru Wielkiego z Warszawy. To dzięki jego pomysłom udało się w tych różnorodnych miejscach zbudować niezwykle klimat. W *Śnie nocy letniej* Szekspira z 1979 roku, który zagrano w miejskim parku, podświetlano drzewa, zarośla, kolorowe mgły robione przy pomocy suchego lodu. Bal w *Romeo i Julii* z 1976 roku zaznaczono wystrzeleniem 32 kolorowych rakiet, reflektorem punktowym zaakcentowano obecność ducha Hamleta pojawiającego się ponad kamieniczkami (1977). Bardzo często podczas przedstawień plenerowych stosuje się światło pochodni i ogień, który jako środek wyrazu pojawia się niemal we wszystkich występach teatru alternatywnego, ale również bywa wykorzystywany przez zespoły tradycyjne. Kiedy w 1984 roku Krzysztof Jasiński pokazał zamościanom *Ubu Króla*, przywiózł ze



W błękitnej krainie elfoludków, Teatr MASKA z Rzeszowa

sobą specjalistę od efektów pirotechnicznych. Bardzo szybko plotka obiegła miasto, że przed Piromanem, jak go nazwano, drży cała ekipa, a aktorzy boją się, że ich wysadzi w powietrze, ma bowiem cały namiot założony trotylem. Spektakl Teatru STU przygotowany w konwencji cyrkowej, z kanzelą pośrodku sceny, miał wszelkie cechy wielkiego, barwnego widowiska. Obfita iluminacja, barwne rakiety i głośne wystrzały ściągnęły pod Bastion nr 7 całe miasto. To nie był już tylko spektakl, lecz raczej teatralne show nudem z widowisk jarmarcznych.

Sukces zamojskich widowisk plenerowych leży także w muzyce, która ma również duże znaczenie w budowaniu nastroju co światło i scenografia. Muzykę do wspomnianego już *Hamleta* napisał Czesław Niemen, zaś do *Makbeta* (1981 r.) Marek Grechuta. Niezwykle piękną oprawę muzyczną posiadają spektakle Polskiego Teatru Tańca – Baletu Poznańskiego. Ewa Wyciechowska – dyrektor teatru, tancerka, choreograf, częsty gość ZLT, tak mówiła o tańcu w plenerze: *W otwartej przestrzeni organizm inaczej oddycha, nie wszystko można tu zrealizować, ale noc, architektura, oświetlenie dodają spektaklowi nowych walorów – tego nie można uzyskać w zamkniętym pomieszczeniu. Ponadto w Zamościu panuje niezwykła atmosfera, tak naprawdę łóża teatralne znajdują się w oknach, a nawet na dachach. Widownia nie jest zamknięta, publiczności jest znacznie więcej niż nam się wydaje, bo przecież w spektaklu uczestniczą przechodnie, a także ludzie w kawiarniach.*⁴

Zamojskie Lato Teatralne jest ciekawym materiałem dla socjologa obserwującego i badającego zachowania teatralnej publiczności. Od początku była to bowiem publiczność szczególna – uczestniczyła w próbach, a potem w spektaklu, na który przychodziły całe rodziny objuczone kocami, krzesłami, a czasem nawet jedzeniem dla dzieci. Widz widowisk plenerowych nie tylko mógł opuścić spektakl w każdej chwili, bo nie traktował go jak wydarzenia kulturalnego, zdarzały się dyskusje miejscowych pijucków z aktorami, jak podczas występu Teatru STU na jednym z podwórek-dziedzińców, kiedy Krzysztof Jasiński zmuszony był stoczyć potyczkę słowną z „zawianym” gościem komentującym grę aktorów. Halina Machulska, aktorka od lat przyjeżdżająca do Zamościa, opisywała atmosferę festiwalu i zachowanie widzów bardziej w konwencji rytuału niż tradycyjnego teatru; podstawową różnicę dostrzegała we wspólnym uczestniczeniu i przeżywaniu przedstawienia, które jest nie tyle wydarzeniem kulturalnym, co aktem przemiany zwykłego człowieka w bohatera odstawiającego przed publicznością uniwersalne prawdy. Człowieka znali z prób – pił wódkę, ocierał pot z czoła, żartował, teraz oto stawał się aktorem ukazującym widzom tajemnice ich własnych serc. *Spostrzegłam nagle, że ze wszystkich uliczek jednocześnie wychodzą ludzie – pojedynczo, grupami – a każdy niesie pod ręką koc. W pierwszym momencie nie mogłam zorientować się, o co tutaj chodzi. Co ten dziwny, gwiazdzisty pachód oznacza? A że północ, więc i postacie wyglądały tajemniczo, trochę nierozpoznawalnie. Wreszcie pojąłam, że wszyscy dążą w tym samym kierunku co ja. Poczudam się uczestnikiem rytuału. Wyraźnie widziałam różnicę pomiędzy tłumem ludzi, który zgromadził się przed wejściem na salę widowiskową w teatrze, a tym prawie rodzinnym, piknikowym spotkaniem (...). Przedstawienia plenerowe, które są realizowane w naturalnej scenerii, bez obudowania i zastawiania istniejących elementów architektury, mają dla mnie posmak wielkiej przygody, prawdziwego przeżycia. Jeżeli mogę, oglądam wszystkie próby. Kiedyś na jednej z nich usiadłam przy starej kobiecie. W trakcie próby zaczęły bić kościelne dzwony, a na to ona: *O proszę, do kościoła to nikt nie idzie, a tutaj siedzą ludzie i patrzą, niech pani zobaczy, ile siedzi!* – Była autentycznie zgorzchniona, ale sama nie ruszyła się, pozostała do końca a próby.*⁵

⁴ 1979. Leżyszczyno. Piasek: rzeszyński teatr. rozmowa z Ewą Wyciechowską. „Zamojski kwartalnik Kulturolog” 2003 nr 3-4, s. 40.

⁵ A ma – udział całej miastu, KAW, Lublin 1981, s. 14.

Wspomnienie Haliny Machulskiej dotyczy lat siedemdziesiątych, od tego czasu znacznie zmieniła się publiczność. Zamość liczył wówczas 40 tysięcy mieszkańców, posiadał dość kruchą warstwę inteligencji, po wojnie miasto zasiedlili robotnicy, w poszukiwaniu pracy przyjechali tu również mieszkańcy okolicznych wsi. To oni stanowili plenerową publiczność, dla wielu był to pierwszy w życiu kontakt z teatrem. Jan Machulski grał więc swojego *Hamleta* w 1977 roku dla widzów nudo wyrobionych teatralnie, oczekujących pięknego, niezwykłego widowiska. Jerzy Stuhr zagrał *Ryszarda III* dla odbiorców przygotowanych, gotowych skomentować, a czasem i skrytykować pomysły inscenizacyjne reżysera i grę aktora. Od wielu bowiem lat na przełomie czerwca i lipca miasto żyje teatrem, a o przedstawieniach odbywających się na rynku dyskutuje się nie tylko przy herbatce w pracy, ale także w Klubie Festiwalowym umieszczanym w zamojskich kawiarniach. Grażyna Kawala – instruktor teatralny ZDK, od lat obserwuje spektakle podczas ZLT, bacznie również śledzi reakcje zamojskich widzów: *Publiczność zamojska jest niesumowita, rozczula mnie inteligentnymi reakcjami, potrafi nagrodzić nie tylko grę aktorską, ale piękno scenicznego obrazu. Tak było w tym roku podczas występu Teatru Wskresinnia z Ukrainy. Jarosław Fedoryszyn stworzył bardzo piękne, subtelne widowisko odwołujące się do „Wiśniowego sadu” Czechowa, widzowie zauważali niuanse – bili brawo parze tańczącej walca na szczydlach czy wjeżdżającym na podestach kwitnącym wiśniom.*

Jednak taka przemiana, chciałoby się rzec „dojrzewanie” publiczności, to także zasługa ZLT i tradycji teatralnej, jaką wypracował festiwal w ciągu minionego czasu. Zamojska impreza nie ma formuły konkursu, jednak to właśnie publiczność może zagłosować na wybrany spektakl i nagrodzić go Buławą Hetmańską. Nie zawsze upodobania widzów pokrywają się z sędziami recenzentów i krytyków teatralnych, ale niemal zawsze spektakl zwycięski, wybrany w drodze plebiscytu, odwołuje się do najgłębszych przeżyć. Nagrodę publiczności za XXXI Zamojskie Lato Teatralne otrzymał teatr Piwnica przy Krypcie Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie za *Dzieła wszystkie Szekspira w nieco skróconej wersji*. Który spektakl zostanie nagrodzony w tegorocznej edycji imprezy? No cóż, na wyniki przyjdzie nam poczekać do maja 2008 roku. Mnie



Wiśniowy sad, Teatr Wskresinnia ze Lwowa. Fot. vennera

najbardziej poruszył spektakl kameralny, zagrany w nastrojowym wnętrzu kazałmaty – *Rozmowy z diabłem. Wielkie kazanie księdza Bernarda*. Monodram powstał na podstawie tekstu Leszka Kolakowskiego w Teatrze STU, wyreżyserował go Krzysztof Jasiński. Św. Bernard w kreacji Jerzego Treli wydany na pastwę najmańdrzejszego przeciwnika, inteligentnego i prznikliwego pana ciemności, jest nie tylko poruszający, ale również komiczny. Gra krakowskiego aktora oparta w gminie rzeczy na minimalistycznych środkach wyrazu trzyma widza w napięciu. Trela operując głosem i oszczędnym gestem absolutnie panuje nad emocjami publiczności, zmusza do wnikliwej uwagi, zachęca do zajrzenia w głąb siebie, budzi samoświadomość widza i przed wszystkim daje popis świetnego aktorstwa.

Spektakle plenerowe realizowane podczas Zamojskiego Lata Teatralnego nie opierały się na jakiejś wyszukanej interpretacji dramatu, zdecydowanie przelamującej istniejące konwencje. Jeśli zachwycaly, to raczej swą widowiskowością. Aktor pracując w trudnych warunkach, w znacznym oddaleniu od widza, wciąż zmuszony do pilnowania mikrofonu (dopiero od niedawna dźwięk jest umplifikowany), większy nacisk kładł na rozegranie sytuacji niż na mimikę czy sposób mówienia wiersza. Jednak zarówno Jan Machulski, jak i inni reżyserzy wystawiający w Zamościu podkreślali, że spektakle powinny docierać do masowej widowni, powinny być czytelne i dla osób wykształconych, i dla tych, którzy do teatru przyszli po raz pierwszy.

– Jeśli impreza ma już 32 lata, to znaczy, że tradycje teatralne, które stworzyła, są tu bardzo silne i warto je wspierać – powiedział Jerzy Suhr podczas swojego pobytu w Zamościu. – Przewinęło się przez ten festiwal tylu wybitnych artystów, zagrano tu tak wiele spektakli, że paradoksalnie miasto nie posiadające teatru jest przeniknięte jego duchem.

Eliza Leszczyńska-Pieniak



Jakub Julian Ziolkowski, olej, płótno, 140 x 160 cm, 2003

przenikania

ABP JÓZEF ŻYCIŃSKI

Ludzkie drogi Kościoła

Słowa pierwszej encykliki Jana Pawła II są dla wielu niezrozumiałe, gdy mówią „Człowiek jest drogą Kościoła”. Jako odpowiedź słyszymy komentarz: „Dlaczego drogą, tzn. środkiem, gdy powinien być przecież celem, w stronę którego skierowane są wszystkie zamierzenia i plany.” Sympatycy myśli Friedricha Nietzschego interpretując jego myśl, podkreślają, że człowiek jest zarazem drogą i mostem do superczłowieka.

Droga i wartości

Nie sądzę, aby w treściach encykliki „Redemptor hominis” dźwięczały echo dorobku autora „Antychrysta”. W papieskich słowach odnajduję natomiast tę wizję humanizmu, która nie pozwala złaczyć chrześcijaństwa z jednym tylko nurtem myślowym, tradycją kulturową, partią polityczną. Na przekór podobnym próbom, to konkretny człowiek jest drogą Kościoła: jego ból, nadzieje i marzenia, wyznaczają teren pasterskiej troski. Nie można powiedzieć, że człowiek jest celem misji Kościoła. Byłoby to bowiem zniekształceniem prawdy, że celem posługi Kościoła są wielkie dzieła zbawcze, wśród których szczególnie istotne jest zbawienie człowieka. Całego bogactwa tych dzieł nie można sprowadzić do porządku antropologicznego. Dlatego wspólnota jednej drogi człowieka i Kościoła wyznacza ważny szlak, na którym Kościół nie zrozumiemy bez człowieka, natomiast człowieka z kolei nie można pojąć bez Chrystusa.

Główna teza wyakcentowana przez Jana Pawła II pozostaje tak ważna w kontekście obecnych przemian kulturowych, gdy zmieniają się głęboko wcześniejsze wyobrażenia o postawie wobec Kościoła okazywanej przez nową lewicę i konserwatywną prawicę. Jako przykład pierwszej postawy można wskazać grona sympatyków książki Alaina Badiou o św. Pawle ukazującej wzorce uniwersalizmu niezależnego od przekonań religijnych *Apostola Narodów*. W ateistycznej perspektywie przyjętej przez Badioua nieistotne są ani światło Damaszku, ani też nawrócenie św. Pawła. Francuski autor zapewnia, że nigdy nie interesowały go przekonania religijne św. Pawła. „Paweł nie jest dla mnie apostołem czy świętym. Nie dbam o głoszoną przez niego Dobrą Nowinę.”¹ Podobnie podstawowa dla św. Pawła prawda o zmartwychwstaniu Jezusa stanowi dla Badioua jedynie „moment bajkowy”². Obuwiam się, że w tej perspektywie trudno będzie rozwijać dialog, zwłaszcza że francuski autor podkreśla, iż w obecnych warunkach

¹ Alain Badiou, *Święty Paweł. Odkrycie nowego uniwersalizmu*, Korporenia i Lektur, Kraków 2009.

² Tamże, s. 13.

³ Tamże, s. 10.

„prawo do myślenia prawdy ma tylko monetaryzm wolnej wymiany i kapitalistyczny parlamentaryzm.”

Chrześcijańskie korzenie uniwersalizmu

Próby przeniesienia tej perspektywy na teren polskich doświadczeń podejmuje Kinga Dunin podkreślając, iż współczesna lewica poszukuje swego miejsca w świecie zdominowanym przez zasady liberalnej demokracji i logikę wolnego rynku. Twierdzi ona: „Książka Badiou-ateisty przypomina nam zresztą, że wielki uniwersalistyczny przewrót, któremu początek dało chrześcijaństwo, jest dziś wspólną wartością wszystkich ludzi”. Instytucjonalny Kościół nieszczególnie przyczynia się do tworzenia tej wspólnoty, chrześcijaństwo zaś okazuje się ostatecznie „jedyną historyczną i przygodną formą, w której uzewnętrznili się zusaady uniwersalizmu”⁴.

Należy przyjąć z aprobatą nowe formy uznania dla uniwersalizmu świętego Pawła. Ich afirmacja jest ważna także dlatego, iż świadczy o uznaniu kulturotwórczej roli chrześcijaństwa. Ci, którzy chcieliby historię kultury europejskiej zaczynać od Oświecenia, natrafiają na poważną przeszkodę w pracach Badiou. Nie wymyka jednak z tego, że np. Salvadore Dali przez sam fakt namalowania „Ostatniej wieczerzy” winien zostać podniesiony do rangi autorytetu teologicznego. Dziękujmy Bogu za tę wspólną treść odnajdywanych u św. Pawła, która łączy nas także z niewierzącymi. Nie zapominajmy jednak, że bez przyjęcia prawdy o zmartwychwstaniu Jezusa Paweł pozostałby wyznawcą judaizmu, który ikałby namioty bez troski o uniwersalizm, który narodowi wybranemu nie był szczególnie potrzebny.

Nowa ziemia czy Klub Konserwatystów?

Tradycyjne zastrzeżenia lewicy wobec Kościoła sprawiają, że wiele osób usiłuje identyfikować Kościół katolicki z Klubem Konserwatystów. Tymczasem Kościół jest przede wszystkim wspólnotą wyznawców Jezusa Chrystusa, który przez śmierć i zmartwychwstanie zwyciężył grzech i zło, wnosząc nową nadzieję w życie człowieka.

Słowa księgi Objawienia „Oto wszystko czynię nowe” (Ap 21, 5) nie pozwalają sprowadzać Ewangelii do roli czynnika konserwującego obiekty muzealne. Tomasz Halik słusznie ostrzegł podczas zjazdu gnieźnieńskiego w czerwcu 2007 r., iż wzorców chrześcijańskiej postawy nie należy upatrywać w zachowaniu żony Lota, która oglądając się nostalgicznie za siebie zostaje zamieniona w słup soli. To my, inspirowani ożywczą treścią Ewangelii, mamy być solą ziemi, by wyznaczać kierunki nowych wędrówek ku nowemu Jeruzalem.

Pięknie i głęboko rozważanie na ten temat pozostawił Jan Paweł II pisząc w adhortacji apostoelskiej „Ecclesia in Europa” o chrześcijańskiej afirmacji nowości. W perspektywie Ewangelii nowość ta nabiera konkretnych kształtów przede wszystkim we wspólnocie chrześcijańskiej, która już teraz jest „przybytkiem Boga z ludźmi” (por. Ap 21, 3). Nie należy kultywować profilaktycznych lęków przed tym co nowe, gdyż sens historii świata wyznacza ostatecznie Chrystus – Ten, „który przychodzi” (Ap 1, 4). To On w nurcie zaskakujących przemian przybywa do swoich jako eschatologiczny żniwiarz, aby dopełnić Bożych dzieł zbawczych (EiE, 6).

Nie należy dramatyzować w obliczu szokujących zagrożeń, bowiem Bóg działa w sercu stworzenia, odnawiając nieustannie życie tych, którzy poddają się działaniu Ducha. Stare i nowe będzie współistnieć w tym dziele, podobnie jak pszenica i kłkół oczekujące czasu żniwa. Nowe wyzwania, nierzadko odrażające wywołane nieuniknionym bólem, stawiają przed naszym pokoleniem pytania o daj-

szą odpowiedź płynącą z Ewangelii Chrystusa. Nie należy wobec nich rozdzierać szat, ani głosić czarnych prognoz. Należy natomiast żyć wspólną Wieczerniką, aby wnikliwie odczytywać, jakie nowe wyzwania stawia przez nami Chrystus na kulturowych wirażach początków trzeciego tysiąclecia.

Barażo ryzykownym stanowiskiem byłoby kultywowanie złudzeń, że Kościół musi całkowicie związać swoją misję bądź to z lewicą, bądź z prawicą. Kościół stara się udkrywać składniki dobra w różnych systemach społecznych, nieporozumieniem byłoby jednak podnoszenie któregośkolwiek z nich do rangi oficjalnej doktryny Kościoła. „Człowiek jest drogą Kościoła” także w tym sensie, że ludzkie wyzwania i niepokoje stanowią osadury przedmiot pastoralnego zatroskania, na które odpowiedzi nie udziela żaden z istniejących systemów społecznych. Nierzadko psychologiczne uwarunkowania określonej sytuacji prowadzą do przypisywania urojonych zasług ideologiom, które dominują w danym okresie. Kiedy w 1940 r. Francja stanęła w obliczu wojny z Niemcami, niektórzy z francuskich publicystów ubolewali, że do uratowania ojczyzny brakuje im przede wszystkim równie głębokiego opracowania ideowego jak „Mein Kampf”. Kościół prowadzi swą misję na innym poziomie, troszcząc się o przesłanie ewangelii błogosławieństw, nie zaś o ranking aktualnych idoli.

Wśród obecnych wyzwań ewangelizacyjnych ważnym zadaniem Kościoła jest poszukiwanie odpowiedzi, w których wyrazi się dziedzictwo nauczania Jana Pawła II i Benedykta XVI. Wezwanie „wypląć na głębię” i przypomnienie, że „Bóg jest miłością” chroni od powierzchownych działań. Powierzchowność widać w interpretacji, która ignoruje faki, że cały uniwersalizm Apostoła Narodów wypływa z wiary w Zmartwychwstanie. Programowe milczenie na temat tej wiary jest przedsięwzięciem również sensownym, jak o dyskusja o Homerze, w której nie wolno byłoby wspomnieć Odyseusza. Oczywiście, istnieją jeszcze nuiiej sensowne interpretacje św. Pawła. Należy do nich choćby ta, która głosi, że wprawdzie „nie ma już Greka ani Żyda” (Kol 3, 11), ale pozostało jednak jeszcze niewielkie grono prawdziwych Polaków zajętych autentycznie zbawianiem Ojczyzny.

Abp Józef Życiński

Książki nadesłane

Wydawcy różni

Cyprian Norwid: *Dzieła wszystkie*. Wydawnictwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Lublin. T. 7. Proza, cz. 1. ss. 394.

Ruhdan Zadura: *Szkice, recenzje, felietony*. Biuro Literackie, Wrocław 2007. Tom 1, ss. 525+16 nlb. Tom 2, ss. 501+17 nlb.

Alexandru G. Serban: *Polonia gemenilor 2004-2006. Portrete – articole – statistici – traduceri*. Editura Performantica. Issi 2006. ss. 285.

Jean-Luc Chalumeau: *Historia sztuki współczesnej*. Przetłoczyła Anna Wojdanowska. Visia Press&IT, Warszawa 2007, ss. 194.

Jaime Bayly: *Noc jest dziewięć*. Przetłoczył Tomasz Pindel. Postm@condo, Kraków 2007, ss. 173.

Tomasz Kawiak: *Zwalone posągi. Toppled statues. Statues reversees. Gesturzte Statuen*. Fundacja TATO, Wydawnictwo I-Print, Lublin 2004, ss. 423, liczne ilustracje w tekście.

Kolekcja Tomasza Kawiaka – *Collection*. Fundacja TATO, Wstęp Andrzej Mroczek. Wydawnictwo I-Print, Lublin 2007, ss. 39 + liczne ilustracje w tekście.

⁴ Kinga Dunin: *Łaska przekraczania granic*, (w:) Badiou... s. 6.

bez tytułu

LESZEK MĄDZIK

Kapuściński

W pewnym momencie bardziej szukałem kontaktu z osobą niż z twórczością. Przecież zawsze za tym, co jest owocem pracy, stoi ktoś konkretny, mający swoje życie, słabości, niepokoje, radości. To wszystko wypełnia jego dni, pory roku, chwilę po chwili. Istnieje... Przecież to niezwykle rodzaj wrażliwości, jeżeli się nam daje w szczególny sposób siebie. Lgnąłem do takich ludzi, choć było ich niewielu. Niektórzy odeszli zanim do nich dotarłem, ich brak to także wyrzut sumienia. Zostało tylko przeczucie, subiektywny obraz, jakby na własny użytek. Tu wyobraźnia podąża swoją drogą. Nieraz zaprowadziła mnie w głąb siebie.

Ale z Ryszardem Kapuścińskim zdążyłem się spotkać, choć było to w ostatniej chwili. To było wielkie szczęście. Los mi takie osoby darowuje. Durrwał mi też i jego. W Muzeum Teatralnym w Warszawie prezentowałem swoje fotografie z wędrówek po świecie. Pragnąłem mu je pokazać, zadzwoniłem. Nie wiem, czy wtedy byłem przekonany, że je obejrzy. Ale po miesiącu przyszedł list od niego. Był mi zyczliwy, chyba nazbyt. I znowu po roku kolejne spotkanie, tym razem w jesiennym Wilanowie, gdzie pojawiłem się ze śladami wyprawy do Japonii. Bohaterem zdjęć był czas żywiący się przyrodą. Uroda starych drzew zachwycała mnie cudownie, mówiła o umiarności. Zawsze ma się ochotę komuś pierwszemu pokazać to odkrycie. Gdy zadzwoniłem do Pana Ryszarda przeczuwałem jakąś trudność w jego obecności na wernisażu. Było wilgotno i zimno. Nawet Wilanów tego popołudnia nie chciał mieć świadków.

Stałem w drzwiach oczekując na zaproszonych gości. Najpierw dostrzegłem jego małżonkę, potem jego samego. Czuł się zagubiony, podobno zaproszenie kierowało gości w inną część kompleksu pałacowego – jakieś niedopatrzenie, tłumaczyli się organizatorzy. Ale dotarł. Jego uśmiech tłumii wszystkie niedogodności tej wyprawy. Był zmęczony, przeczuwałem jakąś boleść. Może teraz łatwiej mi taką diagnozę stawiać... Zaprosiłem go z żoną do stolika, przy którym bezradnie próbowałem tłumaczyć się z potrzeby robienia zdjęć. Kiedy później pragnąłem filmami bardziej rozgrzeszyć się z tego co czynię, wstał i opierając się o ścianę na końcu sali wytrwał te pół godziny projekcji. Tylko stojąc usmierał ból bioder.

Podczas tego wieczoru wszystko, cokolwiek powiedziałem, filtrowałem przez jego osobę. Właściwie mówiłem do niego, nie tylko opierając wzrok na jego sylwetce, ale ze świadomością bezradności w nazwaniu jakiegokolwiek kwestii. Bałem się dotknąć tematu odchodzenia, ale lęk przemożłem, choć chaos wypowiedzi był jedynym usprawiedliwieniem samoobnażenia. Bardzo bym chciał dotrzeć do jego notatek, które wtedy pisał.

I jeszcze raz się odezwałem, po miesiącu, przed moją wyprawą do Gwinei Bissau. Wiedziałem, że tam był. Porad miał parę, a najważniejsza była ta o zyczliwości mieszkańców tej ziemi.

Ale najbardziej doświadczyłem Ryszarda Kapuścińskiego przez jego zdjęcia. Z postaci i portretów przez niego wykonanych bije przekonanie o sporych możliwościach fotografii. Otwarcie i zawierzenie w twarzach, które zawsze są uśmie, jakby zapraszały do siebie. Ci prości ludzie, bo tacy najczęściej wypełniają kadr zdjęcia, pokazują przez swoją naturalność i pogodę – swoją duszę. Ale by udzielić tego kredytu zaufania muszą mieć przeczucie, że spotykają się z dobrym człowiekiem, nie wężycym podstępem.

To rzadki przypadek, że ktoś, kto ogarnia problemy świata, orwiera się na konkretną osobę, u może przez nią czytać cały ten świat. Tak samo, jak kiedy w kropki wody odbija się wszystko co wokół nas na horyzoncie ziemi. To szczególny dar, który otrzymał Pan Ryszard. Dar, którego nie chronił tylko dla siebie. Wzrok pada na wiele postaci, twarzy, ale on zatrzymywał się przy tych, które miały cząstkę jego samego.

To wspaniałe dopełnienie DOBRA, które nagromadziło się w fotografującym i fotografowanych. Z takiego spotkania powstaje nowy komunikat o człowieku.

Leszek Mądzik

Litżona, 25 maja 2007



Jakub Julian Ziolkowski: *Tramamitja II*, olej, płótno, 140 x 125 cm, 2003

media

MACIEJ BIALAS

Sto lat niech żyje nam...

Drugie urodziny TVP Kultura

Dziecko w wieku dwóch lat zdobywa samodzielność. Jego rozwój fizyczny ulega zwolnieniu; wzrasta natomiast jego ruchliwość i sprawność ruchowa. Podjmuje próby samodzielnego stania; zaczyna chodzić, biegać i skakać; i – co ważniejsze – sprawia mu to przyjemność. Samo nawet siada na nocniczku. Komunikując się z otoczeniem, nie posługuje się już wyłącznie monosylabami czy prostymi wyrazami, ale buduje zdania i robi to często. Wykazuje też skłonności emancypacyjne; ewidentnie stara się „wyzwolić” spod ucisku i kurateli otoczenia. A poza tym, jest wrażliwe na pochwały i nagany, bywa krnąbrne i zaborcze, często wyrwa innym zabawki, dając upust swojej złości. Nie sposób go nie kochać. 24 kwietnia 2007 roku TVP Kultura obchodziła swoje drugie urodziny. Czy po dwóch latach można być spokojnym o jej kondycję?

Trudno odmówić samodzielności telewizyjnemu kanałowi tematycznemu poświęconemu tzw. wysokiej kulturze i sztuce. Na ofertę programową TVP Kultura składają się wybitne filmy, spektakle teatralne, operowe, baletowe, koncerty, transmisje i retransmisje rozmaitych wydarzeń artystycznych, programy kulturalne, naukowe i historyczne, serwisy kulturalne, wywiady z prawnikami świata kultury, dyskusje poświęcone różnym zagadnieniom społeczno-kulturalnym. W 50% są to programy z archiwów TVP; w 35% – programy z wymiany z francusko-niemieckim kanałem ARTE i rosyjską Kulturą hib zakupione za granicą; w 15% – produkcje własne¹. TVP Kultura nie jest dodatkowo finansowana. TVP opłaca kamień z otrzymywanych jak dotychczas środków z budżetu państwa oraz z wpływów z abonamentu. Relacje z rozmaitych lokalnych wydarzeń kulturalnych są subsydiowane przez regionalne i lokalne samorządy. Współpraca z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego może w przyszłości rozwiązać część problemów związanych z finansowaniem kanału². Roczny budżet stacji wynosi około 30 mln zł. Wśród redaktorów TVP Kultura są zarówno osoby dobrze znane szerokiej publiczności (Grażyna Torbińska, Katarzyna Janowska, Max Cegielski), jak i „nowe twarze” (Marcin Baran, Radosław Brzózka, Michał Chaciński, Łukasz Drewniak, Jacek Eismond, Jacek Hawryluk, Robert Kamyk, Magdalena Kawalec, Krzysztof Mieszkowski, Krzysztof Michalski, Piotr Osęka, Łukasz Maciejewski, Piotr Rypson, Tomasz Mościński, Katarzyna Zacharska, Katarzyna Ziółkowska).

Rzecz jasna, rozwój stacji wyrażający się nie tyle w rozwoju fizycznym, co we wzrastającej ruchliwości, operatywności i crudycji wydaje się również nie podlegać wątpliwości. TVP Kultura rozpoczęła nadawanie w niedzielę 24 kwietnia 2005 roku o godz. 17⁰⁰. W pierwszych miesiącach nadawała w godzinach od 13⁰⁰ do 1⁰⁰ w dni powszednie, a w weekendy od 9⁰⁰ do 1⁰⁰. Każdy dzień tygodnia poświęcony był określonej dziedzinie sztuki. Poniedziałek – literaturze; wtorek – teatrowi; środa – nauce, cywilizacji i sztuce pięknej; czwartek – muzyce; piątek – filmowi. W sobotę dyskutowano o „korzeniach kultury”, zaś w niedzielę zapraszano specjalnego gościa. Każdy dzień miał swoich prowadzących i swoich specjalistów; posiadał też temat przewodni, przybliżony w wywiadach, dyskusjach, prezentacjach filmowych i muzycznych. W pierwszych miesiącach nadawania redaktorzy TVP Kultura starali się dopasować ofertę programową do oczekiwań widzów, którzy – korzystając ze strony internetowej www.tvp.pl/tvpkultura – mogli przekazywać swoje uwagi. Ramówka stacji podzielona została na 6 pasm (do 17⁰⁰ – powtórki, później – programy premierowe, o 20⁰⁰ – program informacyjny, następnie rozmowa z udziałem zaproszonych do studia gości, 21⁰⁰ – premierowa pozycja dnia, około 23⁰⁰ – *Strefa alternatywna*)³. Warto przypomnieć – rzecz jasna, w olbrzymim skrócie – najciekawsze programy, które w tym czasie znalazły się w ofercie programowej stacji.

24 kwietnia 2006 roku TVP Kultura zaproponowała odbiorcom recital fortepianowy Marce Lafrette – laureata II nagrody XI Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. F. Chopina oraz koncert wyróżnioną nagrodą BBC World Music Award 2004 w kategorii New Comer folkowej Kapeli ze Wsi Warszawa. Były też prapremiery filmowe: *Moje miejsce* Leszka Dawida, *Niestety* Mariusza Wilczyńskiego (animowany; z muzyką Tomasza Stańki), *Bar pod młynkiem* Andrzeja Kondratiuka; oraz teledysk do piosenki *Imagine* Johna Lennona autorstwa Zbigniewa Rybczyńskiego. Ruszyła *Strefa alternatywna* pod przewodnictwem Łukasza Barczyka – cykliczny program poświęcony kulturze alternatywnej (sztuka komiksowa, sztuka mediów, filmy animowane, muzyka). Na ekranie pojawili się też redaktorzy znani m.in. z TVP2 (Grażyna Torbińska, Katarzyna Janowska, Max Cegielski) oraz znawcy kultury i sztuki. W kwietniu zaprezentowano jeszcze m.in. film *Beczka prochu* Gorana Paskaljevicia, *14 bajek z królestwa Lailonii* (w cyklu „Kino krótkich filmów”) oraz koncert muzyki filmowej Gorana Bregovicia.

W pierwszym roku nadawania w ramówce stacji znalazły się:

– filmy fabularne (m.in. filmy wybitnych rodzimych reżyserów: Andrzeja Wajdy, Krzysztofa Kiesłowskiego, Krzysztofa Zanussiego, Romana Polańskiego, Andrzeja Kondratiuka, Mariusza Trelińskiego, Magdaleny Łazurkiewicz, Krzysztofa Krauzego, Jana Jakuba Kolskiego i innych; filmy wybitnych światowych reżyserów: Orsona Wellesa, Stanleya Kubricka, Costy Gavrasa, Francisca Forda Coppoli, Boba Rafelsona, Lawrence’a Kasdana, Miloša Formana, Woody’ego Allena, Jifiego Menzla, Larsa von Triera i innych);

– filmy dokumentalne (m.in. *Linia życia – Karol Szymanowski (1882-1937)*, *Walczący samotnik – Stanisław Wisłowiec*, *Sławomir Mrożek. Szkice do portretu skrzętnie przez bohatera zamazywanego*, *Drugi po Bayu. O Mucieju Stomczyńskim*, *Słowa i twarze. Literatura niepokorna – Rafał Wojaczek, którego nie było*);

– spektakle teatralne (m.in. Janusza Głowackiego *Antygona w Nowym Jorku* w reż. Kazimierza Kutza, Tadeusza Kantora *Niech szczęśliwcy artyści* w reż. Tadeusza Kantora, Witolda Gombrowicza *Historia* w reż. Horsta Leszczuka, Williama Szekspira *Poskromienie złośnicy* w reż. Krzysztofa Wariakowskiego „na żywo” z Teatru Dramatycznego w Warszawie, Gabrieli Zapolskiej *Moralność pani Dulskiej* w reż. Anny Augustynowicz „na żywo” z Teatru Współczesnego w Szczecinie);

¹ I. Szczech: *Teatr Kultury*, „Gazeta Telewizyjna”, nr 93, 22.04.2005, 28-31, 1005.

² *Ministerstwo Kultury*, „Gazeta Wyborcza”, nr 121, wydanie waw. z dnia 27.05.2005, 100.100.100.

³ „To & owo”, nr 17, 26 kwietnia 2005, s. 108.

- spektakle baletowe (m.in. *Rosyjski Hamlet* – balet Borisa Ejfmana, Piotra Czajkowskiego – *Dziadek do orzechów* w choreografii Maurice'a Bejarta);
- koncerty (m.in. Henryka Mikołaja Góreckiego – III Symfonia *Symfonia piękni żalonych*, Wojciecha Kilara – Koncert fortepianowy, koncert *Kronos Quartet* z Teatru Polskiego we Wrocławiu, koncerty *Warszawska Jesień 2002, 2003, 2004 i 2005*, Leonarda Bernsteina z okazji zburzenia muru berlińskiego, Ludwiga van Beethovena – IX Symfonia, 35-lecie wydarzeń grudniowych w Stoczni Szczecińskiej, Krzysztofa Pendereckiego – „Polskie Requiem”, „na żywo”);
- widowiska artystyczne (m.in. *Scat, czyli od pacybuda do milionera* w reż. Wojciecha Kościelniaka – „na żywo” z Teatru Muzycznego Capitol we Wrocławiu);
- programy kabaretowe (m.in. *Od ucha do ucha* – Kabaret MUMIO);
- programy edukacyjne (m.in. cykl *Telewizyjna szkoła teatralna*);
- relacje z imprez kulturalnych (m.in. z Festiwalu Dialogu Czterech Kultur, Gali 30. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, Gali z okazji 50-lecia ponownego otwarcia Opery Wiedeńskiej);
- transmisje z 15. Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina (blisko 130 godzin);
- 24 godziny z *Mozartem* (w związku z obchodami 250 rocznicy urodzin kompozytora);
- dni poświęcone m.in. Andrzejowi Wajdzie, Krzysztofowi Kieślowskiemu, Grażynie Bacewicz, Witoldowi Lutosławskiemu, Adamowi Hanuszkiewiczowi, Krystianowi Zimermanowi, Piotrowi Anderszewskiemu;
- urodzinowy koncert TVP Kultura. Podczas koncertu Kapituła – w której składzie znaleźli się redaktorzy TVP Kultura oraz współpracujący z nimi eksperci reprezentujący różne dziedziny sztuki – wręczyła nagrody za dokonania artystyczne minionego roku. Nagrody przyznano w siedmiu kategoriach, takich jak: literatura, teatr, sztuki plastyczne, muzyka poważna, muzyka rozrywkowa, film, wydarzenie roku.

Od 24 czerwca 2006 roku TVP Kultura zaczęła nadawać od 9⁰⁰ do 4⁰⁰ (również w dni powszednie). W okresie wakacyjnym ofertę programową stacji stanowiły w dużej mierze powtórki, choć nie zabrakło programów wcześniej nie nadawanych⁴. Z kolei we wrześniu ramówka TVP Kultura uległa zmianie. Zniknął układ wiążący każdy dzień tygodnia z określoną dziedziną sztuki; pojawiły się nowe pasma i cykle, takie chociażby jak: *Klasyka filmowa*, *Klasyka filmu dokumentalnego*, *Telekina*, *Wieczór z kulturą*, *Kino nocne*, *Archiwum jazzu i rocka*, *Folkowe inspiracje*, *Muzyczna encyklopedia*, *Tygodnik kulturalny*. Dyrektor kanału Krzysztof Koehler skomentował te zmiany następująco: „Chcilibyśmy, aby TVP Kultura otworzyła się na nowe grupy widzów, by nie była postrzegana jako kanał skierowany do wąskiego kręgu odbiorców”.

W drugim roku nadawania w ramówce stacji znalazły się:

- filmy fabularne (m.in. filmy wybitnych rodzimych reżyserów: Kazimierza Kutza, Jerzego Hoffmana, Agnieszki Holland, Łukasza Wylężalka, Macieja Dejczerza, Radosława Piwowarskiego, Janusza Kondratyka, Jerzego Antczaka, Feliksa Falka i innych; filmy wybitnych światowych reżyserów: Charlesa Chaplina, Martina Scorsese, Carlosa Saury, Rolanda Juffe, Jamesa Ivory, Pedro Almodovara, Jeana-Jacquesa Annauda, Federico Felliniego, Wernera Herzoga, Petera Greenawaya, Jacquesa Tati, Andrieja Konczalowskiego i innych);
- filmy dokumentalne (m.in. *Pejzaż wewnętrzny* – Michał Bullhakow, *Liryka jego życia* – Jan Brzechwa, *Literatura niepokorna* – Edward Stachura, *Obywatel poeta* – Zbigniew Herbert, *Fotograf snów* – film o Ryszardzie Horowitzu, *Pejzaż wewnętrzny* – James Joyce, Jerzy Grotowski, *Próba portretu*, *Magdalena*

⁴ TVP Kultura w relacji powrotu o widcu, „Gazeta Wyborcza”, nr 134, wydanie waw z dnia 09.06.2006.

Abakanowicz – projekt „Vertical Green”, cykl *Czworo amerykańskich kompozytorów*: Philip Glass, Meredith Monk, Robert Ashlie, John Cage);

- spektakle teatralne (m.in. Jarosława Iwaszkiewicza *Matka Joanna od Aniołów* w reż. Marka Fiedora „na żywo” z Teatru im. J. Kochanowskiego w Opolu, Witolda Gombrowicza *Kosmos* w reż. Jerzego Jarockiego, Thomasa Bernharda *Kalkwerk* w reż. Krystiana Lupy, Tadeusza Różewicza *Kartoteka* w reż. Konrada Swinarskiego, *Moliera Szelmostwa Skapena* w reż. Jeana-Louisa Benoita, Samuela Becketta *Ostatnia taśma* w reż. Antoniego Libery, Benolda Brechta *Kariera Artura Ui* w reż. Jerzego Gruzzy, Sławomira Mrożka *Portret* w reż. Kazimierza Dejmka);

- spektakle operowe (m.in. Ruggero Leoncavallo *Pajace* w reż. Franco Zeffirellego);

- spektakle operetkowe (m.in. Jacquesa Offenbacha *Piękna Helena* w reż. Helmuta Lohnera);

- koncerty (m.in. *Jan Paweł II „in memoriam”* – koncert w pierwszą rocznicę śmierci Jana Pawła II w Teatrze Wielkim w Warszawie, Krzysztofa Pendereckiego – *Te Deum* na głosy solowe, chór i orkiestrę *Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II*, Jana Sebastiana Bacha – *Pasja według św. Mateusza*, Georga Friedricha Haendla – *Mezjasz*, Andrzeja Panufnika – Koncert fortepianowy, Josepha Haydna – *Stworzenie świata (Wrocławia Cantans 2006)*, koncert Grigorija Sokrojowa w Teatrze na Polach Elizejskich, koncert Rafała Blechacza w studio TVP Kultura, koncert Agaty Szymczewskiej w studio im. Witolda Lutosławskiego);

- relacje z Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego;

- relacje z Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Stanisława Moniuszki;

- seriale telewizyjne (m.in. *Lalka*, *Królowa Bona*, *Modrzejewska*);

- relacje z imprez kulturalnych (m.in. z festiwalu Malta 2006, Festiwalu Kultury Żydowskiej w Kazimierzu – *Szalom na Szerokiej 2006*);

- prezentacje literatów nominowanych do Nagrody Literackiej Nike 2006;

- *Tydzień z Szymanowskim*;

- dni poświęcone m.in. Markowi Grechucie, Kazimierzowi i Grześkowiakowi, Kalinie Jędrusik, Janowi i Kaczmurkowi, Jeremiemu Przyborze, Piotrowi Skrzyneckiemu;

- urodzinowy koncert TVP Kultura. Podczas koncertu Kapituła po raz drugi wręczyła nagrody za dokonania artystyczne minionego roku.

We wrześniu 2006 roku TVP Kultura uzyskała Grand Prix w kategorii Kultura/Edukacja na międzynarodowym konkursie Hot Bird TV Awards. Zdobywając tego telewizyjnego Oscara – przyznawanego przez jury złożone z dziennikarzy „Le Monde”, „La Repubblica” i „Daily Telegraph” kanałom tematycznym nadawanym za pośrednictwem satelity – TVP Kultura pokonała m.in. niemiecką Deutsche Welle i włoską Rai Sat Nettuno⁵.

Knąbność, zaborczość oraz wrażliwość na nagany TVP Kultura zademonstrowała w 2005 roku. Początkowe problemy kanału z dotarciem do szerokiej rzeszy potencjalnych odbiorców były wynikiem konfliktu z operatorami największych w Polsce telewizji kablowych⁶. TVP domagała się od nich dodatkowych opłat za dostarczanie kanału, stworzenia pakietu kanałów TVP bądź dodatkowej opłaty wysokości 1 zł 50 gr od każdego gniazdka. Konflikt został rozwiązany 2 grudnia 2005 roku⁷. Na mocy porozumienia z Polską Izbą Komunikacji Elektronicznej TVP zobowiązała się dostarczać kanał bezpłatnie (Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji orzekła, że operatorzy telewizji kablowych nie są zobligowani dostarczać

⁵ I. Sobolewski: TVP Kultura i Trzeci z satelitą mi Grechucie, „Gazeta Wyborcza”, wydanie waw z dnia 29.09.2006.

⁶ V. Makuch: TVP Kultura: misja i cele nie publiczne, „Gazeta Wyborcza”, nr 116, wydanie waw z dnia 30.05.2005-26.05.2005.

⁷ TVP Kultura: Wreszcie w kable, „To & owo”, nr 50, 13 grudnia 2005, s. 116.

TVP Kultura). W efekcie, na początku 2006 roku TVP Kultura odbierało już blisko 4 mln⁹ abonentów sieci UPC Polska oraz pakietu analogowego Basic Aster (należących do Polskiej Izby Komunikacji Elektronicznej). W 2006 roku kanał zaczął się pojawiać w ofertach innych telewizji kablowych. Obecnie znajduje się w ofercie około 120 telewizji kablowych. Nadawany jest też drogą satelitarną (n. Cyfra+, Cyfrowy Polsat, FTA – na satelicie Astra).

Jak na dwuletniego smarka, TVP Kultura ma się więc całkiem nieźle, by nie rzec bardzo dobrze. *Enfant prodige?*

Odpowiedzi nie można udzielić, posługując się jedynie garścią dziennikarskich informacji. Należy raczej zastanowić się nad tym, co jest niezwyklego w uruchamianiu przez polską telewizję publiczną kanału tematycznego poświęconego wysokiej kulturze i sztuce. Na początek: o pewnym swoistym paradoksie związanym z kształtowaniem się zamiłowania do sztuki. Mówi się, że jest ono „nabyte” lub „wyrobione”. Na pozór takie stwierdzenie „uwłaszcza” sztuce, która sprawia wrażenie czegoś nienaturalnego, sztucznego lub pretensjonalnego. W istocie chodzi o to, że należy być obeznanym ze sztuką, aby znajdować przyjemność w obcowaniu z nią i że im bardziej jest się obeznanym, tym więcej przyjemności się czerpie. Owo zamiłowanie jest więc fundamentalnym czynnikiem decydującym o uczestnictwie w życiu artystycznym. Na czym więc polega paradoks? Człowiek czerpie przyjemność z obcowania ze sztuką wtedy, kiedy jest z nią obznajomiony. Obznajomienie wszakże jest następstwem obcowania ze sztuką. Człowiek nie posiadający jednak zamiłowania do sztuki nigdy nie zdecyduje się z nią obcować. W efekcie, miłośnicy sztuki tworzą dziś – używając terminologii marketingowej – zaledwie niszę.

Pewne nadzieje na rozszerzenie tej enklawy i „przełamanie” opisanego paradoksu daje powszechna edukacja artystyczna. Niestety, dominujące we współczesnym świecie tendencje liberalistyczne sprzyjają jej marginalizacji. Co prawda, istnieją organizacje artystyczne, którym po przyjęciu orientacji marketingowej udaje się coraz skuteczniej przyciągać nowych członków, na wielu jednak ludzi specjalistów do spraw marketingu nie mają wpływu, z powodu rozmaitych barier geograficznych, ekonomicznych, społecznych.

Jeśli chodzi o kształtowanie upodobań artystycznych i upowszechnianie kultury, olbrzymim potencjałem dysponują media masowe. Na przykład Wiesław Łagodziński podaje, że w 1990 roku *statystyczny Polak raz na 6-7 lat chodził do kina; raz na 12-13 lat oglądał spektakl operetkowy; raz na 26 lat był w operze; raz na 22 lata słuchał koncertu w filharmonii; raz na 8-9 lat oglądał wystawę; raz na 3-4 lata był w cyrku; raz na 3 lata uczestniczył w widowisku estradowym. W tym samym czasie oglądalność telewizji wynosiła 98,7% badanych. Ponad 80% ankietowanych było przekonanych, że telewizja może zastąpić kino, 67,7% – teatr, 67% – gazety, 45,9% – książkę, 37,3% – koncert muzyki poważnej¹⁰. Z kolei z badań nad najpopularniejszymi formami spędzania czasu wolnego przez Polaków przeprowadzonych przez Instytut Badania Opinii GfK Polonia w maju 2001 roku wynika, iż na pierwszym miejscu jest oglądanie telewizji¹¹. Zaś z analizy budżetu czasu i sposobów spędzania urlopu przez Polaków przeprowadzonych przez Małgorzatę Bombal i Annę Dąbrowską we współpracy z Instytutem Badania Opinii, Rynku i Konsumpcji GfK Polonia w maju 2002 roku wynika, iż na oglądanie telewizji Polacy przeznaczają średnio 2,7 godziny na dobę w dni powszednie; w weekendy natomiast – 3,56 godziny na dobę¹².*

⁹ Początkowo kanał odbierało około 200 tys. odbiorców.

¹⁰ W. Łagodziński: *Scenariusz i zapisy zmian uczestnictwa w kulturze w latach 1990-2001 w świetle wyników badań Głównego Urzędu Statystycznego, NCK, Warszawa 2004, s. 9*, cyt. za L. Wyka: *Wzrost narodził kulturę – prawda czy fałsz? (1990-2000) Almanach prowincjonalny*, Raciborskie Centrum Kultury, Racibórz – Listopad 2005.

¹¹ Cyt. za M. Bombal, A. Dąbrowską: *Czas wolny. Uczestnictwo w kulturze*, Wydawnictwo KIE, LIBER, Warszawa 2003, s. 181.

¹² M. Bombal, A. Dąbrowska, *op. cit.*, s. 181.

Media masowe uznaje się zazwyczaj za czynnik korozji wysokiej sztuki, gdyż kojarzy się je przede wszystkim z popkulturą. Zamiłowanie do sztuki popularnej również jest nabyte, i to nabyte w sposób niemal naturalny. Media masowe – zwłaszcza komercyjne – nie pozwalają wysokiej sztuce rywalizować z popularną. Ta sytuacja także posiada znamiona paradoksu, choć być może lepiej porównać ją do procesu „samuwzmacniania”. Media masowe wychodzą naprzeciw powszechnemu zamiłowaniu do sztuki popularnej, kontakty z programami przygotowanymi według takiego paradygmatu wzmacniają to zamiłowanie, wyniki badań oglądalności utwierdzają producentów, że sztuka popularna jest rzeczywiście tym, czego publiczność chce, zaś gwarancja sporych zysków skłania ich do kontynuowania działalności. Byłoby naiwnością sądzić, że sztuka wysoka górowałaby nad popularną, gdyby nie było mediów masowych (na kształtowanie się zamiłowania do sztuki wpływ bowiem mają rozmaite czynniki, zaś media masowe są tylko jednym z nich). Z pewnością jednak układ sił byłby nieco inny.

Z drugiej jednak strony nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dominacja sztuki popularnej nad wysoką jest w dużej mierze zasługą mediów masowych, które wychodzą naprzeciw zamiłowaniu większości, faktycznie ignorując zamiłowania mniejszości. Medjoznawcy podkreślają, że jeżeli na rynku działają trzy stacje telewizyjne rywalizujące o odbiorców, to żadna z nich nie przygotowuje oferty programowej skierowanej do mniejszości. Każda będzie się raczej starała zdobyć możliwie największy udział u większości niż „uszczęśliwić” mniejszość.

Komercyjne stacje telewizyjne zwykle nie posiadają w swojej ofercie sztuki wysokiej, gdyż czerpią dochody ze sprzedawania czasu reklamowego. Reklamodawcy kupują czas reklamowy, płacąc za niego odpowiednio do rozmiarów medialnej publiczności. Najwięcej widzów gromadzą programy rozrywkowe. Komercyjni nadawcy działają więc pod siłą presji dezawuowania filmów dokumentalnych, programów edukacyjnych i sztuki wysokiej. Niezależnie od tego, produkcja programów kulturalnych sporo kosztuje; same zaś programy kulturalne przyciągają przed ekrany stosunkowo wąską publiczność. W pewnym sensie komercyjnych stacji telewizyjnych – działających zgodnie z logiką „maksimum zysku, minimum kosztów” – nie stać na produkcję programów kulturalnych. Ustępują tu więc pola publicznym stacjom telewizyjnym, tym bardziej że te ostatnie powołane zostały – zgodnie z treścią obowiązujących w większości krajów europejskich ustaw o radiofonii i telewizji – do pełnienia misji publicznej polegającej na „wspieraniu rozwoju tożsamości narodowej, narodowej kultury i edukacji społeczeństwa”¹³.

Tendencje do marginalizowania sztuki wysokiej nasilają się jednak również w publicznych stacjach telewizyjnych, które wciągane są w rywalizację z komercyjnymi nadawcami i zmuszane do większej niż kiedykolwiek dbałości o interesy ekonomiczne. Podobnie jak ich rywale, koncentrują się więc na sztuce popularnej¹⁴. Zarządzający publicznymi stacjami telewizyjnymi zdają sobie też doskonale sprawę z tego, że w czasach współczesnych telewizja publiczna nie może zajmować stanowiska paternalistycznego, polegającego na serwowaniu odbiorcom w dużych ilościach wysokiej treści i kompletnym ignorowaniu ich indywidualnych upodobań. Polska telewizja publiczna od wielu lat sukcesywnie poświęca coraz mniej czasu sztuce wysokiej. Przed 1989 rokiem w jej ofercie programowej było sporo treści kulturalnych i edukacyjnych. W dużej jednak mierze służyły one realizacji zadań propagandowych, gdyż telewizja była upoli-

¹³ B. Cierpiak: *Dla kogo telewizja? Model publicznego nadawstwa w państwach Unii Europejskiej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2002, s. 158.

¹⁴ Pisze felietonista P. Konopczyński: *Ten, kto wolałby oglądać telewizję, nie dawno pewnie musiał zauważyć, że telewizja – to nie tylko promienny ekran abonamentu, niekiedy doświadczenia człowieka przepominającego stację komercyjną. Nawet filmy produkcji oraz programy i cząstki można zobaczyć tam z ewidentną i coraz częściej coraz bardziej widoczną w telewizji przywrócić mu w jej publicznej. (Zadanie o abonament, felieton P. Konopczyńskiego „To & owo”, nr 47, 22 listopada 2005, s. 8.)*

tyczniona. Po 1989 roku polska telewizja publiczna pozostała właściwie nadal ubezwłasnowolniona. Zmienił się jedynie hegemon. Miejsce ideologii zajęła ekonomia. Narzuciła ona telewizji publicznej zasady funkcjonowania zgodne z logiką rynku. Telewizja publiczna miała więc pełnić swoją misję, a jednocześnie przyciągać reklamodawców. Po dziś dzień jej główny dylemat wynika z dążenia do „rozwoju” z jednej strony i realizacji misji z drugiej.

Pochodzący z 1999 roku Raport McKinseya podaje, iż w 1996 roku polska telewizja publiczna wyprzedziła europejskie i amerykańskie telewizje publiczne, jeśli chodzi o procentowy udział programów misyjnych z kategorii „film, teatr, muzyka, wysoka kultura” w ofercie programowej. Szczęśliwie się dziesięcioprocentowym wskaźnikiem, polska TVP górowała w tym czasie nad amerykańską PBS (5%), brytyjską BBC (4%), czeską ČT (8%), holenderską NOS (5%), niemiecką ARD (5%), szwedzką SVT (5%), niemiecką ZDF (4%), włoską RAI (3%) i francuską F2 (1%). Z drugiej jednak strony, według opracowanego przez Instytut Monitorowania Mediów w Polsce „Raportu o obecności kultury i dziedzictwa narodowego w programach telewizji publicznej” z 2000 roku udział programów kulturalnych w programie telewizji publicznej (TVPI, TVP2, Regiony i TVP Polonia) wynosi 6,8%, a programów poświęconych dziedzictwu narodowemu – 1,7%. Autorzy raportu zwracają również uwagę na fakt nadawania przez telewizję publiczną programów kulturalnych „w godzinach przedpołudniowych, późną nocą bądź w porze *Wiadomości*”¹⁶. W ciągu ostatnich lat pod tym względem niewiele się zmieniło. Wydaje się natomiast, że programów kulturalnych jest w TVPI, TVP2, TVP3 i TVP Polonia jeszcze mniej niż w 2000 roku.

TVP Kultura jest więc publiczną stacją telewizyjną dostarczającą odbiorcom wysokiej jakości programów kulturalnych, których nie znajdziemy w ofercie ani stacji komercyjnych, ani publicznych; jak ujmuje to Tadeusz Sobolewski, jest „telewizją nie do konsumowania, ale do świętowania”¹⁷. Realizuje tym samym z powodzeniem ustawową misję przypisaną telewizji publicznej. Zważywszy na fakt, że czasy współczesne nie są dla wysokiej kultury sprzyjające, a oferta programowa mediów masowych „dostrajana” jest do rozgrywających się wydarzeń politycznych, gospodarczych i społecznych, jej uruchomienie należy przyjąć ze szczególnym uznaniem. Jeśli zgodzić się z Beatą Ociepką, iż polskie publiczne media masowe powinny dążyć do „znalezienia modus vivendi dla wartości kultury wysokiej i niskiej”¹⁸, to uruchomienie TVP Kultura wydaje się je do tego celu przybliżać.

Uruchomienie kanału wydaje się równie przybliżać polskie publiczne media masowe do innego celu, jakim jest znalezienie modus vivendi pomiędzy wartościami kultury narodowej a wartościami kultury europejskiej. Współpracując od 1993 roku z francusko-niemiecką telewizją ARTE, polska TVP była drugą po belgijskiej RTBV europejską stacją telewizyjną, która podpisała z ARTE umowę o współpracę. W ramach tej współpracy TVP co roku produkuje dla ARTE kilkadziesiąt godzin programów kulturalnych. Sprzyja to niewątpliwie upowszechnianiu ogólnoeuropejskiej kultury (choć przecież istnieją zaciekle przeciwnicy tej koncepcji). Przez pewien czas mówiło się nawet o współtworzeniu przez Polskę – wspólnie z Francją i Niemcami – telewizji ARTE. Nie doszło do tego m.in. dlatego, że TVP uruchomiła własny kanał poświęcony tematyce kulturalnej, tj. TVP Kultura. Wychodząc więc naprzeciw tendencjom europocentrycznym, TVP Kultura zachowała swoją tożsamość (programy poświęcone polskiej kulturze i sztuce zajmują sporo miejsca w ramówce stacji).

Poza tym TVP Kultura jest udanym przykładem realizacji idei tzw. narrowcasting, czyli nadawania specjalistycznych programów kierowanych do zaniedby-

wanej na ogół mniejszości (zainteresowanej chociażby wysoką sztuką)¹⁹. W przeciwieństwie do komercyjnych stacji telewizyjnych nie ignoruje niezbyt licznej grupy miłośników sztuki. Jako publiczna stacja telewizyjna może sobie na to wszystko pozwolić, ponieważ finansowana jest ze środków publicznych, a w pewnym czasie nadaje również reklamy. Decyzja o nadawaniu reklam przez stację była przez długi czas odwołana. Pokusa realizowania w przyszłości spektakularnych i kosztownych przedsięwzięć kulturalnych okazała się jednak silniejsza od obawy o ewentualne uleganie presji reklamodawców i wypaczanie misji publicznej. Reklamy w TVP Kultura nadawane są zresztą w bardzo rozsądny sposób. Widzowie kanału nie stanowią koherentnej grupy oglądających telewizję często i długo (tzw. heavy viewers). Są to raczej wielbiciel muzyki poważnej, baletu, teatru lub filmu, którzy zasiadają przed telewizorami tylko z myślą o wybranych, szczególnie interesujących ich programach (tzw. light viewers). Na ogół są odporni na działanie reklamy masowej. Publiczność pojedynczego programu kulturalnego jest zwykle bardzo mała²⁰. Kierowane do takiej publiczności reklamy – zamknięte w bardzo krótkie bloki reklamowe – dostosowane są więc do oferty stacji. Dąży się też do tego, by reklamodawcy występowali w przyszłości przede wszystkim w charakterze sponsorów i mecenasów poszczególnych programów i pasm.

TVP Kultura pełni więc dwie zasadnicze funkcje. Z jednej strony zaspokaja potrzeby niezbyt licznej grupy miłośników sztuki – wspomnianej niszy odbiorców o szczególnych zainteresowaniach artystycznych – i robi to znakomicie. Ostatecznie „wysztaleniuchy” – cytując świeżo upieczonego klasyka – powinny mieć swoje „kulturalne getto”. Z drugiej strony uprawia artystyczny prozelityzm pod hasłem „sztuka dla wszystkich” – i tu już można sobie pozwolić na mały przytyk pod jej adresem. W związku z tym, że redaktorzy stacji są specjalistami w swoich dziedzinach, że goście zapraszani do dyskusji w studio są zwykle wybitnymi artystami, badaczami lub znawcami kultury i sztuki, dominuje w TVP Kultura pewien szczególny rodzaj dyskursu (artystyczny, naukowy, dziennikarski), który ludzi potencjalnie zainteresowanych kulturą i sztuką może odstraszać niejako już „na wejściu”²¹. Dowody na to znajdziemy w opiniach internautów. Piszcie niejaki Maciek: *Dwa słowa odnośnie transmisji Konkursu Chopinowskiego w TVP Kultura. Relacje „na żywo” są naprawdę wielkim krokiem w kierunku promowania naszej kultury. Ale na Boga, panowie, jak można zapraszać do studia osoby w stylu prof. Tamawska, prof. Kozubek i nie wiadomo kto jeszcze. Już pomijam kwestie merytoryczne (bo cóż to za recenzje: „nie czuje Chopina”, „pianistka za mało wyinterpretowana”), ale przecież ci ludzie nie potrafią poprawnie mówić po polsku! Jeśli ktoś pragnie wystąpić w telewizji, a tak naprawdę kompletnie nie ma nic do powiedzenia, to jest to doprawdy żenujące. Czy oprócz krytyków z „warszawki” nie ma w tym kraju fachowców, którzy potrafią zarazić muzyką, wyjaśnić niuanse sztuki pianistycznej i jednocześnie posługiwać się słownictwem bardziej wysublimowanym niż posłowie Samoobrony?*²²

Nie ma racji Maciek, wytykając prof. Elżbięcie Tamawskiej i prof. Lidii Kozubek językową pośledniość. Ostatecznie są to eksperti w dziedzinie pianistyki; posiadają rozległą wiedzę z gatunku „know how” i nie muszą być „złotousti”. Podobnie trudno zarzucić muzykologom posługiwanie się terminami kompletnie nieznanymi przeciętnemu człowiekowi. Słuszne natomiast wydaje się ostatnie pytanie Macieka, w którym pobrzmiewa tęsknota za Indźmi, którzy dysponując fachową wiedzą potrafiliby przelamywać ograniczenia wspomnia-

¹⁶ B. Ociepka, op. cit., ss. 165-168.

¹⁷ T. Sobolewski: *Kultura nuda*, „Kultura Wyborcza”, nr 95, wydanie waw z dnia 25/04/2005.

¹⁸ Tamże, s. 163.

¹⁹ J. Heilbrun, C. M. Grey: *The Economics of Art and Culture*, 2nd ed. (Cambridge, England: Cambridge University Press, 2001), ss. 369-370.

²⁰ Por. J. Wętko: *TVP Kultura jak BBC4*, „Kultura Wyborcza”, nr 190, wydanie waw z dnia 26/08/2005.

²¹ Por. M. Mrozowski: *Media masowe*, Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR, Warszawa 2001, ss. 21-24.

²² Por. Maciek do fachowców w studio TVP Kultura, www.tvp.pl, 11.10.2005.

nego dyskursu. Bowiem tylko z takimi ludźmi można wychodzić z „wielką” kulturą i sztuką do masowego odbiorcy tylko z takimi ludźmi można bronić się przed zarzutami elityzmu. Nie jest to zadanie łatwe. Wymaga posługiwania się językiem mniej specjalistycznym (wg Basila Bernsteina kodem ograniczonym; wg Johna Fiske kodem szerokim). Wspomniany John Fiske postuluje jednak uznanie kodu szerokiego za pełnowartościowy i podkreśla, że używanie go pozwala skuteczniej docierać do większych rzesz odbiorców i wciągać ich w orbitę wpływów sztuki²¹. Jeśli zarządzający stacją myślą o zainteresowaniu swoją ofertą szerszej publiczności, muszą zadbać o programy skonstruowane specjalnie dla niej. Piewca popkultury Kuba Wojewódzki przyznał w jednym z wywiadów: *Zrobić popkulturowy program o kulturze, zwanej dziwnie wyższą – to rzeczywiście byłoby wyzwaniem!*²²

Przeszła więc TVP Kultura przez okres noworodkowy, niemowlęcy i poniemowlęcy. Trzyma się zdrowo, rozwija dobrze. Trzymajmy kciuki za okres przedszkolny.

Maciej Biłtas

²¹ Cyt. za B. Ociepka, op. cit., ss. 160-161.

²² *Zarłanica mnie zachłód słucha*, wywiad z Kubą Wojewódzkim, „Chwała Telewizji”, 21.05.2004-27.05.2004.



Janek Julian Ziolkowski, olej, płótno, 130 x 150 cm, 2003

sztuka słuchania

MAGDALENA JANKOWSKA

Świat prze(d)stawiony

Sztuka radiowa, której ostoją jest Teatr Polskiego Radia, ma swe wąskie, ale zasłużone grono współczesnych autorów. Należy do niego Piotr Młidner-Nieckowski, który zadebiutował w 1972 roku komedią *W ciemności*. Od tego czasu na antenie ukazało się ponad sześćdziesiąt jego dramatów. Najlepsze z nich zostały wybrane do publikacji książkowej, w serii „Słuchowiska Polskiego Radia” (wcześniej wyszły zbiory prezentujące dorobek Jerzego Górczańskiego, Bogdana Loebla i Andrzeja Mularczyka).

Tytuł wyboru – *Piórko* – wzięty od pierwszego słuchowiska, znakomicie charakteryzuje ulotność materii, jakim jest słowo w eterze. Wirujące w powietrzu i polyskujące wielobarwnym blaskiem, które w otwierającym tom dramacie jest przedmiotem tajemniczego eksperymentu, fascynacji i radosnych uniesień bohatera, nawet w oderwaniu od akcji tego mikro dramatu staje się atrakcyjną metaforą.

Przy tej okazji może się pojawić pytanie: jaki jest sens omawiać partytury, teksty będące zaledwie „półproduktem” spektaklu radiowego, uzyskujące pełną postać dopiero podczas realizacji dźwiękowej? Otóż przyglądając się dramatom w tej postaci możemy doszperzyć charakterystyczne cechy danego pisarstwa, które przy odbiorze słuchowisk są trudniej uchwytne. Partytura bowiem pozwala wnikać w intencje autora, na które nie nałożyły się jeszcze interpretacyjne pomysły reżysera (różnych reżyserów dla różnych słuchowisk). Tu mamy także dostęp do didaskaliów. Im również się warto przyjrzeć.

Kompozycja tomu zredagowanego przez Justynę Brylewską wynika z decyzji artystycznej, a nie historyczno-kronikarskiej. Układem nie rządzi bowiem zasada chronologii, chociaż zrazu może się tak wydawać, gdyż trzy pierwsze teksty są świadectwem regularnego cofania się w czasie: 2004, 1999, 1996. Po nich jednak znajdujemy debiutanckie słuchowisko z 1972 roku. Zatem pomysł na ich kolejność odzwierciedla troskę o skomponowanie takiej linii napięć między poręcznymi dramatami, by mogła ona nadać książce interesujący „ton”, właściwą dla tak różnych słuchowisk „melodię”. Sąsiedztwo zaproponowane tekstom w książce uwypukla rejestr chwytów literackich i rodzaj gier z czytelnikiem stosowanych przez autora. A wśród zestawu są sztuki o różnej przynależności gatunkowej (choć najczęściej nie mieszczą się w pełnym zakresie danej formy) i odmiennej konwencji artystycznej.

Młidner-Nieckowski bardzo chętnie posługuje się efektem zaskoczenia. Tak buduje akcję słuchowisk, by w pewnym momencie odbiorca mógł odkryć, że został zwiedziony i zgola opacznie odeczytywał przebieg akcji. Ta konstatacja staje się przeżyciem – źródłem satysfakcji estetycznej i towarzyszącej mu refleksji nad istotą rzeczy.

Strategia ujawniania charakteru prezentowanej rzeczywistości, odstawiania stopnia jej wewnętrznej komplikacji ukierunkowana na zdumiewanie słuchacza jest bardzo złożona i różni się w poszczególnych słuchowiskach. Czasem otrzymujemy szereg poprzedzających sygnałów, które intrygują odbiorcę i budują napięcie oczekiwanie. Innym razem zdumiewający obrót rzeczy ujawnia się nam w samym finale bez zapowiedzi. Przewrotność niektórych rozwiązań pozwala mówić o wyraźnej skłonności do konceptu. Szczególne przykłady tej tendencji to *Księżna, Kasa* i *Cyrulik*.

Prześledźmy te zabiegi w *Cyruliku*. Rozmawiają: „On” i „Ona”. W didaskaliach nie ma żadnej charakterystyki postaci. Z ich dosyć tajemniczego dialogu z trudem rekonstruujemy okoliczności, którym towarzyszy. Bohaterowie są pochłonięci kopaniem jakichś rowów, o czym informuje też tekst poboczny: „Odgłosy kopania”. Język rozmowy ujawnia cały ich prymitywizm. W drugiej części słuchowiska określonej w partyturze „W domu Cyrulika” rozmówcami są „Żona” i „Cyrulik”. Obydwoje wyrażają się w sposób nieco wyszukany. Jednak mimo wyrafinowanych zwrotów kiótlivy ton i wzajemna pretensja przedzierają się na powierzchnię, a wzajemny stosunek tych dwojga okazuje się być identyczny jak w pierwszej parze. Teraz dowiadujemy się, że on jest pisarzem. Wreszcie staje się jasne, że ludzie z pierwszej części – ci niezyczliwi sąsiedzi „Cyrulika”, są bohaterami napisanego przez niego utworu. A kiedy pisarz zarzuca żenie brak zainteresowania jego artystycznym rzemiosłem, jej odpowiedzi przekonują nas, że to ona jest pierwowzorem postaci, a fakt, że pozostaje w identycznej relacji z mężem co „Ona”, stanowi wskazówkę, że „On” to porte-parole pisarza. Kolo się zamyka: postaci spod pióra pisarza, obserwują go, widząc w nim mało sympatyczną postać zamieszkujejącą obok. Komentują postępowanie swojego autora i jego żony, jakby to oni byli postaciami literackimi i ich życie można było przeczytać. Nikt nie jest tym, kim się mógł wydawać...

Dwa plany działania bohaterów są spięte klamrą motywu kopania pułapek na krety. O ile jednak „On” i „Ona” napędzani jakąś tajemną pasją, której niechęć do Cyrulika zdaje się być motorem, mimo absurdalności poczynań sprawiają wrażenie realnych, to kobieta wyłamuje się z tego porządku. To ona, traktując kreację artystyczną z całą naiwnością, odkrywa fikcyjny charakter zdarzeń:

ŻONA: Dobra. No to słuchaj. Przeczytałam wszystko. Tylko jak zaczynamy gadać na ten temat, to to cię wkurza. Więc się zrywam. Wszystko.

CYRULIK: Co na przykład, nie że wiem wreszcie.

ŻONA: A o tych debilach.

CYRULIK: O jakich, przepraszam, debilach? Nie przypominam sobie.

ŻONA: Co kopią w kółko jakiś rów, czy coś w tym stylu. Ja bym ci dawno powiedziała, co o tym myślę, ale już widzę twój gębę. Nosorożec.

CYRULIK: Ach tak. No, no, i co o tym sądzisz? Ciekawe studium mentalności, prawda?

ŻONA: Ciekawe. Jakie ciekawe? Tylko kretyn może coś takiego napisać. W jakim ty świetle przedstawiasz tam siebie?

CYRULIK: W jakim? Proszę.

ŻONA: Bandyta, tylko podgląda tych biedaków, dziany mi cztery bajery, a oni w jakiejś chalupce... Co ty, człowieku. Masz chociaż samochód? Pytam o samochód, a piętmowej willi to już nie wspomnę! Nic nie masz, gniewdzimy się w kurniku, palancie, ekspediencie jeden!

CYRULIK: Powiedzmy, że tego istotnie ci nie dałem, ale dałem...

ŻONA: Co powiedzmy, co powiedzmy? Co dałeś? A to; czy ty myślisz, że w taki rów to się złapie chociaż jeden kret? Trzeba się pukać w głowę... Tym twym UTWOREM to można się podetrzeć.

To wtapianie się w świat przedstawiony i odzyskiwanie statusu kogoś zewnętrznego jest chwytem komicznym jak w filmowej „Ucieczce z kina wolność”, ale jak tam nie służy jedynie czerzej zabawie. Można się spierać o dodatkowy sens tych zabiegów – czy gra piszącego z napisanym służy rozważaniu ich statusu ontologicznego, czy też w swej autotematyczności staje się refleksją o sposobie pisania i metodzie budowania dzieła. A może zabieg ten akcentuje kompensacyjną rolę sztuki albo pokazuje sztukę jako źródło samopoznania. Którykolwiek z tych tropów interpretacyjnych przyjmiemy, to źródłem napięcia dramaturgicznego pozostanie sposób przedstawiania zdarzeń, a nie sam ich zdumiewający obrót, gdyż bez formalnych komplikacji jest on w sumie niewielki.

Bohaterowie tych słuchowisk to zazwyczaj „para” lub kompilacja par pojawiających się w kolejnych scenach. Teatr radiowy uwielbia przejrzeć dla słuchacza i intymne ze swej natury dwugłosy, ale tutaj te duety to układy naznaczone emocjonalnie, nie tylko sytuacyjnie. To związki, w których gros energii wydatkuje się na wzajemne upokarzanie i rozpamiętywanie uraz. Pogardzają sobą starzy małżonkowie w *Piórku*, psychologiczny kliniec jest udziałem chorej żony i jej niewiemego męża z *Księżnej*, we wzajemnych pretensjach grzęzną małżonkowie w *Szczeniaku*, „On” i „Ona” z *Mieszkania do wynajęcia* poślubiłni sześćdziesiąt lat temu przeczucują się oskarżeniami.

Bohaterowie mikrodramatów Muldena-Nieckowskiego to frustraci i zawistnicy. Tacy, co to zawsze widzą, że u sąsiada trawa jest bardziej zielona. To ludzie o schizofreniczno-paranoidalnym rysie, który im każe wszystkiego się bać i wszystko co złe przypisywać innym. Wiąże ich wróg zewnętrzny, a tym może być każdy i wszystko wokół – sąsiedzi, przedstawiciele służb publicznych, rząd, telewizja, każdy kto jest bogalszy od mówiącego. Długo by wyliczać...

W groteskowym przerysowaniu tych postaci najważniejsza jest charakterystyka poprzez język. Wystarczy krótki dialog, by odmalować bohaterów:

ON: Mówiłem, że ekspedient.

ONA: Najgorsze słowo, jakie znam.

ON: Ja też.

ONA: Ekspedient to jeszcze gorsze niż sąsiad.

ON: Od dzisiaj cyrulika nazywamy ekspedient.

(..)

ON: Ale najgorszy jest ekspedient.

ONA: Ja bym się ekspediować wstydziła. A już na zwierzętach to w ogóle.

ON: Na królikach. Myślisz, że on ekspediuje na ludziach? Cyrulik? Wszystko możliwe.

ON: Hitlerowiec.

ONA: Jeszcze mu daj pistolet do łapy.

(Cyrulik)

W języku odnajdujemy skutki poddania się doraźnie lansowanym ideom i poglądom, pomieszczenia stylów mowy, przyjmowania nie swoich ról. To zniewolone łączy się z unifikującą człowieka rutyną dnia codziennego. I mamy galerię pozbawionych indywidualności jednostek, które z nią wydobywają się mocą własnej swarliwości. Chcąc się wyodrębnić, zaznaczyć swoją obecność, rozdają bodaj drobne, uktucia:

ONA: Co ty chrzanisz? Byleś wtedy zakochany.

ON: A ty byłaś zakochana?

ONA: Ja to co innego. Ja znalazłam z tobą w ciężę.

ON: No widzisz. Ty to sobie całe życie wyobrażasz, że dzieci się biorą z miłości. Halinka nie jest taka głupia.

ONA: Tysiąc razy mówiłam, że mnie kochasz.

ON: Po co rozgrzebywać przykre sprawy. Zniel temat. Co mi zostało, to kupka bezradziejnych fistów.

ONA: Mnie zostało jeszcze mniej. Włosy ci wyleciały, zęby pogubiłeś, pamięć straciłeś i zostałeś już tylko ty sam.

(Szeczeńiak)

Mimo wszystkiego co smutne, a co Mulner-Nieckowski pokazuje nam w ludziach dialogi skrzą się dowcipem, co jest niekwestionowaną wartością tego pisarstwa.

Świat przedstawiony ma być trudno uchwytne, a zadaniem stawianym odbiorcy jest zlepiać całość z poszczególnych elementów. A kiedy się nie udaje, kiedy uświadomiamy sobie, że czegoś tu brakuje – np. serdeczności, uznania, szacunku, a poszczególne elementy nie bardzo do siebie pasują, pozostaje nam zastanowić się, dlaczego tak jest. Z owych szczelin, pęknięć, luk wyłania się pytanie o możliwość przezwyciężenia tego stanu rzeczy lub choćby znalezienia sposobu zniesienia go – jakiejś gry, która z rozpaczki wydobywa element zabawy. Autor sprawdza tę możliwość na swoich bohaterach, a także zdaje się nas prowokować do poszukiwań.

Dobrze, że te dramaty radiowe w wersji książkowej zatrzymały to co najlepsze w trzydziestopięcioletnim dorobku Mulnera-Nieckowskiego.

Wszystkie one miały premiery antenowe przygotowane przez znakomitych reżyserów radiowych: Zbigniewa Kopalko, Janusza Kukulę, Waldemara Modestowicza, Sławomira Olejniczaka, Edwarda Placzkę, Jana Werenycię. Zagrała w nich czołówka aktorów polskich: Wiesław Gliniński, Danuta Szallarska, Małgorzata Kożuchowska, Danuta Stenka, Piotr Fronczewski, Witold Pyrkosz, Marian Opania, Wiktor Zborowski, Edyta Jungowska – że z konieczności ograniczę się do kilku nazwisk (w publikacji zawarta jest informacja o obsadzie każdego z dwunastu słuchowisk). To doskonała dodatkowa zachęta do słuchania spektakli sygnowanych tym nazwiskiem.

Magdalena Jankowska

Piotr Mulner-Nieckowski: *Pierśń. Dramaty radiowe*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2007, ss. 236.

Książki nadestane

Poezja

Maria Przybylska: *Podpłamyki*. Norbertinum, Lublin 2006, ss. 47.

Alina Dorota Paul: *Drogami wiary*. Wydawnictwo Bestprint, Lublin 2007, ss. 96.

Andrzej Strąg: *Mars wita nas*. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Łódź 2006, ss. 51.

Grzegorz Wołoszyn: *Zawsze słowo*. Posłowie Jan Pieszczachowicz. Młodzieżowy Dom Kultury, Kraków 2006, ss. 49.

Leszek Rak: *W kręgu światła*. Posłowie Longin Jan Okoń. Wydawnictwo TAWA, Chełm 2006, ss. 63.

Radosław Wiśniewski: *Albedo*. Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2006, ss. 37. Biblioteka „Studium”, t. 86.

Sławomir Rudnicki: *Szept błyskawic / Lightning's Whispers*. Tłumaczył na język angielski Waldemar Łęczyński. Związek Literatów Polskich, Lublin 2007, ss. 147.

Maria Orzeszkowska: *Posłuchaj przez ocean*. Wydawnictwo AKWEDUKT, Wrocław 2007, ss. 136.

Agnieszka Syska: *Krzyk przedświatów*. Instytut Wydawniczy Świadektwo, Bydgoszcz 2007, ss. 51.

Całobury jak za hury
wymuszą zakochane pary,
jako w prasie przeczytamy,
że są nowe napadów ofiary

Niechże krzyje swoje widzenie
Nigdy niech się nie odwraca,
Ogłuska czołwa się w kufce,
Z kwiatem w przeczucie się ubiera

bardowie

MAREK ANDRZEJEWSKI

Jak listy

muz. Tomasz Denis i Marek Andrzejewski

Kto nas rozesał w świat, jak listy,
Na długą drogę los nieznaną
Duszy kawalek kartki czysty
Dał nam, by został zapisany?

A życie zapisuje różnic
Niebieskim swym wiecznym piórem,
Jednym donosy, drugim wiersze,
Lub też pokreśli coś niektórym.



Nic jeden kryje swoje wnętrze,
Nigdy nikomu się nie otwiera.
Głęboko chowa się w koperce,
Z zewnątrz w pieczętki się ubiera.

Kto nms jak listy w świat rozesłał
I docelowy adres zatarał?
Wędrowni nie możemy przerwać
Nim nie znajdziemy adresata...

Wędrowni nie możemy przerwać
Nim nie znajdziemy adresata...

Nim nie znajdziemy adresata.

Lot Amsterdam – Tokio

muz. Marek Andrzejewski

Pękaty, jak puszka coca-coli,
kawał rury z cennym nadzieiem,
nosi w górę tam gdzie anioły
hermetycznie zamknięte nadzieje.

Doprawdy to pyszny kawał,
oto człowiek kruche stworzenie,
zapięty w garnitur i krawat,
łaskocze Bogu podniebienie.

Wielka skrzydlata tabletko,
pełna sere, krwiobiegów i kości,
nie strawiona przez Pana Boga
na człowiecze wraca włóści...

Trolejbusowy batyskaf

muz. Marek Andrzejewski

W noc miasto się zanurza,
jak w toń ciemnego oceanu,
wszystko zamarło,
śpią podwórza

i płynie ostatni według planu
trolejbusowy batyskaf,
trolejbusowy batyskaf.

Cate-bary jak za burzę
wyrzucają zakochane pary,
jutro w prasie przeczytamy,
że są nowe napadów ofiary

i płynie świecąc w okna wystaw
trolejbusowy batyskaf,
trolejbusowy batyskaf.

W jego szyby księżyc patrzy
wielkim okiem głębinowej ryby,
wokół miasto, jak ruiny
zagubionej dawno Atlantydy,

tak płynić
cały w elektrycznych błyskach
trolejbusowy batyskaf,
trolejbusowy batyskaf.

Smutny jogurt

muz. Marek Andrzejewski

Stoi w ciemnym rogu
mały smutny jogurt,
nikt go nie kupuje,
bo nie reklamuje

żadna go modelka,
gdy telenowelka,
żadna go dziewczynka,
kiedy wieczorynka.



Nie ma molekuly
zwykly proszek, który
choć jest piorący,
jednak nie wiodący.

Niewygórowana
cena więc nie złości,
zwłaszcza że mu mija
termin przydatności.

Sioś w ciemnym rogu
mały smutny jogurt,
gdzieś na półce trzeciej
w mym supermarkecie.

Nikt go nie kupuje,
bo nie reklamuje
żadna go dziewczynka,
kiedy wieczorynka,
żadna go modelka,
gdy telenowelka.

Raz na walcu

muz. Marek Andrzejewski

Raz na walcu, raz pod walcem –
Życie polega na walce,
Na walec lub na wyścigu –
Raz pod dźwigiem, raz na dźwigu.

Żeby plaszczyc i rozgniatć
Walec świetnie się nadaje,
Kto na walec się nie wdrapał,
Ten już nijak nie odstaje.

Raz na walcu, raz pod walcem...

Kto pod walcem ten przemienie,
W mieście, w cieście, w jednym placku.
Ciasno więc jest przy drabinie
I miejsc nie ma już w kabinie.

Raz na walcu, raz pod walcem...

Raz pod walcem, raz na walcu --
Życie polega na szmalcu.
Na szmalcu lub na etacie –
Raz na stracie, raz w senacie.

Rozpal się ogniu

muz. Marek Andrzejewski

Swoj numer mam, swoje miejsce,
mam swoje miejsce w szufladzie,
papier, kwadrat zdjęcia,
spinacz zapięty na chęciach
mam.

Podpisany w rubryce,
tam gdzie miało być życie,
zestaw dat, marzeń ślad,
w kratkę kartka w zeszytce –
to ja.

Rozpal się ogniu wśród nocy,
rozpal płomienia natchnieniem,
rozpal się ogniu wśród nocy,
rozpal skrzydlatym płomieniem.

Swoj numer mam, swoje miejsce,
jestem kartką w szufladzie,
jestem kartką w rejestrze
sprasowaną mam przestrzeń.

Poskładany w kwadracie,
w pasującym formacie,
wykreślony na mapie,
zamrożony na papier –
to ja.

Rozpal się ogniu wśród nocy,
rozpal płomienia natchnieniem,
rozpal się ogniu wśród nocy,
rozpal skrzydlatym płomieniem.

Życie jak skrzypce

muz. Tomasz Denis

Delikatne i piękne
życie jest jak instrument,
z konieczności wszyscy grają,
choć nie każdy przecież umie.

Jedni szarpną pizzicato,
drudzy ciągną skrzypce pierwsze,
Partytury rozpisano,
lecz coś nie brzmi w tej orkiestrze.

Czasem ktoś pęknie struna,
ktoś za ostro się przyłoży,
ktoś pociągnie nagle solo,
ktoś melodię nową stworzy.

Nie każdemu leżą skrzypce
i nie każdy jest tu mistrzem,
jedno wszakże możesz zrobić:
swoją partię zagraj czyściej.

Stój w dziurawym rogu
mały smutny jogurt.

Podręczny słowniczek

muz. Marek Andrzejewski

Nikt go nie kupuje.

- Człowiek – czynnik produkcji,
zasób siły i krew ulicy.
Życie – niezdefiniowane.
Cel – maksymalizacja.
Miejsce akcji – aglomeracja.

Statystyka z szarych nici
szyje ludzi na miarę ulicy.

Raz na wakacji

- Człowiek – według uczonych
Uniwersytetu Harvarda:
5 funtów wapnia,
1,5 funta fosforu,
9 uncji potasu,
6 uncji siarki,
6 uncji sodu,
nieco ponad uncję
magnezu
i mniej niż uncję
żelaza, ołowiu i jodu.
w sumie
8 dolarów i 37 centów.

Statystyka z szarych nici
szyje ludzi na miarę ulicy.

- Życie – niezdefiniowane.
Cel – maksymalizacja.
Statystyka – krawiec.
Miejsce akcji – aglomeracja.

Marek Andrzejewski

Rozpal się ogniu

muz. Marek Andrzejewski

Twoi numer mam, swoje miejsce
mam swoje miejsce w szulabacie,
papier, kwadrat zajęcia,
pieniacz zapięty na chęciach
mam.

Podbijany w mrozie

Łatwież miło być życie,
wstał dał, marzeń ślad,
w klatkę karku w zrywcie –

Rozpal się ogniu wódną noc,
rozpal płomienia natchnieniem
rozpal się ogniu wódną noc,
rozpal siłybiłymi płomieniem

Twoi numer mam, swoje miejsce
mam swoje miejsce w szulabacie,
papier, kwadrat zajęcia,
pieniacz zapięty na chęciach
mam.

Wzrost w krawacie
w parującym formacie,
wykreślony na mapie,
zamyślony na papier –

Rozpal się ogniu wódną noc,
rozpal płomienia natchnieniem
rozpal się ogniu wódną noc,
rozpal siłybiłymi płomieniem

Życie jak skrzypce
muz. Tomasz Duda

Delikatne i lekkie

Życie jest jak instrument,
z kłopotliwej wesołej gry,
chcę tak kandy przenieść umie

Ładnie się grać

Ładnie się grać, ładnie się grać,
ładnie się grać, ładnie się grać,
ładnie się grać, ładnie się grać,
ładnie się grać, ładnie się grać

podróże

STEFANIA I WALDEMAR MICHALSCY

Polesia czar, czyli kajakiem po Prypeci i Stochodzie

Podobnie jak w roku ubiegłym, tak i w tym, w dniach od 28 kwietnia do 3 maja 2007 r., lubelscy kajakarze spotkali się na Prypeci, a dodatkowo spłynęli także Stochodem. Ubiegłoroczna wyprawa prowadziła od miejscowości Ratno do jeziora Lubiaż, leżącego już na terenie Regionalnego Parku Krajobrazowego „Prypeć–Stochód”. Janusz Michalski, organizator pierwszej wyprawy, marzył o tym, by spływy po Prypeci stały się wyprawami powtarzającymi każdego roku. Lubelskie kluby kajakowe: Studencki „Kontra” przy PTTK KUL, Lubelskie Towarzystwo Kajakowe „Fala” oraz Klub „Ciemnik” przy Oddziale Miejskim PTTK w Lublinie podjęły tę inicjatywę. Na stronie internetowej ukazała się informacja o możliwości udziału w drugim spływie także kajakarzy spoza Lublina. Z zaproszenia skorzystał wodniak z Śląsku i Łodzi. Janusz Michalski nie mógł już wziąć udziału w wyprawie. Odszedł niespodziewanie 3 listopada 2006 r. W komunikatach o drugim spływie znalazła się informacja: *Wyprawa na Polesie poświęcona jest pamięci JANUSZA MICHALSKIEGO nieodżałowanego kolegi i inicjatora pierwszego spływu Prypecią.*

Budowanie tradycji

Kajakarze wyruszyli sprzed lubelskiego zamku kierując się na przejście graniczne w Dorohusk. Dzień wcześniej złożono wieniec i kwiaty na grobie Janusza, obiecując sobie także uczczenie jego pamięci na trasie wyprawy. Wśród 26 kajakarzy znalazły się osoby będące uczestnikami pierwszego spływu, a także „nowicjusze” – m.in. rodzice Janusza oraz przedstawiciele Biura Promocji Miasta Lublin. Rozpiętość wieku: od młodzieży studenckiej po „wytrawnych” sześćdziesięcioletków. Doświadczenia nabyte przy pierwszej wyprawie gwarantowały sukces, ale nie pomniżały nadziei na „odkrywanie obszarów niekniętych techniczną cywilizacją”. Pogodę zapewniała słoneczna wiosna, jedynie wiatry budziły niepokój. To one w ubiegłym roku zmusiły uczestników do wcześniejszego zakończenia wyprawy. W tym roku postanowiono rozpocząć spływ na jeziorze Lubiaż koło Lubieszowa – czyli tam, dokąd dotarli uczestnicy poprzedniego spływu.

Lubieszów – jezioro Lubiaż
(sobota, 28 kwietnia)

W południe, przy pięknej słonecznej pogodzie samochody wyprawy z przyczepami załadowanymi kajakami i canoe dotarły do historycznego poleskiego

miasta rejonowego Lubieszów. Zatrzymaliśmy się przy „polskim” cmentarzu. Wśród pojedynczych, poprzetracanych i zarosniętych bujną zielenią pomników wyróżnia się metalowy kilkumetrowej wysokości krzyż postawiony w kwarterze wydzielonej symbolicznym płotem. To inicjatywa Straży Polskich Mogił upamiętniająca wymordowanie w listopadzie 1943 r. przez UPA niejeńców Polaków. Przywieźliśmy ze sobą okazały wieniec z biało-czerwonych kwiatów. Został złożony pod krzyżem. Krótka wspólna modlitwa i chwila zadumy nad bolesną historią tej ziemi. A była ona świadkiem wielu patriotycznych manifestacji, m.in. zrywu napoleońskiego w 1812 roku, powstań narodowych 1794, 1831, 1863 r. (kościuszkowskiego, listopadowego, styczniowego). Z ziemi tej wywodzili się Tadeusz Kościuszko i Romuald Traugutt (dowodził w ekolicy powstańcami oddziałami w 1863 r.). Gdy wędrowaliśmy przez Lubieszów, widzieliśmy zachowany w stylu klasycystycznym budynek dawnej przyklaszczonej szkoły pijarskiej. Uczęszczał do niej Tadeusz Kościuszko wraz ze starszym bratem Józefem. Opuścił ją w 1760 r. ukończywszy m.in. naukę poetyki (młody Kościuszko malował i pisał wiersze). Nad drzwiami budynku zachowała się do dziś pamiątkowa tablica: *Tu kształcił swą wzniosłą duszę i umysł Tadeusz Kościuszko 1753-1759.*

Po krótkiej wizycie w tutejszej dyrekcji Regionalnego Parku Krajobrazowego „Prypeć-Stochód” i uzgodnieniu szczegółów wyprawy z dyrektorem Jurijem Olesiukiem umówiliśmy przewodnika na „labirynty” po Prypeci. Uzupełniono również „spożywcze zasoby” na kilkudniową trasę w miejscowym dobrze zaopatrzonej sklepie prowadzonym przez znajomych Witka Tkaczyka – współorganizatora wyprawy. Samochody podwoziły nas do odległego o 10 km betonowego mostu na Prypeci (droga niegdyś asfaltowa na trasie Lubiaż – Dolsk). Tu o godzinie 17.00 z pełnym ekwipunkiem załadowanym do kajaków, w kolorowych kamizelkach ratunkowych zesłaliśmy z trawiastego brzegu na wodę błękitnej Prypeci. Przy pięknej słonecznej przedwieczornej pogodzie, z zachodnim wiatrem „w plecy”, kajaki wydawały się płynąć lekko i majestajecznie. Od mostu do jeziora Lubiaż rzeka meandrowała wśród wysokich podmokłych traw z mieszanym lasem w tle. Wodne ptactwo nieustannie podnosiło się i zapadało w zielony dywan. Z prawego podwyższonego brzegu mieszkańcy nadbrzeżnego gospodarstwa oferowali świeżo złowione ryby (były przysmakiem na pierwszej biwakowej kolacji). Jezioro Lubiaż ukazało się wodą wielką po horyzont. Jest to największe jezioro w obszarze Krajobrazowego Parku „Prypeć-Stochód” – 520 hektarów otwartej powierzchni.

Biwak zaplanowany został w sosnowym lasku na piaszczystym wzgórzu, dokładnie tam, gdzie Janusz zakończył w ubiegłym roku swój spływ. Tym razem fale na jeziorze były łagodne i zycielne. Szybko rozbito namioty i rozpalono ognisko. Czesław Cheliński – szef wodniaków klubu „Ciemik” śpiewał za całą kompanię. Przy opowieściach, wspomnieniach i śpiewach ognisko płonęło do późnej nocy. Ukraińska „mnodowa z pieprzem” gwarantowała ciepłą noc pod namiotami.

Jezioro Lubiaż – Swałowieze (niedziela, 29 kwietnia)

Poranek z odczuwalnym północno-wschodnim wiatrem. Przed wschodem słońca w obozie jeszcze senna cisza, ale na pobliskich mokradłach i moczalich rojno i gwarno od przeróżnego ptactwa. Duże ptaki, przede wszystkim białe czaple, dostojnie wachlują w powietrzu skrzydłami, male całymi stadami przemierzają się szybko i gwałtownie, jak kamienie rzucone z miejsca na miejsce. Podobnie jak o zmierzchu, tak i teraz słychać sporadyczne i charakterystyczne buczenie – to bąk sygnalizuje swoją obecność, szuka partnerki. Ruch w namiotach

już już pełnym słońcu. Miłe zaskoczenie! około godziny 8 rano odwiedza nasze obozowisko mer Lubieszowa i dyrektor Parku Krajobrazowego. Przyplynie łodzią motorową, obydwa w strojach straży wodnej, pytanie „czy wszystko dobrze” i życzenia dalszego szczęśliwego pływania. Od Swałowiez dostaniemy przewodnika na tamtejsze labirynty Prypeci.

O godzinie 10 jesteśmy wszyscy na wodzie. Jezioro w słońcu granatowe, pod nami głębia 20-30-metrowa, fale rozbijają się na dziobach kajaków. Ważny moment ma miejsce na dużej wodzie. Tu Ania Truskolaska rzuca na fale jeziora zalakowaną butelkę z materiałami poświęconymi pamięci Janusza Michalskiego. W butelce są m.in.: relacja Janusza z ubiegłorocznej wyprawy, wspomnienie o nim drukowane w „Gazecie Wyborczej” z dn. 13 grudnia 2006 r. i krótki okolicznościowy tekst w języku polskim i ukraińskim.

Z jeziora od wschodniej strony wchodzimy w łagodny nurt Prypeci. Rzeka nieustannie meandruje wśród szuwarów i łóz. Po drodze rozdziela się na kilka nurtów. Wejną się w szuwały. Nasza kajakowa „flotyła” rozciąga się na kilka kilometrów. Pilnujemy się, aby nie stracić z oczu płynących przed nami sąsiadów, z trudem się to udaje, ale na krótkim postoju, po dwugodzinnym wiosłowaniu, na przybrzeżnej porośniętej trawą wydmy meldują się wszystkie załogi.

Od czasu do czasu wśród zieleni i starych drzew pojawiają się pojedyncze poleskie zabudowania. Gdzieś na horyzoncie dostrzegalny jest krzyż cerkiewki lub betonowy słup linii elektrycznej. Około godziny 15 przed nami duża wieś nad samą rzeką. Lądujemy zmęczeni, ale zadowoleni. Pogoda i szczęście dopisują. Nie ma tylko Elżbiety i Witka płynących na swoim białym kanu z wypisanym na burcie łódki imieniem „Zbrucz”. Pojawiają się z dwugodzinnym opóźnieniem, jednak błędzili. Lokujemy się na przygotowanym biwakowym obozowisku. Są tu dwa duże drewniane stoły z ławami, zadaszenie kryte trzcina szuwarową i... przesironna sławojka. Wieś nazywa się Swałowieze.

Mieszkańcy gościnni. Gospodyni z najbliższego domu częstuje chlebem w taśnego wypicku, zaprasza do skorzystania ze studni. Rozmawiamy po polsku. Okazuje się, że wszyscy starsi ludzie z tej wioski mieszkają tu od urodzenia i jako dzieci uczęszczali jeszcze do polskiej szkoły. Jest ich, jak mówi „czter-



Prypeć w porannej mgie. Łowienie ryb – odwieczne zajęcie Poleszuka

dzieści trzy dusze i jedna krowa". Młodzi wyjechali do Kijowa, Moskwy. Na nasze pytania kim są, niektórzy odpowiadają trochę niepewnie, że są Poleszukami, większość, że – Ukrainkami. Są prawosławni. W centrum wsi krzyż ustrojony sztuczny kwiatami i haftowanymi ręcznikami. Do cerkwi daleko. Chaty wiejskie i budynki gospodarcze sprzed dziesiątków lat, zbudowane z bali, nie bielone, kryte strzechą z trzciny (na niektórych dachach czeremcha). Trzcina o pustych łodygach od wieków używana była tutaj do krycia dachów. Domy zgrzebne, niewielkie, z estetycznym wystrojem okien. Ramy okien i drzwi wejściowych malowane na niebiesko. Na podwórkach jeszcze często funkcjonują studnie z żurawiem. Droga przez wieś gruntowa, piaszczysta. Ogólne wrażenie zamierzającego skansenu.

Z drewnianej wieży w centrum wsi widok na rozlewiska Prypeci w uprawie szuwarów. Za wieżą – samotna polska mogiła (jak wiele na tej ziemi) za rozsypanym się drewnianym plotem. W okolicy zarysy starej drogi, przy której dożywają swojego kresu wiekowe, pomnikowe dęby.

Wieczór ciepły. Dzień kończymy ogniskiem. Przy „kiukwie” i „pieprzowej” śpiewy na przemian nasze polskie i miejscowe ukraińskie.

Swalowicze – Nobel (poniedziałek, 30 kwietnia)

Słoneczny i rześki poranek. Pośpieszne śniadanie i o godz. 10.00 jesteśmy już na wodzie z przewodnikiem Siergiejem. Wiatr zachodni, korzystny, bo w plecy. Siergiej zapowiada atrakcje na trasie. Po dwugodzinnym wiosłowaniu głównym szerokim nurtem Prypeci lądujemy na wysokim piaszczystym wzniesieniu (148 m n.p.m. – najwyższe w okolicy). Na szczycie bunkier niemiecki z I wojny światowej. Dobrze zachowany. Podobne umocnienia na sąsiednich wzniesieniach. *Bitwy nad Prypecią, Stochodem i Styrem zmusiły Niemców – pisze F. A. Ossendowski w swojej książce pt. Polesie – do wojny biernej, pozycyjnej – bez nadziei na sforsowanie tej najpotężniejszej, bo naturalnej twierdzy, gdzie wykluczone jest operowanie wielkimi masami wojska. Po drugiej stronie rzeki ślady rusyjskich umocnień ziemnych.*

Spokojne wiosłowanie szeroką wodą pełną zakoli i odnóg. Żadnych widoków, tylko szuwar i woda. Po godzinie z lewej strony mijamy wbity w dno rzeki przy trzcinach metalowy krzyż z tabliczką. Miejsce utonięcia rybaka (wypadł z „duszechubki” i poszedł pod pływający dywan szuwarów). Zbierną się chmury. Niebo i rzeka stają się szare.

Na horyzoncie wiec Miłyny. Wszelkobeżne haczenie gniazda. Postój. Wędrujemy wzdłuż wsi wzbudzając zainteresowanie miejscowych. Rozmawiamy. Dowiadujemy się, że wszyscy mieszkańcy otrzymują zdrowotny dodatek naliacyjny (po Czarnobylu). Sklepowa przyjeżdża i specjalnie otwiera „magazyn”, abyśmy mogli zaopatrzyć się w chleb itp. Coraz chłodniej. Miejscowy człowiek z inicjatywą proponuje gorącą kawę. Pijemy płacąc po 2 hrywny za porcję w jednorazowym kubeczku. Ohydnie strony są zadowolone...

Na rzece coraz większe fale i wiatr. Stogi siana na podmokłych łąkach. Przed nami jezioro Nobel i duża wieś na półwyspie o tej samej nazwie. Lądujemy w nadbrzeżnym gospodarstwie (u znajomych Siergieja). W trakcie rozstawiania namiotów dopada nas ostry i zimny wiatr poprzedzający gwałtowny deszcz. Na szczęście krótkotrwały, ale i tak jesteśmy przemoczeni i zziębnięci.

Nobel, kiedyś miasteczko ze średniowiecznym grodziskiem – dziś na charakterystycznym wzniesieniu stoi murowana cerkiew z 1927 r. We wsi duża, murowana szkoła (stara, jeszcze przedwojenna, drewniana już nieczynna), dwa sklepy, przy jednym coś w rodzaju baru – tu rozgrzewamy się i dosuszamy przy ukraińskim piwie. Wieczorem pyszna kolacja (zupa szczawiowa zabieleną i ziem-

niaki ze śmietaną) przygotowana i przyniesiona do naszego „obozowiska” przez gospodynię, u której, w obejściu, rozbiliśmy namioty. Księżycowa poleska noc ze srebrną strugą na falach jeziora, tuż przy naszych namiotach...

Nobel – Swalowicze (niedziela, 1 maja)

Witek Tkaczyk i Szymek Dziuda budzą namiotowiczów radosną wiadomością: „Śniadanie czeka u gospodyni przed domem”. Kopa sadzonych jaj i pyszne pulchne drożdżowe racuchy... Z zasurzykiem nowej energii dosiadamy kajaków. Na wodzie zimny wiatr w twarz. Rozbijające się fale na dziobach kajaków. Chłodno. Siergiej zapowiada powrót do Swalowicz inną trasą. Płyniemy pod prąd i pod wiatr. Coraz większe chmury na horyzoncie. Mimo ostrego wiosłowania kajaki niemal stoją na wodzie. Do łodzi Siergiejowej z motorkiem „do-czepiają się” kajaki ze zmęczonymi załogami, my chętnie korzystamy z zaproszenia Witka. Jego canoe z miniaturowym silniczkiem radzi sobie wybornie, choć co rusz trzeba napędową śrubę oczyszczać z wodorostów.

Płyniemy przez poleską dziką, bezludną krainę, gdzie króluje rzeka, sitowie, łozy, wikliny i otaczające je bagna. Na horyzoncie zarysy lasów. Krótki odpoczynek na przybrzeżnej łące. Gniazda ptasie z jajami (kaczymi?). Roje ptaków nad głowami. Krajobraz niewiele się zmienił od czasów, gdy opisywał go Julian Ejsmond:

W przymglonych szuwarach słychać (...) tajemniczy głos bąka. Gdzieś w górze w miarowych odstępach odzywał się dudniący odzew bekasa, a śniące we



Napis na tablicy pod krzyżem: 27 maja 1944 r. na tych polach i wodach Prypeci podczas próby przekroczenia na rzece linii frontu poległo ponad 200 polskich żołnierzy partyzantów z 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Ten Krzyż jest upamiętnieniem tych wydarzeń i symbolem naszej wdzięczności i pamięci. Rodacy. 01.11.2001 r.

mgie oczerety pełne były gwaru kaczych żalotów (J. Ejsmond: „Moje przygody łowieckie”).

Ciężka, czarna chmura nad nami. Gwałtowny podmuch i... śnieżna zadymka. Przytulamy się gromadnie do sitowia. Kajaki hiale, twarze zasypane śniegiem. Na szczęście po 15 minutach „tak jak przyszło, tak odeszło”. Płyniemy dalej. Za nami dwie godziny wiosłowania, przed nami drugie tyle.

Z ulgą lądujemy w znajomych Swałowiczach. Namioty rozbijamy za górką, za wiatrem. Ryby, kolacja, ognisko. Zapowiedź ochłodzenia w nocy do minus 5 stopni. Wciągamy na siebie wszystko, co ciepłe i suche. Wiatr trzepocze namiotami. Sen przychodzi szybko...

Stochód

(środa, 2 maja)

Nazwę rzeki miejscowi tłumaczą jako „chodząca setką dróg”. Jest częścią wodnego kompleksu Prypeci. Nieustannie się z nią łączy i dzieli. Jest węższa (10 do 40 metrów) i płytsza od Prypeci. Nieustannie meandruje. Zmusza płynących do ciągłego czuwania i zmian kierunku. Płyń wśród bagien, oczeretów i obumierających lasów. Nieprawdopodobne, jak mogli ją forsować legionści polscy w krwawych bojach 1915-1916 r.

Płyniemy ze Swałowicz Prypecią, by po półgodzinnym wiosłowaniu wejść w nurt Stochodu. Wezniej rozpoznaje drugę „z kajakowego marszu” Basia Wawerek – jedna z najsprawniejszych kajakarek naszego i resztorocznego splywu. Magiczna rzeka w zielonej bujnej oprawie. Wiosłujemy pod prąd, nurt spokojny, mijamy kilka „bramek” grodzących rzekę. Trzeba dużej sprawności, aby wejść łódką w niewielką bramkę przy spiętrzonej przeciwnym nurcie. W powietrzu silny zapach mięty gęsto porastającej brzegi. Płyniemy przez resztki starej zamierającej puszczy. Pisał o niej już E. A. Ossendowski: *Dehy, sosny i brzozy, co uczepiły się korzeniami torfowej gleby na moczarach, rosły również szybko, nieświadome, iż dążą do samobójstwa, przebiwszy bowiem powłokę przegniłych obfitych w nawóz roślinny gleb, korzenie ich docierają do kwaśnych jadowitych torfów, do cuchnącej – „zgnilej” wody, niosącej śmiertelną truciznę. Koszlawe, nędzne, słabe okrywają się te drzewa siwymi liszajami, tracą liście i igłowie, tkwiąc na bagniskach, smutne, porzucone, jak te częste krzyże na pohostach.*

Mijamy liczne żerennia bobrowe wielkości dużych namiotów. Szymek sygnalizuje obecność lasia, my dostrzegamy wydrę, spokojnie schodzi z pnia do wody. Zdumiewająca uroda pierwotnej rzeki...

Po dwóch godzinach wiosłowania przystanek. Wyniosły, suchy brzeg. Nieopodal, wśród wysokich drzew samotna drewniana, pomalowana na niebiesko cerkiewka. Obok rolnik orze ziemię. Jednoskibowy plug, gniady, niewielki koń, ziemia na polu piaszczysta i torfowa, a za rolnikiem... pięć bocianów wybierających przysmaki ze świeżych bruzd. Piaszczystą drogą docieramy do wsi Buczyn. Wieś, jak poprzednie, w urokliwej bieli kwitnących sadów (szczególnie grusze i wiśnie). Ostre, chłodne, ale słoneczne powietrze. Fotografujemy babcie i ule-klody zawieszane na drzewach. Ule ustawia się tu na konarach drzew w obawie przed corocznymi wylewaniami. We wsi sklep, przystanek autobusowy („na telefon” do Lubieszowa, za Buczynem droga kończy się w bagnach), drewniany budynek „domu kultury” z ganeczkiem, w połowie zrujnowany, ale z działającą jeszcze biblioteką. Po drugiej stronie piaszczystej ulicy nowy murowany pawilon „domu pomocy społecznej” dla samotnych i starych ludzi. Wieś ma kilka krzyżujących się ulic z tabliczkami nazw, m.in. „Petemogi” i „Szkołna”. Robi wrażenie wyludnionej, choć za firankami drewnianych domów widać obserwujące nas twarze.

Płyniemy. Nurt coraz węższy, zakrętów nie ubywa. W zielonej, bujnej oprawie cisza południa. O godz. 15 dopływamy do starego drewnianego dużego mostu, a raczej jego resztek (jeszcze z czasów polskich). Krótki postój z małą przekąską przy ognisku, kilka fotografii, m.in. z oryginalnym, uplecionym z trzciny stożkowatym wycieraczem, zastawionym na ryby w dopływie rzeki. I dalej...

Wpływamy w boczną nurt Stochodu. Kierunek: betonowy most na drodze Pożóg – Lubieszów. Niełatwo trafić w odpowiednią odnogę Stochodu. Staszek Pasicki i Czesław Cheliński płyną „na rozpoznanie”. Z daleka widać sygnał – podniesione wiosło. Płyniemy za nimi. Konary w wodzie i gałęzie tuż nad rzeką. Brzegi coraz bliżej siebie i bagienna roślinność niemal zamyka drogę. Jest most. Przebijamy się przez szuwały, grązle i pawoje do piaszczystej wydmy, wzniesienia. W piękną słoneczną przedwieczną rozbijamy namioty. Do późnych godzin wieczornych płonie ognisko – śpiewy na przemian z wodniackimi opowieściami i wspomnieniami o Januszu (który na pewno jest wśród nas!). Kończy się kolejny dzień II Splywu po Prypeci-Stochodzie. Już przyjechały samochody po nasz ekwipunek. Jutro rano „suchą drogą” do Lubieszowa.

Lubieszów

(czwartek, 3 maja)

W Lubieszowie zamykamy pętlę naszego splywu. Jest trochę czasu, aby zjeść w restauracji obiad za symboliczne pieniądze i zobaczyć miasto. 3 maja jest tu dniem normalnej pracy. Na ulicach i w sklepach ruch małym miasteczkowy. Pomnik Lenina w centrum ma się zupełnie dobrze. W dawnym zespole klasztornym oo. Kapucynów rezyduje milicja, ale kościół rzymskokatolicki jest już czynny. Świeżo odrestaurowany (do niedawna była tu sala gimnastyczna). Dziś zamknięty. Na niedzielne nabożeństwa ksiądz dojeżdża z sąsiedniego Kamienia Koszyrskiego. Uczestnicy splywu przywieźli ze sobą wianek z napisem na szarfie: *Pamięci Janusza Michalskiego – organizatora I Splywu po Prypeci – kajakarze lubelscy*. Zostaje on zawieszony u stóp Matki Bożej na figurze ustawionej przed kościołem. 3 maja przypada dokładnie pół roku od śmierci Janusza. Białoczerwone kwiaty wieńca mają tego dnia także szczególną świąteczną wymowę.

W Lubieszowie zachowały się również budynki klasztorne oo. Pijarów, w których przez ponad 150 lat mieściło się słynne kolegium na Wołyniu; uczniami jego byli m.in. wspomniany już Tadeusz Kościuszko oraz Kazimierz Narbutt (historyk) i Stanisław Jurdzik (botanik). Zabytkowy kościół przyklasztorny rozebrano do fundamentów dopiero w 1971 r.

Z Lubieszowem związane są dzieje rodów m.in. Dolskich, Wiśniewieckich i Czmeckich. Jedyną pozostałością po magnackich rezydencjach jest dziś zespół parkowy z monumentalną barokową bramą.

W okolicy działały silne radzieckie oddziały partyzanckie, w których służyli także Polacy. Gdy zmuszone zostały przez Niemców do wycofania się w głąb lasów, grupy Ukraińców, ogarnięte szaleńcem mordowania, 9 listopada 1943 bestialsko zabiły tu około 300 Polaków (w tym ponad 100 mieszkańców pobliskiej wsi Rejmontówka). Wielu z nich spalono żywcem. Śledztwo w sprawie tej zbrodni prowadzi poznański Instytut Pamięci Narodowej.

Korzystamy z uprzejmości naszego przyjaciela Rafała Hawryła, który zabiera nas swoim samochodem do Lublina. Pozostali uczestnicy splywu jadą jeszcze 300 kilometrów na południe Wołynia, aby popływać po Korczyku i Słuczy.

Stefania i Waldemar Michalscy

filozofów, znawców sztuki i samego artysty, który poszukiwał jakiegoś logicznego wątku między charakterem sztuki znanej pod nazwą pop-art i swoją osobowością, udowadniającego, że w Ameryce jest najwspanialsze to, że zapoczątkowano tu pewną tradycję (Izw. punkt zerowy). W tym miejscu, na wielką skalę, biedni i bogaci nabycją te same produkty reklamowane w telewizji – na przykład coca-cola kupuje amerykański prezydent, pije ją Liz Taylor, możemy ją pić również my, nawet bezdomni i wszyscy o tym wiemy. Tu zaznacza się różnica między Europą (gdzie sługa nie mógł pić i jeść tego co jego pan) a Ameryką. Warhol wiedział, że każdy przynajmniej raz w życiu robi to samo co inni (dotyczy to również sztuki) i z pewnością każdy będzie miał w swoim życiu swoje 15 minut sławy. To, co swego czasu uważane było za dziwactwo, wyniesione zostało do rangi cnoty.

Artykuł *Warhol: dwa tematy* (s. 52-63), którego autorem jest Sava Stepanov, dostarcza kolejnych szczegółów z życia artysty – od lat najmłodszych aż do czasów, kiedy udało mu się wypełnić przestrzeń nową jakością, wniesić istotny wkład do sztuki wizualnej. Tekst podzielono na dwie części zatytułowane: „o życiu” i „o śmierci”.

Valika Madarová w końcowym artykule *Warhol* przypomina odbiorcy, że sztuka plastyczna jest przede wszystkim sztuką przestrzenną, co wykorzystuje jako argument, by zaprosić czytelnika do zwiedzenia Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Medzilaborcach, gdyż panująca w nim atmosfera spotkania przeszłości z przyszłością sprzyja zrozumieniu twórczości Andy'ego Warhola, którego imię w rodzimych dokumentach było zapisane jako „Ondrej”.

Hożena Rejaková

Warhol, red. Sava Stepanov, Center za vizuelnu kulturu Zlatko - oko, Novi Sad 2006, ss. 168.



Pomnik A. Warhola przed muzeum w Medzilaborcach. Fot. M. Wróblewska

noty o autorach

Dariusz Adamowski – ur. 1967 w Siemiatyczach. Autor tomu *Adamowski*, wiersze publikował także w „Karkach”, „Odrze”, „Topnie” oraz na nieszuflala.pl i literackie.pl. Laureat kilku konkursów poetyckich (im. K. K. Baczyńskiego, K. Ratonia, H. Poświętowskiej). Mieszka w Białymstoku.

Marek Andrzejewski – ur. 1971 w Lublinie. Poeta, kompozytor, śpiewak. Studiował na Wydziale Ekonomicznym UMCS (magisterium w 1992 r.). W latach 90. współpracował z „Orkiestrą św. Mikołaja” oraz teatrem „Gardzienice”. W 1994 otrzymał I nagrodę na Studenckim Recitalu Piosenki w Krakowie oraz nagrodę im. Wojka Bellona przyznaną śpiewającym autorom. Dwukrotnie zdobył Grand Prix Ogólnopolskiego Festiwalu Recitali w Siedlcach (1994 i 1997). W marcu 1997 ukazała się jego debiutancka płyta *Trojlebumny batyskał*. W 1999 z przyjaciółmi założył „Lubelską Federację Bardów”. Ukazały się cztery płyty kompaktowe dokumentujące przedsięwzięcia Federacji: *Na rano w Hawanie, Miłość mi wszystko wyjednala*, *Lubelska Federacja Bardów Kazimierzowi Grześkowiakowi* oraz *Impertum*. Federacja najczęściej występuje w Kawiarni Artystycznej Hades – skąd się wywodzi. Wraz z Federacją Andrzejewski odbył wiele koncertów w Polsce i za granicą, m.in. w Wiedniu, Paryżu, Nowym Jorku, Londynie i Lwowie. W 2003 ukazała się druga jego autorska płyta pt. *Dziesięć pięter*.

Marek Bernacki – ur. 1965 w Bielsku-Białej. Doktor nauk humanistycznych (UJ), od 2003 r. adiunkt w Katedrze Polonistyki Wydziału Humanistyczno-Społecznego Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej. Autor *Słownika gatunków literackich* (1999), poradnika *Jak analizować wiersze poetów w polszczyźnie* (2002) i *Lekydamu powieści polskich XX wieku* (2002). Publikował w: „Na Głosie”, „Arce”, „Akcentach”, „Polonistyce”, „Przeglądzie Powszechnym”, „Ruchu Literackim”, „Świecie i Słowie”, „Bielsko-Zywieckich Studiach Teologicznych” oraz w piśmie filologicznym „Litteraria Slavica”. Ostatnio wydał książkę *Wyprowadził mnie z Ziemi Ulru”. Solice o niedrożej Czesława Miłosza* (Bielsko-Biała 2005).

Zofia Beszczyńska – poetka, krytyk literacki, tłumaczka literatury francuskiej. Pisze dla dzieci i dorosłych. Jej najważniejsze książki dla dorosłych to: *Oko w drzewie* (1992); *miejsca magiczne* (2003); *wyspa świateł* (2004); dla dzieci: *Kor herbaciany* (1999); *Bajki o rzeczach i nierzeczach* (2002); *z górki na pozurki* (2005). Ponadto publikowała m.in. w „Akcentach”, „Arkuszu”, „Kreskach”, „Kwartalniku Artystycznym”, „Literaturze na Świecie”, „Nowej Fantastyce”, „Tygu Kultury”, piśmiennictwie zagranicznym oraz licznych antologiach poetyckich i prozatorskich, także zagranicą. Opublikowane przekłady: m.in. na angielski, czeski, litewski, litewski, macedoński, niemiecki, serbsko-chorwacki. Otrzymywała nagrody Polskiej Sekcji IBBY za „Książkę Roku” (1999, 2002) i wyróżnienie (2005), a także wyróżnienia w konkursie „Dziecięcy Bestseller Roku” (1999, 2002); Książka Lata 2005 – wyróżnienie Biblioteki Raczyńskich; wyróżnienie „Białego Kraka 2006” – Internationale Jugendbibliothek w Monachium. Mieszka w Warszawie.

Maciej Buias – ur. 1972 w Przemyślu. Kompozytor, koncertujący muzyk, publicysta. Ukończył Akademię Muzyczną w Łodzi w klasie fortepiano prof. Z. Lasockiego. Od 2000 r. jest asystentem w Zakładzie Pedagogiki Instrumentalnej Instytutu Muzyki Wydziału Artystycznego UMCS. 12 grudnia 2001 r. miało miejsce w Lublinie prawe wykonanie jego *Koncertu na 2 gitary i 8 instrumentów*. 1 czerwca 2007 r. wystąpił z orkiestrą symfoniczną Filharmonii Lubelskiej wykonując E. Puolenca *Koncert d-moll na 2 fortepiany i orkiestrę*. Od 2004 r. współpracuje z „Akcentem”.

Różana Brzozowska – ur. 1956 w Telnyńcu. Z wykształcenia aktorka mim. Opublikowała: *bramptonia w opowieści* (2004), *w tropce* (2005). Laureatka konkursów poetyckich „Koziołki Poetyckie”. Mieszka w Lublinie, pracuje w Miejskim Przedsiębiorstwie Wodociągów i Kanalizacji.

Magdalena Janikowska – poetka i krytyk teatralny. Autorka tomów poezji: *I co dalej?* (1990), *Kula i skrzydło* (1992), *Zbiór awaryjny* (1994), *Tak się składa* (1998), *Już* (2002), *Salon mebli kuchennych* (2006) oraz książki prozatorskiej *Billing* (2001). Stała współpracowniczka „Akcentu” i „Kresów”. Recenzje publikowała również w „Kamencie”, „Tygodniku Współczesnym”, „Scenie”, „Relacjach”, „Sycynie”, „Życiu Warszawy”, „Na przykład”. Ostanie w „Akencie” specjalizuje się w odtworzeniach dramaturgii radzkiej.

Jerzy Jarzębski – ur. 1947 w Bytomiu (od 1949 w Krakowie), historyk literatury i krytyk. Studiował polonistykę i filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Profesor na UI i w Państwowej Wyższej Szkole Wschodnioeuropejskiej w Przemyslu; był też w połowie lat 80. kierownikiem literackim Teatru Polskiego w Bielaku-Białej. Od 1997 członek zarządu Polskiego PEN-Clubu, przewodniczący międzynarodowej Rady Naukowej przy Muzeum Schulza w Dombrowcu. Zajmuje się prozą współczesną, a szczególnie twórczością Schulza, Gombrowicza, Lema. Juror wielu nagród literackich, m.in. Fundacji Kościelskich, Nike, Znaka, im. Kazimierza Wyki, PEN-Clubu. Autor książek: *Gra w Gombrowicza* (1982), uhonorowana nagrodą im. Brucknera i nagrodą Fundacji Kościelskich, *Pamięć jako autokreacja* (1984), *Złoty wiek Ordnung. Zum Werk Stanislaw Lems* (1986), *W Polsce, czyli wspaniale* (1992), *Apetyt na Przemianę* (1997), *Podleganie z emigracją* (1998), *Schulz* (1999), *Podglądanie Gombrowicza* (2001), *Wszystkowiak Lema* (2003), *Gombrowicz* (2004), *Proza dwudziestolecia* (2005), *Przewidywanie Centrum. Przypisy do Schulza* (2005), *Natura i teatr. 16 tekstów o Gombrowiczu* (2007); współautor *Słownika schulzowskiego* (2003), edytor dzieł Gombrowicza, Schulza i Lema. Jego artykuły krytyczne i prace historycznoliterackie tłumaczone były na angielski, białoruski, bułgarski, chorwacki, czeski, francuski, hiszpański, japoński, niemiecki, rosyjski, rumuński, serbski, słoweński, turecki, ukraiński, węgierski i włoski.

Ilga Kutecka – ur. 1977 w Gnieźnie. Ukończyła filologię polską na UAM w Poznaniu, a później studiowała w Wielkiej Brytanii. Obecnie pracuje jako lektor i tłumacz. Debiutowała w lutym 2007 w „Akencie”.

Eliza Łęczyńska-Pienlak – ur. 1974 w Zamościu. Absolwentka teologii UI i Politykologii w Studiach Humanistycznych PAN, nauczycielka języka polskiego w III Liceum Ogólnokształcącym im. C. K. Norwida w Zamościu. Artykuły i recenzje poświęcone kulturze publikowała m.in. w „Akencie”, „Przekroju” i „Tygodniku Zamajskim”. Od 2008 roku współpracuje z „Zamojskim Kwartalnikiem Kulturowym”. Laureatka II nagrody i wyróżnienia w Konkursie Dziennikarskim im. Mirona Dereckiego w 2005 r. Mieszka w Zamościu.

Jacek Łudusiewicz – ur. 1934 we Lwowie. Profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, krytyk literacki, eseista, poeta. Współpracował m.in. z „Dzisiaj i jutro”, „Tygodnikiem Powszechnym”, „Więzią” (np. cykl *Ćwiczenia miesięczne*), „Współczesnością”, „Twórczością”, „Odrą” (od 1991 członek Rady Redakcyjnej), „Tygodnikiem Literackim”. Tomy poetyckie (m.in.): *Moje i twoje* (1959), *Obraz siedzącej* (1963), *Żabawy zimowe* (1968), *Dolina* (1972), *Podróże* (1976), *Album* (1983), *Światło mijania* (1996), *Mali mistrzowie* (1993), *Czas nie dopełniany* (1998), *Deszcz i inne wiersze* (2005). Zbiory esejów: *Samaritanie i bohaterowie* (1963), *Zagłada w piekle* (1964), *Laur i ciałko* (1971), *Ruchome cele* (2004). Szkice literackie, rozprawy, artykuły, recenzje, felietony i prace lingwistyczne: *Republika mierzających* (1974), *Kozioł* (1981), *Mieczysława Jastruna: portret w czasie* (1982), *Hararymowicz* (1983), *Oko poematu* (1991). Wiersze w gazetach 1945-1949 (1992), *Rym, czyli powtórność. Szkice o książkach i ludziach po roku 1980* (1993), *Poezja Zbigniewa Herberta* (1995), *Mickiewicz* (1996), *Herbert* (2001), *Grzechowiak i obrzyd* (2002); antologię poezji polskiej od średniowiecza do współczesności w autorskim wyborze – *Złota księga wierszy polskich* (2007). Wielokrotnie nagradzany. Mieszka we Wrocławiu.

Lukasz Marciniak – ur. 1971 w Łodzi. Absolwent filozofii UMCS; redaktor kwartalnika *Sinewarzystwa: Absolwentów UMCS „AS UMCS”*; autor tomu poetyckiego *Profil odróżniony w głąb* (2002). Mieszka w Lublinie. Publikował teksty esejistyczne oraz recenzje w „Akencie”.

Leszek Mądziak – ur. 1945 w Bartoszowicach w Górach Świętokrzyskich. Studiował na KUL. tytuł magistra sztuki otrzymał w Akademii Teatralnej im. Żelazowicza w Białymstoku. Scenę Plastyczną KUL, założył w 1969 r., od tego czasu realizował kilkanaście premier, m.in. *Esze homo* 1970, *Wieczera* 1972, *Ikar* 1974, *Zielnik* 1978, *Brzeź* 1983, *Wrota* 1989, *Tętnienie* 1992, *Szczelina* 1994, *Kir* 1997, *Odkładzi* 2003, *Brzyda* 2005. Jego teatr brał udział w ponad pięćdziesięciu międzynarodowych festiwalach przywoząc z nich nagrody i wyróżnienia (np. nagroda krytyków za *Wilgoć* na festiwalu w Kairze; nagroda za reżyserię, scenografię i technikę teatralną za *Zielnik* na festiwalu w Japonii; nagroda specjalna na Festiwalu Teatralnym w USA; wyróżnienie na Światowej Wystawie Scenografii *Praskie Quadrilaterale* w Pradze). Autor wielu scenografii w teatrach polskich, portugalskich, francuskich i niemieckich. Prowadził zajęcia ze studentami na zaproszenie uniwersytetów i szkół artystycznych: m.in. w Helsinkach, Berlinie, Amsterdamie, Waszyngtonie, San Francisco, Bonn, Hamburgu, Lyonie, Pradze, Buffalo, Rennes, Dublinie, Rydze, Poznaniu. W 1997 r. dla Teatru Telewizji wyreżyserował własną sztukę

Pętanie. Jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików. Swoje prace prezentował m.in. w Galerii Krytyków „Pokaz” w Warszawie, w Galerii Instytutu Polskiego w Wiedniu, w Centrum UNESCO w Bejrucie, w Galerii Opery w Kairze, w Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej Maaya w Krakowie, w Muzeum Lubelskim, w Galerii Sztuki Katolickiego Uniwersytetu w Santiago de Chile, w Theater-Cai w Tokio, w Muzeum Narodowym we Wrocławiu, w The Sakkler Gallery w Edmontonie w Kanadzie, w Muzeum Teatralnym w Warszawie. W 1986 zainicjował Galerię Sztuki Sceny Plastycznej KUL, w której realizowano wiele wystaw wybitnych twórców kultury polskiej (późn. tekst L. Łamieńskiego w tym numerze „Akcentu”). Projektodawca Muzeum Współczesnej Sztuki Sakralnej w Kielcach; autor licznych plakatów i grafiki książkowej. Laureat wielu nagród i odznaczeń (m.in. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi, Srebrny Medal „Gloria Artis”, wyróżnienie specjalne Towar.

Stefan Roska – ur. 1946 w Goluście. Poeta, plastyk, pisarz, krytyk literacki. Ukończył poznańską Akademię Ekonomiczną. Autor książek poetyckich: *Jak niepujcie jesi nasze osiemie* (1978), *Omego dnia* (1980), *Zamiast wieczoru autorskiego* (1981), *Spodłobienicy rajni* (1985), *Mój ląd* (1985), *Kaligula* (1988), *Mala planeta* (1993), *Obudź w sobie dziecko* (1993), *Wrona piekiel* (1995), *Przez pogadanki bezkresy do Jerzego Stanislawskiego* (1996), *Płedni* (1996), *Radosne czytanie* (1998), *Wesele Hinkla* (1999), *Krzyżackie instrum* (2000), *Uczta wilka* (2000), *Bezdomna czułość* (2002), *Niespełnione pragnienia – wiersze wybrane* (2003), *Mugali* (2006), i prozy dokumentarnej: *Konin – moje miasto* (1986), *Zakony do Ziemi Koniańskiej* (1993), *Do końca wierni – o podziemiu koniańskim 1939-1945* (1993), *Wniejzności wyznawców na Ziemi Koniańskiej* (1994). Publikował m.in. w „Akencie”, „Akencie”, „Autografie”, „Jirazie”, „Kresach”, kanadyjskim „Lisicie Oceanicznym”, „Metaforze”, „Opiejach”, „Tytulie”, „Toposie”, „Twórczości”, „Tygodniku Powszechnym”, *Mieszka w Koninie*.

Elżbieta Wicha-Wauben – tłumaczka, poetka. Studiowała germanistykę (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie) oraz niderlandystykę (Katholieke Universiteit Leuven, Belgia). Od roku 1987 mieszka w Holandii. Tłumaczyła z języka niemieckiego i niderlandzkiego na polski oraz z polskiego na niderlandzki (m.in. poezje H. Połwiatowskiej, A. Kamieńskiego, A. Swirszczyńskiej, W. Szymanowskiej oraz ostatni dziennik E. Stachury *Pogodzić się ze światem*). Autorka tomu poetyckiego *Pozorna rzeczywistość. Miniatury polderne* (wiersze prezentowane na wystawie „Sztuka polska” w Brukseli – 2002, za holenderską wersję tekstu *Tajne pismo* otrzymała w 2003 roku nagrodę poetycką miasta Almere; holenderska wersja zbioru: *Schijnbare werkelijkheid. Polderminiaturen* – 2006, ilustrowana czarno-białymi fotografiami polderu, robionymi przez autorkę) oraz opublikowanej z Joanną Parzaniec-Jagers książki *Słowa w obcym języku. Dwa holenderskie dzienniki* (2004). W przygotowaniu tom poetycki *Obrazy*, którego inspiracją stały się obrazy siedemnastowiecznych mistrzów holenderskich i z którego pochodzą drukowane w „Akencie” wiersze.

Tadeusz Zmliński – ur. 1953 w Suchedniowie. Pisarz, eseista, tłumacz, krytyk. Autor książek: *Dankując wieki* (1996), *Sprawiedliwy w Sodomie* (1996), *Odlat dźwięki głosi* (2001), *Nikodem Dymano w Łyskawie* (2003), *Góry na niebie* (2005), *Ciche Kraje* (2006). Publikował m.in. w „Akencie”, „Akencie”, „Aktuszu”, „Frazie”, „Froncie”, „Kresach”, „Odrze”, „Opiejach”, „Przeglądzie Powszechnym”, „Twórczości”, prasie polskiej na Litwie, Estonie i w Kanadzie. Wielokrotnie nagradzany.

Alp Józef Życiński – ur. 1948 w Starej Wsi. Profesor, filozof, teolog. Wykładowca wielu uniwersytetów krajowych i zagranicznych. W latach 1990-1997 biskup ordynariusz diecezji tarnowskiej, od 1997 r. arcybiskup metropolita lubelski. Kierownik Katedry Relacji między Nauką a Wiarą Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Członek m.in. Papieskiej Rady Kultury i Europejskiej Akademii Nauki i Sztuki (Wiedeń), Doktor honoris causa Akademii Rolniczej w Lublinie. Główne obszary badań: filozofia nauki, filozofia przynady. Najważniejsze publikacje książkowe: *Wszystkowiak i filozofia* (współautor, 1980); *Język i metoda* (1983); *Listy do Nikodema* (1985); *Teizm i filozofia analityczna* (t. 1 – 1985, t. 2 – 1988); *Głębina bytu* (1988); *Philosophy in Science* (współautor, t. 3 – 1988); *Newton and the New Direction in Science* (współautor, 1988); *The Idea of Unification in Galileo's Epistemology* (1988); *The Structure of the Metascientific Revolution* (1988); *Pisma z kraju UB-u* (1989); *W kręgu nauki i wiary* (1989); *Dylematy ewolucji* (współautor, 1990); *Three Cultures: Science, the Humanities and Religious Values* (1990); *Bóg Abrahama i Whiteheada* (1991); *Ułaskawienie natury* (1992); *Granice racjonalności* (1993); *Sacrum i kultura* (1995); *Elementy filozofii nauki* (1996); *Ziarna sumienia* (1997); *Na zachód od słowa niewoli* (1997); *Europejska wspólnota ducha* (1998); *Pęd dialogów* (z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, 1999); *Bruderschaft z Kainem* (1999); *Inspiracje chrześcijańskie w powstaniu nauki nowożytnej* (2000); *Przeżycie z Naturą* (2000); *Bóg postmodernistów* (2001); *Bóg i ewolucja* (2002); *Wiera wapiących* (2003); *Od Manhattanu do Emau* (2003); *Sumienie wśród liberałów* (2004); *Odysos, czy plajboy? Kulturowa odzyska człowieka* (2005); *Listy do Nikodema i teksty wojenne* (2006); *Światło i blękot. Paradoksy wierności* (2006).

**Informujemy Czytelników, że sprzedaż AKCENTU
prowadzą m.in. księgarnie:**

Salon sprzedaży „Empik”
ul. Lipowa, Galeria „Piazza”
20-024 Lublin, tel. (081) 534-36-98

Lubelskie Centrum Książki
Wieniawska 3
20-071 Lublin, tel. (081) 532-54-41

Księgarnia „Ezop”
Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin, tel. (081) 532-56-15

Księgarnia im. Kazimierza Szczepańskiego
ul. Grodzka 3
20-112 Lublin, tel. (081) 534-65-87

Galeria ZMP
Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin, tel. (081) 532-68-57

Księgarnia Sentencja
Krakowskie Przedmieście 41
20-076 Lublin, tel. (081) 534-77-53

Księgarnia Uniwersytecka
Plac M. Curie-Skłodowskiej 5
20-031 Lublin, tel. (081) 537-54-13
Księgarnia prowadzi sprzedaż wysyłkową „Akcentu”.

Osrodek informacji Turystycznej
ul. Jazwicka 1/3
20-113 Lublin, tel. (081) 532-44-12

Księgarnia Wychowawców Nauk o Ziemi
ul. Podwałę 6
31-118 Kraków, tel. (012) 422-90-57

Księgarnia Literacka
Plac Konstytucji 3 Maja 3
10-414 Olsztyn, tel. (089) 533-62-24

Księgarnia Akademicka „LIBRA”
ul. Unia Lubelskiej 6a
35-016 Rzeszów, tel. (017) 86-25-628 w. 1120

Poznańskie Księgarnie Naukowe „Kapitałka”
ul. Mielżyńskiego 27/29
61-725 Poznań, tel. (061) 852-45-16

Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa
ul. Krakowskie Przedmieście 7
00-068 Warszawa, tel. (022) 826-18-35

Księgarnia „ORPAN...BIS”
ul. Twarda 51/55
00-818 Warszawa, tel. (022) 697-88-35

Księgarnia „Czytelnik”
ul. Wiejska 14
00-490 Warszawa, tel. (022) 621-36-55

Księgarnia Wydawnictwa LEKCON
ul. Seagora „Ulichiego” 24 m.2A
02-790 Warszawa, tel. (022) 648-41-23

Księgarnia prowadzi sprzedaż wysyłkową „Akcentu”.

Księgarnia im. Bolesława Leśmiana
ul. Zamenhofska 9
02-400 Zambród, tel. (084) 638-61-57

Księgarnia Akademia
Al. Wojska Polskiego 69
65-625 Zielona Góra, tel. (068) 326-35-20 w. 220

Tytuły nabytych m.in. numery:

z 2001: 1-2 – eseje o femine fraide i Toulouse-Lautrec'u wokół „Nohami” Kapucyńskiego; radio warszawskie czy ogólnopolskie?; 3 – wiersze M. Ciały, T. Melanowskiego, P. Maciejewskiego, A. Stevenson; proza J. Bierusa, K. Bartczaka; 4 – Media wobec pogranicza kultur (Bartuszyński, Kapucyński, Kowles, Kłoczowski, Osajca, Pawlyczko, Sommer);
z 2002: 1-2 – Młode gatunki – nowa jakość w prozie kobiet; Czarna Amerykaniec; 3 – „Polscy Kanadyjczycy” (m.in. W. Isaniuk, A. Burza, B. Czaykowski, M. Kusiba, F. Śmieja, E. Zygmunt); 4 – eseje o Tomaszewicz i Zadurze, wiersze Kowles i Aliancki, rozmowy z Koterskim i Pawlyczką, wileński proza Mieczkowski, Saga rodu Mirowskich;
z 2003: 1-2 – Czechowicz, Gombrowicz, Kapucyński, listy Stachury i Lesmiana, dyskusja wokół „Kontynentów”; 3 – T. D. Singer i tematy żydowskie; 4 – wiersze Frajlich, Osajcy, Bondara, szkice o twórczości Czechowicza, nieznanie mi latwotki (Fragej) Dudy-Gracza;
z 2004: 1-2 – Gombrowicz na Ukrainie, rozmowa o *Naprawdę Land Europejskiej*, Czechowicz *Przedwzrostek*, Gombrowicz, Gombrowicz, Gombrowicz, *Włoskie sesje Kazimierza Brauna*; 3-4 – *Wycieczki i o Pęzack*, Listy Witkacego do Zagadłowicza, *Fabryka hagiografii Sierbiowicza*, szkice o Iwaszkiewicz i Mostwie, *Mnisi antyki w Gombrowicz*;
z 2005: 1 – Abp J. Zychowski o J. Nowaku Jeziorańskim, wspomnienia o W. Panasie, opowiadania M. Ukiwskiego, *Historia plakatu polskiego w zbiorach UMCS*; 2 – nowa proza Pawła Huelle, L. Marcińczak o Lublinie jako mieście pogranicza, dwujęzyczny *Przebieg z Herodotem R. Kapucyńskiego*, *Opieranie Gombrowicza w radiu*; 3 – *Dobry i... Baska kawałek*, szkice o Schulzu, Lubasiewicz, Frajlich, Paszkiewicz, Rózewicz; 4 – Biblia dzisiaj, *Jak Czachowicz Młody tłumaczył Apokalipsę*, kontrowersje wokół Doroty Maślowskiej, dyskusja: *Czy współczesnemu dwuletni potrzebna jest jeszcze tań. kultura wysoka?*
z 2006: 1 – *Wiedza Myśliwskich z Thakara i Laskanin Jarosi*, Abp Józef Zychowski o ks. Janie Twardowskim, Mibaz i Czechowicz – przyjęcia o Lublinie w tle; 2 – A. Aniszajuk: *Wprawa Bolesława Chętnego pierwszym polskim pisarzem*, L. Marcińczak o mieście Prusa i Zeromskiego, T. Kłak o Lublinie Edwarta Stachury; 3 – wiersze Jacka Delipela, Uty Przybóś i Wacława Machno; P. Malczewska o prozie flamandzkiej; 4 – **wywiad** zredakcja ze Zdzisławem Bekasińskim; szkice o Myśliwskim, Witkacym, Dąbrowskiej; opowiadania W. Danylenki; płyta CD z głosami Bekasińskiego, Myśliwskiego, Zadury.

Zainteresowani zakupem archiwalnych numerów mogą się także zwracać bezpośrednio do redakcji „Akcentu”.

„Akcent” można kupić m.in. w salonach prasowych „Ruch” S.A.:

Białystok	Stoniecznikowa 9	Puławy	Centra
Bydgoszcz	Fondańska 141	Radom	Toruńska 1/3
Bydgoszcz	Magnuszewska 6	Ruda Śląska	Solidarności
Ciechanów	Warszawska 62	Rybnik	Maksymiliana
Częstochowa	Monte Casino 10	Rzeszów	Pocwistoce 6
Ełbląg	1-go Maja	Rzeszów	Zygmunowska 10
Gdańsk	Złota Brama	Słupsk	Baracha
Gdynia	Starowiejska 29/35	Sopot	3-go Maja
Jelenia Góra	pl. Ratuszowy 26	Starogard Gdański	Hallera 36/17
Kalisz	Narutowicza 1	Szczecin	Plac Hołdu Pruskiego 8
Katowice	Dworzec PKP – hpl główny	Szczecin	Narutowicza 13e
Katowice	Wojciecha	Świdnik	Al. Lotników Polskich
Kętrzyn	Powstańców warszawy	Tarnobrzeg	Krakowska 33
Kielce	Grupa kółka	Tarnów	Plac Kazim. Wielkiego nr 4
Kielce	Pałeczkowskiego „RONDÓ”	Tczew	Saperska
Kolobrzeg	Mariańska 18	Tomaszów Maz.	Jerozolimska 23
Koszalin	Zwycięstwa/Traugotta	Toruń	Falata 92
Kraków	Aleja Pokoju 5	Toruń	Grudziądzka 45
Kraków	Andersa 9	Toruń	Mikołaja Reja 45
Kraków	Bracka 7	Toruń	Rynek Staromiejski
Kraków	Dobrego Pastora 127	Tychy	Bielska
Kraków	Gronostajowa 7	Wałbrzych	Armii Krajowej 7
Krosno	Pułaska 49	Warszawa	Al. Jana Pawła 82 - Arkadia
Legnica	Wrocławska	Warszawa	Al. Jerozolimskie 33
Leszno	Rynek	Warszawa	Dobra 56/66
Lublin	Krakowskie Przedmieście	Warszawa	Grojecka 26
Łódź	Dąbrowskiego 60	Warszawa	Rembellńska 6
Morąg	3 Maja 5	Wrocław	Promkaina 9
Miągowa	Królewiecka	Wrocław	Kościuszki 14
Najęczów	Armia Góra 2	Wrocław	Mikołaja Reja 47
Nowy Sącz	Nawojowska 1	Wrocław	Plac Legionów 17
Nowy Targ	Sobieskiego	Wrocław	Plac Świętego Macieja
Oleśnica	Rynek 29	Wrocław	Starzyńskiego – Lotnisko
Olkusz	Składowa 9	Wrocław	Świętego Wincentyego 12
Olsztyn	1 Maja	Wrocław	Piłsudskiego 66
Opole	Orłowska	Zabrze	Plac Antypisowy
Pielkowi Trzb.	Armii Krajowej 14	Zakopane	Nowolaska
Poznań	Głogowska 29	Zamość	Przewalków
Poznań	Stary Rynek 83	Zielona Góra	Bohaterów Westerplatte
Puławy	Piłsudskiego 27	Zielona Góra	Jedność

„Akcent” sprzedawany jest także w salonach „Kolpoltera” S.A.

Białystok	Henryka Sienkiewicza 81/3	Pułuska	3 Maja 15
Dęblin	Wiślana 34	Radomsko	Przedborska 6
Jarocin Poznański	Wrocławska 13	Siadlica	Piłsudskiego 32
Lublin	Narutowicza 53	Sklewniewice	Dworcowa 1
Osiraca	Czarnieckiego 13A	Słupsk	Nowobramska 1 i 1A
Poczesna	Krakowska 10	Warszawa	Sobieskiego/Najęczowska
Pułuska	Jana Pawła 5/25	Wrocław	Barska

2008

**Regularne otrzymywanie „Akcentu”
zapewnia prenumerata!**

Najlepsi pisarze i krytycy

Biblioteka Narodowa

- poleca -

twórczość

Miesięcznik polski o literaturze i sztuce.
Przedkawa współczesnej prozy,
poezji i literackiej filozofii.
Materiały z przedmiotów
polskiej literatury.
tel. (022) 608 23 74; tel./fax (022) 608 23 74
e-mail: tworczość@bn.org.pl
www.culture.pl/pl/culture/krytyka/tworczość

NOWE KSIĄZKI

Miesięcznik - najpełniej poświęca
niezależnym i różnym wiodącym
i opiniom i dążeniom. Książki, wywiady,
sylwetki pisarzy, publicystyka, bibliografia,
zapowiedzi wydawnicze.
tel. (022) 608 23 74; tel./fax (022) 608 23 74
e-mail: nowa@bn.org.pl

Dialog

Miesięcznik poświęcony dramaturgii
współczesnej teatralnej,
radiowej i telewizyjnej.
tel. (022) 608 23 74; tel./fax (022) 608 23 74
e-mail: dialog@bn.org.pl; www.dialog.warszawa.pl

rytm muzyczny

Najnowsze i najlepsze osiągnięcia
polskiej muzyki współczesnej,
twórczości i krytyki o muzyce
(na przykładzie w kraju).
tel. (022) 608 23 74; tel./fax (022) 608 23 74
e-mail: rytm@bn.org.pl
www.rytm.warszawa.pl

LITERATURA na świecie

Miesięcznik - jedynym w swoim
rodzaju ukazujący wszystkie
kierunki w polskiej literaturze
światowej oraz warszawę
tel. (022) 608 23 74; tel./fax (022) 608 23 74
e-mail: litna@bn.org.pl

НОВАЯ ПОЛЬША

Nowa Polska - miesięcznik
Jedyny w swoim rodzaju w języku polskim
Bieżący wybór publicystyki autorów polskich
i zagranicznych, szczególnie znaczących w literaturze
polskiej i światowej.
tel. (022) 608 23 74; tel./fax (022) 608 23 74
e-mail: nowa@bn.org.pl; www.nowa.warszawa.pl

odra

Miesięcznik szeroko prezentujący
spółczesną i artystyczną współczesność,
literaturę i sztukę (w tym literaturę i sztukę
Polski i świata, historię i możliwość przyszłości).
tel. (022) 608 23 74; tel./fax (022) 608 23 74
e-mail: odra@bn.org.pl; www.odra.warszawa.pl

a akcent

Żywno i bogactwo literatury polskiej
literatury i sztuki (w tym literatury i sztuki
Polski i świata, historię i możliwość przyszłości).
Ukazuje się od 1980 roku w Lublinie.
tel. (022) 608 23 74; tel./fax (022) 608 23 74
e-mail: akcent@bn.org.pl
www.akcent.pl

TEATR

Miesięcznik poświęcony literaturze
współczesnej. Chłonność i różnorodność
prezentacji w Polsce i za granicą,
teksty krytyczne, eseje, komentarze.
tel. (022) 608 23 74; tel./fax (022) 608 23 74
e-mail: teatr@bn.org.pl



Dział Wydawniczy Czasopism Patronackich

02-086 Warszawa, ul. Niepodległości 213, tel. (022) 608 23 74; tel./fax (022) 608 23 74
e-mail: czaspatron@bn.org.pl